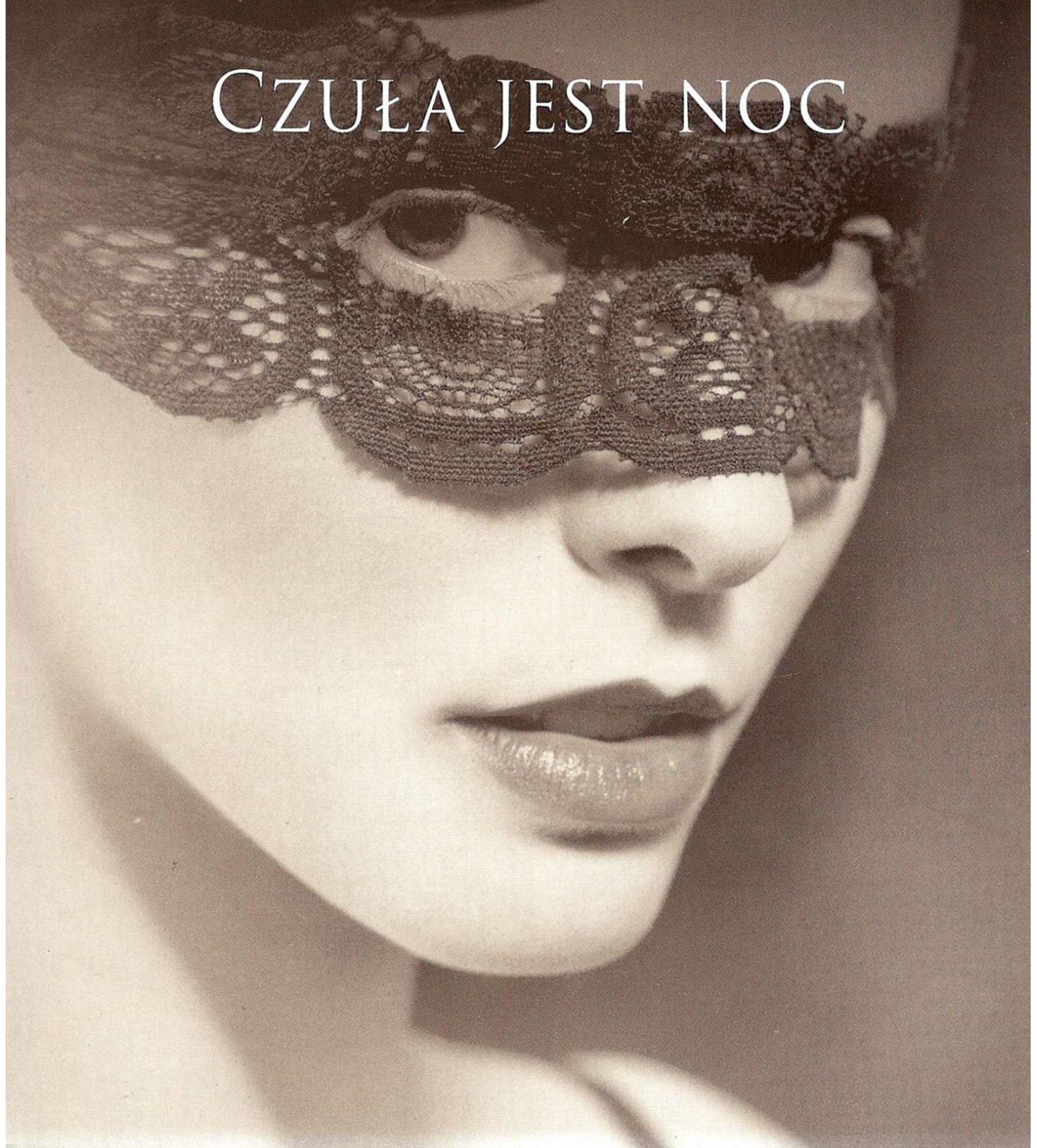




F. SCOTT
FITZGERALD

CZUŁA JEST NOC



F. SCOTT
FITZGERALD

CZUŁA JEST NOC

Przełożył
Wojśław Brydak



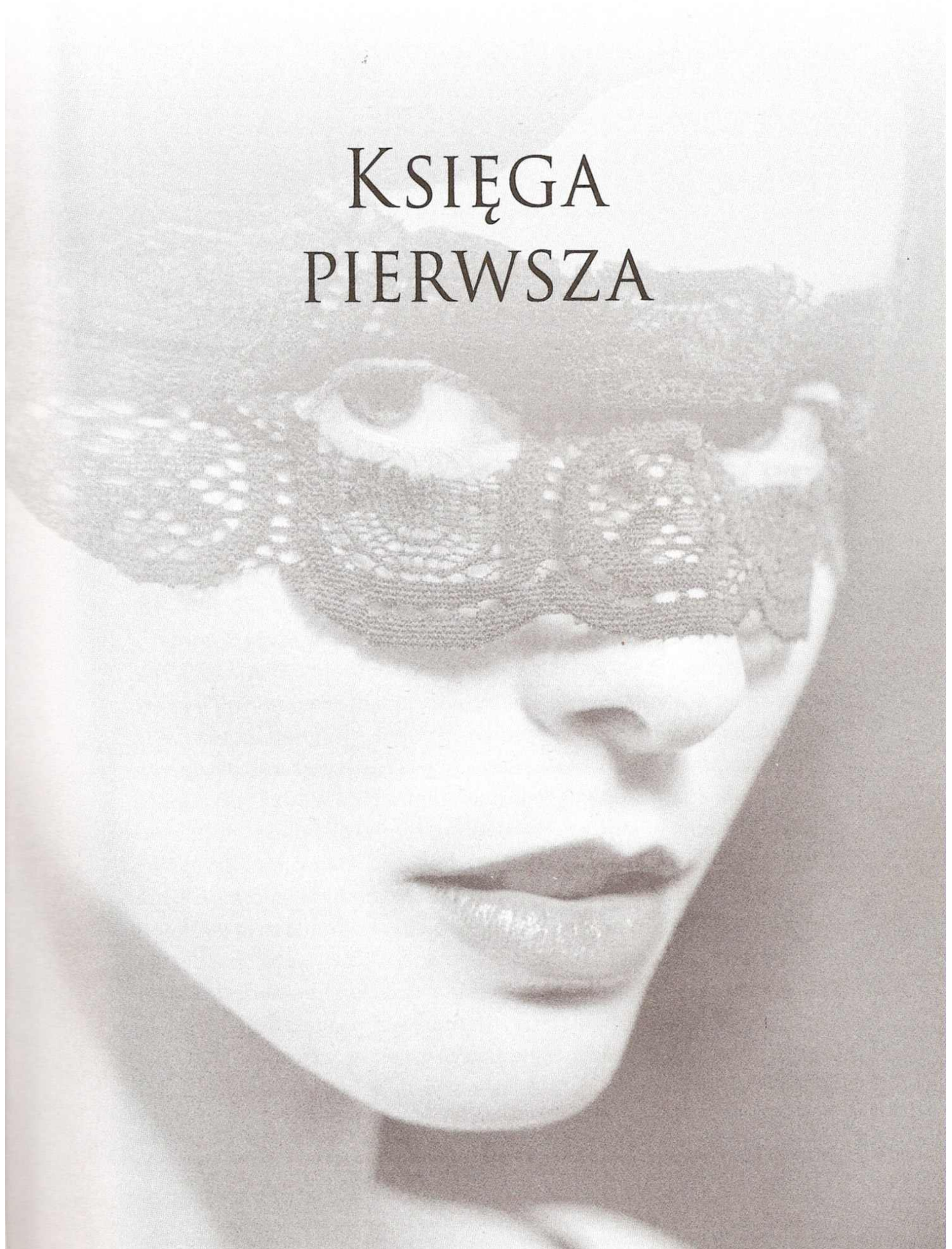
DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2010

*Teraz już z tobą! czuła jest noc
(...) Tu jednak mroki;
Chociaż posępna zieleń i mech krętych ścieżek
Przenika tchnienie z niebios.*

Oda do słowika, John Keats

Geraldowi i Sarze,
życząc wielu *fêtes*

KSIĘGA
PIERWSZA



I

Na pełnym wdzięku wybrzeżu francuskiej Riwiery, z grubsza w pół drogi między Marsylią a włoską granicą, pyszni się duży, różowy hotel. Spasowiała fasadę chłodzą usługne palmy, oślepiająco lśni wstążka plaży. Ostatnio chętnie zjeżdżają tu na lato znakomitości, ludzie rozchwytywani, ale przed dziesięcioma laty hotel niemal świecił pustkami od końca kwietnia, kiedy to bywalcy z Anglii przenosili się na północ. Dziś do hotelu przylgnęły liczne pawilony, lecz u początku tej opowieści z sosnowego gąszczu między „Hotel des Etranger” Gausse'a i odległym o pięć mil Cannes wyzierały tylko – jak lilie wodne – niszczące kopuły kilkunastu starych willi.

Hotel i plaża – istny dywanik modlitewny, świetlisty i rdzawy – stanowiły całość. Wczesnym rankiem wodę zaścielały kremowa biel i róż starych fortyfikacji, daleki zarys Cannes, a na granicy z Włochami fiolet Alp, migocąc na przejrzystych płyciznach, gdzie wodorosty kreślą na tafli kręgi i zmarszczki. Przed ósmą zszedł na plażę mężczyzna w niebieskim szlafroku; głośno sapiąc i chrząkając, brodził przez chwilę w morzu i polewał się obficie chłodną wodą. Kiedy zniknął, przez całą godzinę nic już nie zakłócało spokoju plaży i zatoki. Na horyzoncie sunęły na zachód frachtowce; po hotelowym dziedzińcu niosło się nawoływanie pikolaków; z sosen ulotniła się rosa. Na drodze wplecionej w Massif des Maures – niskie pasmo oddzielające pobraże od właściwej Prowansji – klaksony rozkrzyczały się dopiero z nastaniem następnej godziny.

O milę od morza, gdzie sosny ustępują miejsca zakurczonym topolom, tkwi samotna stacyjka; pewnego czerwcowego ranka 1925 roku bryczka zabrała stamtąd do hotelu Gausse'a pewną kobietę z córką. Z twarzy matki już pierzchała uroda, wkrótce siatka

spękanych żyłek miała opleść tę twarz, w ujmujący sposób baczna, a zarazem spokojna. Uwagę szybko przykuwała jednak córka, której różowe dłonie i policzki jarzyły się rozkosznie rozplómiowane; naznaczone magią przywodziły na myśl wzruszający rumieniec dziecka po wieczornej zimnej kąpeli. Pukle, fale i loki jasnoszarych, połyskujących złościście włosów okalały – jak tarczę herbową – ładne, delikatnie sklepione czoło. Miała oczy jasne, duże, czyste, wilgotne i lśniące; naturalną barwność policzków tłoczyło pod skórę mocne, młode serce. Była niemal dorosła, dobiegała osiemnastu lat, lecz ciało trwało jeszcze w zawieszeniu przed przekroczeniem ostatniej krawędzi dzieciństwa; dziewczynę wciąż okrywała poranna rosa.

Na widok morza i nieba w dole – cienkiej linii zanurzonej w spiekocie – odezwała się matka:

– Coś mi mówi, że nie polubimy tego miejsca.

– Ja i tak chcę do domu – odrzekła dziewczyna.

Rozmawiały pogodnie, lecz widać było, że doskwiera im, że je nuży brak wyraźnego celu; gorzej, bo nie zadowolą się celem byle jakim. Pragnęły prawdziwej podniety; nie jakiegoś impulsu, byle pobudzić oswiałe nerwy, lecz czegoś jakże żarliwie poszukiwanego przez prymuski, które zasłużyły na porządne wakacje.

– Pobędziemy trzy dni, potem ruszymy do domu. Zaraz zamówię depeszą bilety na statek.

Pokoje wynajęła dziewczyna; mówiła francuszczyzną obiegową, lecz trochę mdłą, jakby wyćwiczoną. Kiedy już rozgościły się na parterze, dziewczyna podeszła do balkonowych drzwi, stanęła w ich blasku, a po dalszych paru krokach znalazła się na kamiennym tarasie okalającym hotel. Stąpała jak tancerka, niosła się wysoko, płynęła wyprostowana, bez kołysania się z biodra na biodro. Jej cień na kamiennych płytach osaczyła świetlista spiekota. Cofnęła się. Blask raził, nie mogła patrzeć. Pięćdziesiąt jardów dalej Morze Śródziemne z minuty na minutę wyzbywało się barw pod brutalnie

palącym słońcem; poszarzały buick prażył się niżej, pod balustradą na hotelowym podjeździe.

Jak okiem sięgnąć, coś się działo tylko na plaży. Trzy angielskie bony przy wtórze plotek – brzmiącym jak rygorystycznie wykonywana inkantacja – dziergały na drutach sweterki i skarpetki ścięciem wiktoriańskiej Anglii, przebrzmiałym, pamiętającym lata osiemdziesiąte, sześćdziesiąte, czterdzieste. Bliżej wody, pod pasiastymi parasolami umościło się kilkanaście osób, tymczasem ich dzieci lśniące, natarte olejkim kokosowym, wylegiwały się nago na słońcu lub ścigały na płyciznach nieskore do popłochu ryby.

Rosemary zeszła na plażę; obok niej przemknął jakiś dwunastolatek i z radosnym krzykiem runął do morza. Zdjęła płaszcz kąpielowy, czując natrętne, taksujące spojrzenia obcych, i poszła w ślady chłopca. Zanurzywszy twarz, dała się unosić wodzie przez parę jardów, potem niepewnie wstała na płyciznie i mozolnie brodziła dalej, jakby jej smukłe nogi w starciu z oporem wody zamieniły się w ciężarki. Zanurzywszy się po piersi, zerknęła za siebie; z brzegu gapił się na nią łysy mężczyzna w kąpielowym trykocie i z monoklem w oku; wypiął włochaty tors i wciągnął brzuch, z którego arogancko popatrywał pępek. Zauważywszy wzrok Rosemary, łysy napełnił kieliszek z trzymanej w ręku butelki i jednocześnie wypuścił monokl, który zatonął w komicznej gęstwinie na torsie.

Rosemary, burząc wodę drobnymi ruchami, ruszyła kraulem w stronę pływającego pomostu; twarz zanurzona, cztery tempa nóg, jedno rąk. Otuliła ją woda i czule wybawiła ze skwaru, wnikała we włosy, w zakamarki ciała. Raz po raz Rosemary obracała się, pławiała, brała toń w objęcia. Bez tchu dopłynęła do pomostu, z którego spojrzała na nią opalona kobieta o śnieżnobiałych zębach; Rosemary nagle zdała sobie sprawę z nieprzyzwoitej wręcz bieli własnego ciała, obróciła się na wznak i dała nieść wodzie ku brzegowi. Gdy wyszła, zagadnął ją owłosiony osobnik z butelką.

– Tam za pomostem, niech pani sobie wyobrazi, kręcą się re-
kiny. – Mówił po angielsku, przeciągał samogłoski z oksfordzka,
mimo to trudno było określić narodowość. – Wczoraj przy Golfe
Juan pożarły dwóch angielskich marynarzy.

– O Boże! – zawołała Rosemary.

– Podpływają po odpadki ze statków.

Łypnął oczami, co miało oznaczać, że tylko ostrzega, nic więcej;
cofnął się o dwa kroczki i znowu sobie nalał.

Przyjemnie zakłopotana, bo dzięki rozmowie wzbudziła na plaży
pewne zainteresowanie, Rosemary rozejrzała się za wolnym miej-
scem. Najwyraźniej każda rodzina zajmowała też skrawek piasku
przed parasolem; poza tym odwiedzano się, toczono pogawędkę na
prawo i lewo, więc wtargnięcie w ten klimat wspólnoty zakrawałoby
na arogancję. Nieco dalej, gdzie plażę zaścielały otoczaki i zeschnięte
wodorosty, ulokowała się grupa o ciałach równie białych jak jej.
Tych ludzi, jeszcze tu niezasiedziały, chroniły małe ręczne
parasolki zamiast parasoli plażowych. Rosemary wypatrzyła sobie
miejsce między towarzystwem brązowym a towarzystwem bladym i
rozciągnęła na piasku płaszcz kąpielowy.

I oto leżąc, wpierw ich usłyszała, wyczuła stopy, które niemal
otarły się o jej ciało, i wyczuła sylwety, które się wkradły między nią
i słońce. Szyję owionął jej ciepły, niespokojny oddech dociekliwego
psa; zapiekła skóra wystawiona na skwar, dobiegały ciche, znużone
uaa-uaaaa fal zamierających na brzegu. Teraz mogła rozróżnić
poszczególne głosy i zorientowała się, że ktoś zwany pogardliwie
„tym całym Northern” porwał kelnera z kawiarni w Cannes, żeby go
przepiłować na dwoje. Pieczę nad opowieścią sprawowała siwowłosa
kobieta w pełnym wieczorowym rynsztunku najwyraźniej
pamiętającym wczorajsze przyjęcie, na jej głowie tkwił bowiem wciąż
diadem, a wycieńczony storczyk na ramieniu dokonał już żywota. W
Rosemary wezbrała niejasna niechęć do kobiety i jej towarzystwa,
więc odwróciła się na drugi bok.

Po tej stronie najbliższej Rosemary leżała pod baldachimem z parasolek młoda kobieta zajęta robieniem notatek z otwartej książki leżącej na piasku. Zsunęła z ramion kostium kąpielowy, a pomarańczowobrazową opalenizną pleców, spieczonych, lśniących na słońcu podkreślał sznur kremowych pereł. Śliczna twarz była zarazem surowa i smutna. Zdawało się, że kobieta nie widzi Rosemary, mimo że skrzyżowały spojrzenia. Dalej leżał piękny mężczyzna w dżokejce i kąpielówkach w czerwone paski; dalej ta kobieta widziana już na pomoście, która znów się przyglądała Rosemary, a jeszcze dalej osobnik bez kapelusza, w niebieskich kąpielówkach, o smutnej twarzy i złocistej lwiej grzywie, który z wielką powagą wywodził coś młodemu człowiekowi w czarnych kąpielówkach, z pewnością południowcowi, przy czym obaj zbierali z piasku strzępy wodorostów. Rosemary uznała, że większość to Amerykanie, niemniej coś ich różniło od Amerykanów, których poznała ostatnio.

Po chwili dostrzegła, że mężczyzna w dżokejce coś odgrywa przed swą grupką, daje jakieś kameralne przedstawienie; śmiertelnie poważny krążył z grabiami, jakby usuwał żwir; rozwijał parodystyczną scenkę dla wtajemniczonych, uwagę przykuwała zaś kamienna twarz. Najdrobniejsze jej drgnienie wzbudzało wesołość, każdą kwestię kwitował wybuch śmiechu. Nawet ci, którzy jak Rosemary leżeli za daleko, żeby coś usłyszeć, skierowali czułki w tę stronę, w końcu jedyną niezawojowaną osobą została owa młoda kobieta ze sznurem pereł. Może nie dość opanowana, po każdej salwie śmiechu coraz mocniej garbiła się nad swą listą.

Nad Rosemary wyrósł znieścacka mężczyzna z monoklem i butelką.

– Wyśmienicie pani pływa – zagadnął.

Zaprzeczyła.

– Pierwsza klasa. Moje nazwisko Champion. Jest tu dama, która powiada, że widziała panią w zeszłym tygodniu w Sorrento; wie, kim pani jest, i chętnie by panią poznała.

Rosemary ukryła niechęć i rozejrzała się; czekali na nią ci nieopaleny. Wstała bez entuzjazmu i podeszła.

– Pani Abrams... Pani McKisco... Pan McKisco... Pan Dumphy...

– Wiemy, kim pani jest – zapewniła kobieta w wieczorowej sukni. – Rosemary Hoyt, rozpoznałam panią w Sorrento, zresztą w hotelu zapytałam recepcjonistę, wszyscy uważamy, że pani jest absolutnie cudowna, i chcemy wiedzieć, dlaczego nie wraca pani do Ameryki, żeby nakręcić następny przepiękny film.

Rozstąpili się, trochę ostentacyjnie. Kobieta, która rozpoznała Rosemary, wbrew swemu nazwisku nie była Żydówką. Zaliczała się do starszawych „morowych dziewczyn” które dzięki odporności na życiowe niepogody i należytemu trawieniu zdołały się zakonserwować na użytek kolejnego pokolenia.

– Chcieliśmy panią ostrzec, żeby się pani nie spiekła pierwszego dnia – ciągnęła z werwą. – Pani cera jest bardzo ważna; ale na tej plaży panuje jakieś cholerne sztywniactwo, więc nie wiedzieliśmy, czy się pani nie pogniewa.

II

Myśleliśmy, że pani należy do zmowy – powiedziała pani McKisco. Zapał tej ładnej młodej kobiety o podpuchniętych oczach mógł speszyć. – Bo my nie wiemy, kto należy, a kto nie. Okazało się, że pewien pan, wobec którego mój mąż był nadzwyczaj uprzejmy, to jedna z czołowych postaci, prawdę mówiąc, pierwszy partner bohatera.

– Zmowa? – dociekała Rosemary, nie całkiem rozumiejąc. – Co za zmowa?

– Słonko, my nic nie wiemy. – Chichot tęgiej pani Abrams przypominał konwulsje. – Nie uczestniczymy. Jesteśmy publicznością.

Pan Dumphry, zniewieściały młody człowiek o włosach koloru słomy zauważył:

– Mama Abrams sama w sobie jest zmovą. Campion pogroził mu monoklem.

– Uważaj, Royal, licz się ze słowami.

Patrząc na nich, Rosemary czuła się nieswojo; żałowała, że nie ma przy niej matki. Nie zachwycali jej ci ludzie, zwłaszcza na tle tamtych z drugiego końca plaży; tamci ją ciekawili. Matka, obdarzona talentem towarzyskim, skromna, lecz stanowcza, umiała szybko i skutecznie uwolnić je obie z uciążliwych sytuacji. Rosemary była zaś sławą zaledwie od sześciu miesięcy; francuskie wychowanie z lat dziewczęcych i nałożony na nie amerykański, demokratyczny sposób bycia niekoniecznie składały się w całość, przez co Rosemary dawała się wciągać w takie właśnie historie.

Pan McKisco, wychudzony, piegowaty i opalony na czerwono trzydziestolatek, nie uważał „zmowy” za temat zabawny. Patrzył na morze, a potem – zerknąwszy wpierw na żonę – spytał Rosemary natarczywym tonem:

– Dawno tu pani przyjechała?

– Dopiero dzisiaj.

– Och.

Przekonany, że zmienił temat, spojrział teraz na resztę towarzystwa.

– Ale zostanie pani do końca lata? – niewinnie spytała pani McKisco. – Mogłaby pani wtedy zobaczyć, czym skończy się zмова.

– Violet, na miłość boską, zostaw to! – wybuchnął mąż pani McKisco. – Poszukaj sobie, u licha, jakiejś nowej zabawki!

Pani McKisco nachyliła się ku pani Abrams i oznajmiła donośnym szeptem:

– Jest zdenerwowany.

– Nie denerwuję się – zaprotestował pan McKisco. – Otóż wcale się nie denerwuję.

Spiekł się na słońcu; twarz pana McKisco, szara i zaczerwieniona zarazem, sprawiała, że jej wyraz nie robił na nikim wrażenia, podobnie jak jego eksplikacje. Coś chyba o tym wiedział, bo podniósł się nagle i ruszył do wody, w ślad za nim żona, za nimi zaś – korzystając z okazji – Rosemary.

Pan McKisco wziął głęboki oddech, rzucił się na płyciznę i zaczął młócić Morze Śródziemne sztywnymi ramionami w złudnym przekonaniu, że płył kraulem. U kresu sił stanął na dnie i rozejrzał się, najwyraźniej zaskoczony, że nadal znajduje się przy brzegu.

– Jeszcze nie umiem oddychać. Nigdy dobrze nie zrozumiałem, jak oni to robią. – Wpatrywał się dociekliwie w Rosemary.

– Myślę, że wydech trzeba zrobić pod wodą – tłumaczyła. – A raz na cztery tempa obrócić głowę po wdech.

– Najgorzej idzie mi oddychanie. Popłyniemy do pomostu?

Na pomoście, rozkołysanym w takt falowania wody, wyciągnął się mężczyzna o lwiej grzywie. Kiedy pani McKisco sięgnęła pomostu, ten – wraz z nagłym przechyłem – mocno uderzył ją w ramię. Mężczyzna zaraz pośpieszył z pomocą i wciągnął panią McKisco na deski.

– Bałem się, że zrobi pani sobie krzywdę. – Wysławiał się powoli i nieśmiało, twarz zaś była jedną z najsmutniejszych, jakie widziała Rosemary. Miał wydatne kości policzkowe Indianina, górną wargę rozciągniętą jak w uśmiechu i ciemnozłociste, niezwykle głęboko osadzone oczy. Mówił kątem ust, jakby oczekiwał, że jego słowa dotrą do pani McKisco dyskretnie i okrężną drogą. Zaraz potem odbił się od pomostu.

Rosemary i pani McKisco patrzyły na długie ciało sunące strzałką, bez zbędnych ruchów, ku brzegowi. Straciwszy rozpęd, złożył się nagle we dwoje, szczupłe uda błysnęły nad powierzchnią, potem mężczyzna zniknął, zostawiając na wodzie tylko płatek piany.

– Świetny pływak – zauważyła Rosemary.

Pani McKisco odpowiedziała nadspodziewanie porywczo:

– Za to słaby muzyk. – Odwróciła się do męża, który po dwóch chybionych próbach wreszcie zdołał się wdrapać na pomost; złapał równowagę, potem dla zatarcia wrażenia zaczął wykonywać jakiś teatralny gest, na skutek czego znowu się zatoczył. – Właśnie powiedziałam, że Abe North może i dobrze pływa, ale słaby z niego muzyk.

– No tak – niechętnie potwierdził pan McKisco. Wydawał się stwórcą świata swej żony, w którym niewiele pozostawiał jej swobód.

– Ja stawiam na Antheila. – Pani McKisco próbowała sprovokować Rosemary. – Na Antheila i Joyce'a. Nie sądzę, żeby w Hollywood mogła się pani nasłuchać o takich ludziach, ale pierwszy w Ameryce esej o *Ulissesie* napisał mój mąż.

– Szkoda, że nie mam papierosa – chłodno odezwał się McKisco. – Dla mnie to teraz ważniejsze.

– Czy on tam utknął w głębi, Albercie?

Nagle umilkła. Do wody weszła kobieta z perłami, dołączyła do dwójki swych dzieci, Abe North zaś, który podpłynął pod jedno, wynurzył się z dzieciakiem na ramionach jak wulkaniczna wyspa. Dziecko krzyczało z radości i ze strachu, kobieta patrzyła na to bez uśmiechu, cudownie spokojna.

– Jego żona? – spytała Rosemary.

– Nie, to pani Diver. Oni nie zatrzymali się w hotelu. – Oczy pani McKisco upodobniły się do obiektywów, kiedy przewiercała wzrokiem twarz tamtej kobiety. Potem odwróciła się gwałtownie. Znów zagadnęła Rosemary: – Była już pani za granicą?

– Owszem; do szkoły chodziłam w Paryżu.

– Och! Więc pewnie pani wie, że jeśli ktoś chce się tutaj naprawdę dobrze poczuć, musi poznać jakieś prawdziwe francuskie rodziny. Co tym ludziom z tego przyjdzie? – Lewym barkiem mierzyła w brzeg. – Pętają się, klecą koteryjki. My, rzecz jasna, mieliśmy listy polecające, w Paryżu poznaliśmy najlepszych francuskich pisarzy i malarzy, wszystkich. Wtedy to się układa bardzo miło.

– Z pewnością.

– Widzi pani, mój mąż kończy swoją pierwszą powieść.

– Naprawdę? – powiedziała Rosemary. Myślała tylko o jednym, czy matka zdołała zasnąć w tym skwarze.

– Pomysł nawiązuje do *Ulissesa* – ciągnęła pani McKisco. – Ale mąż zamyka wszystko w stu latach, zamiast w dwudziestu czterech godzinach. Starego podupadłego francuskiego arystokratę zderza z epoką maszyn...

– Violet, na litość boską, nie puszczaj w obieg pomysłu – zaprotestował McKisco. – Nie chcę, żeby się przejadł, zanim wydam książkę.

Rosemary popłynęła z powrotem do brzegu; na spieczone ramiona narzuciła płaszcz kąpielowy i znów wyciągnęła się na słońcu. Mężczyzna w dżokejce krążył teraz od parasola do parasola z butelką i kieliszkami w dłoniach; i on, i jego przyjaciele, bardziej już ożywieni, zbili się w gromadkę pod wielkim pękiem parasoli. Rosemary wywnioskowała, że ktoś wyjeżdża i pożegnalnym drinkiem częstuje na plaży. Nawet dzieci wyczuły, że spod parasoli dociera coś pobudzającego, i spoglądały w tamtą stronę; Rosemary zaś uznała, że sprawcą ożywienia jest mężczyzna w dżokejce.

Morzem i niebem zawładnęło południe, nawet biała wstęga odległego o pięć mil Cannes wyzbyła się chłodnej świeżości i przeistoczyła w miraż. Za łodzią z wydętym żaglem ciągnęło się na toni ciemniejsze pasmo, jakby przyholowane z pełnego morza. Zdawało się, że ów cały nadmorski przestwór zamarł z wyjątkiem obszaru pod parasolami, gdzie w kolorowych półcieniach coś się działo, coś toczyło wśród szeptów i barw.

Koło Rosemary przechodził Champion, zatrzymał się nie dalej niż o parę stóp, a ona udała, że śpi; potem, uchylwszy powieki, dostrzegła niewyraźny zarys, nogi podobne do kolumn. Mężczyzna próbował wdrzeć się na obłok koloru piasku, lecz obłok rozwiął się w bezkresie rozpalonego nieba. Rosemary naprawdę zasnęła.

Zbudziła się oblana potem; tymczasem plaża opustoszała, jeśli nie liczyć mężczyzny w dżokejce, który właśnie składał ostatni parasol. Rosemary leżała, mrugając, mężczyzna zaś podszedł i powiedział:

– Przed odejściem chciałem panią zbudzić. Lepiej nie spiec się za pierwszym razem.

– Dziękuję panu. – Rosemary przyjrzała się purpurze na swych nogach. – O rany!

Zaśmiała się wesoło, by zachęcić do rozmowy, ale Dick Diver już niósł do samochodu namiot i plażowy parasol, więc ruszyła do wody, obmyć się z potu. Diver wrócił po grabie, łopatę i sito, schował je w zagłębieniu skały. Rozejrzał się po plaży, sprawdzając, czy wszystko zabrał.

– Która godzina? – spytała Rosemary.

– Mniej więcej wpół do drugiej.

Oboje wpatrywali się przez chwilę w morski krajobraz.

– Wcale niezła pora dnia – powiedział Dick Diver. – Bywają gorsze.

Spojrzał na Rosemary, a ona – chętnie i ufnie – pogrążyła się na chwilę w jasnoblękitnych światach jego oczu. Potem Diver zarzucił na ramię resztę manatków i ruszył do auta, Rosemary zaś wyszła z wody, otrzepała płaszcz kąpielowy i poszła do hotelu.

III

W jadalni zjawily się tuż przed druga. Ciężkie, kontrastowe wzory ze światel i cieni przesuwały się tam i z powrotem po sprzątniętych stołach w rytm kołysania się sosen za oknem. Dwaj kelnerzy układali talerze w sterty i hałaśliwie rozmawiali po włosku. Na widok kobiet zamilkli, by podać wymęczony firmowy lunch.

– Zakochałam się na plaży – powiedziała Rosemary.

– W kim?

– Wpierw w całym mnóstwie ludzi, na których aż miło było spojrzeć. A potem w takim jednym.

– Rozmawiałaś z nim?

– Właściwie to nie. Bardzo przystojny. Rudawy. – Jadła łąpczywie. – Ale żonaty. Jak zwykle.

Matka, najlepsza przyjaciółka Rosemary, wykorzystywała nawet najmniejszą okazję, żeby służyć córce pomocą i radą; zachowanie w środowisku teatralnym nierzadkie, ale u pani Elsie Speers o tyle szczególne, że nie służyło nadrabianiu własnych niepowodzeń. Życie nie pozwoliło zgorzknieć Elsie Speers, nie dało jej powodów do narzekań: pogodny stoicyzm Elsie tylko się ugruntował, zarówno po dwóch udanych małżeństwach, jak i w dwukrotnym owdowieniu. Pierwszy mąż był oficerem konnicy, drugi lekarzem wojskowym. Obaj pozostawili coś, co Elsie próbowała przekazać córce w stanie nienaruszonym. Nie rozpieszczała Rosemary, ucząc ją odporności; nie oszczędzając zaś samej siebie, rozwijała idealizm w dziewczynie jeszcze zapatrzonej w matkę, jeszcze postrzegającej świat matczynymi oczami. Zapewne dlatego Rosemary – dziecko wprawdzie otwarte, „łatwe” lecz osłaniane

podwójnie, pancierzem matki i własnym – cechowała dojrzała nieufność wobec banału, łatwizny i wszystkiego co wulgarne.

– Słowem, podoba ci się tutaj?

– Miałybyśmy frajdę, gdybyśmy poznały tych ludzi. Byli też inni, już nie tacy mili. Poznali mnie; gdzie tylko się zjawimy, wszyscy już widzieli *Pupilkę tatusia*.

Pani Speers poczekała, aż samozachwyty córki przygaśnie, potem odezwała się rzeczowym tonem:

– Coś sobie przypomniałam: kiedy masz się spotkać z Earlem Bradym?

– Pomyślałam, że może dziś po południu, jeśli już odpoczęłaś.

– Jedź, ja zostanę.

– To poczekajmy do jutra rana.

– Chcę, żebyś sama pojechała. To niedaleko, a po francusku przecież mówisz.

– Mamo, czy już nie mam nic lepszego do roboty?

– Dobrze, wybierz się później, byle przed wyjazdem.

– Zgoda.

Po lunchu obie ogarnęła ta nagła apatia, która w zagranicznych zaciszach dopada podróżujących Amerykanów. Żadnych podniet, nawoływania z zewnątrz, żadnych odprysków własnych myśli odkrywanych nagle w świadomości innych; brak mocarstwowej wrzawy przyprawiał o wrażenie, że tutaj życie ustało.

Kiedy szły do pokoi, Rosemary powiedziała:

– Zostańmy tylko trzy dni, mamo.

Bryza niosła skwar, który wdzierał się wszędzie, przeciskał między drzewami, gorące podmuchy wkradały się przez okiennice.

– A co z mężczyzną, w którym się zakochałaś na plaży?

– Mamo, kocham tylko ciebie, najdroższa.

Rosemary przystanąła w holu, żeby wypytać o pociągi. Rozparty w fotelu za kontuarem recepcjonista ubrany w jasne brzozy wpięty wpatrywał się w nią surowo, by potem przypomnieć sobie nagle o zasadach *metier*. Rosemary wsiadła do busa i z dwoma czołobitnie usposobionymi kelnerami pojechała na stację. Pełne szacunku milczenie peszyło Rosemary, gotowa była zachęcić kelnerów:

„Jazda, chłopaki, gadajcie sobie, bawcie się dobrze. Mnie to wcale nie przeszkadza”

W przedziale pierwszej klasy było duszno; więcej świeżości kryło się w barwnych obrazkach, na których linie kolejowe zachwalały Pont du Gard w Arles, amfiteatr w Orange i sporty zimowe w Chamonix, niż w rozległym, pogrążonym w bezruchu morzu za oknem. Odmiennie niż pociągi amerykańskie – bez reszty przejęte własną doniosłą misją, mijające z pogardą ludzi żyjących w innym świecie, ani szybkich, ani zdyszanych – ten pociąg stanowił tutaj część przemierzanego kraju. Tchnienie lokomotywy wzbijało kurz na palmowych liściach, spopielone iskry mieszały się w ogrodach z zeschniętym obornikiem. Rosemary miała wrażenie, że wychyliwszy się przez okno, może zrywać kwiaty.

W Cannes przed dworcem kolejowym stało kilkanaście gablot z drzemiącymi taksjarkami. Po drugiej stronie, przy promenadzie, przed słońcem lata kryły się pod żelaznymi, niewidzącymi maskami witryny eleganckich sklepów, okna kasyna i wielkich hoteli wychodzące na morze. Wprost nie do wiary, że tu w ogóle może być jakiś „sezon”. Rosemary, bądź co bądź nieobojętna na krzyki mody, poczuła się nieswojo, jakby w niezdrowy sposób wabiło ją dogorywanie; tymczasem ludzie dziwili się, co ona tu robi właśnie teraz, w porze zastoju, między radościami zimy minionej i przyszłej, podczas gdy tam, na północy huczy prawdziwe życie.

*

Wychodziła właśnie z drogerii z flakonikiem olejku kokosowego, kiedy przecięła jej drogę kobieta z naręczem poduszek na sofę; szła do samochodu zaparkowanego w głębi ulicy. Rosemary rozpoznała panią Diver. Długi, czarny pies na krótkich łapach zaszczekał na młodą kobietę, drzemiący kierowca poderwał się ze snu. Pani Diver wsiadła do wozu; miała jaskrawoczerwoną sukienkę, opalone gołe nogi, włosy gęste, ciemnozłociste jak maść chow-chow; na pięknej twarzy malowały się surowość i opanowanie, spojrzenia czujnych, śmiałych oczu nie kierowała na nic konkretnego, po prostu patrzyła przed siebie. Do odjazdu pociągu brakowało jeszcze pół godziny i Rosemary usiadła w Café des Allies przy Croisette, gdzie stoliki kryły się w zielonkawym półmroku pod drzewami, a orkiestra czarowała urojona kosmopolityczną publiczność *Pieśnią nicejskiego karnawału* i jakimś zeszlorocznym amerykańskim kawałkiem. Rosemary kupiła „Le Temps” i „The Saturday Evening Post” dla matki; popijając cytronadę, otworzyła amerykańskie pismo, by natrafić na wspomnienia rosyjskiej księżniczki; przebrzmiałe obyczaje lat dziewięćdziesiątych wydały się Rosemary bliższe i prawdziwsze niż to, co biło z nagłówków francuskiego dziennika. Ogarnęło ją to samo uczucie, które dławiło ją już w hotelu: przyzwyczajona postrzegać najbardziej jaskrawe dziwactwa kontynentu jako kreślone grubą kreską komedie lub tragedie, niewdrożona do samodzielnego wyluskiwania istoty rzeczy, zaczynała uważać życie we Francji za puste i zatechłe. Wrażenie wzmagало się pod wpływem smętnych melodii wygrywanych przez orkiestrę, a spokrewnionych z tą melancholijną muzyką, przy której występują akrobaci w rewii. Rosemary nie mogła się doczekać powrotu do hotelu.

Nazajutrz o pływaniu nie było mowy, Rosemary spaliła sobie ramiona; wynajęły więc z matką samochód – po długich targach, bo Rosemary miała pojęcie o cenach we Francji – i pojechały wzdłuż Riwiery, owej delty tyłu rzek. Kierowca Rosjanin, istny kniaź z czasów Iwana Groźnego, okazał się samozwańczym przewodnikiem i

owe ukryte pod sennym kamuflażem olśniewające nazwy – Cannes, Nicea, Monte Carlo – rozjarzyły się, zaczęły szeptać o dawnych królach, którzy zjeżdżali tu ucztować lub umierać, o radzach rzucających angielskim tancerkom klejnoty, o rosyjskich księżętach, którzy w minionych kawiorowych czasach wrywali się na całe tygodnie ze swych nadbałtyckich mroków. Bo też wyczuwało się nad tym wybrzeżem przede wszystkim zapach Rosjan, snuł się z ich pozamykanych księgarni, sklepów z różnościami. Przed dziesięcioma laty, kiedy w kwietniu skończył się sezon, zamknięto cerkiew na klucz, a ulubione przez Rosjan słodkie szampany odstawiono do piwnic, by czekały na powrót gości. „Znów przyjedziemy na przyszły sezon” – zapewniali. Na wyrost. Nie wrócili już nigdy.

Przyjemnie było wracać późnym popołudniem, wysoko nad morzem zabarwionym zagadkowo jak widziane w dzieciństwie agaty i krwawniki, zielonym jak mleczko roślinne, niebieskim jak farbka do prania, ciemnym jak wino. Przyjemnie było mijać ludzi jedzących przed domami i słuchać pełnych werwy pianoli, ukrytych za winoroślą przydrożnych knajpek. Kiedy zjeżdżali z Corniche d'Or do hotelu Gausse'a pod gęstym i mrocznym szpalerem drzew o różnorodnych odcieniach zieleni, nad ruinami akweduktów już zawisł księżyc...

Na wzgórzach za hotelem trwały gdzieś tańce; Rosemary wsłuchiwała się w muzykę zza moskitiery powleczonej księżycową widmową poświatą. Więc i tutaj bywa radośnie, pomyślała, a potem przypomniała sobie tych sympatycznych ludzi z plaży. Może spotka ich rankiem; chociaż tworzą najwyraźniej samowystarczalną grupkę, a kiedy rozstawiają parasole, rozłożą bambusowe maty, kiedy na swoje miejsce trafiają i psy, i dzieci, ta część plaży sprawia wrażenie odgradzonej. Postanowiła jednak, że w żadnym wypadku dwóch ostatnich ranków nie spędzi tu w towarzystwie tych innych.

IV

Sprawy ułożyły się same. Państwo McKisco jeszcze nie zeszli na plażę, a ledwie Rosemary rozłożyła płaszcz kąpielowy, już dwaj mężczyźni – ten w dżokejce i ów wysoki blondyn, rzekomy amator rozpiłowywania kelnerów – pozostawili towarzystwo i podeszli do niej.

– Dzień dobry – przywitał ją Dick Diver. I palnął: – Wszystko jedno, czy spiekła się pani czy nie, ale dlaczego wczoraj pani nie było? Zamartwialiśmy się.

Usiadła i radosnym śmiechem skwitowała najście.

– Zastanawialiśmy się – mówił dalej Dick Diver – czy pani zjawi się dziś rano. Zwykle przynosimy coś do jedzenia i do picia, więc nasze zaproszenie należy traktować z całą powagą.

Wydawał się uprzejmy i czarujący; ton głosu obiecywał, że po Dicku Diverze można się spodziewać opieki i że wkrótce Dick Diver mógłby przed Rosemary otworzyć nowe światy, rozwinąć bezlik wspaniałych możliwości. Podczas ceremonii przedstawiania zdołał ominąć jej nazwisko, wyraźnie dając w ten sposób do zrozumienia, że tu wszyscy wiedzą, kim jest Rosemary, lecz jej prywatność szanują i uważają za nienaruszalną; po swym sukcesie Rosemary zetknęła się z takim objawem taktu tylko w kręgu zawodowym.

Nicole Diver przerzucała książkę kucharską w poszukiwaniu przepisu na marylandzkie kurczęta; perły podkreślały brąz jej pleców. Zdaniem Rosemary miała jakieś dwadzieścia cztery lata. Wprawdzie twarz Nicole można by uznać za konwencjonalnie ładną, odnosiło się jednak wrażenie, że wpierw ją zaprojektowano w wymiarze heroicznym, nadano strukturę mocną i wyrazistą, a wszystko, co kojarzymy z temperamentem i charakterem, zatem

sugestywność czoła, brwi, karnację, uformowano na miarę Rodine'a, by potem upiększać je dłutem do granicznego momentu, po którym jedno tylko pociągnięcie może nieodwracalnie odebrać wizerunkowi siłę i klasę. Jeżeli chodzi o usta, rzeźbiarz ryzykował krańcowo, wykrojone w łuk Kupidyna nadawały się na okładkę magazynu, mimo to zachowały tę samą szlachetność co reszta dzieła.

– Na długo pani przyjechała? – spytała Nicole niskim, niemal szorstkim głosem.

I oto przez głowę Rosemary przemknęła myśl, że mogłyby z matką zostać tu jeszcze tydzień.

– Raczej nie – odpowiedziała wymijająco. – Jesteśmy za granicą już kawał czasu. W marcu zeszyliśmy ze statku na Sycylii i odtąd toczymy się powoli na północ. Podczas zdjęć w styczniu nabawiłam się zapalenia płuc i teraz dochodzę do siebie.

– Na miłość boską! W jaki sposób?

– Cóż, skutki pływania. – Rosemary niechętnie wdawała się w zwierzenia. – Któregoś dnia przyplątała mi się grypa, z czego sobie nie zdawałam sprawy, a kręciliśmy scenę, w której nurkuje w jakimś kanale w Wenecji. Na to ujęcie wydali mnóstwo pieniędzy, a ja musiałam przez cały ranek skakać do wody, raz po raz. Dzięki mamie lekarz był pod ręką, ale na nic się to nie zdało; zapalenie płuc i już. – Zamknęła temat i zmieniła na inny, zanim zdążyli się odezwać. – Jak tu się państwu podoba, w tej miejscowości?

– Im się musi podobać – Abe North mówił niespiesznie. – Sami ją wymyślili. – Obrócił powoli szlachetną głowę, a jego czułe i pełne sympatii spojrzenie spoczęło na Diverach.

– Naprawdę?

– To dopiero drugi letni sezon, w którym ten hotel jest czynny – wyjaśniła Nicole. – Namówiliśmy Gausse'a, żeby zatrzymał

kucharza, kelnera i chłopca hotelowego; firma wyszła na swoje, a w tym roku rzeczy się mają jeszcze lepiej.

– Lecz państwo mieszkacie poza hotelem.

– Budujemy tu dom, w Tarmes.

– Istnieje teoria – powiedział Dick i tak przestawił parasol, żeby z ramienia Rosemary zniknął kwadrat słonecznego światła – w myśl której do miejscowości północnych, w rodzaju Deauville, lgną Rosjanie i Anglicy, bo nie przeszkadza im zimno; tymczasem połowa nas, Amerykanów, przyjeżdża tu z obszarów o tropikalnym klimacie, dlatego zaczynamy się zjawiać tutaj.

Młody człowiek o wyglądzie południowca wertował strony „New York Herald”.

– Jakiej mianowicie narodowości są ci ludzie? – zapytał nagle i zaczął czytać z lekkim akcentem francuskim. – „W hotelu Palace w Vevey bawią obecnie pan Pandely Vlasco, pani Bonneasse” naprawdę nie przesadzam, „Corinna Medonca, pani Pasche, Seraphim Tulio, Maria Amalia Roto Mais, Moises Teubel, pani Paragoris, Apostle Alexandre, Yolanda Yosfuglu i Geneveva de Momus”! Ta mi najbardziej odpowiada: Geneveva de Momus. Chyba warto wyskoczyć do Vevey i ujrzeć Genevewę de Momus.

W nagłym przyływie zniecierpliwienia podniósł się zdecydowanym ruchem i przeciągnął. Od Divera i Northa był o parę lat młodszy. Wysoki, o ciele jędrnym, jednak nadmiernie szczupłym z wyjątkiem tryskających siłą barków i ramion. Na pierwszy rzut oka wydawał się konwencjonalnie przystojny, chociaż twarzy nie opuszczał rys niesmaku, szpecąc blask piwnych, iskrzących się oczu. W pamięci pozostawały mimo to właśnie oczy, kiedy już zatarł się obraz ust wyrażających zupełną nieodporność na nudę i obraz młodego czoła o zmarszczkach rytych przez dręczące, bezproduktywne udreki.

– W zeszłym tygodniu znaleźliśmy kilka pereł w spisie Amerykanów – powiedziała Nicole. – Pani Evelyn Oyster i kto jeszcze?

– Był i pan S. Flesh*. – Diver też się podniósł. Wziął grabie i z powagą zabrał się do oczyszczania piasku z drobnych kamyczków. – No właśnie, Flesh; ciarki przechodzą, prawda?

Rosemary pozostawiona sam na sam z Nicole ogarnął spokój, poczuła się wyciszona nawet głębiej niż z matką. Abe North i Barban, ten Francuz, rozmawiali o Maroku, tymczasem Nicole, skończywszy notować przepis, zajęła się szyciem. Rosemary przyjrzała się plażowemu wyposażeniu towarzystwa: cztery duże parasole tworzyły baldachim zapewniający cień, była też przenośna plażowa przebieralnia, nadmuchiwany gumowy koń, dla Rosemary nowości dotąd niewidziane, zapewne należące do pierwszej po wojnie fali luksusowych wyrobów i zapewne też w rękach pionierów ich nabywania. Rosemary wywnioskowała, że to światowcy i, chociaż matka wychowała ją w duchu ostrożności wobec takich ludzi, w istocie gromady trutni, Rosemary jednak nie postrzegала ich w ten sposób. Nawet ich całkowitą beczynność, wręcz doskonałą jak tego ranka, cechowała podskórnie jakaś celowość, wyczuwalna praca nad czymś, jakieś ukierunkowanie, rodzaj aktu twórczego, o jakim Rosemary nie miała jeszcze pojęcia. Na duchową dojrzałość Rosemary jeszcze musiała poczekać, teraz nie roztrząsała, jakiego rodzaju stosunki łączą tych ludzi, obchodziło ją tylko ich nastawienie wobec niej samej; mimo to odgadywała, że istnieje tu jakaś sieć sympatycznych powiązań, co Rosemary ujęłaby tak: ci ludzie najwyraźniej świetnie się tu czują.

Przyjrzała się po kolei trzem mężczyznom; przywłaszczyła ich sobie na chwilę. Wszyscy byli przystojni, każdy inaczej; po wszystkich znać było szczególną łagodność, która – jak wyczuwała Rosemary – stanowi część ich życia, przeszłości i przyszłości, nie dyktują

* *Oyster* (ang.) = ostryga, *flesh* (ang.) = mięso/ciało/miażdż (wszystkie przypisy tłumacza).

jej zaś okoliczności i w niczym nie przypomina sposobu bycia kręgów aktorskich; tutaj Rosemary wyczuła też daleko posuniętą delikatność, całkowicie odmienną od rubasznego i bezpośredniego, koleżeńskiego stylu reżyserów, którzy w jej oczach uchodzili za intelektualistów. Aktorzy i reżyserzy to byli jedyni mężczyźni, jakich znała; oni oraz owa zbieranina, tłum niemożliwych do odróżnienia chłopaków z college'u, których ostatniej jesieni poznała podczas balu pożegnającego w Yale, zainteresowanych tylko jednym: miłością od pierwszego wejrzenia.

Ci trzej byli inni. Barban mniej ugładzony, bardziej sceptyczny, bardziej skłonny do drwiny okazywał skądinąd, że przestrzega form, chociażby zdawkowo. U Northa spod przykrywki nieśmiałości wyzierało wisielcze poczucie humoru, które tyleż bawiło, ile dezorientowało Rosemary. Sądziła, że właściwa jej powaga nie wyrze większego wrażenia na Norcie.

Za to Dick Diver... ten był mężczyzną co się zowie. Zachwycała się nim w cichości ducha. Ogorzały, o krótkich włosach rozjaśnionych przez słońce, z jasnym zarostem na ramionach i rękach, miał oczy jasnoblękitne o nasyconym kolorze, nos nieco spiczasty; przy czym nigdy nie było wątpliwości, na kogo patrzy bądź do kogo się zwraca. Taka uwaga nam pochlebia, bo i kto się w nas wpatruje? Owszem, ludzie obrzucają nas ciekawskimi bądź obojętnymi spojrzeniami, i na tym koniec. W głosie Divera obok odrobiny irlandzkiego zaśpiewu pobrzmiwała też nuta czarowania świata, mimo to Rosemary wyczuwała w Diverze warstwę twardości, warstwę samokontroli i dyscypliny, czyli jej własnych cnót. Och, Rosemary wybrała Dicka, a Nicole, która uniosła głowę, zauważyła ów akt wyboru, słysząc ciche westchnienie sprowokowane myślą, że Diver do kogoś już należy.

W porze bliskiej południa zjawili się na plaży państwo McKisco, pani Abrams, pan Dumphry i signor Champion. Przynieśli nowy parasol; rozkładając go, zerkali ku Diverom, potem wczolgali się w

jego cień z minami świadczącymi o doskonałym samopoczuciu; wyjątek stanowił pan McKisco, który z nutką szyderstwa wystawił się na pastwę promieni. Minał ich Dick, zajęty grabieniem plaży, i zawrócił ku parasolom.

– Ci dwaj młodzi ludzie razem czytają *Podręcznik dobrych manier* – poinformował przyciszonym głosem.

– Chcą sobie wyostrzyć inteligencję.

Mary North, ta mocno opalona młoda kobieta, na którą Rosemary natknęła się pierwszego dnia na pływającym pomoście, wyszła z wody i z uśmiechem oraz szelmowskim błyskiem w oku powiedziała:

– Oto przybyli pan i pani Nieulekły.

– Przyjaciele tego osobnika. – Nicole wskazała Abe'a. – Dlaczego do nich nie podejdzie i nie pogada? – Potem zagadnęła Abe'a wprost: – Przecież uważasz, że to ciekawi ludzie, prawda?

– Uważam, że arcyciekawi – oświadczył Abe. – Więc nie uważam, że ciekawi. I tyle.

– No cóż, nie od dziś mam wrażenie, że tego lata trafiło na plażę za wielu ludzi – przyznała Nicole. – Na naszą plażę, na dzieło Dicka, który wygrabił stąd sterty kamieni. – Zmitygowała się; ściszyła głos tak, żeby jej nie usłyszało trio niań, które rozsiadły się pod następnym parasolem. – W końcu i tak ich wolę od tych Brytyjczyków, którzy zeszłego lata wciąż wykrzykiwali: „Ależ błękitne to morze, prawda? Ależ białe to niebo, prawda? Ależ czerwony nosek tej naszej Nelly, spiekła się maleńka, prawda?!”

Rosemary przyszło do głowy, że nie chciałyby mieć Nicole za przeciwnika.

– A nie widziała pani bójki – ciągnęła Nicole. – Dzień przed pani przyjazdem ten żonaty mężczyzna, który mógłby użyć nazwiska marce benzyny albo masła...

– McKisco?

– No właśnie... więc nagadali sobie i ona sypnęła mu piaskiem w twarz. Zatem, rzecz jasna, on na niej usiadł i szorował jej twarzą po piasku. Byliśmy... powiedziałabym, zelektryzowani. Chciałam, żeby Dick w to wkroczył.

– Chyba tam pójde – zamyślony Dick Diver wlepił wzrok w słomianą matę – i zaproszę ich na kolację.

– Nie, nie zrobisz tego – natychmiast odparła Nicole.

– A mnie się zdaje, że to bardzo dobrze wypadnie. Są tutaj, no to przystosujemy się do siebie.

– My już jesteśmy świetnie przystosowani. – Śmiała się, lecz nie ustępowała. – Nie życzę sobie, żeby ktoś moim nosem szorował po piasku. Jestem podła i niewrażliwa – powiedziała do Rosemary, potem głośno zawołała: – Dzieci, włóżcie kostiumy!

Rosemary miała wrażenie, że to zanurzenie się w morzu stanie się w jej życiu znakiem, że odtąd przy każdym napomknieniu o morskiej kąpielu w jej pamięci rozbłyśnie właśnie ten moment. Całe towarzystwo zeszło nad wodę równocześnie; po długiej bezczynności, do której sami się zmusili, byli teraz dramatycznie spragnieni przepawy z żaru w chłód, ogarnęła ich zachłanność, z jaką jedząc curry, sięgamy po wystudzone białe wino. W układzie dnia Diverów – jak w dawnych cywilizacjach – chodziło o to, żeby jak najlepiej wykorzystać tworzywo znajdujące się pod ręką, wszelkim zaś zmianom nadać pełnię wartości. Rosemary jeszcze nie wiedziała, że się zbliża następna odmiana, po upojeniu się kąpielą nadejdzie bowiem pora prowansalskiego lunchu z jej gadatliwością. Tak czy inaczej, Rosemary znów czuła, że Dick się nią opiekuje; wprawiało ją w zachwyty reagowanie na jego każdy możliwy ruch jak na rozkaz.

Nicole wręczyła mężowi dziwaczny strój, który właśnie uszyła. Dick zniknął w namiotowej przebieralni, za chwilę zaś wzbudził poruszenie, ubrany w ażurowe długie majtki z czarnej koronki.

Dopiero bliższe przyjrzenie się ujawniło, że koronki są podszyte materiałem cielistego koloru.

– Dajcie spokój, ależ to pedalska zagrywka! – wykrzyknął z pogardą pan McKisco, potem spiesznie zwrócił do pana Dumphry'ego i pana Campiona: – Och, najmocniej przepraszam.

Na widok spodenek Rosemary nie posiadała się z zachwytu. W swej naiwności całym sercem chłonęła kosztowną prostotę Diverów nieświadoma, jak złożona jest ta prostota, jak wyzbyta niewinności; nie zdawała sobie sprawy, że to wszystko to tylko wybór jakości zamiast ilości na pełnym dóbr bazarze świata; że również prostota zachowania, dobra wola i spokój godny dziecięcego kącika, że akcentowanie cnót prostszych to tylko ułamek rozpaczliwego targu dobitego z bogami, osiągniętego w wyniku zmagania, o których Rosemary nie ma pojęcia. W oczach niewtajemniczonego widza Diverowie mogli uchodzić za wzór najdalej posuniętej klasowej ewolucji; nic dziwnego, że na ich tle ludzie wypadali niezręcznie, tymczasem przeobrażenie jakościowe, jakie tu zaszło, było dla Rosemary zupełnie niewidzialne.

Stała z nimi, gdy pili sherry, zagryzając krakersami. Dick Diver wpatrywał się w nią chłodnymi, błękitnymi oczami. Z mocno zarysowanych i pełnych życzliwości ust padły słowa wypowiedziane tyleż w zamyśleniu, ile rozmyślnie:

– Od dawna nie spotkałem dziewczyny, która naprawdę przypomina coś kwitnącego.

Na matczynych kolanach Rosemary płakała nieutulona.

– Kocham go, mamó. Jestem beznadziejnie zakochana. Do głowy mi nie przyszło, że można coś takiego poczuć do kogoś. A on jest żonaty, ale ją też lubię. To po prostu beznadziejne. Och, tak go kocham!

– Chętnie go poznam.

– Zaprosił nas na kolację w piątek.

– Skoro go kochasz, to powinnaś być z tego powodu szczęśliwa. Powinnaś się śmiać.

Rosemary spojrzała na matkę, przez jej twarz przemknął delikatny, uroczy dreszczyk – i roześmiała się. Matka zawsze umiała na nią wpływać.

V

Rosemary pojechała do Monte Carlo zgnębiona – na miarę swoich możliwości – wprost bezgranicznie. Droga wspinała się na urwiste wzgórza i wiodła do La Turbie, przebudowywanych teraz starych studiów Gaumonta. Przez kratę w bramie przesłała parę słów na wizytówce, czekając zaś na odpowiedź, obserwowała coś ludzaco podobnego do Hollywoodu. Surrealistyczne pozostałości po świeżo nakręconym filmie, z maltretowaną dekoracją do sceny ulicznej w Indiach, wielki tekturowy wieloryb, monstrualne drzewo uginające się pod wiśniami wielkości piłki do koszykówki – wszystko to egzotycznie rozparcelowane nabrało cech tubylczych na równi z mimozą, dębem korkowym, karłowatą sosną i tutejszym białym szarłatem. Był też bufet w baraczkach, dwie hale zdjęciowe wielkie jak stodoły, wszędzie zaś czekały grupki, pełne nadziei w pełni charakterystycznej.

Po dziesięciu minutach mknął ku bramie młody człowiek o karnarkowych włosach.

– Proszę wejść, panno Hoyt. Pan Brady właśnie jest na planie, ale koniecznie chce się z panią spotkać. Przepraszam, że pani tu czekała, lecz sama pani wie, pewne francuskie damy nie mają sobie równych, jeżeli chodzi o wpychanie się do środka...

Kierownik planu otworzył małe drzwi w ślepej ścianie studia, a idącej za nim Rosemary nagle zrobiło się miło, gdy zanurzyła się w znajomym półmroku. Tu i ówdzie rozsiane były w tym półmroku postaci, a ołowiane twarze zwracające się ku Rosemary przypominały czyścicowe dusze wpatrzone w śmiertelnika przemierzającego czeluść. Słysząc było szepty, ściszone głosy i dobiegające z dala delikatne tremolo organów kinowych. Skręciwszy za malowanymi zastawkami, stanęli przed jarzącą się bielą planu, gdzie pod cicho

trzaskającymi reflektorami aktorzy, Amerykanka i Francuz – w koszuli z jaskraworóżowymi mankietami, kołnierzykiem i gorsem – stali naprzeciw siebie nieporuszeni, oko w oko. Zawzięcie wlepiali w siebie wzrok, jakby zastygli w tej pozycji od wielu godzin, mimo to przez dłuższy czas nic się nie działo, nikt nawet nie drgnął. Most oświetleniowy zgasł, wściekle sycząc, potem znów się rozjarzył; z dali dobiegał żaloszny odgłos młotka jak błagalne pukanie do prowadzących donikąd drzwi; między oślepiającymi światłami na górze pojawiła się sina twarz i wysłała niezrozumiały okrzyk w ciemność, do kogoś wyżej. Ciszę przerwał ktoś, kto się odezwał tuż przed Rosemary.

– Nie ściągaj pończoch, dziecino; możesz podrzeć jeszcze dwieście par. To suknia za piętnaście funtów.

Mówiący cofnął się i wpadł na Rosemary, a wtedy odezwał się kierownik planu:

– Hej, Earl... Panna Hoyt.

Spotykali się po raz pierwszy. Brady był bystry i zacięty. Zauważyła, że ujmując jej rękę, obejrzał ją sobie od stóp do głów; rozpoznała ten odruch i poczuła się jak w domu, lecz taka lustracja zawsze dawała jej poczucie przewagi nad każdym lustrującym. Jeżeli jej osoba jest majątkiem, Rosemary zdoła wykorzystać wszelkie należne temu majątkowi korzyści.

– Spodziewałem się pani lada dzień – powiedział Brady tonem może zbyt władczy jak na prywatną rozmowę, do tego z akcentem, z przymieszką bezczelności i cwaniactwa londyńskiego East Endu. – Podróż jak, udana?

– Owszem, ale cieszymy się na powrót do domu.

– No nieeee! – zaprotestował. – Niech pani jeszcze zostanie... Chcę sobie z panią pomówić. Chcę powiedzieć, że ten pani film *Pupilka tatusia* to było coś. Oglądałem w Paryżu. Natychmiast

obesłałem depeozami całe wybrzeże, żeby się wywiedzieć, czy obowiązuje panią kontrakt.

– Przykro mi, otóż obowiązuje.

– Na miłość boską, co za film!

Rosemary zmarszczyła brwi, nieskora przytakiwać z przygłupim uśmiechem.

– Nikt nie ma ochoty raz na zawsze kojarzyć się z jednym filmem.

– Jasne, racja. I co pani zamierza?

– Matka uważa, że powinnam odpocząć. A po powrocie podpiszemy pewnie kontrakt z First National albo pozostaniemy przy Famous.

– Kto to jest „my”?

– Moja matka. Decyduje o interesach. Bez niej nie dałabym sobie rady.

Znów zmierzył ją od stóp do głów, a wtedy w Rosemary coś drgnęło. Nie była to sympatia, nic podobnego do spontanicznego zachwytu, który ogarnął ją rankiem na plaży na widok tamtego mężczyzny. Raczej krótkie spięcie. On chciał ją mieć, a ona, na ile pozwalały dziewicze uczucia, spokojnie rozważała oddanie się. Wiedziała jednak, że w pół godziny po rozstaniu zapomni o nim, jak o aktorze całowanym na planie.

– Gdzie się pani zatrzymała? – spytał Brady. – A tak, u Gause'a. No nic, ja także już domknąłem plany na ten rok, ale to, co do pani napisałem, nadal obowiązuje. Od czasów małej Connie Talmadge nie ma dziewczyny, z którą tak chciałbym nakręcić film.

– Też mam na to ochotę. Dlaczego pan nie wróci do Hollywoodu?

– Do diabła z tym grajdołem. Dobrze mi tutaj. Proszę poczekać, aż skończę ujęcie, to panią wszędzie oprowadzę.

Poszedł na plan i cichym, spokojnym głosem zaczął coś tłumaczyć Francuzowi.

Minęło pięć minut, a Brady mówił dalej; tymczasem francuski aktor raz po raz przestępował z nogi na nogę i przytakiwał. Brady nagle przerwał i krzyknął w stronę światła, a one, spłoszone, zamruczały, zatrzeszczały i rozjarzyły się. Teraz Rosemary słyszała to, co w Los Angeles. Znów przemierzała spokojnie to miasteczko o ścianach z dykty; chciała do niego wrócić. Nie chciała jednak oglądać Brady'ego w nastroju, w jakim reżyser zapewne znajdzie się po skończeniu ujęcia; opuściła wytwórnę wciąż oczarowana. Teraz, odkąd wiedziała o tym studiu, śródziemnomorski świat już nie wydawał się taki głuchy. Rosemary spodobali się ludzie na ulicach; w drodze do pociągu kupiła sobie espadryle.

Matkę ucieszyło, że Rosemary zrobiła wszystko zgodnie ze wskazówkami, mimo to chciała, żeby córka zaczęła decydować o sobie. Pani Speers wyglądała świeżo, lecz była wyczerpana; łożo śmierci wyczerpuje każdego, a pani Speers czuwała już przy dwóch.

VI

Nicole Diver, w dobrym humorze po lunchu z różowym winem, zaplotła ręce na piersiach tak wysoko, że sztuczna kamelia upięta na ramieniu dotknęła jej policzka; Nicole wyszła do pięknego, niezarośniętego trawą ogrodu. Z jednej strony przylegał do domu, niejako wypływając z niego, a zarazem doń wprowadzając; po bokach graniczył z wiekowym miasteczkiem, czwartą granicą było urwisko opadające tarasami ku morzu.

Wzdłuż murów graniczących z miasteczkiem na wszystkim osiadł kurz, na winorośli, cytrynie i eukaliptusie, na jakiejś taczce niedawno tu zapomnianej, a już wrośniętej w ścieżkę; tam wszystko było niedorozwinięte, nadgniłe. Nicole niezmiennie dziwiła się, że starczy podejść w inną stronę, za klomb piwonii, żeby się znaleźć w obszarze tak zielonym i chłodnym, że liście i płatki kwiatów zwijają się pod wpływem delikatnej wilgoci.

Refleksy zawiązanej na szyi fioletowej chusty – nawet w tym dławiącym kolory blasku słonecznym – barwiły twarz Nicole, fioletowa poświata spłynęła też na sunące stopy. Wyraz twarzy Nicole był stanowczy, niemal surowy, jednak z zielonych oczu sączył się poblask łagodny, żaloszny, naznaczony zwątpieniem. Włosy niegdyś jasne, pociemniały, mimo to teraz, w wieku dwudziestu czterech lat Nicole była ładniejsza niż jako osiemnastolatka o włosach promieniających mocniej niż ona sama.

Przemierzając trasę, wyznaczaną przez niematerialne wręcz obłoczki kwiecica i białe kamienie graniczne, doszła tam, skąd widać było morze; gdzie w figowcach kryły się lampiony, a duży stół z wiklinowymi krzesłami i wielkim targowym parasolem ze Sieny zwały się wokół ogromnej sosny, największego drzewa w ogrodzie. Na chwilę przystanąła; nieuważnie patrzyła pod nogi na gąszcz

nasturcji i irysów, jakby posianych przez dłoń wyjątkowo beztroską, i wsłuchiwała się w żale i oskarżenia dziecięcej sprzeczki dobiegające z głębi domu. Sprzeczka rozplynęła się w letnim powietrzu; Nicole ruszyła dalej między bajeczne piwonie pogrupowane w różowe kłęby, między czarne i brunatne tulipany i kruche róże na fioletowo różowych łodygach przezroczyście jak cukrowe kwiaty w witrynie cukierni, aż wreszcie to scherzo barw, jakby nie mogąc dalej narastać, urywało się nagle w powietrzu, bo wilgotne stopnie prowadziły do zagłębienia, o pięć stóp niżej.

Była tam studnia z drewnianą obudową wilgotną i śliską nawet przy najwspanialszej pogodzie. Stopnie po drugiej stronie zagłębienia prowadziły do ogródka warzywnego. Nicole weszła po nich spiesźnie. Lubiła aktywność, chociaż często sprawiała wrażenie, że właśnie odpoczywa, zarazem w bezruchu i pełni napięcia. Polegało to na tym, że Nicole akceptowała niewiele słów, żadnemu zaś nie ufała; bywała milcząca w towarzystwie, swój wkład w błyskotliwą konwersację odmierzała z precyzją bliską skąpstwu. Mimo to w chwilach, w których jej powściągliwość zaczynała peszyć towarzystwo, Nicole umiała przechwycić temat, pomknąć z nim rozgorączkowana, zdumiona własnym zachowaniem, by potem go oddać, zrzec się nagle i nawet lęklonie jak posłuszny aporter, który zrobił, co należy, a nawet więcej.

Stała w zielonej rozproszonej poświacie ogrodu warzywnego, tymczasem ścieżkę przed nią przeciął Dick w drodze do swej pracowni. W milczeniu poczekała, aż zniknie, potem między rządkami wschodzącej sałaty podeszła do maleńkiego zwierzyńca, gdzie bezczelną wrzawą przywitały ją gołębie, króliki i papuga. Zeszła na jeszcze niższy taras i tam znad niskiego zakrzywionego muru spojrzała w dół; o siedemset stóp niżej rozpościerało się Morze Śródziemne.

Zamieszkała w Tarmes, starym miasteczku na wzgórzach. Willę wraz z parcelą posadowiono na dawnym rzędzie maleńkich chłop-

skich domostw wczepionych w klif: pięć takich domostw złączono w jedno, cztery wyburzono pod ogród. Zewnętrzne mury zostały nietknięte, więc z biegnącej w dole drogi trudno było wyróżnić ów dom z szarofioletowej grudy miasteczka.

Przez chwilę spoglądała z góry na Morze Śródziemne, ale widok to widok, nie jest okazją do żadnego zajęcia, nawet dla jej niestrudzonych rąk. Tymczasem ze swego domku wynurzył się Dick, niosąc teleskop, który skierował na wschód, w stronę Cannes. Za chwilę w pole widzenia wpłynęła Nicole, Dick zaś pomknął do domku – kryjącego tylko jedno pomieszczenie – by wrócić z tubą. Miał sporo takich technicznych zabawek.

– Nicole – zawołał przez tubę – zapomniałem ci powiedzieć, że zdobyłem się na gest skrajnie apostołski i zaprosiłem białowłosa panią Abrams.

– Tak podejrzewałam. To zniewaga.

Słowa Nicole z łatwością dobiegły Dicka, co umniejszyło powagę tuby. Nicole podniosła więc głos i zawołała:

– Słyszysz mnie?

– Tak. – Dick opuścił tubę, ale potem upór kazał mu podnieść ją znowu do ust. – Chcę też zaprosić jeszcze paru ludzi. Powiedzmy tych dwóch młodych.

– W porządku – odrzekła zgodliwie i łagodnie.

– Chcę urządzać naprawdę ohydne przyjęcie. Serio. Mam ochotę na przyjęcie z awanturą, uwiedzeniami, żeby damy mdlały w ubikacji, a ludzie wracali do domów dotknięci do żywego. Poczekaj, to zobaczysz.

Wrócił do domku; Nicole widziała, że ogarnął go jeden z najbardziej charakterystycznych stanów ducha, rozgorączkowanie, w które wikłał kogo popadnie, po czym nieuchronnie pogrążał się w swoistej melancholii, nigdy nieokazywanej, której Nicole wszakże się

domyślała. Jego rozdrażnienie na tle różnych spraw osiągało natężenie nieproporcjonalne do przyczyn, wyzwalając zaś w Dicku niezwykłą wirtuozerię w postępowaniu z ludźmi. Miał moc wzbudzania miłości bezkrytycznej, miłosnego zachwytu, jeśli pominąć najodporniejszych i wiecznie podejrzliwych. Kiedy dostrzegał w tym pustkę i bezsens, nadchodziła reakcja. Czasem ze zgrozą rozpamiętywał reżyserowane przez siebie uczuciowe feerie, jak generał zapatrzony w rzeź, którą nakazał dla zaspokojenia prymarnej żądzы krwi.

Było to jednak przeżycie niezwykle, zostać przyjętym chociaż na chwilę do świata Dicka Divera; ludzie wierzyli, że ich wyróżnił, przyznał szczególne miejsce, poznał się na ich wyjątkowości, na powołaniach napawających dumą, a od tylu lat pogrzebanych pod kompromisami. Poświęcaniem uwagi i nadzwyczajną uprzejmością zdobywał ludzi natychmiast; rozgrywało się to tak szybko, tak dalece w sferze intuicji, że rozpatrywać można było już tylko skutki. Bez ostrzeżenia, nie pozwalając zmarnieć rozkwitłej pierwszej więzi, otwierał wrota do swego czarownego świata. Póki przybysze pławili się w tym świecie bez reszty, ich szczęście było oczkiem w głowie Dicka, ale z pierwszą oznaką zwątpienia co do pełni i wyłączności tego świata Dick ulatniał się, rozpływał przed oczami, a z tego, co powiedział lub zrobił, niewiele konkretnego zostawało w pamięci.

O wpół do dziewiątej wyszedł na spotkanie pierwszych gości; płaszcz na ręce przypominał kapę matadora, wydawał się ceremonialnym atrybutem, zapowiedzią. Wymowne, że po powitaniu Rosemary i jej matki czekał, aż one się odezwą, jakby zapraszał, żeby wsłuchały się w brzmienie swych głosów w nowym otoczeniu.

Co do Rosemary, to wystarczy powiedzieć, że wraz z matką rozglądały się zachwycone, wciąż pod urokiem wspinania się do Tarmes i wpływem bardziej rzeńskiego powietrza. Jak osobiste walory kogoś niezwykłego mogą się uzewnętrznić przez nieprzewidzianą zmianę ich wymowy, tak starannie wykalkulowana doskonałość willi

Diana dawała znać o sobie przy okazji drobnych wpadek, jak widok służącej ni stąd, ni zowąd stojącej gdzieś w głębi czy złośliwy upór zasiedziałego w butelce korka. Pierwsi goście wnosili ze sobą wieczorne podniecenie, a jednocześnie obok nich łagodnie wygasało codzienne życie domowe, uosobione przez dzieci Diverow siedzące na tarasie z guwernantkami przy kolacji.

– Jaki piękny ogród! – wykrzyknęła pani Speers.

– Ogród Nicole – powiedział Dick. – Nie daje mu spokoju, zamęcza bez przerwy, zamartwia się jego chorobami. Teraz dzień w dzień tylko czekam, aż przyjdzie tu z jakimś mączniakiem albo parchem jabłoniowym czy inną zarazą ziemniaczaną. – Jego wskazujący palec mierzył teraz w Rosemary; gest był energiczny, natomiast słowa padły od niechcienia, jakby skrywały iście ojcowską troskę. – Muszę ocalić pani rozum; dam pani kapelusz i proszę nosić go na plaży.

Z ogrodu poprowadził je z powrotem na taras, gdzie nalał koktajle. Zjawił się Earl Brady, zaskoczony widokiem Rosemary. Tu zachowywał się subtelniej niż w studiu, jakby przeistoczył się przy wejściu; Rosemary momentalnie porównała go z Dickiem Diverem i bez wahania wybrała Dicka. Na jego tle Earl wydawał się ciosany trochę za grubo, bez tej klasy, lecz mimo to Rosemary w jego obecności znów poczuła iskrzenie.

Tonem zdradzającym zażyłość odezwał się do dzieci wstających na tarasie od kolacji:

– Jak się masz, Lanier, może zaśpiewasz? Razem z Topsy? Co?

– Ale co zaśpiewamy? – chłopiec nie oponował; akcent zdradzał, że to wychowany we Francji Amerykanin.

– Piosenkę o *Mon ami Pierrot*.

Niczym niespeszeni brat i siostra stanęli ramię w ramię, ich głosy zaś, słodkie i przenikliwe, wzbily się w wieczorne powietrze.

Au clair de la lune
Mon Ami Pierrot
Prête-moi ta plume
Pour écrire un mot
Ma chandelle est morte
Je n'ai plus de feu
Ouvre-moi ta porte
Pour l'amour de Dieu*.

Śpiew ucichł, zadowolone z sukcesu, uśmiechnięte dzieci stały spokojnie, twarze rozjarzyły się w promieniach zachodzącego słońca. Rosemary pomyślała, że willa Diana to jądro świata. Na takiej scenie wydarzy się z pewnością coś pamiętnego. Jeszcze bardziej ożywił ją dzwonek u bramy. Przybyła w komplecie reszta gości: na taras wysypali się państwo McKisco, pani Abrams, pan Dumphry i pan Champion.

Rosemary doznała dotkliwego zawodu; natychmiast spojrzała na Dicka, jakby prosząc o wyjaśnienie, skąd takie absurdalne przemieszanie. Na twarzy Dicka nie odmalowało się jednak nic szczególnego. Nowych gości witał godnie i z widocznym szacunkiem wobec ich nieograniczonych a nieznanym jeszcze możliwości. Teraz Rosemary była w niego tak zapatrzona, że obecność państwa McKisco wydała jej się naturalna, jakby Rosemary oczekiwała ich od początku.

* Anonimowa pieśń francuska z XVIII wieku, w wielu wariantach popularna do dzisiaj. „W świetle księżycy/drogi Piotrusiu/pożycz mi pióro/chcę napisać słówko./Zgasła mi świeca/nie skrzeseż ognia/otwórz mi drzwi/na miłość boską”

– Poznaliśmy się w Paryżu – powiedział McKisco do Abe'a Northa, który wraz z żoną zjawił się tuż za parą McKisco. – Właściwie to spotkaliśmy się dwukrotnie.

– Owszem, pamiętam – odrzekł Abe.

– Tylko gdzie to było? – wypytywał McKisco, nie pozwalając się splawić.

– Och, zdaje mi się... – Abe miał dosyć tej gry. – Tego sobie chyba nie przypomnę.

Dialog przypadł na chwilę ciszy. Rosemary uznała instynktownie, że ktoś powinien teraz powiedzieć coś dla załagodzenia, lecz Dick nie zamierzał się wtrącać do grupki uformowanej ze spóźnialskich; nie próbował nawet wytrącić pani McKisco z nastroju rozbawienia podszytego wyniosłością. Nie rozplątywał tych towarzyskich kwestii, bo w tym momencie, uważał, niewiele znaczą i powinny się same rozplatać. Atut nowości odkładał na potem, na czas większego wysiłku, na odpowiednio ważną chwilę, by wtedy dopiero uświadomić gościom, jak świetnie się bawią.

Rosemary stała obok Tommy'ego Barbana, nastrojonego dziwnie pogardliwie, chyba pod wpływem jakiegoś szczególnego bodźca. Nazajutrz rano wyjeżdżał.

– Jedzie pan do domu?

– Do domu? Nie mam domu. Jadę na wojnę.

– Na jaką wojnę?

– Na jaką wojnę? Pierwszą lepszą. Ostatnio nie czytałem gazet, ale przypuszczam, że musi być wojna, bo zawsze gdzieś jest.

– I nie obchodzi pana, za co pan walczy?

– Ani trochę, póki traktują mnie przyzwoicie. Kiedy dopiecze mi jednostajność, przychodzę popatrzeć sobie na Diverow, bo już wiem, że potem zachce mi się po kilku tygodniach iść na wojnę.

Rosemary zeszywniała.

– Przecież pan lubi Diverow – przypomniała.

– Jasne, zwłaszcza ją, ale tak na mnie wpływają, że zaraz chcę iść na wojnę.

Daremnie usiłowała to rozgryźć. Na nią Diverowie wpływali tak, że na zawsze chciała być przy nich.

– Pan jest na wpół Amerykaninem – powiedziała, jakby mogło w tym tkwić rozwiązanie zagadki.

– Jestem też na wpół Francuzem, do szkoły chodziłem w Anglii, a od osiemnastego roku życia nosiłem mundury ośmiu krajów. Ale chyba nie odniosła pani wrażenia, że nie lubię Diverow. Lubię; zwłaszcza Nicole.

– Jak można jej nie lubić? – odrzekła po prostu.

Poczuła obcość. Podtekst wywodów Tommyego podziałał na Rosemary odpychająco, więc przemilczała swoje uwielbienie dla Diverow, żeby się nie narazić na bluźnierczą zgryźliwość. Ucieszyła się, że przy kolacji miał siedzieć gdzie indziej; przez cały czas dźwięczały jej w uszach słowa Tommy'ego „zwłaszcza Nicole” wypowiedziane, kiedy ruszyli przez ogród do stołu. Przez moment szła ścieżką obok Dicka. Na tle jego świetnej, uderzającej inteligencji bladły wszelkie inne myśli, ustępując przekonaniu o wszechwiedzy Dicka. W ciągu tego roku, który był wiecznością, Rosemary zyskała pieniądze oraz pewien rozgłos, ponadto poznała różne znakomitości, lecz ci ostatni wydawali się tylko ogromnym zwielokrotnieniem takich samych ludzi, z którymi wdowa po lekarzu i jej córka stykały się w paryskim pensjonacie. Rosemary była osobą romantyczną, a wobec takich jak ona kariera nie szafuje obietnicami ani sposobnościami. Matka, mająca przed oczami właśnie karierę Rosemary, nie tolerowałaby żadnych złudnych namiastek, żadnych podniet z tych dostępnych na każdym kroku, zresztą Rosemary to już naprawdę nie dotyczyło; Rosemary już nie wpatrywała się w

ekran, bo sama była na ekranie. Kiedy z twarzy matki wyczytała uznanie dla Dicka Divera, oznaczało to, że Dick jest „sprawą serio”, matka zaś pozwoli Rosemary posunąć się tak daleko, jak można.

– Przyglądam się pani – odezwał się; Rosemary wiedziała, że mówi szczerze. – Bardzo panią polubiliśmy.

– A ja – powiedziała spokojnie – zakochałam się w panu od pierwszego wejrzenia.

Udał, że nie słyszy, jakby chodziło o zdawkowy komplement.

– Nowi przyjaciele – sprawiał wrażenie, że wyjaśnia coś ważnego – często czują się lepiej ze sobą niż stare bractwo.

Wraz z wygłoszeniem tej uwagi, której Rosemary zbyt dobrze nie zrozumiała, znaleźli się przy stole, wyeksponowanym przez światła coraz jaśniejsze na tle gęstniejącego mroku. Nie posiadała się z radości, widząc, że Dick sadza matkę przy sobie po prawej stronie; jej samej przypadło miejsce między Luisem Campionem a Bradym.

Przepełniona uczuciem zwróciła się do Brady'ego, chcąc się zwierzyć, ale z twardego błysku w jego oku – po pierwszej wzmiance o Dicku – szybko wywnioskowała, że Brady nie zgodzi się grać roli ojca. W zamian Rosemary okazała się równie twarda, kiedy próbował zająć ją sobą; rozmawiali więc o branży, a ściślej, Rosemary słuchała jego wywodów na ten temat, uprzejmie nie spuszczała z niego wzroku, lecz nieobecna duchem do tego stopnia, że – była przekonana – musiał to wyczuć. Raz po raz docierał do niej sens poszczególnych zdań, resztę zaś dopowiadała sobie podświadomie, jak ktoś uświadamia sobie bicie zegara w połowie sekwencji, w pamięci zaś pozostaje mu tylko rytm pierwszych, niepoliczonych uderzeń.

VII

Rosemary oderwała się na chwilę od rozmowy z Bradym i spojrzała przez stół na Nicole, która siedziała między Tommym Barbanem i Abe'em Northern, w blasku świec kłębiły się, pieniły jej włosy koloru sierści chow-chow. Nicole odzywała się z rzadka, urywanymi frazami; Rosemary nasłuchiwała urzeczona głębokim głosem.

– Biedaczysko! – wykrzyknęła Nicole. – Dlaczego chciałeś go przepiłować?

– Chciałem, rzecz jasna, zobaczyć, co taki kelner ma w środku. Nie miałabyś ochoty przekonać się, co tkwi w kelnerze?

– Pewnie stare jadłospisy – podsunęła Nicole i parsknęła śmiechem. – Trochę potłuczonych skorup porcelanowych, napiwki i ogryzki ołówków.

– Otóż to, ale rzecz trzeba udowodnić naukowo. A użycie piły koncertowej powinno wyeliminować czynnik ohydy.

– Podczas wykonywania tej operacji zamierzałeś grać na pile? – wypytywał Tom.

– Nie zaszliśmy tak daleko. Przestraszyliśmy się wrzasków. Baliśmy się, że może coś mu tam pękło.

– Mnie się to wszystko wydaje przedziwne – powiedziała Nicole. – Muzyk, który użyje piły innego muzyka do tego, żeby...

Wystarczyło, że spędzili przy stole pół godziny, a już rzucała się w oczy wyraźna zmiana; dosłownie wszyscy czegoś się wyzbyli, czy to trosk, obaw czy podejrzeń; po przywdzianiu swego najlepszego „ja” byli teraz tylko gośćmi Diverow. Niedostatek wzajemnego zainteresowania czy przyjaznych nastawień mógł się odbić na samych Diverach, więc każdy się starał, a widząc to, Rosemary wszystkich

już polubiła, z wyjątkiem McKisco, który zdołał pozostać kimś niedostrojonym do towarzystwa. Mniej wynikało to ze złej woli, raczej z konsekwentnego podtrzymywania winem tego dobrego humoru, w którym przekraczał próg. McKisco rozparty na krześle – między Earlem Bradym, którego częstował zjadliwymi uwagami na temat kina, a panią Abrams, do której się nie odzywał – wpatrywał się w Dicka Divera z wyrazem druzgocącej ironii na twarzy, przy czym z tej malowniczej pozy raz po raz rezygnował, próbując wciągnąć Dicka w rozmowę przez stół, a ściślej po przekątnej.

- Przyjaźnisz się z Vanem Burenem Denbym? – mówił.
- Chyba go w ogóle nie znam.
- Myślałem, że się przyjaźnicie – upierał się rozdrażniony.

Kiedy upadł wątek pana Denby'ego, McKisco poddawał próbie inne, równie niedorzeczne tematy, jednak za każdym razem Dick uprzejmym i pełnym szacunku zachowaniem wyraźnie go paraliżował i przerwana rozmowa po krótkiej, głuchej pauzie toczyła się dalej bez McKisco. Próbował wtrącać się do innych dialogów, ale przypominało to uparte ściskanie rękawiczki, z której ktoś wcześniej już wysunął dłoń; w końcu zrezygnowany, jakby zmuszono go do przestawiania z dzieciarnią, skupił się już tylko na szampanie.

Co pewien czas Rosemary obiegała wzrokiem stół, wypatrując z przejęciem oznak radości, jakby ci ludzie mieli zostać jej pasierbami. Przyjemne światło, sączące się z wazonu z wonnymi goździkami, padało na twarz pani Abrams, zarumienioną pod wpływem Veuve Cliquot, promieniejącą werwą, tolerancją i młodzieńczą życzliwością. Obok siedział pan Royal Dumphry; w przepojonym radościami wieczorowym świetle jego dziewczęca uroda już nie budziła takiego niepokoju. Dalej – Violet McKisco, której urok tak się uzewnętrznił, że zaprzestała dojmujących wewnętrznych zmagania nakazujących tkwić w cieniu, w roli żony niewzeszłej gwiazdy.

Dalej siedział Dick, rozluźniony rozluźnieniem swych gości, bez reszty pochłonięty przyjęciem.

Dalej matka, niezmiennie doskonała.

Dalej Barban zagadujący matkę z wielkowiejską swadą, za co Rosemary znowu go polubiła. Dalej Nicole. Rosemary nagle spojrzała na nią inaczej i zobaczyła jedną z najpiękniejszych napotkanych istot. Jej twarz – świętej, madonny ze szkła – przesłaniana opadającymi w blasku świec drobinkami lśniła, zabarwiona światłem lampionów koloru wina, którymi przybrano sosnę. Była samym spokojem, ciszą.

Abe North wykladał jej swoje zasady.

– Oczywiście, że je mam – zapewniał. – Nie da się żyć bez kodeksu moralnego. Mój zasadza się na tym, że się sprzeciwiam paleniu czarownic. Ilekroć palą gdzieś czarownicę, diabli mnie biorą.

Rosemary dowiedziała się od Brady'ego, że Abe jest muzykiem, który po błyskotliwym i przedwczesnym debiucie nic nie skomponował od siedmiu lat.

Dalej był Champion, któremu jakoś udawało się przygasić najbardziej jaskrawe rysy zniewieściałości i nawet podzielić się z sąsiadami przy stole czymś w rodzaju bezinteresownej, iście macierzyńskiej aury. Dalej Mary North z twarzą tak rozweseloną, że musiało się odwzajemnić uśmiech, wprost w śnieżnobiałe lusterka jej zębów; rozchylone wargi tworzyły teraz śliczne kółeczko, czystą rozkosz.

Wreszcie Brady; z każdą chwilą jego otwartość nabierała walorów towarzyskich, natomiast zniknęły gdzieś bezceremonialne twierdzenia i obstawanie przy nich jako owocach trzeźwego sądu i odgrodzenia od cudzych słabości.

Rosemary – w swych nadziejach naiwna jak dziecko z jakiejś przewrotnej rozprawki pani Burnett – miała wrażenie, że znów jest w

domu, wraca z jakiejś nieprzyzwoitej poniewierki po pograniczach. Światliki krążyły w mroku, gdzieś w dali, na niższym tarasie klifu ujadał pies. Zdawało się, że stół uniósł się ku niebu jak mechanicznie podwyższane podium taneczne, dając zgromadzonym wokół niego ludziom poczucie, że są sami w mroku kosmosu, karmieni jego jedyną strawą, grzejący się przy jego jedynych światłach. I oto, jakby stłumiony, dziwnie brzmiący śmiech pani McKisco sygnalizował, że osiągnięto już takie oderwanie od świata. Diverowie dali nagle pokaz ciepła, blasku, wylewności, jakby chcąc wynagrodzić biesiadnikom – których jakże subtelnie przekonano o ważności gospodarzy, którym już pochlebiono uprzejmościami – to wszystko z pozostawionego w dali kraju, za czym wciąż można tęsknić. Zdawało się przez chwilę, że Diverowie po prostu mówią do wszystkich razem i każdego z osobna, zapewniając gości o swej sympatii i życzliwości. I w tymże momencie zwróciły się ku nim twarze, jak biednych dzieci zapatrzonych w wigilijną choinkę. A potem to się nagle skończyło – zanim ktokolwiek zdążył kpiarsko westchnąć, zanim choćby w połowie uświadomiono sobie, że trwa – minęła chwila, w której goście tak śmiało wzbili się ponad zwykłą wesołość stołu w tę wysublimowaną atmosferę czułości. Przeniknęła ich jednak rozproszona wszędzie magia słodkiego, gorącego Południa; magia skradającej się na miękkich łapach nocy, magia łagodnie szumiącego w dole widmowego Morza Śródziemnego wniknęła w Diverow, by stać się ich częścią. Rosemary przyglądała się, jak Nicole wciska jej matce żółtą wieczorową torebkę, którą matka się zachwycała, mówiąc:

– Myślę, że rzeczy powinny należeć do ludzi, którym się podobają – wrzucała do torebki wszystko, co wpadło jej w rękę, a było w żółtym kolorze, ołówek, szminkę, notesik – wtedy wszystko do siebie pasuje.

Nicole zniknęła, a Rosemary zauważyła, że teraz nie ma też Dicka; goście rozeszli się po ogrodzie bądź pociągnęli na taras.

– Chce pani pójść do łazienki? – Violet McKisco zagadnęła Rosemary.

Przecież nie w tej chwili.

– Bo ja chcę do łazienki – nalegała pani McKisco; wraz ze swym sekretem ruszyła w stronę domu, w roli osoby niczego nieowijającej w bawełnę. Rosemary z niesmakiem odprowadzała ją wzrokiem. Earl Brady zaproponował spacer do muru nad urwiskiem, lecz Rosemary czuła, że teraz nadszedł jej czas, by chociaż po części zająć sobą Dicka, kiedy znowu się zjawi; zwlekała więc i przysłuchiwała się sprzeczce McKisco z Barbanem.

– Dlaczego chce pan walczyć z Sowietami? – pytał McKisco. – Z największym eksperymentem, na jaki zdobyła się ludzkość? Albo z Rifienami? Mam wrażenie, że bardziej bohaterska bywa walka po właściwej stronie.

– A skąd się dowiedział, która jest właściwa? – spytał opryskliwie Barban.

– Jakże! To zwykle wie każdy inteligentny człowiek.

– Jest pan komunistą?

– Jestem socjalistą – powiedział McKisco. – Sympatyzuję z Rosją.

– A ja, cóż, jestem żołnierzem. – Barban był teraz uprzejmy. – Zajmuję się zabijaniem ludzi. Walczę przeciw Rifenom, bo jestem Europejczykiem. Walczę przeciw komunistom, bo chcą zabrać moją własność.

– Trudno o wymówki bardziej uproszczone... – McKisco rozejrzał się w poszukiwaniu partnera do drwin, ale bez powodzenia. Nie miał pojęcia, z czym ma się zmierzyć u Barbana, czy będzie to prostacki bagaż ideowy, czy wielostronne wykształcenie. McKisco wiedział, czym są idee, a w miarę intelektualnego rozwoju potrafił rozpoznawać i szufladkować coraz większą ich liczbę; lecz teraz,

stojąc oko w oko z kimś uważanym przez siebie za „głaba” komu nie umiał przypisać żadnej rozpoznawalnej idei, nadto nie czuł nad nim przewagi osobowości, McKisco przylgnął do przekonania, że Barban to schyłkowy produkt przestarzałego świata i jako taki stanowi zjawisko bezwartościowe. Z kontaktu z wyższymi warstwami Ameryki McKisco najlepiej zapamiętał ich wyzbyty pewności siebie, niezgrabny snobizm, rozmyślną nieuprzejmość i napawanie się niewiedzą – cechy w całości zaczerpnięte od Anglików, wszakże z pominięciem okoliczności, które czyniły angielskie filisterstwo i arogancję czymś celowym; największą karierę zrobiła ta postawa około roku 1900 jako „maniera harwardzka” a posługiwano się nią w kraju, w którym odrobiną wiedzy i ogłady można zyskać więcej niż gdziekolwiek. Podpity McKisco uznał Barbana za kogoś takiego, przy czym zapomniał o swym nabożnym lęku przed ludźmi pokroju Barbana – i w rezultacie wpakował się w kabałę.

Jakoś się wstydząc za McKisco – na pozór spokojna, w istocie rozplómoniona – Rosemary czekała na powrót Dicka Divera. Z krzesła przy opustoszałym stole, przy którym przetrwali tylko Barban, McKisco i Abe, wpatrywała się w ścieżkę obrosłą cienistym mirtem i paprociami i w kamienny taras, czując przyływ miłości na widok profilu matki na tle podświetlonych drzwi. Miała już wstać, kiedy z domu wypadła pani McKisco.

Rozsadzało ją podniecenie. W głuchej ciszy sięgnęła po krzesło i siadła, a po jarzących się oczach, po poruszających się nieznacznie ustach wszyscy poznali, że dźwiga brzemień nowiny, więc kiedy już skierowano na nią wszystkie spojrzenia, pytanie jej męża zabrzmiało naturalnie:

– Co się takiego stało, Vi?

– Kochani! – powiedziała do wszystkich, by potem zwrócić się wprost do Rosemary – Nic, moja droga. Naprawdę nic nie mogę powiedzieć.

– Jest pani wśród przyjaciół – zapewnił Abe.

– No więc, na piętrze natknęłam się na scenę, moi drodzy... Przerwała, kręcąc głową i potęgując napięcie, akurat w porę, ponieważ Tommy wstał i odezwał się do niej tyleż grzecznie, ile ostro:

– Nie jest wskazane komentowanie tego, co dzieje się w tym domu.

VIII

Sapiąc głośno i ciężko, Violet z wysiłkiem przybrała inny wyraz twarzy.

Zjawił się wreszcie Dick i kierowany nieomylnym instynktem rozdzielił Barbana i McKisco; nagle stał się bezmiernym, za to dociekliwym ignorantem w dziedzinie literatury, w ten sposób zapewniając chwilę poczucia wyższości panu McKisco, której ten tak bardzo potrzebował. Pozostali pomogli Dickowi przenosić lampiony; bo kogo nie cieszy takie noszenie lampionów w ciemności? Pomagała też Rosemary, zarazem zaspokajając cierpliwie nienasyconą ciekawość Roya Dumphry'ego co do Hollywoodu.

Teraz – myślała – zasłużyłam sobie na chwilę sam na sam z nim. Musi o tym wiedzieć, przestrzega bowiem reguł, których uczyła mnie matka.

Nie pomyliła się; wkrótce Dick wyciągnął ją z towarzystwa na tarasie, a kiedy byli już razem sami, poprowadził w stronę muru nad urwiskiem i morzem po nierównych występach, z trudem mogących uchodzić za stopnie, po których Rosemary bądź sama sfruwała, bądź dawała się prowadzić Dickowi.

Patrzyli sponad muru na Morze Śródziemne. W dole ostatni stateczek wycieczkowy z Isles des Lerins sunął przez zatokę jak balonik przemierzający powietrze w święto 4 Lipca. Miętko rozdzielał ciemną toń między czarnymi wyspami.

– Rozumiem, dlaczego tak mówisz o swojej matce – odezwał się.
– Mam wrażenie, że podchodzi do ciebie w bardzo piękny sposób. Jej rodzaj mądrości to rzadkość w Ameryce.

– Matka jest nadzwyczajna. – Zabrzmiało to jak zaklęcie.

– Rozmawiałem z nią o moim planie; powiedziała mi, że to od ciebie zależy, jak długo zostanieie obie we Francji.

Zależy od ciebie; mało brakowało, a Rosemary powiedziałyby to na głos.

– Więc skoro tutaj jest już po wszystkim...

– Po wszystkim?

– No tak, po wszystkim, ta część lata już się kończy. W zeszłym tygodniu wyjechała siostra Nicole, jutro wyjeżdża Tommy Barban, w poniedziałek ruszają Abe i Mary North. Może czeka nas jeszcze tego lata jakaś niezła zabawa, ale z tą tutaj już koniec. I chcę, żeby zmarła śmiercią nagłą, zamiast sentymentalnie gasnąć; dlatego wydałem to przyjęcie. Wróćmy jednak do rzeczy, bo wraz z Nicole jedziemy do Paryża wyprawić Abe'a Northa do Ameryki; może wybierzesz się z nami?

– Co powiedziała matka?

– Chyba uważa to za dobry pomysł. Ona jednak nie ma zamiaru się ruszać. Woli, żebyś pojechała sama.

– Nie widziałam Paryża, od kiedy dorosłam – powiedziała Rosemary. – Oglądać go z tobą? To by było coś wspaniałego.

– Miło mi, że tak mówisz. – Czy to się tylko przywidziało Rosemary, czy też w głosie Dicka zgrzytnął metal? – Przecież byliśmy tobą zachwyceni od chwili, w której zeszłaś na plażę. Ta werwa, żywotność; wszyscy byliśmy przekonani, że to związane z zawodem, zwłaszcza Nicole. Starczyłoby ich dla więcej niż jednej osoby, a może i grupy.

Instynkt Rosemary wręcz krzyczał, że oto Dick powoli ją odsuwa w stronę Nicole, zatem sięgnęła po własne hamulce i odezwała się równie powściągliwie:

– Ja też chciałabym wszystko o was wiedzieć, zwłaszcza o tobie. Powiedziałam ci, że zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia.

Miała rację, stawiając sprawę w ten sposób. Lecz przestrzeń między niebem a ziemią ostudziła mu głowę, unicestwiła impuls, który kazał zaprowadzić tu Rosemary, ostrzegła przed prośbą zbyt otwartą oraz zmaganiem się z nieprzećwiczoną sceną i nieprzy-swojonymi kwestiami.

Starał się teraz sprawić, żeby zechciała wrócić do domu, było to jednak trudne, on zaś nie zamierzał całkiem jej stracić. Rosemary czuła tylko powiew chłodu, kiedy Dick przekomarzał się z nią dobrodusznie.

– Sama nie wiesz, czego chcesz. Idź i zapytaj matkę, o co ci chodzi.

To ją zraniło. Dotknęła go, gładki materiał ciemnego płaszcza przypominał pod palcami ornat. Miała wrażenie, że zaraz uklęknie; w tej sytuacji wystrzeliła ostatni nabój.

– Myślę, że jesteś najpiękniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam, z wyjątkiem mojej matki.

– Masz romantyczne oczy...

Śmiech Dicka zapędził ich na taras, gdzie Dick oddał Rosemary pod opiekę Nicole...

Zbyt szybko nadeszła pora pożegnań, Diverowie pomogli wszystkim szybko się rozejść. Do wielkiej isotty Diverow trafili Tommy Barban z bagażem – nocował w hotelu, żeby zdążyć na wczesny pociąg – wraz z panią Abrams, obojgiem McKisco oraz Championem. Earl Brady w drodze do Monte Carlo miał podrzucić na miejsce Rosemary z matką, miał też z nimi pojechać Royal Dumphry, bo w samochodzie Diverow już nie było miejsca. W głębi ogrodu światło lampionów wciąż padało na stół, przy którym jedli, Diverowie zaś stali razem przy bramie: promieniejąca Nicole, napełniająca noc swym czarem, i Dick, żegnający wszystkich po imieniu. Rosemary boleśnie odczuła odjazd i zostawienie tych

dwojga razem, w ich domu. Znow zaczęła się zastanawiać, co też takiego zobaczyła w łazience pani McKisco.

IX

Noc czarna i przejrzysta zwieszała się spod blednącej gwiazdy jak z kosza. Gęste powietrze tłumilo odgłos klaksonu auta jadącego przodem. Szofer Brady'ego prowadził powoli; tylne światła tamtego wozu wpięrow rozblyskiwały raz po raz na zakrętach, potem już nie. Jednak po dziesięciu minutach znów je zobaczyli, bo samochód stał na poboczu. Szofer Brady'ego zaczął hamować, lecz tamto auto powoli ruszyło, więc wyprzedzili je. Zobaczyli za sobą szczerzącego w uśmiechu zęby kierowcę Diverow, a do cichej limuzyny dobiegły zmieszane głosy z isotty. Jechali szybko dalej, przez ławice mroku napływające to z tej, to z tamtej strony, przez rzednącą noc, na koniec godnymi kolejki diabelskiej stromymi serpentynami w dół, pod masyw hotelu Gausse'a.

Przez trzy godziny Rosemary drzemała, potem leżała z otwartymi oczami, zawieszona w księżycowej poświacie. W miłosnej pomroce spieszenie wybiegła w przyszłość i gruntownie rozpatrzyła możliwe sytuacje prowadzące do pocałunku, przy czym sam pocałunek jawił się równie mgliście jak filmowy. Przewróciła się z boku na bok – pierwsza w życiu oznaka bezsenności – i próbowała myśleć o sprawie, jak by myślała matka. W tej mierze przenikliwość Rosemary sięgała często dalej niż doświadczenie, nie bez pomocy urywków starych rozmów, zasłyszanych jednym uchem, które jednak zapadły w pamięć.

Rosemary została wychowana w duchu pracy. Na kształcenie córki pani Speers poświęciła skromne resztówki po obu mężczyznach, którzy ją odumarli, kiedy zaś w wieku szesnastu lat Rosemary rozkwitła, kiedy przyozdobiły ją te nadzwyczajne włosy, pośpieszyła z nią do Aix-les-Bains i niezapowiedziana wparadowała z córką do mieszkania amerykańskiego producenta, który w Aix-les-

Bains wracał do zdrowia. Kiedy producent pojechał do Nowego Jorku, one też pojechały. Tak oto Rosemary zdała egzaminy wstępne. Skoro w ślad za nimi nadszedł sukces i towarzyszące mu widoki na względną stabilizację, pani Speers mogła tej nocy bezgłośnie podsunąć taką podpowiedź:

– Zostałaś wychowana z myślą raczej o pracy niż małżeństwie. Teraz natrafiłaś na pierwszy twardy orzech, dodajmy, nie byle jaki, no to gryź śmiało, nie cofaj się, a cokolwiek się zdarzy, zapisz na koncie doświadczeń. Zrań siebie lub jego; cokolwiek będzie, nie zdoła cię zniszczyć, bo finansowo jesteś chłopcem, a nie dziewczyną.

Pomijając roztrząsania na temat nieograniczonej doskonałości matki, Rosemary nigdy nie zameęczała się zbyt myśleniem, więc takie ostateczne przerwanie pępowiny nie pozwalało jej zasnąć. Przez wysokie drzwi balkonowe sączyła się poświata z nieba, na pozór świtało; Rosemary wstała i wyszła na taras, pod bosymi stopami poczuła jego ciepło. W powietrzu niosły się tajemnicze odgłosy, uparty ptak złośliwie tryumfował, wieść o tym regularnie słał z drzew nad kortem tenisowym; ktoś szedł kolistym pojazdem za hotelem, odgłos kroków wpieryw mówił o bitej drodze, potem o zwirowanej ścieżce, betonowych stopniach, a potem cały cykl się odwrócił; ów ktoś odchodził. Wysoko w dali za atramentowym morzem, na wzgórzu wyglądającym teraz jak głęboki cień mieszkali Diverowie. Pomyślała o obojgu, wciąż słyszała jak cichutko śpiewają, a ich pieśń wzbija się jak strużka dymu: hymn z czasów zamierzchłych, zza siedmiu rzek i gór. Ich dzieci śpią, bramę zamknięto na noc.

Weszła do sypialni, włożyła lekki szlafrok, espadryle i znowu wyszła balkonowymi drzwiami, potem przez taras okalający budynek ruszyła pod główne wejście, przyśpieszyła zaś, zobaczywszy, że inne tchnące snem pokoje też wychodzą na taras. Na widok postaci siedzącej na szerokich białych schodach prowadzących do

eleganckiego frontowego wejścia przystanąła; po chwili zorientowała się, że to Luis Campion, który płacze.

Trząśł się jak łkająca kobieta, płakał gorzko i cicho. Nastrój sceny z roli granej w zeszłym roku owładnął Rosemary; podeszła do Campiona i dotknęła jego ramienia. Cicho zaskomlał; potem ją rozpoznał.

– Co się dzieje? – Spojrzenie Rosemary było spokojne, życzliwe, nie przyglądała mu się z ukosa, zżerana ciekawością. – Mogę jakoś pomóc?

– Nikt mi nie może pomóc. Wiem tyle. Tylko siebie mogę obwiniać. Wciąż to samo.

– Ale co? Nie powie mi pan?

Przyjrzał jej się.

– Nie – powiedział w końcu. – Kiedy będzie pani starsza, przekona się pani, że ludzie, którzy kochają, cierpią. Cierpią męki. Lepiej być młodym i nieczułym, niż kochać. Mnie się to zdarzało już wcześniej, ale nigdy w ten sposób, tak przypadkowo, kiedy myślałem, że wszystko jest jak najlepiej.

W świetle już nie tak skąpym twarz Campiona wyglądała odstręczająco. Rosemary najmniejszym drgnieniem, najdrobniejszą wibracją mięśnia nie zdradziła nagłej odrazy. Mimo to Campion był dostatecznie wrażliwy, zdał sobie sprawę z jej odczuć i nagle zmienił temat.

– Gdzieś tu się kręci Abe North.

– Jakim cudem? Przecież nocuje u Diverów!

– No tak, ale wciąż jest na nogach. Nie wie pani, co się stało? Okiennica pokoju położonego o dwa piętra nad nimi otworzyła się nagle i jakiś głos ofuknął ich z przeciągłym angielskim akcentem:

- Mo-oże paj-jstwo u-uaskawie przesta-ana o-ozma-awiać!

Rosemary i Luis Campion pokornie zeszli po schodach i ruszyli ku ławce przy ścieżce na plażę.

- Więc pani nie ma pojęcia, co zaszło? Niesamowita historia, moje dziecko... - Wstępowało w niego ciepło, kiedy uczepił się teraz sensacyjnej nowiny. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby sprawy się potoczyły tak nagle... Zawsze unikałem gwałtowników... Wyprowadzają mnie z równowagi do tego stopnia, że czasem na całe dni muszę się położyć do łóżka.

Spojrzał tryumfalnie na Rosemary. Nie miała pojęcia, o czym mowa.

- Moja droga! - wybuchnął, demonstrując teraz pewność siebie; dotknąwszy jej uda, jednocześnie nachylił się ku niej całym ciałem, by okazać, że to nie jakiś nieodpowiedzialny wybryk błędzącej dłoni. - Zanoszą się na pojedynki.

- Co takiego?

- Na pojedynki na... tego na razie nie wiemy.

- A kto się będzie pojedynkował?

- Wy tłumaczę od początku. - Wziął głęboki oddech, a potem zaczął opowiadać w taki sposób, jakby sprawa obciążała Rosemary, chociaż on sam nie ma nic wspólnego ze stawianiem zarzutów. - Pani, rzecz jasna, jechała tym drugim samochodem. No tak, pani miała szczęście... Mnie to skróciło życie co najmniej o dwa lata, tak nagle do tego doszło.

- Do czego doszło? - wypytywała.

- Nie wiem, co kogo ugryzło. Wpierw ona zaczęła mówić...

- Ona, czyli kto?

– Violet McKisco. – Ściszył głos, jakby pod ławką ktoś się chował. – Ale proszę nie mieszać w to Diverow; on zagroził każdemu, kto o tym wspomni.

– Kto zagroził?

– Tommy Barban, więc proszę w ogóle nie mówić; ja nawet o nich nie pisałem. Zresztą nikt z nas nawet się nie dowiedział, co Violet zamierza powiedzieć, bo on jej wciąż przerywał, potem wmieszał się w to jej mąż, a teraz, moja droga, mamy pojedynek. Dziś rano, o piątej, za godzinę. – Westchnął, wracając myślą do własnych nieszczęść. – Niemal chcę, żeby się odbył. Równie dobrze można mnie zabić teraz, kiedy nie mam po co żyć. – Przerwał; teraz kiwał się ogarnięty smutkiem.

Znów się rozwarła metalowa okiennica i rozległ ten sam głos o brytyjskim akcencie:

– To za-a-az się mu-ui skończyć, ja niee ża-aa-tuu-j ę.

W tej samej chwili z hotelu wyszedł Abe North. Dostrzegł ich na tle nieba bielejącego nad morzem. Sprawiał wrażenie roztargnionego. Nie zdążył się odezwać, bo Rosemary ostrzegawczo pokręciła głową; ruszyli razem ku następnej ławce w głębi ścieżki. Rosemary zauważyła, że Abe ma trochę w czubie.

– Co ty tu robisz? – spytał.

– Właśnie wstałam. – Stłumiła wybuch śmiechu na myśl o głosie z drugiego piętra.

– Znękana przez słowika – podsunął Abe, a potem powtórzył – po prostu znękana przez słowika. Czy ta ciotunia z kółka krawieckiego wyśpiewała ci, co się stało?

– Wiem tylko tyle, ile słyszałem na własne uszy – odezwał się z godnością Champion.

Wstał i szybko odszedł; Abe przysiadł się do Rosemary.

– Dlaczego tak paskudnie go potraktowałaś?

– Paskudnie? – spytał zdumiony. – Kręci się przez cały ranek i wszędzie łąka.

– Może mu smutno.

– Może.

– A co z tym pojedyńkiem? Kto się ma pojedyńkować? Miałam wrażenie, że w tamtym samochodzie dzieje się coś dziwnego. To prawda?

– Prawda, chociaż czysta błazenada.

X

Awantura wybuchła, kiedy wóz Earla Brady'ego wyprzedzał stojącą na poboczu isotte-fraschini Diverow – sprawozdanie Abe'a wplatało się beznamiętnie w tę gęsto tkaną wydarzeniami noc – Violet McKisco opowiadała pani Abrams o jakimś swoim odkryciu... U Diverow weszła na górę i natrafiła na coś wstrząsającego. A kiedy chodzi o Diverow, w Tommym budzi się pies łańcuchowy. Nie ma dwóch zdań, ona potrafi uskrzydlić, jest nadzwyczajna... tylko że to działa w obie strony i wielu przyjaciół nawet sobie nie uświadamia, jak ważne jest dla nich, żeby Diverowie byli razem, tym kim są. Rzecz jasna, tu się nie obywa bez pewnych poświęceń... oni czasem sprawiają wrażenie czarujących postaci z baletu, wybitnych na miarę baletu, ale to nie tak, kryje się za tym coś więcej... musiałybyś poznać całą historię. W każdym razie Tommy to jeden z tych mężczyzn, których Dick przekazał Nicole, a kiedy pani McKisco nie mogła się oderwać od swej opowieści, Tommy ujął się za Diverami. Powiedział:

- Proszę zostawić w spokoju panią Diver.
- Nie mówiłam do pana – zaprotestowała McKisco.
- Lepiej zmieńmy temat.
- Bo tacy z nich święci?
- Proszę przestać. Porozmawiajmy o czym innym.

Tommy i Champion siedzieli obok siebie na strapontenach. A Champion wszystko mi opowiedział.

- Ho, ho, ależ pan się tu rządzi – palnęła Violet.

Wiadomo, jak wyglądają rozmowy w samochodzie późną nocą, jedni coś mruczą pod nosem, innym, wypompowanym po przyjęciu,

wszystko jedno, nudzą się albo przysypiają. W sumie nikt dobrze nie wiedział, co się dzieje, do chwili, w której auto się zatrzymało, a Barban rozdarł się jak na oddział kawalerii, aż wszystkich zamurowało.

– Albo zechcecie zaraz wysiąść, macie stąd do hotelu tylko milę i możecie się przejść, albo wywołkę was z wozu. Niech się pan zamknie i zamknie buzię swojej żonie!

– To bandytyzm – odpalił McKisco. – Owszem, pan ma mocniejsze mięśnie. Ale ja się pana nie boję... Przydałoby się, żeby mieli tu jakiś kodeks honorowy...

Tutaj popełnił błąd, bo Tommy, było nie było Francuz, trzasnął go po głowie, a szofer ruszył. Wyprzedzaliście ten wóz właśnie wtedy. A później już kobiety pokazały, co potrafią. I w takim stanie rzeczy samochód zajechał pod hotel. Tommy dzwonił do kogoś w Cannes, prosząc, żeby został sekundantem, z kolei McKisco oświadczył, że nie chce na sekundanta Campiona, który się zresztą do tego nie palił, więc zadzwonił do mnie, prosząc tylko, żebym zaraz przyszedł. Violet McKisco zasłabła, więc pani Abrams zabrała ją do swego pokoju i podała brom, dzięki czemu Violet padła na jej łóżko i w najlepsze zasnęła. Kiedy się tu zjawiłem, próbowałem dyskutować z Tommym, lecz on się godził tylko na przeprosiny McKisco, ten zaś wcale ostro zaparł się, że nie.

Abe skończył. Zadumana Rosemary spytała:

– Czy Diverowie o tym wiedzą?

– Nie, i nie powinni się nigdy dowiedzieć, że coś z tym mają wspólnego. Ten cholerny Campion powinien pilnować swego nosa i trzymać przed tobą głowę na kłódce, ale skoro się już wygadał... W każdym razie uprzedziłem szofera, że jeśli cokolwiek piśnie, sięgnę po moją piłę koncertową. Będzie starcie dwóch mężczyzn, a Tommy'emu akurat się zachciewa wojenki.

– Mam nadzieję, że Diverowie na nic nie wpadną.

Abe zerknął na zegarek.

– Skoczę na górę, zobaczę, co robi McKisco... Chce pani pójść?... On ma wrażenie, że brak mu tu przyjaciół... Założę się, że nie zmrużył oka.

Rosemary wyobraziła sobie pełne rozpaczy czuwanie tego znerwicowanego, niepozbitanego człowieka. Po chwili wahania się między litością a odrazą zgodziła się i pełna porannej energii pomknęła po schodach u boku Abe'a.

McKisco siedział na łóżku; wyparowała z niego alkoholowa wojowniczość, chociaż nie wypuścił z dłoni kieliszka. Wyglądał żalobnie, markotny i blady. Najwyraźniej spędził noc na picciu szampana i pisaniu. Spojrzał zmieszany na Abe'a i Rosemary, po czym spytał:

– Już czas?

– Nie, jeszcze pół godziny.

Stół ginał pod papierami, z których McKisco z niejakim trudem klecił długi list; na ostatnich stronach pismo ogromniało i stawało się nieczytelne. W blednącym już świetle żarówek nabazgrał u dołu nazwisko, wpakował wszystko do koperty i wręczył Abe'owi.

– Dasz mojej żonie.

– Lepiej włóż głowę pod zimną wodę – podsunął Abe.

– Że niby mam być w formie? – McKisco nie był przekonany. – Nie chcę przesadzać z trzeźwością.

– Na razie wyglądasz okropnie.

McKisco posłusznie ruszył do łazienki.

– Zostawiam wszystko w strasznym nieładzie – wykrzyknął. – Nie wiem, jak Violet wróci do Ameryki. Nie mam żadnego ubezpieczenia. Nigdy się koło tego nie zakrzętnąłem.

– Nie gadaj głupstw, za godzinę będziesz tu jadł śniadanie.

– Jasne, wiem. – Wrócił z mokrymi włosami i spojrzał na Rosemary, jakby zobaczył ją pierwszy raz w życiu. Nagle łzy stanęły mu w oczach. – Nie skończyłem powieści. I to mnie właśnie tak boli. A pani mnie nie lubi – poskarżył się – lecz na to nie ma rady. Jestem przede wszystkim człowiekiem pióra. – Wydał z siebie jakiś nieokreślony odgłos wyrażający zniechęcenie i bezradnie pokręcił głową. – Popełniłem w życiu sporo błędów, całe mnóstwo. Ale byłem jednym z najwybitniejszych... pod pewnymi względami...

Nie dokończył i zaciągnął się zgasłym niedopałkiem.

– Ależ ja pana naprawdę lubię – powiedziała Rosemary – lecz moim zdaniem nie powinien się pan pojedynkować.

– Jasne, trzeba mu było przyłożyć, przynajmniej spróbować, ale teraz się nie odstanie. Dałem się wciągnąć w coś takiego, chociaż nie miałem prawa. Mam szalenie gwałtowny charakter... – Wpatrywał się w Abe'a, jakby czekał na zaprzeczenie. Potem zaśmiał się trwożliwie i znów podniósł do ust ten sam niedopałek. Dyszał coraz szybciej. – W tym problem, że to ja go wyzwałem. Gdyby Violet trzymała język za zębami, mógłbym jeszcze wszystko odkręcić. Oczywiście, mogę po prostu wyjechać, nawet teraz, albo usiąść i całą sprawę wyśmiać, pewnie... Tylko że wtedy Violet chyba na zawsze straci do mnie szacunek.

– Nic podobnego – powiedziała Rosemary. – Będzie pana szanowała bardziej.

– Wcale nie... bo pani jej nie zna. Kiedy zdobywa przewagę, staje się bezwzględna. Od dwunastu lat jesteśmy małżeństwem, nasza córka miała siedem lat, kiedy umarła, a potem, wie pani, jak to jest. Trochę zabawialiśmy się na boku, nic poważnego, ale odsuwaliśmy się od siebie. Tej nocy nazwała mnie tchórzem.

Zakłopotana Rosemary milczała.

– Cóż, dopilnujemy, żebyście narobili jak najmniej szkody – powiedział Abe. Otworzył skórzaną kasetę. – To pistolety pojedynkowe Barbana. Pożyczyłem je, żebyś się z nimi oswoił. Nosi je ze sobą w walizce. – Ważył w dłoni archaiczną broń.

Z ust zaniepokojonej Rosemary wyrwał się okrzyk, McKisco trwożnie spojrział na pistolety.

– Więc jak, chyba nie będziemy tak po prostu stać i grzać do siebie z czterdziestekpiątek? – powiedział.

Odpowiedź Abe'a zabrzmiała okrutnie:

– Nie wiem. Podobno wzdłuż długiej lufy łatwiej celować.

– A jak będzie z dystansem? – spytał McKisco.

– Już wypytałem. Jeżeli któraś ze stron ma zostać ostatecznie wyeliminowana, strony się godzą na osiem kroków. Jeżeli przeciwnicy są rzeczywiście rozsierzzeni, dwadzieścia kroków. A jeżeli chodzi tylko o obronę honoru, wyznacza się czterdzieści kroków. Ustaliliśmy z sekundantem Barbana, że to będzie czterdzieści kroków.

– To dobrze.

– Jest taki cudowny pojedynek w pewnej powieści Puszkina. – Abe zanurzył się we wspomnieniach. – Stają na skraju przepaści, raz jeden, raz drugi; wystarczy byle postrzał i po krzyku*.

McKisco, któremu dygresja wydała się abstrakcyjna i akademicka, spojrział zdumiony na Abe'a.

– Co takiego? – spytał.

– Może ma pan ochotę dać nura do wody? Żeby się odświeżyć?

* W istocie chodzi o scenę pojedynku Grusznickiego z Pieczorinem z *Bohatera naszych czasów* Lermontowa.

– Nie, nie... Teraz nie mógłbym pływać – westchnął. – Nie mam pojęcia, o co tu chodzi – powiedział bezradnie. – I po co się w to wdaję.

Chodziło o pierwszy w jego życiu czyn. W istocie był jednym z tych ludzi, dla których rzeczywisty, dostępny zmysłowo świat nie istnieje, a teraz, kiedy stał oko w oko z twardym faktem, ogarnęło go bezbrzeżne zdumienie.

– Właściwie możemy już iść – powiedział Abe, widząc, że McKisco trochę podupada na duchu.

– W porządku – odrzekł McKisco, pociągnął solidnie brandy i wsunął flaszkę do kieszeni. Nagle zaryczał w nim lew. – A co będzie, jeśli go zabiję? Zamkną mnie?

– Przeszmugluję pana przez włoską granicę.

McKisco spojrział na Rosemary i tonem przeprosin zwrócił się do Abe'a:

– Jest jeszcze pewna sprawa, którą chciałbym wyłuszczyć tylko panu, zanim zaczniemy.

– Mam nadzieję, że żadnemu z was nic się nie stanie – powiedziała Rosemary. – Wszystko to uważam za głupotę; powinniście skończyć tę zabawę.

XI

Znalazła Campiona na dole, w opustoszałym holu.

– Widziałem, jak pani idzie na górę – powiedział podniecony. – Jak on się czuje? Nic mu nie jest? Kiedy będzie ten pojedynek?

– Nie wiem. – Oburzało ją mówienie o zajściu jak o cyrku z McKisco w roli klauna tragicznego.

– Wybierze się pani ze mną? – Namawiał takim tonem, jakby w kieszeni miał bilety. – Wynająłem hotelowy samochód.

– Nie mam ochoty jechać.

– Dlaczego? Mam wrażenie, że to mi skróci życie o całe lata, jednak za nic na świecie nie mogę się wyrzec. Możemy popatrzeć z daleka.

– Dlaczego pan nie zabierze pana Dumphry'ego?

Monokl wypadł mu z oka, ale tym razem zabrakło owłosienia, w którym mogłaby utonąć soczewka; Campion się wyprężył.

– Już nigdy nie chcę go widzieć.

– Cóż, obawiam się, że nie mogę. To by się nie spodobało mamie.

Kiedy Rosemary wchodziła do pokoju, zaspana pani Speers poruszyła się i zawołała przez drzwi:

– Gdzie byłaś?

– Nie mogłam zasnąć. Już dobrze, mamo, śpij.

– Chodź do mnie. – Słyszac, że matka siada na łóżku, Rosemary weszła do jej pokoju i opowiedziała, co zaszło.

– Dlaczego nie pójdziesz tego zobaczyć? – zachęciła pani Speers. – Nie musisz stać blisko, a może potem zdołasz w czymś pomóc.

Rosemary nie paliła się do tej roli widza, natomiast u pani Speers, nie całkiem wybudzonej, brały górę nawyki żony lekarza, obytej z nocnymi wezwaniami do nieszczęść i umierających.

– Lubię, kiedy obracasz się między ludźmi beze mnie i coś robisz z własnej inicjatywy. Stać cię było na trudniejsze rzeczy, kiedy Rainy się uparł na jakiś chwyt reklamowy.

Rosemary wciąż nie rozumiała, dlaczego powinna iść, lecz usłuchała tego czystego, wolnego od zwątpień głosu, który kiedyś kazał jej, jeszcze dwunastolatce, wkroczyć do paryskiego teatru Odéon wejściem dla artystów i pogratulował, kiedy wyszła tymi samymi drzwiami.

Ze schodów zobaczyła tył samochodu uwożącego Abe'a i McKisco; pomyślała więc, że się jej upiekło, lecz zaraz zza rogu wyjechał samochód hotelowy. Piszcząc z zachwytu, Luis Campion wciągnął ją do środka.

– Schowałem się, żeby nie zabronili nam jechać za sobą. Zabrałem kamerę, proszę zobaczyć.

Zaśmiała się bezradnie. Nawet nie był okropny, po prostu odczłowieczony.

– Ciekawe, dlaczego Diverowie nie spodobali się pani McKisco? – spytała. – Byli dla niej tacy mili.

– Ach, nie o to chodzi. Rzecz w tym, co zobaczyła. Przez Barbana nigdy dokładnie się nie dowiemy.

– Więc pan był taki smutny z innego powodu?

– Właśnie – głos mu się załamywał – po naszym powrocie do hotelu zdarzyło się co innego. Ale już przestało mnie obchodzić. Całkowicie umywam ręce.

Wzdłuż wybrzeża jechali na wschód za tamtym wozem; minęli Juan-les-Pins, gdzie wyrósł szkielet nowego kasyna. Było po czwartej; po lazurowym morzu pod szarobłękitną kopułą nieba sunęły, poskrzypując, pierwsze łodzie rybackie. Potem zjechali w głąb lądu.

– Pole golfowe! – krzyknął Campion. – To na pewno tam.

Miał rację. Kiedy zatrzymał się samochód Abe'a, niebo na wschodzie wróżyło skwarny dzień, zabarwione czerwienią i miodem. Campion poleciał szoferowi zjechać do sosnowego zagajnika, a potem wraz z Rosemary, ukryci w cieniu drzew, okrążyli spalony na słońcu golfowy *fairway*, po którym tam i z powrotem chodzili Abe i McKisco, przy czym ten ostatni raz po raz unosił głowę jak węszący królik. Potem w głębi przy następnym *tee* pojawiły się jakieś postaci; podglądający rozpoznali Barbana z francuskim sekundantem, przy czym ten ostatni niósł pod pachą kasetę z pistoletami.

Cokolwiek przerażony McKisco wślizgnął się za Abe'a i za jego plecami solidnie pociągnął brandy. Krztusząc się, pomaszerował wprost na przeciwników i pewnie zderzyłby się z nimi, gdyby nie Abe, który zatrzymał go i sam ruszył ku Francuzowi, żeby się rozmówić. Tymczasem wzeszło słońce.

Campion ścisnął ramię Rosemary.

– Nie mogę już wytrzymać – pisnął niemal bezgłośnie. – Tego już za wiele. To mi skróci...

– Puszczaj. – Głos Rosemary brzmiał stanowczo. Szeptąła żarliwie jakąś francuską modlitwę.

Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie, Barban z podwiniętym rękawem. W rozbieganych, naznaczonych bezsennością oczach odbijało się słońce, ale kiedy wycierał dłoń o szew spodni, ruchy zdradzały rozważę. McKisco, beztroski pod wpływem brandy, ściągnął wargi, by zagwizdać, nonszalancko kręcił długim nosem na wszystkie strony, aż wreszcie Abe postąpił naprzód z chustką w

dłoni. Sekundujący Francuz odwrócił twarz. Ogarnięta nieznośnym żalem Rosemary wstrzymała oddech i z nienawiści do Barbana zagryzła zęby. A potem:

– Raz... dwa... trzy! – odliczał Abe w napięciu.

Strzelili jednocześnie. McKisco zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Obaj chybili.

– No to i koniec. Wystarczy! – krzyknął Abe.

Przeciwnicy zbliżyli się do siebie, wszyscy zaś dociekliwie wpatrywali się w Barbana.

– Oświadczam, że to mnie nie satysfakcjonuje.

– Co takiego? Nie ma dwóch zdań, otrzymałeś satysfakcję – zniecierpliwił się Abe. – Po prostu nie zauważyłeś tego.

– Twój klient odmawia kolejnego strzału?

– Jakbyś zgadł, Tommy. Uparłeś się, cholera jasna, a mój klient to wytrzymał.

Tommy zaśmiał się pogardliwie.

– Kabaretowy dystans – powiedział. – Ja się nie nadaję do farsy, a twój klient musi pamiętać, że to nie Ameryka.

– Nie wiem, po co się czepiać Ameryki – ostro odparował Abe. Potem dodał bardziej pojednawczym tonem: – Starczy tego dobrego, Tommy.

Jeszcze przez chwilę żywo pertraktowali, potem Barban skinął głową i zimno uklonił się byłemu przeciwnikowi.

– Nie podacie sobie rąk? – zachęcał francuski lekarz.

– Już byli sobie przedstawieni – zapewnił Abe.

Obrócił się do McKisco.

– No chodź. Nic tu po nas.

Kiedy odeszli kawałek, McKisco w euforii złapał go za ramię.

– Zaczekaj! – powiedział Abe. – Tommy chce, żebyś oddał pistolet. Może znów mu się przyda.

McKisco podał broń Abe'owi.

– A niech go diabli porwą – wygarnął. – Powiedz mu, że może sobie...

– Czy mam powiedzieć, że chcesz się dalej strzelać?

– A co, dałem radę! – Kiedy już odchodzili, krzyknął McKisco. – Całkiem nieźle mi poszło, no nie? Nie miałem cykora.

– Byłeś zalany. – Abe nie owijał w bawełnę.

– Nic podobnego. Nie byłem.

– No to nie byłeś, nie ma sprawy.

– Co za różnica, gdybym wypił jednego czy ileś tam. – Wezbrała w nim pewność siebie i popatrzył na Abe'a z urazą. – Co za różnica? – powtórzył.

– Szkoda czasu roztrząsać, skoro nie widzisz różnicy.

– Nie wiesz, że na wojnie wszyscy byli ciągle zalani?

– Już dobrze, dajmy spokój.

Lecz zajście jeszcze się nie skończyło. Z tyłu spieszenie kroczył po wrzosach doktor.

– *Pardon, messieurs* – zagadnął zziębnięty. – *Voulez-vous régler mes honoraires? Naturellement c'est pour soins médicaux seulement M. Barban n'a qu'un billet de mille et ne peut pas les régler et l'autre a laissé son porte-monnaie chez lui**.

* Przepraszam, panowie. Zechciecie zapewne uregulować moje honorarium? Rzecz jasna, chodzi tylko o zapewnienie opieki medycznej. Jednakże pan Barban ma tylko banknot tysiącfrankowy i nie może zapłacić, a ten drugi pan zostawił swój portfel u pana Barbana (fr.)

– Bądź spokojny, o tym Francuz nigdy nie zapomni – powiedział Abe, a potem zwrócił się do doktora: – *Combien?*

– Pozwól, że ja zapłacę – powiedział McKisco.

– Nie, zostaw to mnie. Wszyscy byliśmy w niebezpieczeństwie.

Abe zapłacił lekarzowi, tymczasem McKisco pognał w krzaki i zwymiotował. Potem jeszcze bledszy dumnie pomaszerował z Abe'em do samochodu w różowym świetle ranka.

Jedyną ofiarą pojedynku okazał się Campion; leżał na wznak w zaroślach, z trudem łapiąc powietrze, a Rosemary w nagłym napa-
dzie histerycznego śmiechu kopła go raz po raz nogą obutą w
espadryl. Kopła uparcie, aż wreszcie wstał; teraz ważne było dla
niej tylko to, że za kilka godzin zobaczy na plaży osobę, którą wciąż
w myśli nazywała „Diverami”

XII

Czekali na Nicole we „Voisins” w sześcioro: Rosemary, Northowie, Dick Diver i dwaj młodzi francuscy muzycy. Obserwowali, czy przy pozostałych stolikach ktoś naprawdę rozkoszuje się chwilą wypoczynku. Dick utrzymywał, że żaden Amerykanin – z wyjątkiem jego samego – nie umie usiedzieć w spokoju. Wypatrywano więc przykładu, który twierdzenie obali. Szanse wyglądały marnie; każdy z obserwowanych mężczyzn w ciągu dziesięciu minut przynajmniej raz uniósł rękę do twarzy.

– Nie powinniśmy byli rezygnować z pomadowania wąsów – powiedział Abe. – Niemniej nie tylko Dick umie usiedzieć w spokoju; nie jest jedyny...

– Właśnie, że jestem.

– ...ale może jedyny, który wypoczynkiem rozkoszuje się na trzeźwo.

Wszedł dobrze ubrany Amerykanin w towarzystwie dwóch kobiet, które wszczęły zamęt wokół stolika, to podfruwały, to przysiadaly, nikim się nie przejmując. Przybysz nagle uświadomił sobie, że inni patrzą, i spazmatycznie poderwał rękę, żeby poprawić wymaginowaną fałdę krawata. W innej grupce, która jeszcze się nie umościła, mężczyzna nieprzerwanie klepał się po wygolonym policzku, jego towarzysz zaś machinalnie podnosił i opuszczał wystygły niedopalek cygara. Szczęściarze popukiwali palcem w monokl albo przeczesywali ręką zarost; ci bez rekwizytów bębnił pięścią po nagich ustach, a nawet gorączkowo tarmosili płatki uszu.

Wszedł ktoś znany, generał, więc Abe, licząc na efekt pierwszego roku na West Point – kiedy kadetowi nie wolno zrezygno-

wać, i który to rok na zawsze zostaje we krwi – postawił na generała pięć dolarów.

Ręce generała czekającego na wskazanie miejsca zwieszały się naturalnie wzdłuż ciała. Lecz oto nagle odskoczyły wstecz, jakby generał szykował się do skoku. Dick szepnął „ach” sądząc, że generał już nie panuje nad sobą, ten jednak wziął się w garść i oto obaj odetchnęli... męki mieli już niemal za sobą, jeszcze tylko pikolak odsuwa krzesło...

Tknięty nagłą wściekłością tryumfator poderwał rękę i podrapał się w siwą, nieskazitelnie uczesaną głowę.

– A widzisz. – Dick, zwycięzca zakładu był zadowolony z siebie.
– Więc tylko ja.

Tego Rosemary była pewna, Dick zaś, widząc, że nigdy nie miał lepszych słuchaczy, uczynił z nich grupę tak promienną i zespoloną, że Rosemary poczuła wręcz zniecierpliwienie i lekceważenie na myśl o wszystkich, którzy nie znaleźli się przy ich stole. Od dwóch dni byli w Paryżu, w istocie jednak wciąż siedzieli pod plażowym parasolem. Ilekroć otoczenie olśniewało Rosemary, jak na wczorajszym balu Korpusu Paziów – dotąd była tylko na przyjęciu Mayfair w Hollywood – Dick sprowadzał sytuację do właściwych proporcji. Witał tylko nielicznych, na swój sposób selekcyjując – Diverowie mieli szerokie znajomości, ale spotkania zawsze tak wyglądały, jakby ktoś nie widział ich od wieków i całkowicie osłupiały pytał: „Ależ jak to, gdzie się podziewaliście?” – potem zaś konsolidował na nowo swe kółko, odprawiając intruzów delikatnie, lecz nieuchronnie jakimś ironicznym *coup de grâce*. Rosemary udzieliło się wrażenie, że w jakiejś zawstydzającej przeszłości poznała tych ludzi, kontaktowała się z nimi, by potem odsunąć się od nich, odtrącić.

Ich towarzystwo w przeważającej mierze składało się z Amerykanów, czasami wręcz wyzbytých cech amerykańskich. Sprawily to długie lata kompromisów i oto Dick zwracał tym ludziom ich samych.

W mroki restauracji przesycone dymem i zapachami surowych przekąsek z bufetu wsunął się jak zabłąkany strzep nieba chabrowy kostium Nicole. Czytając w oczach towarzystwa podziw dla swej urody, Nicole podziękowała promiennym, wyrażającym wdzięczność uśmiechem. Wszyscy byli przez chwilę bardzo mili, uprzejmi i „ę-a”. Potem zaczęło ich to męczyć, wdali się w żarty i uszczypliwości, wreszcie zajęli robieniem mnóstwa planów. Śmiali się z rzeczy, których za chwilę już nie pamiętali, w ogóle dużo się śmiali, a mężczyźni wypili trzy butelki wina. Trio kobiet przy stole mogło uchodzić za próbkę ogromnych przeobrażeń Ameryki. Jednym dziadkiem Nicole był finansista, który o własnych siłach wspiał się z nizin, a drugim hrabia Lippe Weissenfeld. Mary North była córką czeladnika tapeciarza, ale innym jej przodkiem był prezydent Tyler. Ze średniej warstwy klasy średniej wywodziła się Rosemary, którą matka wywindowała na nieogarnione wyżyny Hollywoodu. Rys wspólny tych kobiet, różniący je od tylu Amerykanek, polegał na tym, że funkcjonowały szczęśliwie w świecie mężczyzn; zachowywały swą indywidualność przez mężczyzn, nie zaś wbrew nim. Mogły zostać – każda – czy to dobrą kurtyzaną czy dobrą żoną nie na skutek przypadku, jakim jest urodzenie, lecz na skutek przypadku nierównie ważniejszego: natrafienia na właściwego mężczyznę lub nie.

Lunch wydał się Rosemary przemiły, tym bardziej że w gronie tylko siedmiu osób, bodaj najlepszym, jeśli impreza ma się udać. Może też fakt, że była w ich świecie kimś nowym, podziałał na nich jak inhibitor tłumiący wszelkie dawne wzajemne uprzedzenia. Wstawali już od stołu, kiedy kelner zaprowadził Rosemary na zaplecze, ciemne jak we wszystkich francuskich restauracjach, gdzie w marnym świetle pomarańczowej żarówki wyszukała w książce numer Franco-American Films i zadzwoniła. Oczywiście, kopię *Pupilki tatusia* mają, chociaż nie w tej chwili, ale w ciągu tygodnia przygotowują dla niej dodatkową, na rue des Saintes Anges 341, proszę pytać o pana Crowdera.

Kabina telefoniczna wychodziła na szatnię; wieszając słuchawkę, Rosemary usłyszała dobiegające zza rzędu płaszczy przyciszone głosy dwojga ludzi, stojących niespełna pięć stóp dalej.

– ...Więc kochasz mnie?

– Och, i to jak!

To była Nicole; Rosemary wahała się, czy wyjść z kabiny, a wtedy usłyszała Dicka.

– Strasznie cię pragnę; chodźmy do hotelu, od razu.

Nicole westchnęła, cicho i chrapliwie. Przez chwilę w ogóle do niej nie docierało znaczenie słów, docierał natomiast ton. Jego tajemniczość i głębia udzieliły się Rosemary, sprawiły, że drżała.

– Pragnę cię.

– O czwartej będę w hotelu.

Stała bez tchu, aż głosy się oddaliły. Z początku była wręcz zdumiona; ich związek wydawał jej się wolny od gwałtownych pragnień, ba, chłodny. A teraz przepłynęła przez Rosemary potężna fala uczuć niezgłębionych i trudnych do nazwania. Nie wiedziała, czy to, co usłyszała, pociąga ją czy odpycha, po prostu czuła się do głębi poruszona, wróciwszy na salę bardzo samotna, chociaż wzruszona podsłuchaniem tych dwojga; w uszach wciąż jej dźwięczało pełne wdzięczności, żarliwe „och i to jak!” Nicole. Niezwykła tonacja dialogu udzieliła się, barwiła wszystko; Rosemary nie miała nic wspólnego z epizodem, czuła jednak instynktownie, że wszystko jest tu na swoim miejscu, nie doskwierała jej odraza poznana podczas grania niektórych scen miłosnych w filmie.

Owszem, Rosemary nie miała nic wspólnego z epizodem, a jednak w nim uczestniczyła; wyszły z Nicole na zakupy, lecz to ją, a nie Nicole głębiej drażyła myśl o nadchodzącym spotkaniu. Rosemary patrzyła teraz na Nicole inaczej, taksowała jej powab. Nigdy nie spotkała kobiety bardziej pociągającej, to pewne; wliczając w to jej

surowość, przywiązanie, lojalność, a także pewną zagadkowość, którą – myśląc kategoriami matki, zatem kategoriami klasy średniej – Rosemary przypisywała stosunkowi Nicole do pieniędzy. Rosemary wydawała pieniądze, które sama zarobiła; znalazła się oto w Europie dzięki temu, że w styczniu z gorączką wahającą się od 37,8° wczesnie rano do 39,9°, sześciokrotnie skoczyła do basenu, zanim wkroczyła matka i powiedziała „dość”.

Z pomocą Nicole Rosemary kupiła za własne pieniądze dwie sukienki, dwa kapelusze i cztery pary butów; natomiast Nicole przyniosła listę długą na dwie kartki, a do listy dodała to i owo z wystawy. Wszystko, co jej się spodobało, a czego nie potrzebowała, kupowała na prezenty dla przyjaciół. Kupiła kolorowe paciorki, składane plażowe materace, sztuczne kwiaty, miód, rozkładane łóżko, torebki, szale, papużki nierozłączki, figurki do domku lalek i trzy jardy jakiejś nowej tkaniny krewetkowego koloru. Kupiła tuzin kostiumów kąpielowych, nadmuchiwanego krokodyla, podróżne szachy z inkrustowanej złotem kości słoniowej, duże lniane chusty dla Abe'a, wreszcie dwie giemzowe kurtki od Hermesa, w kolorach zimorodkowego błękitu i płonącego krzewu. Nie było w tym śladu podobieństwa do zakupów luksusowej kurtyzany, która szuka biżuterii i bielizny, swego – jakkolwiek by było – zabezpieczenia i ekwipunku. Tu się wyrażała perspektywa z gruntu odmienna. Na stworzenie Nicole złożył się ogrom inwencji i trudu. To dla Nicole z Chicago ruszały pociągi i w drodze do Kalifornii przemierzały wydatny brzuch kontynentu, to dla niej dymiły kominy wytwórni gumy do żucia, to dla niej w fabrykach przybywało dzień w dzień pasów napędowych; to dla niej ludzie mieszały w kadziach pastę do zębów i czerpali z beczek płyn do płukania ust; dla niej zagonione dziewczęta w sierpniu puszkowały pomidory, a w Wigilię Bożego Narodzenia uwijały się do upadłego w sklepach „five-and-ten”; to dla niej Metysi harowali na brazylijskich plantacjach kawy, to dla niej odzierano marzycieli z praw patentowych do nowych traktorów; a była to tylko część ludzi płacących daninę Nicole. Cały ten system

zdażał chwiejnie i z łoskotem ku tym wielkim zakupom Nicole i użyczał im gorączkowego rumieńca, jak ten na twarzy strażaka, który mierzy się ze ścianą ognia. Niosąc w sobie własną zagładę, Nicole ucieleśniała bardzo proste zasady, ale ucieleśniała je tak doskonale, że aż z wdziękiem, który Rosemary próbowała teraz naśladować.

Dochodziła czwarta. Nicole stała w sklepie z papużką na ramieniu i przeżywała rzadki u niej przyływ rozmowności.

– No tak, a co by było, gdybyś tego dnia nie skoczyła do wody... Czasem się zastanawiam nad takimi historiami. Tuż przed wojną znaleźliśmy się w Berlinie, miałam wtedy trzynaście lat, to było tuż przed śmiercią mamy. Moja siostra wybierała się na dworski bal, w jej karnecie zapisali się trzej książęta krwi, wszystko pod okiem szambelana i w ogóle. Na pół godziny przed wyjazdem dostała wysokiej gorączki i poczuła w boku boleści. Lekarz powiedział, że to wyrostek i trzeba operować. Lecz matka już wszystko zaplanowała, więc Baby poszła na bal i tańczyła do drugiej w nocy z workiem lodu przytroczonym pod balową suknią. O siódmej rano już leżała na stole operacyjnym.

Więc dobrze być kimś twardym; wśród tych miłych ludzi nikt sobie nie pobraża. Lecz była już czwarta i Rosemary nie przestawała myśleć o Dicku, który czeka w hotelu na Nicole. Ona musi tam iść, nie można pozwolić, żeby czekał. Rosemary wciąż powtarzała w myśli „dlaczego nie idziesz?” a potem nagle „skoro ty nie chcesz, to może ja?” Nicole wstąpiła zaś do jeszcze jednego sklepu, żeby kupić im obu bukietki na ramię, posłała też bukietek Mary North. Dopiero wówczas chyba przypomniała sobie i nagle przeniesiona myślami gdzie indziej pomachała na taksówkę.

– Do widzenia – powiedziała Nicole. – Ale miałyśmy zabawę, prawda?

– Pierwszorzędną – powiedziała Rosemary. Co przyszło jej z większym trudem, niż sądziła; na widok odjeżdżającej Nicole burzyło się w niej wszystko.

XIII

W biegnącym zygzakiem okopie Dick minął narożnik i wędrował dalej po deskach ułożonych na dnie. Doszedł do peryskopu, popatrzył przez niego, wszedł na stopień i wyrzwał nad przedpiersie. Pod wyblakłym niebem leżało w dole Beaumont Hamel, po lewej wznosiło się tragiczne wzgórze Thiepval. Wpatrywał się w nie przez lornetkę, z gardłem ściśniętym z żalu.

Znów powędrował, a za następnym narożnikiem spotkał czekającą na niego resztę towarzystwa. Był do głębi poruszony i chciał im to dać odczuć, przymusić do zrozumienia, chociaż w rzeczywistości proch wachał tu Abe North, nie on.

– Tamtego lata ten skrawek ziemi kosztował dwadzieścia ludzkich istnień na stopę kwadratową – powiedział do Rosemary.

Posłusznie powiodła wzrokiem po nagiej zielonej płaskoci, porosłej tu i ówdzie sześciolatnim młodniakiem. Gdyby tego popołudnia Dick dodał, że są pod ogniem artyleryjskim, uwierzyłaby. Jej miłość sięgnęła teraz punktu, w którym Rosemary wreszcie zaczęła być nieszczęśliwa, zrozpaczona. Nie wiedziała, co robić, chciała porozmawiać z matką.

– Od tego czasu umarło mnóstwo ludzi, a wkrótce my wszyscy też umrzemy – pocieszycielskim tonem zapewnił Abe.

Zamieniona w słuch Rosemary czekała, co powie Dick.

– Spójrzcie na strumyk; żeby tam dojść, nam wystarczą dwie minuty. Brytyjczycy potrzebowali miesiąca. Bardzo powoli maszerowało całe imperium, na linii frontu ginęli, napierały tyły. A inne imperium bardzo powoli cofało się o parę cali dziennie, zostawiając

martwych, miliony zakrwawionych gałganów. To pokolenie Europejczyków już nie zrobi czegoś podobnego.

– Czyżby? Właśnie skończyli w Turcji – powiedział Abe. – A w Maroku...

– To co innego. Tego numeru z frontem zachodnim długo nikt nie powtórzy. Młodemu ludziom wydaje się, że stać ich na to, ale nie stać. Mogliby jeszcze raz przejść przez pierwszą bitwę nad Marną, ale nie przez to, co tutaj. Poległa tu religia, poległy lata dostatku, przepotężne gwarancje i właściwe stosunki między klasami. Na tym froncie nie mieli czego szukać Rosjanie czy Włosi. Tu człowiek musiał przydźwigać ekwipunek sentymentów zebrany we wszystkich zakamarkach duszy, a sięgający w przeszłość dalej niż pojedyncza pamięć. Człowiek musiał pamiętać Boże Narodzenie, pocztówki z następcą tronu i jego narzeczoną, kawiarenki z Walencji i ogródki piwne przy Unter den Linden, śluby w merostwie, gonitwę w Derby i wasy dziadka.

– Ten rodzaj bitwy wynalazł generał Grant pod Petersburgiem* w sześćdziesiątym piątym.

– Nic podobnego, wynalazł tylko masowe jatki. Ten rodzaj bitwy wynaleźli Lewis Carroll i Jules Verne, i ten tam, co napisał *Undine*** i wiejscy duchowni grywający w kręgle, mateczki chrzestne z Marsylii i dziewczęta uwiedzione w zaułkach Wirtembergii i Westfalii. Ależ to była bitwa miłości; tu zużyto całe stulecie miłości klasy średniej. Ostatnia bitwa miłości.

– Chcesz wręczyć tę bitwę D.H. Lawrence'owi – zakpił Abe.

– Tu cały mój piękny, cudownie bezpieczny świat wysadził się w powietrze – Dick nie przerywał trenu – w wielkim porywie, w gigantycznej eksplozji miłości. Prawda, Rosemary?

* Petersburg w stanie Wirginia, USA.

** Zapewne chodzi o powieść niemieckiego romantyka Friedricha de la Motte Fouqué.

– Nie wiem – odpowiedziała z powagą. – To ty wiesz wszystko.

Zostali w tyle. Nagle spadła na nich ulewa grud ziemi i kamyków, a w sąsiedniej transzei rozdarł się Abe.

– Znowu wstępuje we mnie duch wojny. Spogląda na mnie sto lat miłości do Ohio, więc zbombarduję ten okop. – Wystawił głowę zza nasypu. – Jesteście martwi; nie znacie reguł? To był granat.

Rosemary roześmiała się, a Dick, szukając odwetu, podniósł garść kamieni, ale zaraz je upuścił.

– Jakoś mnie tu nie stać na żarty – powiedział tonem usprawiedliwienia. – Nic nie poradzę. Przecięto srebrny sznur, strzaskano złotą czarę i w ogóle, ale stary romantyk zostaje starym romantykiem.

– Też jestem romantyczką.

Ze starannie zrekonstruowanego okopu wyszli wprost na pomnik poległych Nowofundlandczyków. Czytając napis, Rosemary nagle zalała się łzami. Jak większość kobiet, lubiła podpowiedzi, co i jak powinna odczuwać, więc się garnęła do wskazówek Dicka mówiącego jej, co jest nedorzecznością, a co naprawdę smutne. Przede wszystkim jednak pragnęła, żeby wiedział, jak go kocha, która to okoliczność wprawiała ją teraz w bezustanny zamęt: po polu bitwy Rosemary przechadzała się w zachwycającym śnie.

Wsiedli do samochodu i ruszyli z powrotem w stronę Amiens. Rzadki ciepły deszczyk padał na niski młodniak i na poszycie, oni mijali zaś wielkie żałobne stosy z posortowanych szmat, łusek, pocisków, granatów oraz wyposażenia: bagnetów, hełmów, łożysk armatnich i przegniłej skóry, które walały się na ziemi, porzucone przed sześcioma laty. A potem odsłonił się za zakrętem bezlik białych zwieńczeń na wielkim morzu grobów. Dick kazał szoferowi stanąć.

– To ta dziewczyna... wciąż stoi.

Patrzyli, jak Dick wysiada i podchodzi pod bramę do dziewczyny, stojącej tam niepewnie z wieńcem w rękach. Jej taksówka czekała. Była to rudowłosa dziewczyna z Tennessee, którą spotkali już rano w pociągu; przyjechała z Knoxville, żeby położyć wieniec na grobie brata. Udręczona, poirytowana, miała twarz we łzach.

– Na pewno w Ministerstwie Wojny podali mi zły numer – żaliła się płaczliwie. – Tam jest inne nazwisko. Szukam jego grobu już od drugiej, a tu jest tyle tych mogił:

– Na pani miejscu po prostu położyłbym wieniec na którejkolwiek, nie patrząc na nazwisko – poradził Dick.

– Uważa pan, że tak powinnam zrobić?

– Myślę, że on chciałby właśnie tego.

Ściemniało się, padało coraz mocniej. Dziewczyna zostawiła wieniec na pierwszym grobie za bramą; przyjęła zaproszenie Dicka, odprawiła taksówkę i pojechała z nimi do Amiens.

Rosemary znów się rozplakała, słysząc o przykrym przejściu; dzień był wprawdzie podlany łzami, czuła jednak, że czegoś się nauczyła, chociaż nie bardzo wiedziała czego. Potem te wszystkie popołudniowe godziny wspominała jako pasmo szczęścia, jako jedną z tych chwil, w których nic się nie dzieje, odbieranych tylko jako ogniwo między przeszłą a przyszłą radością, a które po czasie same okazują się radością.

Z purpurowego, dudniącego jak studnia miasta Amiens nie wywietrzył smutek wojny, jak nie wywietrzył z niektórych dworców kolejowych: Gare du Nord czy londyńskiej Waterloo Station. Takie miasta – gdzie od dwudziestu lat małe tramwaje przemierzają szare i wielkie katedralne place wybrukowane kocimi łbami – za dnia wprawiają w przygnębienie; to miasta, w których nawet pogoda nosi rys przeszłości, wydaje się wyblakła jak stara fotografia. Ale po zmroku znowu pojawia się w kadrze wszystko, co we francuskim

życiu niesie najwięcej zadowolenia: dziarskie dziwki, kawiarenki z setkami *voilà* i męskimi sprzeczkami, pary na spacerze wtulone w siebie, zachwycone tą niekosztowną żegluga donikąd. Siedzieli w oczekiwaniu na pociąg pod arkadami tak wysokimi, że pod sklepieniem mogły swobodnie się mieszać dym, rozgwar i muzyka; orkiestra zaś, sądząc, że uprzedza życzenie, zagrała *Yes, We Have No Bananas**, więc klaskali, bo też lider wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Dziewczyna z Tennessee zapomniała o smutkach, rozbawiła się i nawet zaczęła flirtować z Dickiem i Abe'em, udając toczące ślepiami, skore do obłapian egzotyczne stworzenie. Przekomarzali się z nią delikatnie.

A potem – wydając na pastwę ciepłego deszczu i wiekuistego rozkładu zmielone w drobny mak szczątki Wirtemberczyków, Gwardii Pruskiej, Szaserów Alpejskich, Manchesterskich Włókniarzy i starych dobrych Etończyków – wsiedli w pociąg do Paryża. Jedli kanapki z mortadela i serem *bel paese* przyrządzone w dworcowej restauracji, pili zaś beaujolais. Nicole nie uważała, niestrudzenie zagryzała wargi i znów czytała przewodnik po polu bitwy, który Dick zabrał na drogę, bo oczywiście wcześniej już szybko przestudiował temat i jak zwykle tak uprościł wątki, żeby historia w skromnej choćby mierze przypominała któreś z jego przyjęć.

* Piosenka Silvera i Cohna z broadwayowskiej rewii z 1922 roku.

XIV

Powróciwszy do Paryża, Nicole była zbyt zmęczona, żeby się wybrać na Wystawę Sztuki Dekoracyjnej i obejrzeć fajerwerki z iluminacją, jak zamierzali. Zostawili ją w hotelu Roi George. Poczowała ulgę, kiedy zniknęła w drzwiach, za uchylającymi się taflami szkła, w których krzyżowały się odbicia światła z holu. Nicole była siłą – nie tak życzliwą ani przewidywalną jak matka Rosemary – i to siłą nieobliczalną. Rosemary trochę się jej bała.

O jedenastej siedziała z Dickiem i Northami na barce na Sekwanie w otwartej właśnie kawiarence. W rzece odbijały się światła mostów, kołysała się na niej obfitość zimnych księżyców. Kiedy Rosemary mieszkała z matką w Paryżu wsiadały czasem w niedzielę na maleńki parowiec do Suresnes i rozmawiały o planach na przyszłość. Musiały liczyć się z groszem, lecz pani Speers zaszczerpiła córce tyle ambicji, była tak pewna jej urody, że na „atuty” Rosemary gotowa była postawić wszystko, co ma. Z kolei Rosemary chciała się odwdziaczyć matce, kiedy już wystartowała,...

Od chwili przyjazdu do Paryża Abe North otulony był bukietem wina; chodził z oczami przekrwionymi od trunku i słońca. Po raz pierwszy Rosemary zauważyła, że Abe co chwilę wpada gdzieś na jednego, i zastanawiała się, czy to w smak jego żonie. Mary prawie nie otwierała ust; mówiła niewiele, jeśli nie liczyć częstych napadów śmiechu, Rosemary niewiele też się o niej dowiedziała. Podobały jej się te proste ciemne włosy zaczesane do tyłu, gdzie zamieniały się w ukształtowaną samorzutnie, naturalną kaskadę; od czasu do czasu jakieś pasmo zawadiacko osuwało się ukosem na skroń, wreszcie przysłaniało oko, a wtedy Mary odrzucała głowę i włosy znowu posłusznie sadowiły się na miejscu.

– Położmy się dziś wcześniej, Abe, po tym kieliszku. – Głos Mary brzmiał pogodnie, zaprawiony jednak odrobiną niepokoju. – Chyba nie chcesz się zalać na barce.

– Już późno – powiedział Dick. – Właściwie pora na wszystkich.

Szlachetna twarz Abe'a przybrała wyraz niejakiego uporu, a w głosie zabrzmiała stanowcza nuta.

– O, nie. – Pomilczał nachmurzony. – Nie, nie, jeszcze nie. Jeszcze zamówimy szampana.

– Ja już dziękuję – powiedział Dick.

– Pomyślałem o Rosemary. To urodzona alkoholiczka, w łazience chowa butelkę rumu i w ogóle; dowiedziałem się wszystkiego od jej matki.

Resztkę z butelki wlał do kieliszka Rosemary. Pierwszego dnia w Paryżu niemal się rozchorowała, pochłonawszy litry lemoniady; od tej pory niczego nie piła w ich towarzystwie, lecz teraz podniosła do ust kieliszek.

– Co to takiego? – wykrzyknął Dick. – Mówiłaś, że nie pijesz.

– Nie powiedziałam, że zawsze tak będzie.

– Co na to matka?

– Wypiję tylko ten kieliszek. – Czuła w tym jakąś potrzebę. Dick pił, niewiele, ale jednak; może szampan przybliży ją do niego, wspomogę w tym, co musi zrobić Rosemary. Piła szybko, zakrztusiła się i powiedziała: – Zresztą wczoraj były moje urodziny. Skończyłam osiemnaście lat.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? – oburzali się.

– Pewnie narobiliście sobie kłopotu, byłoby mnóstwo szumu.
– Dopięła do dna. – Więc oto cała uroczystość.

– Na pewno nie – oświadczył Dick. – Jutrzejsza kolacja będzie twoim przyjęciem urodzinowym i żadną miarą o tym nie zapominaj. Osiemnaście lat to coś diabelnie ważnego.

– Zawsze myślałam, że do skończenia osiemnastu lat nic się nie liczy – odezwała się Mary.

– Święta prawda – przytaknął Abe. – Potem tak samo.

– Abe ma wrażenie, że nic się nie liczy przed wejściem na statek – powiedziała Mary. – Tym razem rzeczywiście zaplanował wszystko, co zrobi po wylądowaniu w Nowym Jorku. – Wydawała się zmęczona, jakby mówiła coś wypranego już z treści, jakby w istocie rzeczy kurs, który obrali z mężem, czy też bez powodzenia usiłowali obrać, stał się ledwie pobożnym życzeniem. – Abe będzie komponował w Ameryce, a ja w Monachium popracuję nad śpiewem, więc kiedy znów się zejdziemy, będziemy mieli świat u stóp.

– Cudownie – zgodziła się Rosemary, której już lekko zaszumiało w głowie.

– Tymczasem jeszcze łyk szampana dla Rosemary. Łatwiej się upora z pracą gruczołów limfatycznych, łatwiej ją zracjonalizuje. Bo kiedy ktoś już skończy osiemnaście lat, to one zabierają się do roboty.

Dick roześmiał się pobłaźliwie. Kochał Abe'a, chociaż już dawno przestał pokładać w nim nadzieje.

– Pod względem medycznym to bez sensu, poza tym już idziemy.

Posłyszawszy w głosie Dicka ojcowską nutkę, Abe palnął niefrasobliwie:

– Coś mi mówi, że moja nowa partytura trafi na Broadway dużo wcześniej, nim ty skończysz swój uczoney traktat.

– Mam nadzieję – spokojnie powiedział Dick. – Mam nadzieję. Może nawet dam sobie spokój z tym, co nazywasz „uczonym traktatem”...

– Och, Dick! – Mary wydawała się spłoszona, wstrząśnięta.

Rosemary jeszcze nigdy nie widziała twarzy Dicka tak doskonale pozbawionej wyrazu; zdawało jej się, że właśnie złożył doniosłe oświadczenie, chciała krzyknąć wraz z Mary: „Och, Dick!” Lecz oto Dick roześmiał się nagle i dodał:

– Może zostawię go, żeby się zająć czymś innym. – Wstał od stołu.

– Ależ Dick, siadaj! Chcę wiedzieć...

– Kiedyś wam o tym opowiem. Dobranoc, Abe. Dobranoc, Mary.

– Dobranoc, Dick, kochany. – Mary uśmiechała się, jakby siedzenie tutaj, na niemal opustoszałej barce, miało ją bezgranicznie uszczęśliwić. Była kobietą dzielną, ufnie patrzącą w przyszłość, wszędzie i zawsze podążającą za mężem, gotową dostosować się do takiej czy innej osobowości, niezdolną wszakże sprowadzić męża z jego ścieżki ani na krok, czasami zaś niechętnie zdawała sobie sprawę, jak głęboko w jego duszy kryje się pilnie strzeżona tajemnica jej własnych przeznaczeń. Mimo to zdawało się, że uśmiech losu nie odstępuje Mary, jakby sama była jakimś talizmanem...

XV

Z czego chcesz zrezygnować? - wypytywała w taksówce Rosemary, wpatrzona żarliwie w Dicka.

- Nic ważnego.

- Jesteś uczonym?

- Doktorem medycyny.

- Oo! - Uśmiechnęła się uradowana. - Mój ojciec też był lekarzem. W takim razie dlaczego... - urwała.

- Żadna tajemnica. Ani też historyjka, że u szczytu kariery spodliłem się, zatem ukrywam się na Rivierze. Nic z tych rzeczy. Po prostu nie praktykuję. Chociaż kto wie, może kiedyś do praktyki wrócę.

Rosemary bez słowa uniosła twarz i czekała na pocałunek. Przez chwilę patrzył na nią, jakby nie rozumiejąc. Wreszcie ułożywszy głowę Rosemary w zgięciu ramienia, otarł się policzkiem o jej policzek, poczuł jego miękkość, potem znowu wpatrywał się długo w dziewczynę.

- Co za śliczne dziecko - powiedział poważnym tonem.

Uśmiechała się do niego i bezwiednie, jak na filmowych ujęciach, miała palcami klapy jego marynarki.

- Kocham ciebie i kocham Nicole. Tak naprawdę to moja tajemnica. Nie potrafię o was z nikim rozmawiać, nie chcę, żeby ktoś jeszcze wiedział, jacy jesteście cudowni. Wierz mi: kocham i ciebie, i Nicole, tak właśnie jest.

...Ile już razy to słyszał; powtarzała się nawet melodia zdania.

Nagle przylgnęła do niego; głęboko spojrzała mu w oczy, a wtedy jej dziewczęcość pierzchła; Dick całował ją w uniesieniu, jak dojrzałą kobietę. Potem znowu oparła się o jego ramię i westchnęła.

– Postanowiłam się ciebie wyrzec – powiedziała.

Dick drgnął. Czyżby powiedział coś, co jej daje prawa do niego w jakiegokolwiek mierze?

– Bardzo nieładnie – zdobył się na żartobliwy ton. – Właśnie teraz, kiedy mnie zaintrygowałeś.

– Tak się w tobie rozkochałam... – Zabrzmiało to jak skwitowanie wielu lat. Popłakiwała. – Jak ja się w tobie rozkochałam, jak ja się rozkochałam...

Powinien był się roześmiać. Tymczasem usłyszał, że mówi do Rosemary:

– Rzecz nie tylko w tym, że jesteś piękna; jesteś także kimś z klasą. Wszystko, co robisz, trafia w sedno; granie zakochanej i granie nieśmiałości.

W mrokach taksówki wypełnionych zapachem perfum, które kupowała z Nicole, Rosemary znów przylgnęła do Dicka. Pocałował ją, właściwie niechętnie. Wiedział, że gdzieś tu się kryje namiętność, lecz ani śladu tej namiętności nie widział w oczach Rosemary, nie wyczuwał w ustach, czuł tylko w jej oddechu słabą woń szampana. Lgnęła do niego, wtulała się rozpaczliwie, on zaś pocałował ją jeszcze raz, lecz zmroziła go niewinność tego pocałunku i jej spojrzenie skierowane właśnie w tej chwili gdzieś poza niego, w mrok nocy, mrok świata. Rosemary jeszcze nie wie, że przepych uczuć nosi się w sercu; kiedy pojmie to i stopi z namiętnością wszechświata, wówczas Dick może ją wziąć bez wahania i poczucia winy.

Hotelowy pokój Rosemary znajdował się po przeciwnej stronie korytarza, lecz bliżej windy niż ich pokój. Pod drzwiami powiedziała nagle:

– Wiem, że mnie nie kochasz... I nie liczę na to. Powiedziałeś jednak, że powinnam powiedzieć o urodzinach. Więc powiedziałam, a teraz proszę, niech to będzie prezent urodzinowy, na chwilę wejdź do mnie do pokoju, a coś ci opowiem. Tylko na chwilę.

Weszli, Dick zamknął drzwi; Rosemary stanęła tuż przy nim, nie dotykając go. Noc starła z jej twarzy kolor, Rosemary była teraz blada, bardzo blada, była białym goździkiem porzuconym po tańcach.

Może dzięki tej niemej bliskości Dick znowu sięgnął po ojcowski ton:

– Kiedy się uśmiechasz, zawsze się spodziewam, że zobaczę szczyrby po jakichś mlecznych zębach.

Było jednak za późno; wtuliła się w niego i szepnęła żałośnie:

– Weź mnie.

– Ale gdzie?

Zamurowało go ze zdumienia.

– No dalej – szeptała – proszę, zrób to wszystko. Nie obchodzi mnie, czy to polubię czy nie... nigdy nie liczyłam na to... nie cierpiałam o tym myśleć, nigdy, ale teraz to co innego. Chcę, żebyś to zrobił, pragnę cię.

Zdumiała samą siebie. Nie przypuszczała, że stać ją będzie na takie słowa. Domagała się czegoś, o czym tylko czytała, co oglądała na scenie i ekranie, co wyobrażała sobie przez dziesięć lat podczas godzin ciszy w internacie. Pojęła też nagle, że to jedna z najwspanialszych ról, i z tym większą pasją dała się porwać grze.

– To idzie na opak – Dick wdał się w rozważania. – Czy to nie szampan? Zapomnijmy o wszystkim, na ile zdołamy.

– Och, nie, teraz nie. Teraz chcę, żebyś to zrobił, weź mnie, naucz, cała jestem twoja, chcę być twoja.

– Jest coś jeszcze. Pomyślałaś, jak bardzo to zrani Nicole?

– Nie musi się dowiedzieć, przecież to nie ma z nią nic wspólnego.

– I jeszcze coś; kocham Nicole... – łagodnie wywodził dalej.

– Możesz przecież kochać więcej niż jedną osobę, prawda? Tak jest ze mną, kocham matkę i kocham ciebie... Ciebie bardziej. Teraz ciebie kocham bardziej.

– ...a po czwarte, wcale mnie nie kochasz, chociaż może pokochasz później; i od tej chwili zaczniesz się w twoim życiu straszliwy zamęt.

– Nie, przyrzekam, że się już nigdy nie zobaczymy. Zadzwoń do mamy i obie zaraz popłyniemy do Ameryki.

Udał, że nie słyszy. Zbyt wyraziście zapamiętał młodość i świeżość warg Rosemary. Spróbował inaczej.

– Po prostu dopadł cię taki nastrój.

– Och, proszę, nawet nie myślę o tym, że mogę mieć dziecko. Mogę pojechać do Meksyku, jak ta dziewczyna z wytwórni. To się tak różni od moich wszystkich wyobrażeń... Nie znosiłam, kiedy ktoś mnie całował serio. – Widział, że Rosemary nie rezygnuje, wciąż przekonana, że to się musi spełnić. – Niektórzy mieli ogromniaste zębiska, ale ty jesteś całkiem inny, taki piękny. Chcę, chcę, żebyś to zrobił.

– Chodzi ci o to, że ludzie po prostu całują w jakiś szczególny sposób i ja mam cię tak pocałować.

– Przestań kpić... Nie jestem dzieckiem. Wiem, że mnie nie kochasz. – Nagle uspokoiła się i spokorniała. – Nie liczę na tyle. Pewnie dla ciebie jestem nikim, wiem.

– Bzdura. Ale wydajesz mi się taka młoda. – Dodał w myśli: „i tyle cię jeszcze trzeba nauczyć”.

Rosemary czekała; dyszała niecierpliwie, wreszcie Dick się odezwał:

– No i na koniec jeszcze to, że sprawy się nie ułożyły po twojej myśli.

Rozczarowanie i wstyd zmroziły twarz Rosemary; Dick dodał machinalnie:

– Po prostu musimy... – Urwał, podszedł do Rosemary płaczącej na łóżku i usiadł przy niej. Poczł nagle zażenowanie; nie z powodu etycznych podtekstów, bo sprawa była czystym niepodobieństwem pod każdym względem; nie, poczuł po prostu zażenowanie i na chwilę pierzchły jego zwykły wdzięk i niezachwiana równowaga.

– Wiedziałam, że nie zechcesz – łkała. – Zwykła przegrana z góry sprawa.

Wstał.

– Dobranoc, dziecko. Cholernie szkoda. Wytnijmy to z filmu. – Do poduszki poczęstował ją porcją terapeutycznych banałów. – Jeszcze pokocha cię wielu mężczyzn i może miło będzie na spotkanie swej pierwszej miłości wyjść nietkniętą, także uczuciowo. Bardzo to staroświeckie, prawda?

Uniosła głowę i patrzyła, jak Dick rusza do drzwi; wpatrywała się w niego, nic nie wiedząc o myślach krążących mu po głowie; zdawało jej się, że Dick idzie ku drzwiom w zwolnionym tempie, potem obraca się i znów spogląda na nią, ona zaś chciała go zatrzymać i pochłonać, pragnęła jego ust, uszu, kołnierza marynarki, pragnęła go objąć i otoczyć ze wszystkich stron. Zobaczyła wreszcie rękę Dicka na klamce. Zrezygnowana padła znowu na łóżko. Kiedy drzwi się zamknęły, wstała, podeszła do lustra i trochę jeszcze pociągając nosem, zaczęła szczotkować włosy. Jak zwykle sto pięćdziesiąt razy, a potem jeszcze sto pięćdziesiąt. Szczotkowała włosy tak długo, aż rozboleła ją ręka, więc przełożyła szczotkę do drugiej ręki i szczotkowała dalej...

XVI

Do rana ochłonęła; gdy otworzyła oczy, palił ją wstyd. Własna uroda widziana w lustrze nie podniosła jej na duchu, a tylko odnowiła wczorajszy ból. Nic też nie pomógł odesłany przez matkę list od chłopca, który ubiegłej jesieni zabrał Rosemary na bal w Yale, a teraz awizował, że jest w Paryżu; wszystko to wydawało się odległe. Wyszła z pokoju, by znosić udreki spotkania z Diverami, przytłoczona podwójnym ciężarem. Na spotkanie z Nicole i wspólny wypad do przymiarek otuliła się w kokon równie szczelny jak kokon Nicole. Jednak słowa Nicole o wyprowadzonej z równowagi asystentce z magazynu zabrzmiały jak pociecha:

– Większości ludzi się wydaje, że inni reagują na nich żywiołowo, chociaż wcale tak nie jest; wydaje im się, że opinia innych mierza jak wahadło od skraju do skraju, raz szacunek, raz pogarda.

Wczorajsza zaborcza Rosemary mogła takie zdanie mieć za złe, lecz dzisiejsza – skłonna pomniejszać, co zaszło – chętnie przychyliła ucha. Podziwiała urodę i mądrość Nicole, lecz po raz pierwszy w życiu poczuła także zazdrość. Przed wyjazdem z hotelu Gausse'a matka rzuciła mimochodem – jak wszystkie swoje istotne oceny – że Nicole to prawdziwa piękność, co stanowiło otwartą sugestię, że taką pięknnością nie jest Rosemary. Czym Rosemary mało się przejęła; dopiero niedawno uświadomiła sobie, że wygląda ujmująco, swej urody nigdy zaś nie uważała za przyrodzoną właściwość, raczej nabytą, jak znajomość francuskiego. A teraz przyglądała się w taksówce Nicole i porównywała. W tym pięknym ciele wszystko się mogło przysłużyć romantycznej miłości, delikatne usta czasem napięte, czasem wpółotwarte, ufne wobec świata. Nicole była pięknnością jako młoda dziewczyna i pozostanie pięknnością dłużej, kiedy napnie się skóra na wydatnych kościach policzkowych, bo to

one właściwie formowały jej twarz. Niegdyś anglosaska blondynka o jasnej cerze, teraz wydawała się jeszcze piękniejsza z pociemniałymi włosami, które przeistoczyły się w obłok jeszcze piękniejszy niż ona sama.

– Tutaj mieszkaliśmy. – Rosemary nagle wskazała budynek przy rue des Saints-Pères.

– Niesamowite. Bo kiedy miałam dwanaście lat, mama, Baby i ja spędziłyśmy całą zimę o tam. – Wskazała hotel po drugiej stronie. Przyglądały im się dwie zapuszczone fasady: wyblakłe obrazki z dzieciństwa. – Właśnie skończyliśmy budowę domu w Lake Forest, więc oszczędzałyśmy – ciągnęła Nicole. – Przynajmniej we trójkę: guwernantka, Baby, i ja, a mama podróżowała.

– My też oszczędzałyśmy – powiedziała Rosemary i nagle sobie uświadomiła, że każda z nich przez „oszczędzanie” rozumie co innego.

– Mama zawsze bardzo pilnowała, żeby o tym miejscu mówić „hotelik” – Rosemary usłyszała nagle ten urywany, sugestywny śmieszek Nicole – „hotelik” w żadnym wypadku „tani hotel”. Kiedy o adres pytał ktoś z naszych przyjaciół zadających szyku, nigdy nie mówiłyśmy „mieszkamy w obskurnej dziurze w szemranej dzielnicy, zachwycone, bo na szczęście jest bieżąca woda”. Nie. Mówiłyśmy „mieszkamy sobie w hoteliku”. Jakby wszystkie duże hotele były dla nas zbyt hałaśliwe i w złym guście. Oczywiście przyjaciele przejrzeni nas na wylot i opowiadali o tym na wszystkie strony, mimo to mama upierała się, że w ten sposób okazujemy europejską klasę. Ona rzeczywiście, bo urodziła się jako obywatelka niemiecka. Ale jej matka była Amerykanką wychowaną w Chicago, a ona sama bardziej Amerykanką niż Europejką.

Z taksówki wysiadły na rue Guynemer naprzeciw Ogrodów Luksemburskich; Rosemary znów się zmobilizowała, bo za dwie minuty miały się spotkać z resztą towarzystwa. Zjedli lunch u Northów, wysoko nad gąszczem zielonych liści, w opróżnionym już

mieszkaniu. Dzień wydał się Rosemary tak różny od poprzedniego... Kiedy znalazła się przed nim twarzą w twarz, ich spojrzenia otarły się o siebie jak ptasie skrzydła. Więc wszystko dobrze, jest cudownie, Rosemary wiedziała, że Dick już zaczyna ją kochać. Przepęłniała ją radość; podniecona, czuła w ciele pulsowanie ciepłych soków. Rozśpiewała się w niej niewzruszona, coraz głębsza pewność siebie. Prawie nie spoglądała na Dicka; wiedziała, że wszystko się układa pomyślnie.

Po lunchu wybrała się z Diverami i Northami do Franco-American Films, gdzie dołączył Collis Clay, młody człowiek z New Haven, do którego zatelefonowała. Pochodził z Georgii i lichy wie czemu nabił sobie głowę kalkami dotyczącymi południowców wykształconych na Północy. Zeszłej zimy wydawał się Rosemary pociągający, kiedyś trzymali się za ręce podczas podróży samochodem z New Haven do Nowego Jorku; teraz już dla niej nie istniał.

W sali projekcyjnej usiadła między Collisem Clayem a Dickiem; operator zakładał szpulę z *Pupilka tatusia*, a Francuz z kierownictwa kręcił się koło niej i próbował popisać amerykańskim żargonem.

– Ty się, synu, nie obcyndalaj – powiedział, kiedy projektor zaczął płać figle. – Nie jestem w siódme niebo.

Zgasło światło, rozległ się nagle trzask, potem hałas sprzężony z migotaniem i wreszcie była z Dickiem sam na sam. Spojrzeli na siebie w półmroku.

– Rosemary, kochana – szepnął. Potem otarli się ramionami. Na skraju rzędu wierciła się Nicole, Abe spazmatycznie zakaszłał i wysiąkał nos; wreszcie wszyscy się usadowili i ruszyła projekcja.

Otóż i ona, przed rokiem jeszcze uczennica ze spadającymi na plecy włosami, sztywno pofalowanymi jak u figurynki z Tangeru; a więc tym była, dziełem pełnych miłości starań matczynych, aż tak młodym i niewinnym; oto wcielenie niedojrzałości swego narodu, oto wykrawanie nowej papierowej lali, by ją podsunąć pod nos tym

plugawym głąbom. Rosemary dobrze pamiętała, jak czuła się w tej sukience, świeża i odnowiona, w świeżych, nowiuteńkich jedwabkach.

Pupilka tatusia. I cóż, czyż nie był z niej dzielny brzdąc, czyż nie cierpiała? Och, jaka słodka, słodziutka, sama słodycz najśłodsza, pyszności. Jej piastka potrafiła utemperować siły żądź i zepsucia, co więcej, powstrzymywała zrządzenia losu, pozwalała uniknąć nieuniknionego; znikwały jak kamfora racjonalność, sylogizmy, dialektyka. Kobiety zapominały o zlewie z brudnymi naczyniami i tonęły we łzach, zresztą i w samym filmie jakaś kobieta płakała tak długo, że niemal zepchnęła w cień Rosemary: przepłakała całe ujęcie w jadalni Duncana Phyfe'a, które kosztowało majątek, płakała na lotnisku, płakała na regatach, z których weszły zresztą tylko dwie przebitki, płakała w metrze, a na koniec w łazience. Ale tryumfowała Rosemary. Jej siła charakteru, odwaga, niezłomność brały górę nad przyziemnością świata, to zaś, czego wymagała rola, Rosemary osiągnęła dzięki twarzy, która jeszcze nie upodobniła się do maski; film naprawdę był tak wzruszający, że co pewien czas cały rząd widzów dawał odczuć Rosemary, jak mocno przeżywa tę historię. Potem zrobiono przerwę w projekcji, zapalono światła, a kiedy umilkł pochlebny gwar, Dick powiedział jej wprost:

– Po prostu zadziwiłaś mnie. Będiesz pierwszorzędną aktorką; gwiazdą.

Wznowiono projekcję. Teraz nastały na ekranie lepsze czasy, pojawiło się prześliczne ujęcie Rosemary, w końcu rodzice się pojednali, a syndrom ojca przedstawiono tak natrętnie, że Dick w imieniu wszystkich psychologów aż się skrzywił z powodu nieznośnego sentymentalizmu. Ekran zgasł, zapalono światła i nadszedł właściwy moment.

– Przygotowałam coś jeszcze – oznajmiła towarzystwu Rosemary. – Przygotowałam próbne zdjęcia dla Dicka.

– Co takiego?

– Próbne zdjęcia. Zrobiją je tu zaraz, na miejscu.

Zapadła grobowa cisza, którą przerwał wreszcie głośny chichot, to Northowie nie zdołali się powstrzymać. Rosemary wpatrywała się w Dicka, który już pojął jej zamysł. Kiedy wpierw zadrgały mu mięśnie twarzy, iście po irlandzku, Rosemary już sobie uświadomiła, że popełnia jakiś błąd, grając tą atutową kartą, lecz jeszcze nie przypuszczała, jak bardzo niewłaściwa to karta.

– Nie mam ochoty na próbne zdjęcia – stanowczo zapowiedział Dick, potem zaś, odnosząc się do całej sytuacji, dorzucił lżejszym już tonem: – Nie spodziewałem się tego po tobie, Rosemary. Film to świetna kariera dla kobiety, ale na Boga, oni nie mogą fotografować mnie. Jestem starzejącym się naukowcem, po uszy zanurzonym w swoich prywatnych sprawach.

Nicole i Mary szyderczo namawiały go, żeby w lot chwycił okazję, pokpiwały z niego, obie nieco rozdrażnione, że to nie one zostały zaproszone przed kamerę. Tymczasem Dick uciał wątek cokolwiek cierpką uwagą o aktorach:

– Najciężej zbrojny strażnik stoi u bramy wiodącej w nicość – powiedział. – Może dlatego, że pustka to zbyt wielki wstyd, by ją odsłaniać.

Z Dickiem i Collisem Clayem jechała taksówką. Mieli Collisa podrzucić, a Dick wiozł Rosemary na popołudniową herbatę; wymówili się od niej Nicole oraz Northowie, którzy zamierzali uporządkować zabagnione sprawy zostawione przez Abe'a na ostatnią chwilę. W taksówce Rosemary czyniła Dickowi wymówki.

– Myślałam, że jeśli próbne zdjęcia dobrze wypadną, mogłabym zabrać je do Kalifornii. A gdyby się spodobały, mógłbyś przyjechać i zagrać główną męską rolę w moim filmie.

Na chwilę zaniemówił.

– Cudowna myśl, u diabła, wolę jednak patrzeć na ciebie. Jesteś bodaj najczarowniejszym widokiem, jaki miałem przed oczami.

– Fantastyczny film – powiedział Collis. – Byłem na nim cztery razy. Znam chłopaka z New Haven, który go obejrzał paręnaście razy, i zdarzyło się, że na seans pojechał aż do Hartford. Ale kiedy przywiozłem Rosemary do New Haven, tak się spłoszył, że nawet nie przyszedł się przedstawić. Coś niesamowitego. Ich ścina z nóg to dziewczątko.

Dick i Rosemary wymienili spojrzenia; chcieli być sami, ale do Collisa to nie docierało.

– Podwiozę pana, gdzie pan zechce – zaproponował Collis. – Ja się zatrzymałem w „Lutecji”.

– To my cię podwieziemy – odrzekł Dick.

– Nie, mnie będzie łatwiej, bo po drodze. Żaden kłopot.

– A może lepiej będzie, kiedy to my podwieziemy.

– Ależ... – zaczął Collis, jednak zrozumiał wreszcie sytuację i zaczął roztrząsać z Rosemary, kiedy może ją znowu spotkać.

W końcu wysiadł; wraz Collisem zniknął napór osoby postronnej, niby coś nieokreślonego i nieważnego, ale przytłaczający i natrętny. Dick rzucił adres, wkrótce taksówka zatrzymała się zniemacka; nie najeździli się wiele. Dick wziął głęboki oddech.

– Wstąpimy?

– Możemy – odrzekła Rosemary. – Zrobię wszystko, co zechcesz.

Namyślał się przez chwilę.

– Chyba muszę tam wpaść... Ona chce kupić parę obrazów od mego przyjaciela, który potrzebuje pieniędzy.

Rosemary przyglądała włosy, w które zakradał się efektowny nieład.

– Zostaniemy najwyżej pięć minut – zapowiedział. – Nie polubisz tych ludzi.

Uznała więc, że będą to ludzie banalni i nudni albo obrzydliwi i zapici, albo męczący i nachalni bądź jeszcze inni, z katalogu postaci, od których Diverowie trzymają się z dala. Rosemary ani się śniło, jakich wkrótce dozna wrażeń.

XVII

Dom wyrzeźbiono w bryle pałacu kardynała de Retz przy rue Monsieur. Wewnątrz Rosemary nie znalazła jednak ani śladów przeszłości, ani znanej sobie współczesności. Zdawało się, że w ozdobnej kamiennej okrywie tkwi przyszłość, więc o istny elektrowstrząs – coś tak perwersyjnie drażniącego nerwy jak owsianka z haszyszem na śniadanie – przygotowało już przekroczenie progu, jeśli przyjąć, że to akurat próg, a potem wejście do długiego holu z sinej, posrebrzanej stali, zdobnego w bezlik dziwnie ciętych zwierciadeł, przypominających fasety szlachetnego kamienia. Efekt nie miał nic wspólnego z Wystawą Sztuki Dekoracyjnej, z żadnym jej działem, tu bowiem ludzie tkwili w środku, niczego nie oglądali przez szybę. Rosemary miała złudne, podszyte fałszywym uniesieniem odczucie, że znajduje się w studiu na planie; przypuszczała, że podobne wrażenie udziela się wszystkim.

W gronie trzydziestu mniej więcej osób przeważały kobiety, wszystkie upozowane na Louise M. Alcott bądź madame de Ségur; w tej studyjnej przestrzeni poruszały się tak ostrożnie, z taką precyzją jak ręka zbierająca kawałki tłuczonego szkła. Ani żadna postać, ani nawet zbiorowość nie górowały nad otoczeniem, jak można górować nad posiadany dziełem, nawet bardzo wyrafinowanym, nikt bowiem nie miał pojęcia, czym jest w istocie ta sala, która przemienia się w co innego, staje wszystkim, tylko nie salą. Samo przebywanie w niej dorównywało trudnością przechadzce po wypolerowanych ruchomych schodach i groziło katastrofą każdemu, kto nie posiada wspomnianych już talentów ręki zbierającej tłuczone szkło; skład gości określały i ograniczały te właśnie talenty.

Obecni dzielili się na dwie kategorie. Z jednej strony Amerykanie i Anglicy, którzy przeważkonili wiosnę i lato, więc teraz

za kulisami wszystkiego, co przedsiębiorali, kryła się nerwowość. O pewnych godzinach bardzo wyciszeni, wręcz letargiczni, potem prowokowali eksplozje: nagle kłótnie, załamania, uwiedzenia. Inna kategoria, można powiedzieć wyzyskiwaczy, ba, pasożytów, sprawiała na tle tej pierwszej grupy wrażenie ludzi trzeźwych i poważnych, mających cel w życiu i nieskorych do wygłupu. To im najłatwiej przychodziło zachowanie równowagi w tym otoczeniu i jeśli ktoś tu nadawał ton – poza przymierzem na rzecz nowatorskiego oświetlania wnętrza – to właśnie oni.

Dom-Frankenstein pochłoniął jednym haustem Dicka i Rosemary; zaraz się rozdzielili i oto Rosemary nagle uzmysłowiła sobie, że gra rolę jakiejś załganej osóбки – której cała natura objawia się w górnych rejestrach głosu – pragnącej, żeby się wreszcie zjawiał reżyser. Pomieszczenie wypełniał szum podobny do szaleńczego furkotu skrzydeł i może przez to Rosemary była przekonana, że nie tylko ona czuje się dziwacznie, lecz także inni. Co więcej, po sekwencji bez mała wojskowych wyćwiczonych zwrotów, półobrotów i przegrupowań okazało się, że wdała się w pogawędkę z jakąś smukłą, wymuskaną dziewczyną o chłopięcej twarzy, chociaż uwagę Rosemary przyciągała w istocie rozmowa prowadzona o parę stóp dalej, na czymś w rodzaju spiżowej drabiny.

Przysiadły tam trzy młode kobiety, wysokie i szczupłe o wypięlęgowanych główkach godnych manekinów. Te główki wdzięcznie kołysały się na wszystkie strony nad obcisłymi, ciemnymi kostiumami, przypominając kwiaty na długich łodygach bądź kaptury kobr.

– Och, popisują się, że szkoda mówić – niskim, dźwięcznym głosem odezwała się jedna z dziewcząt. – W sumie najlepsze przedstawienie w całym Paryżu... Ale jednak... – westchnęła. – Weźmy te powiedzonka, które on w kółko recytuje... „Najstarszy mieszkaniec pożarty przez gryzonie”. Śmieszają się najwyżej raz.

– Wolę ludzi, którym nie żyje się tak gładko – odezwała się druga. – A jej nie lubię.

– Nigdy się nimi zbyt nie zachwyciłam. Ani ich świat. Skąd, na przykład, ten kompletnie zaoliwiony North?

– Skończony człowiek – powiedziała pierwsza z dziewcząt. – Ale musisz przyznać, że osoba, o której mowa, to może jedna z najczarowniejszych istot, jakie poznałaś.

Dopiero z tego napomknienia Rosemary wywnioskowała, że mowa o Diverach. Zesztywniała z oburzenia. Tymczasem zagadująca Rosemary dziewczyna – jakby zeszła wprost z plakatu, jasnoniebieskie oczy, uróżowane policzki, wykrochmalona niebieska bluzka i szary kostium – stawała się już uciążliwa. Zapalczywie usuwała wszystko, co mogłoby je dzielić, w obawie, że Rosemary nie zwróci na nią uwagi, a usuwała tak długo, aż pozostała tylko krucha przegroda odmiennego nastroju, lecz Rosemary z niesmakiem dostrzegła tymczasem jej pospolitość.

– Mogłybyśmy zjeść lunch, może kolację; a może lunch pojutrze? – wpraszała się.

Rosemary rozglądała się za Dickiem; stał z gospodynią, z którą rozmawiał przez cały czas od chwili wejścia. Spojrzeli na siebie, Dick lekko skinał, a równocześnie dostrzegły ją trzy kobrowate kobiety; gwałtownie wyciągnęły w jej stronę długie szyje i zatopiły w Rosemary jadowite spojrzenia. Wytrzymała je, a wyzywająca mina miała świadczyć, że Rosemary słyszała, co mówią. Następnie zastosowała świeżo podpatrzony u Dicka wzór pożegnania, tyleż uprzejmego, ile natychmiastowego, pozbyła się swej rozgorączkowanej vis-à-vis i wreszcie podeszła do Dicka. Gospodyni – kolejna młoda, wysoka i bogata Amerykanka, beztrąsko pławiąca się w blasku narodowej koniunktury – zapamiętała próbowała przełamać niechęć Dicka i zasypywała go pytaniami o hotel Gausse'a, dokąd najwyraźniej chciała się wybrać. Obecność Rosemary przypomniawszy jej o uciążliwych obowiązkach pani domu, więc rozejrzawszy się wkoło, spytała:

– Poznała już pani kogoś zabawnego? Może natknęła się pani na pana... – Wypatrywała jakiegoś samca, który mógłby zainteresować Rosemary, lecz Dick oświadczył, że muszą już iść.

Zaraz też wyszli, a przekraczając ów ledwie widoczny próg, nagle przenieśli się z przyszłości w przeszłość zagnieżdżoną w kamiennej fasadzie na zewnątrz.

– Okropne to było, prawda? – powiedział.

– Okropne – powtórzyła jak echo.

– Rosemary?

– Co? – szepnęła z lękiem.

– Strasznie się czuję przez to wszystko.

Rozszłochała się, dygotała żałośnie.

– Masz chusteczkę? – wykrztusiła.

Ale nie było czasu na płacz, kochankowie chłonęli żarłocznie te szybko umykające sekundy, kiedy za szybą taksówki gasła zielona, potem kremowa poświata zmierzchu, a w spokojnym i cichym deszczu rozblęły zawoalowane światła szyldów: ogniście czerwone, widmowo zielone, błękitne jak gazowy płomień. Dochodziła szósta, na ruchliwych ulicach jaśniały bistra, a kiedy taksówka skrzyła na północ, przesunął im się przed oczami różowy, majestatyczny Place de la Concorde.

Na koniec wpatrywali się już tylko w siebie, szeptali imiona jak zaklęcia. Dwa imiona krążyły łagodnie w powietrzu, cichły wolniej niż inne słowa, niż inne imiona, wolniej niż dźwięcząca w uszach muzyka.

– Nie wiem, co mnie wczoraj wieczorem opętało – odezwała się Rosemary. – Ten kieliszek szampana? Nigdy tak nie postąpiłam, nigdy w życiu.

– Po prostu powiedziałaś, że mnie kochasz.

– Naprawdę cię kocham, nic na to nie poradzę. – Rosemary znowu zebrało się na łzy, więc popłakiwała w chusteczkę.

– Boję się, że i ja cię kocham – wyznał Dick. – To chyba nie najlepiej.

I znów imiona; potem osunęli się, jakby taksówka wzięła ostry zakręt. Wparła w niego piersi, jej usta odmienione i ciepłe należały teraz do obojga. Doznali ulgi wręcz bolesnej, przestali myśleć, przestali patrzeć; to, że oddychają i szukają się wzajemnie, było wszystkim. Oboje znaleźli się w łagodnej szarej krainie, w której króluje owoc zmęczenia i znękania: aksamitne oszołomienie, kiedy kłęby nerwów odprężają się jak zdejmowane struny fortepianu i nagle trzeszczą jak wiklinowe krzesła. Nerwy obolałe, odsłonięte, czułe muszą się wtedy zespolić z innymi nerwami, wargi z wargami, piersi z piersiami...

Oboje wciąż znajdowali się w szczęśliwszym stadium miłości. Pełni śmiałych, bajecznych złudzeń co do siebie, postrzegali zespolenie swoich „ja” w wymiarze niedostępnym dla innych związków ludzkich. Zdawało się obojgu, że znaleźli się przy sobie w stanie niespotykanej niewinności, jakby zetknął ich ciąg czystych przypadków, aż tyłu, że tak się to musiało wreszcie skończyć: ujawnieniem, że są stworzeni dla siebie. Zdążali do siebie z czystymi rękami, przynajmniej tak się im wydawało, niezbałamuceni jedynie ciekawością ani magią sekretu.

Tym tropem Dick nie mógł jednak zajść daleko; zawrócił, zanim dojechali do hotelu.

– Nic nie poradzę, trudno – wpadał w popłoch. – Kocham cię, ale wciąż się liczy to, co powiedziałem wczoraj.

– Teraz to bez znaczenia. Chciałam tylko sprawić, żebyś mnie pokochał, a skoro kochasz, to wszystko dobrze.

– Kocham, trudno i darmo. Nicole nie może o tym wiedzieć. Nic, ani cienia podejrzeń. Nicole i ja musimy być razem. Mniej ważne, czy chcemy; w jakiejś mierze ważniejsze, że musimy.

– Pocałuj mnie jeszcze.

Pocałował, lecz zaraz odsunął się.

– Nicole nie może cierpieć... kocha mnie i ja ją kocham... Sama rozumiesz.

Rozumiała; akurat była to dziedzina, którą dobrze rozumiała: ludzi nie wolno ranić. Wiedziała, że Diverowie kochają się, to była dla niej rzecz podstawowa. Myślała jednak, że to związek chłodny, w gruncie rzeczy podobny do miłości, która łączy ją z matką. Skoro ludzie tyle dają z siebie obcym, czy nie wskazuje to na jakiś brak energii między nimi?

Dick jakby czytał w jej myślach.

– Powiedziałbym, że kiedy miłość staje się działaniem, jest bardziej skomplikowana, niż zdołam ci wytłumaczyć. To przez miłość doszło do tego idiotycznego pojedynku.

– Jak się dowiedziałeś? Mieliśmy przed tobą trzymać język za zębami.

– Myślisz, że Abe zdoła zachować coś w sekrecie? – Była w tym zjadliwa ironia. – Możesz podzielić się tajemnicą z radiem, z brukowcem, ale nigdy z kimś, kto tankuje trzy albo cztery razy dziennie.

Zawtórowała śmiechem i przysunęła się bliżej.

– Moje stosunki z Nicole to skomplikowana historia. Nicole nie jest szczególnie mocna, owszem, wygląda na mocną kobietę, ale nią nie jest. W tym sęk.

– Och, to opowiesz później! Teraz mnie pocałuj... teraz mnie kochaj. Ja będę cię kochać i dopilnuję, żeby Nicole nic nie zauważyła.

– Moja słodka.

Dojechali do hotelu; Rosemary szła nieco z tyłu, chciała go podziwiać, pozachwycać się. Stapał śmigle, jakby właśnie dokonał wielkich czynów i śpieszył do kolejnych. Menedżer prywatnych radości, kurator bogato inkrustowanego szczęścia. Kapelusz wyglądał na nim idealnie, podobnie niesione w rękę masywna laska i żółte rękawiczki. Pomyślała, jak wspaniale mogliby wszyscy razem spędzić ten wieczór z Dickiem.

Szli po schodach, mieli zaś przed sobą pięć pięter. Na pierwszym podeście zatrzymali się i całowali, na następnym Rosemary była już ostrożna, na trzecim jeszcze ostrożniejsza. Na następnym – pozostawały jeszcze dwa – zastygła w pół pocałunku, by potem przed rozstaniem przelotnie musnąć Dicka. Nalegał, więc zeszli o piętro niżej na minutę, potem ruszyli z powrotem i jeszcze wyżej. W końcu na pożegnanie rozłączyły się ręce, rozplotły dłonie wczepione w balustradę. Dick zszedł na dół, zając się przygotowaniami do wieczoru, a Rosemary pobiegła do pokoju i napisała list; gryzło ją sumienie, bo nic a nic nie tęskniła za matką.

XVIII

Diverowie puszczali mimo uszu wyreżyserowane krzyki mody, sumiennie je lekceważyli, byli jednak zbyt przenikliwi, żeby ignorować jej rytm i wszechobecne pulsowanie; przyjęcia Dicka zawsze były podniecające, a haust świeżego nocnego powietrza tym cenniejszy, jeśli szczęśliwym trafem można go było zaczerpnąć w przerwie między jednym a drugim przypiływem atrakcji.

Tego wieczoru przyjęcie toczyło się z werwą godną komedii slapstickowej. Było ich dwanaścioro, było szesnaścioro, były kwartety wypuszczające się w oddzielnych samochodach na ekspresową odyseję po Paryżu. Przewidziane zostało wszystko. Ludzie dołączali do nich jak wyczarowani, w jakiejś fazie wieczoru towarzyszyli w roli specjalistów, bez mała przewodników, potem znikali, ustępując miejsca innym, wyglądało więc na to, że wszystkie te osoby świeżość całego dnia zaoszczędziły dla nich. Przyjęcie bardzo się różniło od hollywoodzkich, nawet najświetniejszych, i Rosemary to doceniała. Jednym z gwoździ programu był samochód szacha perskiego. Nie liczyły się pytania, gdzie Dick zarekwirował pojazd ani do jakiego musiał się uciec przekupstwa. Dla Rosemary był to tylko kolejny rozbłysk bajeczności, w którą od dwóch lat zamieniło się jej życie. Samochód zbudowano w Ameryce na specjalnym podwoziu. Miał posrebrzane koła i taką samą chłodnicę. Wnętrze obficie wysadzono błyszczącymi kamieniami, które w przyszłym tygodniu, kiedy wóz dotrze do Teheranu, nadworny jubiler ma zastąpić brylantami. W kabinie znajdował się z tyłu tylko pojedynczy fotel, bo szach musi podróżować sam; jeździli więc autem kolejno grupkami, siedząc na podłodze wysłanej kunim futrem.

Liczył się jednak Dick. Rosemary przemawiała do noszonego wciąż przed oczami obrazka matki i zapewniała, że nigdy, przenigdy

nie dane jej było spotkać kogoś tak czarującego jak Dick tego wieczoru. Porównywała go z dwoma Anglikami, których Abe śmiertelnie poważnie tytułował „major Hengest i pan Horsa”*, ze skandynawskim następcą tronu, z powieściopisarzem, który powrócił właśnie z Rosji, wreszcie z Abe'em popisującym się wielkim humorem, wreszcie z Collisem Clayem, który gdzieś do nich dołączył, i była pewna, że o porównaniach nie ma mowy. Zapał i bezinteresowność kryjące się za tą galą olśniły Rosemary; u Dicka sztuka wzruszania przeróżnych ludzi, zdanych na poświęcenie mu uwagi, jak unieruchomiony batalion wojska jest zdany na dostawy, wydawała się czymś łatwym i naturalnym; Dick dla każdego znalazł jakiś zaczerpnięty z głębi kęs swego najbardziej osobistego „ja”.

...Później przypominała sobie chwile, w których czuła się najszczęśliwsza. Najpierw, kiedy tańczyła z Dickiem, wiedząc, że jej uroda aż się skrzy na tle jego wysokiej mocnej postaci; płynęli, frunęli jak w zabawnym śnie, on ją obracał to w prawo, to w lewo, podpowiadając ruch tak delikatnie, że stawała się barwnym bukietem, pasmem cennej tkaniny rozpostartym przed dziesiątkami par oczu. Aż nadszedł moment, w którym już nie tańczyli, tylko przylgnęli do siebie. Nad ranem zaś znaleźli się sami; jej młode, wilgotne, kruche ciało, nie dbając o suknię, przywarło do niego i tak trwało, wtulone, mając za tło cudze okrycia i kapelusze.

Później nadeszła najzabawniejsza chwila, kiedy w sześcioro – zostali tylko najlepsi, szlachetne niedobitki wieczoru – znaleźli się w mrocznym frontowym holu u Ritza, zapewniając nocnego portiera, że stojący na zewnątrz generał Pershing zażąda zaraz kawioru i szampana.

– Nie będzie pobłażania dla zwłoki. Ma pod komendą wszystkich i wszystkie lufy armatnie.

* Hengest (Hengist) – na wpół bajeczny władca Kentu w V wieku, prawdopodobnie Jut (w starogermańskim *hengest* to „ogier”); Horsa („koń”) był jego bratem.

Spod ziemi wyrosli jak za skinieniem różdżki roztrzęsieni kelnerzy, w holu nakryto stół i oto w roli generała Pershinga wkroczył Abe, oni zaś wstali i na jego widok zaczęli mamrotać strzępy zapamiętanych pieśni wojskowych. Oszukani kelnerzy zrewanżowali się i zaczęli ich lekceważyć, więc towarzystwo skonstruowało z wszelkich dostępnych w holu sprzętów potrzask na kelnerów: ogromne, z polotem zaprojektowane urządzenie, przypominające w działaniu szaloną maszynę z komiksów Rube'a Goldberga. Na widok potrzasku Abe pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Może lepiej gdzieś ukraść piłę koncertową i... – powiedział.

– Starczy tego dobrego – przerwała Mary. – Kiedy Abe zaczyna o piłę, najwyższy czas iść do domu. – Zaniepokojona Mary zwierzyła się Rosemary: – Muszę go zabrać. O jedenastej odchodzi pociąg do portu. To takie ważne... Zdaje mi się, że cała przyszłość Abe'a zależy od tego, czy zdąży na ten pociąg, lecz ile razy się z nim spieram i coś radzę, on postępuje na odwrót.

– Spróbuję go przekonać – ofiarowała się Rosemary.

– Myślisz? – W głosie Mary brzmiało powątpiewanie. – Kto wie, może ci się uda.

Potem do Rosemary podszedł Dick.

– Idziemy z Nicole do domu i pomyśleliśmy, że może zechcesz się zabrać z nami.

Zwodnicza poświata zarania osiadła na twarzy Rosemary, bladej ze zmęczenia. Dwie niezdrowe ciemne plamy na policzkach widniały tam, gdzie za dnia rumieńce.

– Nie mogę – powiedziała. – Przyrzekłam Mary North, że zostanę z nimi, w przeciwnym razie Abe nigdy się nie położy. Może ty sobie z nim poradzisz?

– Nie wiesz, że z ludźmi nic się nie da zrobić? – pouczył. – Gdybym z Abe'em mieszkał w college'u w tym samym pokoju i gdyby Abe urządził się pierwszy raz, to co innego. Teraz szkoda mówić.

– Trudno, muszę zostać. Przynależę, że się położę, jeśli się wybierzemy z nim do Hal.

Pocałował ją szybko w zgięcie ramienia.

– Nie pozwólcie Rosemary wracać do domu samej – na odchodne zawołała Nicole do Mary. – Odpowiadamy za nią przed jej matką.

Później Rosemary, Northowie, pewien wytwórca gadających elementów do lalek, z Newark, wszędobylski Collis i wielki wspaniale przyrodziany Indianin George T. Horseprotection, beneficjent roponośnego terytorium, jechali wozem targowym na wielkim złożu marchwi. W ciemności słodko pachniała ziemia oblepiająca warzywa; Rosemary siedziała na stercie tak wysoko, że z trudem mogła dostrzec resztę towarzystwa pogrążoną w cieniu, z rzadka rozpraszanym światłami ulicznych lamp. Ich głosy dobiegały z dala, jakby doświadczała czego innego niż ona, innego i odległego, bo Rosemary w duchu była wciąż z Dickiem, żałowała, że jedzie oto z Northami, chciała być w hotelu, blisko Dicka śpiącego po drugiej stronie holu, a jeszcze bardziej, żeby Dick siedział teraz przy niej i żeby z góry spływał na nich ciepły mrok.

– Nie wchodzi tu – zawołała do Collisa – bo cała marchew się stoczy. – Rzuciła marchewką w Abe'a, który siedział obok furmana, sztywny jak starzec...

W końcu odwieźli ją do domu; było już całkiem jasno, nad kościołem Saint Sulpice krążyły pierwsze gołębie. Żywiołowo wybuchnęli śmiechem, bo przecież wiedzieli, że wciąż trwa noc, chociaż tym ludziom na ulicach wydaje się, że widzą jasny, upalny ranek.

Wreszcie byłam na szalonym przyjęciu – pomyślała Rosemary – ale bez Dicka to żadna uciecha.

Poczuła się trochę zdradzona, ogarnął ją smutek, lecz oto w polu widzenia pojawił się jakiś ruchomy obiekt. Był to ogromny kasztanowiec okryty kwiatami wieziony na Champs Élysées, załadowany na długą ciężarówkę i po prostu trzęsący się ze śmiechu, podobny do urodziwego człowieka wiezionego w jakiejś ośmieszającej pozycji, mimo to wciąż świadomego swej urody. Wpatrzona w zjawisko Rosemary utożsamiła się z nim, a na myśl o tym roześmiała się radośnie i oto nagle wszystko wydało jej się cudem.

XIX

Abe odjeżdżał z Gare Saint Lazare o jedenastej. Stał samotnie pod brudną szklaną kopułą, zabytkiem z lat siedemdziesiątych, z ery Crystal Palace. Popielate ręce, który to odcień zapewnia tylko dwudziestoczterogodzinna impreza, wetknął w kieszenie płaszcz, by ukryć trzęsące się palce. Nie miał kapelusza, więc widać było, że zaczesał do góry tylko wierzchnią warstwę włosów, ale włosy z warstw głębszych sterczały niepokornie. Trudno w nim było rozpoznać mężczyznę, który przed dwoma tygodniami pływał przy plaży Gausse'a.

Przyszedł za wcześnie i rozglądał się na boki, wodząc samymi oczami; nerwy Abe'a mogły nie wytrzymać próby uruchomienia innej części ciała. Obok przejechały nowiutkie bagaże, potem rozległy się posępne i przenikliwe nawoływania drobnych smagłych ludzi, zapewne przyszłych pasażerów:

– Biii-žuuu-uu-uu!

Zastanawiał się właśnie, czy zdaży wypić w bufecie jednego, a w dłoni tkwiącej w kieszeni zaciskał zwitek wyłuszczonej tysiącfrankówek, kiedy błędzące spojrzenie zastygło na widok Nicole u szczytu schodów. Wpatrywał się w nią: nawet nieznaczne zmiany mimiki były teraz odkrywaniem się, obnażaniem, jak sądzą ludzie, którzy czekają na kogoś i patrzą, sami jeszcze niedostrzeżeni. Marszczyła brwi zaprzątnięta myślami o dzieciach i nie tyle pyszniła się nimi, ile niemal po zwierzęcemu przeliczała jak kotka, która łapą sprawdza małe.

Wyraz jej twarzy zmienił się, kiedy dostrzegła Abe'a; z porannej poświaty tchnął smutek, Abe sprawiał ponure wrażenie, bo sińce pod oczami wzięły górę nad pasową opalenizną. Usiedli na ławce.

– Przyszłam, bo prosiłeś – zabrzmiało to asekuracyjnie.

Abe chyba zapomniał, dlaczego prosił, Nicole zaś zadowolona się obserwowaniem mijających ich podróźnych.

– O, tam, ta, którą żegnają ci mężczyźni... Na pewno zostanie piękną rejsu... Nie wiesz, dlaczego sprawiła sobie tę sukienkę? – Nicole mówiła coraz szybciej. – Nie wiesz, dlaczego coś takiego może kupić tylko piękność rejsu? Nie wiesz? Obudź się! To sukienka-opowieść, już ta wyjątkowa tkanina opowiada historię, no i podczas rejsu dookoła świata może się znaleźć ktoś na tyle samotny, że zechce opowieści wysłuchać.

Ostatnie słowa niemal połknęła. Mówiła za wiele, zwłaszcza jak na swoje zwyczaje. Gdyby Abe zechciał czytać z jej zamysłonej twarzy, mógłby uznać, że w ogóle się nie odezwała. Wyprostował się z wysiłkiem i przybrał postawę kogoś wstającego, chociaż wciąż siedział.

– Tamtego popołudnia, kiedy zabraliście mnie na ten śmieszny bal... pamiętasz, w St. Geneviève... – zaczął.

– Pamiętam. Wesoło było, prawda?

– Jak komu. Mnie nie. Mnie wasz widok wtedy nie zachwycał. Mam dość was obojga, czego nie widać, bo wy jeszcze bardziej macie dość mnie... wiesz, o co chodzi. Gdyby coś we mnie jeszcze iskrzyło, rozejrzałbym się za innymi ludźmi.

Aksamitne rękawiczki Nicole zaczęły się pruć:

– To głupie, Abe, że się robisz niemiły – odpaliła bez namysłu. – Zresztą nie mówisz serio. Nie mogę pojąć, dlaczego kapitulujesz na całej linii.

Abe drażył pytanie, zarazem powstrzymując kaszel i chęć wytarcia nosa.

– Już mnie to nudzi; a żeby gdzieś zejść, musiałbym się cofnąć kawał drogi.

Mężczyzna często odgrywa przed kobietą bezradne dziecko, z reguły bez powodzenia, jeśli naprawdę się poczuł bezradnym dzieckiem.

– To żadne tłumaczenie – szorstko odrzekła Nicole.

Z minuty na minutę Abe czuł się gorzej, umiał się zdobyć jedynie na uszczypliwości i rozdrażnienie. Nicole postanowiła przybrać pozę poprawności, siedzieć z rękami na kolanach i patrzeć przed siebie. Przez chwilę nie łączyła ich żadna nić porozumienia, każde mknęło byle dalej od drugiego, jakby oddychało innym powietrzem pod innym niebem, niewidocznym dla tego drugiego. W przeciwieństwie do pary kochanków nie mieli przeszłości, w przeciwieństwie do pary małżeńskiej nie mieli widoków na przyszłość, mimo to aż do dzisiejszego poranka Nicole lubiła Abe'a bardziej niż innych – jeśli nie liczyć Dicka – Abe'a zaś od lat do szpiku kości przepelniała i trwożyła miłość do Nicole.

– Mam dość świata kobiet – odezwał się nagle.

– To dlaczego nie zbudujesz własnego?

– Mam po dziurki w nosie przyjaciół. Wystarczą pochlebcy i to jest to.

Nicole próbowała zmusić wzrokiem wskazówkę minutową dworcowego zegara do okrążenia tarczy.

– Mam rację? – wypytywał.

– Jestem kobietą. Do mnie należy jednoczenie.

– A do mnie darcie wszystkiego na strzępy.

Przestraszona, zdeprimowana odrzekła chłodno:

– Pijąc, drzesz na strzępy tylko siebie. – Dworzec zapełniał się, lecz nie zjawiał się nikt znajomy. Z wdzięcznością utkwiała wzrok w wysokiej dziewczynie o włosach koloru słomy okrywających głowę

jak hełm; wrzucała właśnie list do skrzynki. – Widzę dziewczynę, z którą muszę pomówić. Abe, obudź się, cymbale!

Cierpliwie odprowadzał ją wzrokiem. Młoda kobieta najwyraźniej spłoszona obróciła się i przywitała Nicole; Abe już gdzieś ją widział w Paryżu. Skorzystał z nieobecności Nicole, rozkaszał się konwulsyjnie i głośno wysiakał nos. Rankiem pocieplało, mokrą od potu bieliznę mógłby wykręcać. Ręce trzęsły mu się tak gwałtownie, że zdołał zapalić papierosa dopiero czwartą zapalką; wizyta po drinka w bufecie jawiła się jako konieczność, ale tymczasem wróciła Nicole.

– Błąd – powiedziała cierpko. – Najpierw mnie błaga, żeby przyjść, żeby się spotkać, a teraz uciera mi nosa. Popatrzyła na mnie jak na trędowatą. – Rozdrażniona, zachichotała jakoś za wysoko.

Abe już wydobrał po napadzie nikotynowego kaszlu.

– Kłopot w tym – zauważył – że na trzeźwo człowiek nie ma ochoty nikogo oglądać, a kiedy się urźnie, to nikt na niego nie chce patrzeć.

– O kogo chodzi, o mnie? – Nicole znów się roześmiała; spotkanie sprzed chwili nie wiadomo czemu ją rozbawiło.

– No nie, chodzi o mnie.

– Właśnie, mów za siebie. Ja lubię ludzi, mnóstwo ludzi... lubię...

Pojawiły się Rosemary i Mary North; szły powoli, rozglądały się za Abe'em, Nicole przywitała je co sił w płucach:

– Hallo, hej, hej! – Śmiała się wrzaskliwie, wymachując kompletem chusteczek kupionych dla Abe'a.

Stały razem skrępowane, przytłoczone majestatyczną obecnością Abe'a: leżał pomiędzy nimi niczym wrak galeonu, a okoliczność, że się tu znajduje, górowała nad jego słabością, brakiem umiaru, ograniczeniami i zgorzknieniem. Były świadome, że

z Abe'a emanuje godność i dostojęństwo, były świadome jego osiągnięć: może cząstkowych, dwuznacznych i już prześcignionych. Ale też przerażała je niezgasła wola Abe'a: niegdyś wola życia, teraz przeistoczona w wolę śmierci.

Zjawił się Dick Diver i wniósł tę swoją piękną, promienną powierzchowność, do której z okrzykiem ulgi trzy kobiety przyłgnęły jak małpki przysiadające to na ramieniu, to na wieńczącym Dicka pięknym kapeluszu bądź złotej gałce u laski. Przynajmniej na chwilę mogły teraz zlekceważyć monumentalnie nieprzyzwoite widowisko, jakie zrobił z siebie Abe. Dick szybko ocenił sytuację i łagodnie przejął nad nią kontrolę. Odciągnął wszystkich od zajmowania się sobą, zainteresował dworcem, wskazał jego piękności. Paru Amerykanów w pobliżu żegnało się słowami „do widzenia”; brzmienie i melodia frazy przypominały bulgot wody wlewanej do starej wielkiej wanny. Stali na dworcu; zwrócenie do Paryża tyłem, jakby już wychyleni ku morzu przechodzili transoceaniczną zmianę: oto kotłownia atomów formowała się w prymarną molekułę nowego ludu.

Tak więc wlewali się na dworzec, zapełniali perony zamożni Amerykanie, obnosząc nowe, nacechowane szczerością twarze, inteligentni i baczni, bezmyślni bądź obmyśleni przez innych. W oczy rzucała się zaraz zabłąkana między nimi ostra twarz angielska. Pierwsze wrażenie – nieskazitelności i pieniędzy – zaczęło się zacierać i przemieniać, kiedy na peronie zebrało się już wielu Amerykanów; sprawiali wrażenie bezkształtnego obłoku, którego substancją jest rasa, a ów obłok na równi mącił jasność spojrzenia ich samych i widzów.

Nicole chwyciła Dicka za ramię, krzycząc:

– Zobacz!

Obróciwszy się w porę, Dick zdołał zobaczyć wydarzenia najbliższych trzydziestu sekund. Przy wejściu do trzeciego z kolei pulmana rozgrywała się przejmująca scena, odmienna od po-

zostałych pożegnań. Młoda kobieta o fryzurze przypominającej hełm, ta sama, do której jeszcze przed chwilą podeszła Nicole, teraz jakoś dziwnie odsunęła się od mężczyzny, do którego coś mówiła, rozdygotaną dłoń zanurzyła w torebce, a potem powietrze na wąskim, zatłoczonym peronie przeszył trzask dwóch strzałów z pistoletu. Jednocześnie wszystkim wwiertł się w uszy gwizd parowozu i pociąg ruszył z miejsca, natychmiast pomniejszając wymowę strzałów. Nieświadomy tego, co zaszło, Abe pomachał z okna swemu towarzystwu. Zanim tłum zasłonił miejsce zdarzenia, dostrzegli, że strzały dosięgły celu, mężczyzna osunął się na peron.

Minał wiek, nim pociąg się zatrzymał; Nicole, Mary i Rosemary czekały na obrzeżu, Dick przepchnął się przez tłum. Wrócił po pięciu minutach, tymczasem tłum podzielił się już na dwie grupy; jedna towarzyszyła mężczyźnie na noszach, druga poblądłej dziewczynie, pewnie kroczącej między rozsierzdzonymi żandarmami.

– To Maria Wallis – spiesznie wyjaśniał Dick. – Postrzeliła jakiegoś Anglika... Namordowali się, sprawdzając kogo, bo przestrelała paszport. – Szybko oddalali się od pociągu, wraz z falującym tłumem. – Dowiedziałem się, na który komisariat ją prowadzą, więc tam pójdę.

– Przecież jej siostra mieszka w Paryżu – sprzeciwiła się Nicole. – Może trzeba do niej zadzwonić? Bardzo dziwne, że nikt na to nie wpadł. Jej mężem jest Francuz, więc może wskórać więcej niż my.

Dick zawahał się, pokręcił głową i ruszył.

– Zaczekaj! – zawołała Nicole. – To nonsens. Co tam zwojujesz twoim francuskim?

– Przynajmniej dopilnuję, żeby się wobec niej zachowali przyzwoicie.

– Na pewno ją przymkną – żywo zapewniła Nicole. – Strzelała do człowieka.

Dick wciąż nie ulegał; zresztą popisывał się przed Rosemary.

– Zaczekajcie – zakomenderowała Nicole i pośpieszyła do budki telefonicznej.

– Kiedy Nicole przejmuje sprawę – w głosie Dicka ironia mieszała się z czułością – inni nic już nie mają do powiedzenia.

Po raz pierwszy tego ranka zwrócił uwagę na Rosemary. Wymienili spojrzenia, próbując wypatrzyć ślad wczorajszych przeżyć. Przez chwile wydawali się sobie nawzajem jakąś nierzeczywistością, potem z wolna wsłuchali się na nowo w ciepły pomruk miłości.

– Lubisz wszystkim pomagać – powiedziała Rosemary – prawda?

– Tylko tak udaję.

– Mama każdemu chętnie pomoże, chociaż, rzecz jasna, nie zdoła pomóc tylu ludziom co ty. – Westchnęła. – Czasami myślę, że jestem największą egoistką na świecie.

Napomknienie o matce po raz pierwszy raczej Dicka rozdrażniło, niż rozbawiło. Chciał z tego wszystkiego wyrugować matkę, całą ich przygodę wyprowadzić z dziecinnego pokoju, której to miary uparcie trzymała się Rosemary. Uświadomił sobie jednak, że to sygnał świadczący o utracie panowania nad sytuacją. Czym staną się gwałtowne uczucia Rosemary wobec niego, jeżeli on pozwoli sobie chociażby na chwilę wytchnienia? Nie bez popłochu dostrzegł, że przygoda zastyga, a przecież tu niemożliwy jest bezruch, coś takiego musi się rozwijać albo więdnąć; po raz pierwszy pojął, że tu Rosemary cieszy się większą niż on swobodą pociągania za sznurki.

Nie zdążył się zastanowić, co dalej, bo wróciła Nicole.

– Dodzwoniłam się do Laury. Nic nie wiedziała. Potem mówiła to cicho, to głośno, jakby miała zemdleć, ale zaraz brała się w garść. Jak twierdzi, była przekonana, że dziś rano coś się stanie.

Dick starał się łagodnie przywrócić spokój:

– Maria powinna się zaangażować u Diagilewa. Świetnie czuje scenerię, nie mówiąc o poczuciu rytmu. Czy ktoś z nas zdoła jeszcze patrzeć na odjeżdżający pociąg, nie słysząc jednocześnie paru strzałów?

Z tupotem schodzili po szerokich stalowych schodach.

– Żal mi nieszczęśnika – powiedziała Nicole. – Pewnie dlatego odezwała się do mnie tak dziwnie... Szykowała się do kanonady.

Roześmiała się, w ślad za nią Rosemary, chociaż obie były przerażone i obie w duchu życzyły sobie, żeby Dick wygłosił jakiś komentarz, jakąś ocenę; żeby nie zostawiał ich z wydarzeniem sam na sam. Nie całkiem zdawały sobie sprawę z tej chęci, zwłaszcza Rosemary przyzwyczajona, że po jakimś wybuchu odłamki świsną koło ucha i na tym się skończy. Tymczasem ten wstrząs utkwiał w niej, uciskał całym ciężarem. Niestety, Dick zbyt wstrząśnięty odkryciem nowego uczucia i jego energii, przez chwilę nie był w stanie tak ująć zdarzeń, żeby nie wystawały poza ramy wakacyjnej bez troski, a kobiety, którym czegoś zabrakło, wydały się dziwnie przygnębione.

Potem, jakby nic się nie stało, życie Diverow i ich przyjaciół splotło się z tętnem ulic.

A jednak stało się wiele, ba, wszystko: wyjazd Abe'a i nieuchronnie zbliżający się popołudniowy wyjazd Mary do Salzburga zamykały okres spędzony w Paryżu. Może wstrząs i te strzały kończące Bóg wie jak mroczną historię kładły kres ich paryskim wakacjom? Pociski przeszyły całe ich życie: echo tragedii dobiegło ich na ulicy; czekali na taksówkę, a obok dwaj portierzy roztrząsali szczegóły.

– *Tu as vu le revolver? Il était très petit, vraie perle... un jouet.*

– *Mais assez puissant!* – odrzekł z powagą drugi portier. – *Tu as vu sa chemise? Assez de sang pour se croire à la guerre.**

* Widziałeś rewolwer? Maleństwo, prawdziwa masa perłowa, zabaweczka. (...) Maleństwo, ale nic mu nie brak. Widziałeś koszulę? Krwi jak na wojnie (fr.).

XX

Wyszli na plac przed dworcem, w kłęby rozognionych w lipcowym słońcu samochodowych spalin. Okropność, przed którą – w przeciwieństwie do zwykłego wiejskiego upału – nie sposób uciec, bo dalej było to samo: dławiący odór na drodze. Podczas lunchu pod gołym niebem naprzeciwko Ogrodów Luksemburskich Rosemary dokuczało drętwienie mięśni, rozdrażnienie, zniecierpliwienie, jakieś znużenie; wstępem do tego stanu było, jeszcze na dworcu, oskarżanie się o samolubność.

Dickowi nawet nie przyszło do głowy, że w Rosemary zaszła nagle taka zmiana; czuł się głęboko nieszczęśliwy, a przyływ egotyzmu raz po raz czynił go ślepym na wydarzenia i tłumił te nieustanne rozbłyski wyobraźni, dzięki którym kształtował swe sądy.

Wpierw pożegnała ich Mary North; jej włoski nauczyciel śpiewu przysiadł się do nich na kawę, a teraz zabierał Mary do pociągu. Po niej wstała Rosemary ze względu na wytwórnę, jak zapewniła, musi bowiem poznać „pewnych ludzi z zarządu”.

– No i to jeszcze – dodała – że gdyby wpadł tu Collis Clay, ten chłopak z Południa... Gdyby was jeszcze zastał, powiedzcie po prostu, niech nie czeka, niech zadzwoni jutro.

Zbytnią beztroską, w reakcji na niedawny wstrząs, Rosemary przypisała sobie przywileje przysługujące dziecku, skutek był zaś taki, że przypomniała Diverom o własnych dzieciach, o tej miłości niedzielonej z nikim, i doczekała się zwięzłej a ostrej reprimendy.

– Lepiej zostaw wiadomość u kelnera. – Głos Nicole brzmiał surowo, bez zwykłej melodyjności. – Zaraz wychodzimy.

Rosemary przełknęła ripostę bez urazy.

– Będzie, co będzie. Do widzenia, kochani.

Dick poprosił o rachunek. Diverowie ochłonęli. Zamyśleni pogryzali wykałaczkę.

– No cóż... – odezwali się jednocześnie.

Dick dostrzegł na twarzy Nicole błysk niezadowolenia tak przelotny, że tylko on mógł to zauważyć; mógł także udać, że nic nie widzi. Co też myśli Nicole? Rosemary była jedną z tych parunastu osób, o które Dick „zadbał” w ostatnich latach. Zaliczali się do nich klaun z francuskiego cyrku, Abe i Mary Northowie, para tancerzy, pisarz, malarz, aktorka z Grand Guignolu, na wpół zwariowany pedał z Baletów Rosyjskich, rokujący nadzieje tenor obdarowany przez Diverow rocznym stypendium w Mediolanie. Nicole wiedziała dobrze, jak serio traktują ci ludzie zainteresowanie Dicka nimi i jego zapal; pamiętała też, że Dick od chwili ślubu nie spędził bez niej ani jednej nocy, wyjąwszy połogi. Z drugiej strony, był kimś bardzo ujmującym, a taki talent aż się prosi o wykorzystanie; ci, którym dany jest zmysł zjednywania innych, nie trzymają go w ryzach, przywiązują ludzi do siebie, nie myśląc wcale o pożytkach.

Teraz Dick zamknął się jednak, chociaż mijały minuty, nie zdobył się na żaden gest świadczący o więzi, o tym, co wciąż ich zaskakiwało: że razem stanowią jedno.

Collis Clay przeciskał się między ciasno ustawionymi stolikami i – południowiec – nonszalancko powitał Diverow. Dicka zawsze wprawiały w osłupienie pozdrowienia ograniczone do okrzyku „hej!”, lub odezwanie się do jednej tylko osoby z nich dwojga. Tak dalece taktowny, że w chwilach apatii wolał nie pokazywać się ludziom, wszelkie niedbalstwo w swym towarzystwie poczytywał za napaść na własny styl życia.

Nieświadomy gafy Collis obwieścił na początek:

- Chyba się spóźniłem... Bo ślicznotka odfrunęła.

Dick musiał się przemóc; chłopak bezwzględnie powinien zacząć od paru uprzejmości pod adresem Nicole.

Nicole zaraz wyszła, Dick zaś siedział z Collisem, dopijając wino. Właściwie Collis mu się podobał, był „powojenny”; mniej dokuczliwy w kontakcie niż większość południowców, których Dick poznał w New Haven przed dziesięcioma laty. Nie bez rozbawienia słuchał wywodów Collisa, czemu towarzyszyło powolne, staranne nabijanie fajki. Wczesnym popołudniem dzieci z opiekunkami maszerowały do Ogrodów Luksemburskich; Dick po raz pierwszy od miesiący darował sobie reżyserowanie tej części dnia.

Nagle zdrętwiał, pojmując, co wygaduje Collis w napadzie zwierzeń:

- ...Wcale nie jest taka oziębła, jak się zdaje. Zgoda, przez dłuższy czas myślałem, że to ryba. Tylko że na Wielkanoc jechała z Nowego Jorku do Chicago z moim przyjacielem i mieli sęki... Taki chłopak, Hillis; w New Haven zaszumiało jej w głowie, że przystojniak... Miała przedział z moją kuzynką, ale chcieli z Hillisem być sami, więc kuzynka przyszła do mojego przedziału i po południu graliśmy w karty. Po jakichś dwóch godzinach idziemy tam, a Rosemary i Bili Hillis wyklócają się z konduktorem na korytarzu, Rosemary blada jak ściana. Wyszło na to, że zamknęli drzwi, opuścili roletę, a kiedy zapukał konduktor, bo przyszedł sprawdzać bilety, tam chyba odchodziła jakaś poważna robota. Nie wpuszczali go, bo myśleli, że to my i robimy sobie hecę, a kiedy już otworzyli, był nieźle wkurzony. Spytał Hillisa, czy to jego przedział i czy są z Rosemary małżeństwem, skoro się zamknęli. Hillis stawał na głowie, próbował wmówić, że nie było nic złego, potem czepił się tego konduktora, że obraża Rosemary, brał się do bitki... Dopiero by konduktor zrobił aferę... Wierz mi, miałem koszmarną przeprawę, zanim to wyciszyłem.

Wyobrażając sobie każdy szczegół, zazdroszcząc tej parze nawet wspólnoty w tarapatach na korytarzu, Dick poczuł, że coś w nim się zmienia. Starczyło wyobrazić sobie kogoś innego – cóż z tego, że już go nie ma – kto wkracza w stosunki Dicka z Rosemary, żeby wytrącić Dicka z równowagi, napełnić falami bólu, żalości, pożądania i rozpacz. Widział wyraźnie dłoń na policzku Rosemary, słyszał przyśpieszone oddechy; patrzył z zewnątrz na to ich rozpalenie do białości stopione z nienaruszalnym tajemnym ciepłem w środku.

Mogę opuścić roletę?

Opuść. Tu jest za jasno.

Collis Clay opowiadał teraz, tak samo afektowanym tonem, o korporacjach studenckich w New Haven. Dick się domyślił, że Collis kocha się w Rosemary na swój sposób, dla Dicka niepojęty. Najwyraźniej przygoda z Hillisem nie wywarła na chłopcu większego wrażenia, poza radosnym odkryciem, że Rosemary jest ludzką istotą z krwi i kości.

– Fantastyczne branie mają teraz Czachy* – powiedział. – Szczerze mówiąc, wszyscy mamy. New Haven tak przybrało na wadze, że kłopot z tymi, których już nie możemy przyjąć.

Mogę opuścić roletę?

Opuść. Tu jest za jasno.

...Pieszko przemierzona przestrzeń Paryża, potem bank; podczas wypisywania czeku Dick zerkał na rząd biurek i urzędników, zastanawiając się, do kogo podejść. W miarę pisania coraz bardziej pochłaniała go sama czynność, starannie obejrzał pióro, potem pracowicie kaligrafował przy wysokim pulpicie pokrytym taflą szkła. Uniósł wzrok i spojrzeniem wilgotnych lśniących oczu obrzucił dział pocztowy, potem znów stłumił rozterki i skupił się na swym zajęciu.

* Trupia Czaszka (Skuli and Bones) – stowarzyszenie studentów i absolwentów Yale University w New Haven.

Wciąż jeszcze nie wybrał urzędnika, któremu przedłoży czek; nie wiedział, kto w tym rządzie mężczyzn okaże się najmniej domyślny, jeśli chodzi o strapienia Dicka, i najmniej rozmowny. Oto Perrin, układny nowojorczyk, który zapraszał Dicka na lunch do American Club, oto Casusus, Hiszpan, z którym zazwyczaj rozprawiali o pewnym wspólnym przyjacielu, nie zważając na fakt, że ów przyjaciel zniknął Dickowi z oczu kilkanaście lat temu, oto Muchhause, który zawsze pyta, czy Dick chce podjąć pieniądze żony czy własne.

Dick wypisał sumę, podkreślił ją dwukrotnie i postanowił podejść do młodego Piercea; temu wystarczy skromne przedstawienie. Co do przedstawień, to łatwiej na ogół przychodzi je odegrać, niż oglądać.

Wpierw podszedł jednak do stanowiska pocztowego; na widok urzędniczki, która biustem popchnęła kartkę, niemal strącając ją z biurka, Dick się zadumał, oto, jak bardzo różni kobiety od mężczyzn posługiwanie się ciałem. Wziął listy, odszedł i zaczął je otwierać. Znalazł rachunek z niemieckiej firmy za siedemnaście książek psychiatrycznych, rachunek z paryskiej księgarni Brentano, list z Buffalo od ojca, którego pismo z roku na rok stawało się coraz mniej czytelne, potem kartkę od Tommy'ego Barbana z pieczętą z Fezu wypełnioną żarcikami, następnie dwa listy od lekarzy z Zurychu pisane po niemiecku, sporny rachunek od sztukatora z Cannes, list od wydawcy pisma medycznego z Baltimore, przeróżne zaproszenia, w tym na wernisaż pewnego początkującego malarza; były wreszcie trzy listy do Nicole i jeden do Rosemary, przesłany z pocztą Dicka.

Mogę opuścić roletę?

Dick podszedł do Pierce'a, ten jednak obsługiwał jakąś kobietę, zatem Dick uznał, że trudno i darmo, musi podać czek Casasusowi przy sąsiednim biurku, przy którym nie było klientów.

– Jak się masz, Diver? – dobrodusznie zagadnął Casusus i wstał; wraz z uśmiechem rozciągnął się nawet wąs urzędnika. –

Rozmawialiśmy tu kiedyś o Featherstonie i zaraz pomyślałem o tobie: jest teraz w Kalifornii.

Dick wytrzeszczył oczy i pochylił się ku rozmówcy.

– W Ka-li-for-nii?

– Tak słyszałem.

Dick nie opuszczał ręki z czekiem, chcąc na nim skupić uwagę Casasusa, patrzył zaś w bok w stronę Pierce'a i wymieniał z nim porozumiewawcze spojrzenia; były aluzją do dawnego żartu sprzed trzech lat, kiedy Pierce romansował z pewną litewską contessą. Pierce odpowiedział znad biurka szerokim uśmiechem, tymczasem Casasus potwierdził czek i nie miał już powodu zatrzymywać Dicka, którego lubił, więc wstał z *pince-nez* w ręku i powtórzył:

– Otóż to, w Kalifornii.

Dick zauważył, że Perrin przy pierwszym biurku rozmawia z mistrzem świata wszechwag; Perrin łypnął okiem, bo pewnie chciał przywołać Dicka i przedstawić go czempionowi, w końcu się jednak rozmyślił.

Casasus nie miałby nic przeciw dalszej rozmowie, lecz Dick się odizolował, osłonił skupieniem, które przećwiczył przy szklanym pulpicie: wpatrywał się w czek, przestudiował go, następnie przeniósł wzrok na zagadnienia wielkiej wagi za pierwszym marmurowym filarem, na prawo od bankowca; sprawą poważną było też wzięcie laski i kapelusza oraz zabranie listów. Pożegnał się i wyszedł. Portiera zjednął sobie już dawno temu; do krawężnika podjechała taksówka.

– Do wytwórni Films Par Excellence Studio; to na uliczce w Passy. Proszę jechać do Murette. Tam wytłumaczę, co dalej.

Wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin wytrąciły go z równowagi do tego stopnia, że nie wiedział właściwie, czego chce; taksówkarzowi zapłacił w Murette, do studia poszedł piechotą, lecz

zanim dotarł do budynku, szedł drugą stroną ulicy. Oto dystyn-
gowany, pod każdym względem świetnie ubrany człowiek kieruje się
impulsami i popędem jak zwierzę. Pewnie, mógł odzyskać poczucie
godności, burząc przeszłość, wysiłki ostatnich sześciu lat.
Energicznie okrażał kwartał, kompletnie ogłupiały jak wyrostek z
książek Tarkingtona*, przyspieszał pod ślepymi ścianami, żeby tylko
nie rozminąć się z Rosemary wychodzącą ze studia. Okolica tchnęła
melancholią. W sąsiedztwie studia zobaczył napis *1000 chemises***.
Wystawę zapełniały złożone w stosy, ozdobione krawatami,
wypchane lub udrapowane z tandetnym wdziękiem w gablotach
koszule: *1000 chemises***. Któż je zliczy? Po przeciwległej stronie
napisy *Papeterie, Pâtisserie, Solde, Réclame...* i podobizna Constance
Talmadge*** w *Déjeuner de Soleil*. Kolejne napisy miały bardziej
ponury charakter *Vêtements Ecclésiastiques, Déclaration de Décès* i
Pompes Funèbres. Życie i śmierć.

Wiedział, że oto znalazł się w punkcie zwrotnym, bo to, co robi,
kłóci się ze wszystkim, co robił dotychczas, ba, nawet na Rosemary
może wyrzucić wrażenie odwrotne do zamierzonego. Rosemary
uważa go za wzór doskonałości, tymczasem wałęsanie się tutaj to
natręctwo. Lecz takie właśnie zachowanie było echem rzeczywistości
ukrytej głębiej: rządził nim przymus; otóż ma tędy wędrować, stać
tu, stać tam; oto on, Dick – o perfekcyjnie przyciętych rudych
włosach, w tej marynarce o rękawie jak tuleja idealnie dopaso-
wanym do rękawa koszuli, w kołnierzu okalającym szyję, z
nieskazitelnymi mankietami na nadgarstkach i godną dandysa
teczuszką w ręku – przypomina teraz innego, który uznał, że musi
stanać u wrót kościoła w Ferrarze we włosiennicy, z głową posypaną
popiołem. Dick płacił daninę rzeczom, które nie pozwolą o sobie

* Booth Tarkington (1869-1946) – amerykański pisarz, dramaturg i aktor;
popularne i docenione powieści Tarkingtona doczekały się wersji filmowych.

** 1000 koszul, Papeteria, Cukiernictwo, Wyprzedaż, Reklama, Ulotne barwy,
Stroje kościelne, Świadeństwo zgonu, Uroczystości żałobne.

*** Constance Talmadge (1897-1973) – gwiazda kina niemego.

zapomnieć, nie dadzą się pomniejszyć i nie ustąpią swego miejsca na świecie.

XXI

Po trzech kwadransach pętania się Dick niespodziewanie dał się komuś omotać. Wdał się w rozmowę, co należało do kategorii zdarzeń przytrafiających się w chwili, w której człowiek nie chce nikogo oglądać. Dick czasem chronił swą podatną na zranienia nieśmiałość tak rygorystycznie, że często chybiał celu: był jak aktor, który gra rolę zdawkowo i przez to sprawia, że oczy widzów właśnie zwracają się ku niemu i to on zaczyna skupiać uwagę oraz emocje, przez co buduje most nad wyrwą, której ani myślał zasypać. Podobnie my: rzadko współczujemy ludziom potrzebującym naszego współczucia, wręcz błagającym o nie, zachowujemy je zaś dla tych, którzy umieją w nas innymi sposobami wzbudzić współczucie wyidealizowane. Dick mógłby sam rozgryźć zajście, które nastąpiło. Przemierzał rue de Saintes-Ange, kiedy zagadnął go Amerykanin około trzydziestki, o pociągłej twarzy naznaczonej ponurym uśmiechem i sprawiający wrażenie okrytego bliznami. Chciał ognia, a Dick – już z zapalniczką w ręce – ocenił, że to typ znany mu od wczesnej młodości: gość, który się kręci po sklepikach z tytoniem i z łokciem na ladzie przygląda się wchodzącym i wychodzącym, z pomocą Bóg wie jak wątlej drobiny świadomości. Bywa zadomowiony w warsztatach samochodowych, gdzie omawia podejrzone interesy przyciszonym głosem, w zakładach fryzjerskich, w poczekalniach kin; Dick w każdym razie wpisywał go w takie miejsca. Twarz aż się prosiła o udział w co potworniejszych komiksach Tada*; w dzieciństwie Dick zerkał często i niespokojnie na mroczne pogranicze zbrodni, podłoże tych opowiadań.

* Rysownik T.A. Dorgan (TAD) publikował komiksy w nowojorskiej prasie od roku 1903.

– I jak ci się widzi Paryż, kolego? – Nie czekając na odpowiedź, próbował iść w takt kroków Dicka. – Skąd jesteś? – zachęcał do rozmowy.

– Z Buffalo.

– Ja z San Antone... Ale tkwię tu od wojny.

– Wojskowy?

– Powiedzmy, że eks. Osiemdziesiąta czwarta dywizja. Może słyszałeś o takiej jednostce?

Teraz mężczyzna wyprzedził Dicka i utkwiał w nim wzrok; właściwie czaiła się w nim groźba.

– Przycupnąłeś na chwilę w Paryżu, stary? Czy tylko przejazdem?

– Przejazdem.

– I w którym to hotelu mieszkamy?

Dick roześmiał się w duchu; osobnik najwyraźniej zamierzał przetrząsnąć mu w nocy pokój. Na razie jednak z łatwością rozszyfrował podejrzenia Dicka i wcale się nie stropił.

– Przy twojej budowie, kolego, nie bałbym się takiego gościa jak ja. Tu się pęta cała masa szumowin, którzy tylko patrzą, jak puknąć Amerykanina, ale mnie się nie bój.

Dick przystanął znudzony.

– Jak to jest, że możesz tak marnować czas?

– Mam tu zajęcie, robię w Paryżu interesy.

– Branża?

– Sprzedaję gazety.

Kontrast między natarczywym zachowaniem a nieszkodliwym zajęciem wydawał się niedorzeczny; mężczyzna dodał:

– Nie przejmuj się; w zeszłym roku zarobiłem masę forsy, brałem po dziesięć albo dwadzieścia franków za „Sunny Timesa”, który kosztuje sześć.

Ze zmaltretowanego portfela wyjął wycinek z gazety i podał Dickowi, który stał się, chcąc nie chcąc, współtowarzyszem spaceru; rysunek przedstawiał potok Amerykanów spływający po trapie liniowca załadowanego złotem.

– Dwieście tysięcy... Co lato przepuszczają dziesięć milionów.

– I co tu robisz, w Passy?

Kompan Dicka rozejrzał się czujnie na boki.

– Filmy – odrzekł chmurnie. – Mają tu amerykańską wytwórnię. I potrzebują typów mówiących po angielsku. Czekam, może coś się nawinie.

Dick odprawił go spieszenie i stanowczo.

Najwyraźniej Rosemary albo umknęła już na początku tych rund wokół kwartału, albo wyszła jeszcze wcześniej, zanim się zjawił; poszedł więc do bistra na rogu, kupił ołowiany żeton i wciśnięty we wnękę między kuchnią a cuchnącą ubikacją zadzwonił do Roi George. Usłyszał w swym oddechu groźną zapowiedź Cheyne'a-Stokesa, ale symptom, jak wszystko, nakazał ulegać uczuciu. Podał numer hotelu i stojąc ze słuchawką, gapił się na kawiarnię; po chwili jakiś dziwnie brzmiący, radosny głos odezwał się:

– Halo.

– Tu Dick... Musiałem zadzwonić.

Zamilkła. Potem podjęła jego ton i śmiało, nie kryjąc uczuć, odrzekła:

– Cieszę się, że zadzwoniłeś.

– Poszedłem pod wytwórnię, bo chciałem cię spotkać... Jestem w Passy, naprzeciw studia. Myślałem, że moglibyśmy w powrotnej drodze pojechać przez Lasek Buloński.

– Och, byłam w studiu tylko chwilę! Taka szkoda.

Cisza.

– Rosemary...

– Tak, Dick.

– Posłuchaj, przeżywam w związku z tobą coś niesłychanego. Kiedy dziecko może namieszać w głowie panu w średnim wieku... zaczynają się trudności.

– Pan w średnim wieku to nie ty, Dick; jesteś najmłodszą istotą na świecie.

– Rosemary? – Znowu zapadła cisza, a Dick przyglądał się półce, na której spotkały się co podlejsze francuskie trucizny: butelki otarda, rumu St. James, Marie Brizzard, Punch Orangeade, André Fernet Blanco, Cherry Rocheta i armaniaku.

Mogę opuścić roletę?

– A jak myślisz, z kim mogę być?

– Jestem właśnie w, takim stanie. Chciałbym teraz być z tobą.

Cisza, potem westchnienie, wreszcie odpowiedź:

– Dobrze by było.

Po tamtej stronie linii jest jakiś pokój hotelowy, napelnia go tkliwa muzyka; Rosemary leży:

A drugi łyk

Błyszczący złociście

Chcę wypić w mig

Już w twym towarzystwie*

No i wspomnienie drobiny pudru na jej opaleniznie, kiedy obsypywał pocałunkami jej twarz, wspomnienie wilgoci we włosach na skroni, na szyi, wspomnienie twarzy bielącej się pod jego własną, łuku ramion...

– To niemożliwe – powiedział do siebie. Po chwili był zaś na ulicy i maszerował, trudno powiedzieć, czy do Muette, czy w przeciwną stronę, nieodmiennie z tęczuszką i laską o złotej gałce, trzymaną jak miecz.

Rosemary wróciła do biurka i dokończyła list do matki.

„...Widziałam go tylko przez moment, lecz moim zdaniem wyglądał bosko. Rozkochałam się w nim. (Oczywiście, jest też Dick, TO JEGO KOCHAM NAJBARDZIEJ, ale wiesz, o co chodzi). Naprawdę ma kręcić film, rusza zaraz do Hollywoodu i chyba my też powinnyśmy wyjechać. Jest tu wciąż Collis Clay. Owszem, lubię go, ale nie widywaliśmy się za często z powodu Diverów, bo oni są naprawdę NIEZIEMSCY, chyba NAJMILSI, jakich poznałam. Dziś się czuję nieszczęśliwie, wzięłam lekarstwo, prawdę mówiąc niepotrzebnie. Nawet nie próbuję Ci opisać wszystkiego, co się zdarzyło, opowiem, KIEDY SIĘ ZOBACZYMY!!! Więc kiedy dostaniesz ten list, depeszuj, depeszuj, depeszuj! Czy przyjedziesz tu, na północ, czy ja mam jechać z Diverami na południe?”

* Vincent Youmans i Irving Caesar, *Herbatka we dwoje* – przekład Wojciecha Młynarskiego.

O szóstej Dick zadzwonił do Nicole.

– Planujesz coś konkretnego? – spytał. – Masz może ochotę na jakąś spokojną imprezę: obiad w hotelu, a potem teatr?

– A ty? Zrobimy, jak zechcesz. Przed chwilą dzwoniłam do Rosemary, właśnie je obiad u siebie. Jak myślisz, chyba nam wszystkim zalazło to za skórę?

– Mnie nie zalazło – zaprotestował. – Kochanie, jeżeli tylko czujesz się na siłach, to zróbmy coś, wymyślmy. Chyba że pojedziemy na południe, a tam przez tydzień będziemy się zastanawiać, dlaczego nie spotykamy Bouchera. Lepsze to, niż się zamartwiać...

Strzelił gafę; Nicole zjeżyła się:

– Czym się zamartwiać?

– Marią Wallis.

Zgodziła się na teatr. Utarło się między nimi, że winni się czuć na siłach zawsze i wobec wszystkiego; przekonali się, że dni – jako całość – stają się w ten sposób lepsze, a wieczory bardziej uporządkowane. Kiedy dotykał ich czasem brak werwy, co nieuchronne, winili innych o znużenie lub ospałość. Przed wyjściem – a wyglądali na najpiękniejszą parę Paryża – delikatnie zapukali do Rosemary. Nie doczekawszy odpowiedzi, uznali, że śpi, i wyszli wprost w ciepły rozkrzyczany paryski wieczór; usadowieni w cieniu w barze Fouqueta popijali wermut z tonikiem.

XXII

Nicole obudziła się późno; zanim zdołała rozdzielić splątane we śnie długie rzęsy, mruczała coś jeszcze do pierzchających zjaw. Łóżko Dicka było puste i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że budzi ją pukanie do drzwi saloniku.

– *Entrez!* – zawołała; nie usłyszawszy odpowiedzi, wślizgnęła się w szlafrok, podeszła do drzwi i otworzyła.

Za progiem stał *sergent de ville*. Pełen szacunku wszedł do środka.

– Chodzi o pana Afghana Northa. Czy znajduje się tutaj?

– Słucham? Ależ skąd, wyruszył do Ameryki.

– Kiedy, *madame*?

– Wczoraj rano.

Pokręcił głową, a ruchy wskazującego palca nabrały wigoru.

– Ostatnią noc spędził w Paryżu. Zameldowany w tym hotelu, lecz w pokoju nikogo nie ma. Poradzono mi pytać tutaj.

– Bardzo to dziwne, pożegnaliśmy się na dworcu, przed pociągiem do portu.

– Całkiem możliwe, ale tutaj widziano go dziś rano. Widziano nawet jego *carte d'identité*. Tak się to przedstawia.

– Nic nie wiemy – zapewniła zdumiona.

Zastanawiał się. Był przystojnym mężczyzną o odpychającym zapachu.

– Nie mieliście państwo z nim do czynienia ubiegłej nocy?

– Ależ skąd.

– Przymknęliśmy Murzyna. Zdaje się, że w końcu przymknęliśmy właściwego Murzyna.

– Naprawdę nie mam pojęcia, o co chodzi. Jeżeli ma pan na myśli znanego nam pana Abrahama Northa, to cóż, jeżeli był w Paryżu ostatniej nocy, nie wiedzieliśmy o tym.

Policjant ssał górną wargę; skinął przekonany, ale rozczarowany.

– A co się stało? – wypytywała Nicole.

Rozłożył ręce i wydał usta. Potem puścił oko do Nicole, bo zaczął dostrzegać jej urodę.

– Co tu gadać, *madame*. Typowa letnia sprawka. Pan Afghan North został obrabowany i złożył skargę. Przyskrzyniliśmy kogo trzeba. Teraz pan Afghan powinien przyjść, rozpoznać szubrawca i wnieść oskarżenie.

Nicole owinęła się ciasniej szlafrokiem i co żywo odprawiła policjanta. Wykapala się i ubrała, wciąż myśląc o wydarzeniu. Tymczasem minęła dziesiąta; zadzwoniła do Rosemary, lecz nikt nie odebrał telefonu; potem zadzwoniła do recepcji, gdzie powiedziano, że istotnie, Abe zameldował się o wpół do siódmej rano. Niemniej pokój jak dotąd jest pusty. Licząc na to, że czegoś się dowie od Dicka, cierpliwie siedziała w saloniku hotelowego apartamentu, a kiedy miała już dość czekania i postanowiła wyjść, odezwał się telefon z recepcji.

– Mysteh Crawshow, *un nègre*.

– O co chodzi? – spytała.

– Powiada, że zna panią i doktoha. I że ten ahesztowany mysteh Fheeman, kocha wszystko, co żyje, nie mógłby skrzywdzić nawet muchy. Mówi, że się dzieje niesprawiedliwość. Koniecznie

chce rozmawiać z mystem Norrthem, zanim jego samego zaahesztują.

– O niczym nie mamy pojęcia – Nicole odżegnała się od sprawy i rzuciła słuchawkę.

Uprzytomniła sobie, jak bardzo ją zmęczył chaotyczny tryb życia Abe'a. Odsunęła myśli o tym niepojętym powrocie, o Abie i wyszła do miasta; u krawcowej wpadła na Rosemary, potem obie ruszyły na rue de Rivoli, gdzie nakupiła sztucznych kwiatów i sznurów kolorowych koralików. Pomogła Rosemary wybrać brylant dla matki, sekundowała przy kupnie paru szalików i ekscentrycznych papierośnic na prezenty dla kalifornijskich kolegów z branży. Z kolei Nicole kupiła synowi greckie i rzymskie żołnierzyki, istną armię za ponad tysiąc franków. Znowu wydawały pieniądze po swojemu i znowu Rosemary podziwiała, jak je wydaje Nicole. Bo po Nicole widać było pewność, że wydaje własne pieniądze, natomiast Rosemary wciąż miała wrażenie, że jej pieniądze to jakaś magiczna pożyczka, więc należy się z nimi obchodzić bardzo ostrożnie.

Co za frajda buszować po sklepach w obcym mieście pełnym słońca, kiedy zdrowe ciała przydają twarzom barw, kiedy elastycznie poruszają się ramiona i dłonie, nogi i stopy, a każdy gest lub krok zdradza pewność siebie kobiet zapierających mężczyznom dech w piersiach.

W hotelu zastały Dicka, promienne i świeże jak poranek, przeżywające chwilę dziecięcej, niczym niezmaconej radości.

Przed chwilą dzwonił Abe; mimo zniekształceń wynikało z rozmowy, że Abe spędził przedpołudnie w ukryciu.

– Nie pamiętam, kiedy odbierałem tak dziwaczny telefon. Otóż Dick rozmawiał z Abe'em, a zarazem z kilkunastoma ludźmi. Tych nadliczbowych przedstawiano mniej więcej tak:

– ...Chce z panem gadać gość, który od podszewki zna sprawę Teapot Dome*, mówi, że w tym tkwił... zaraz, o co chodzi?

– Hej tam, zamknij dziób... Człowiek się w każdym razie umoczył i za diabła nie może wracać do domu. Bo gdyby mnie ktoś pytał... Moim zdaniem gość miał... – Ktoś właśnie zdrowo pociągnął, sprawa kolegi pozostała zaś zagadką.

Zaraz potem złożono propozycję dodatkową:

– To powinno do pana przemawiać, skoro z pana psycholog. – Indywiduum nadal tkwiło przy telefonie, lecz już nie przemówiło do Dicka ani jako psychologa, ani nikogo innego. Natomiast rozmowa z Abe'em toczyła się następująco:

– Halo?

– Wszystko gra?

– Gra. Halo?

– Kim pan jest?

– No właśnie. – Nakładało się na to parskanie śmiechem.

– Dobrze, w porządku, zaraz dam ci kogoś do telefonu.

Dick chwilami słyszał Abe'a, prócz tego odgłosy jakiejś przepychanki, rzucania słuchawki, dobiegające z daleka urywki w rodzaju:

– Nie, panie North, ja tego nie zrobię...

W końcu ktoś zuchwały i pewny siebie palnął:

– Jeżeli jesteś pan przyjacielem Northa, to przyjedź pan i zabierz go.

* Chodzi o głośną aferę. Należące do stanu Wyoming pole naftowe zwane – od wyglądu wzgórza – Teapot Dome, trafiło w roku 1922 w ręce prywatnych przedsiębiorców w następstwie korupcji; łańcuch decyzji sięgał Białego Domu.

W tym momencie wtrącił się Abe, z namaszczeniem, wyniośle, tonem wyrażającym nade wszystko zawziętość.

– Dick, rozpętałem zamieszki rasowe na Montmartre. Idziemy teraz na więzienie, wyciągnąć Freemana. Jeżeli taki Murzyn z Kopenhagi, wytwórca pasty do butów... halo, słyszysz mnie... w porządku, uważaj, jeżeli ktoś przyjdzie... – W słuchawce znowu zabrzmiała symfonia niezliczonych głosów i odgłosów.

– Dlaczego wróciłeś do Paryża? – Dick domagał się wyjaśnień.

– Bo kiedy dojechałem do Évreux, postanowiłem złapać z powrotem samolot, więc mogłem w ten sposób porównać Évreux z St. Sulpice. Nie o to mi chodzi, żeby St. Sulpice przenieść z powrotem do Paryża. Nie chodzi mi nawet o barok! Chodzi mi o St. Germain. Na miłość boską, poczekaj jeszcze chwilę, dam ci do telefonu boya.

– Na miłość boską, nie.

– Słuchaj... Mary wyjechała bez problemów?

– Bez.

– Dick, chcę, żebyś pogadał z gościem, którego tu rano poznałem, to syn oficera marynarki, odwiedził już wszystkich lekarzy w Europie. Pozwól, że ci o nim opowiem...

W tym momencie Dick się rozłączył i może okazał się niewdzięcznikiem; w końcu machina jego umysłu potrzebowała paliwa.

– Abe bywał taki miły – powiedziała Nicole do Rosemary. – Taki miły. Dawno temu, kiedy pobraliśmy się z Dickiem. Gdybyś go wówczas znała... Przyjeżdżał do nas, tkwił całymi tygodniami, a my właściwie nie odczuwaliśmy, że ktoś jest w domu. Grywał, siadywał w bibliotece przy fortepianie, odprawiał z nim godzinne miłosne sesje, na tłumiku, lewym pedale... Dick, pamiętasz jeszcze tę pokojówkę? Ubrdało jej się, że Abe to duch; czasem spotykał ją w

holu i muczał na nią, raz kosztowało nas to cały serwis do herbaty, czym zresztą nikt się nie przejął...

Ileż zabawy, i od jak dawna. Rosemary zazdrościła im tych radości, wyobrażała sobie ich życie jako ciągle święto, jakże niepodobne do jej bytowania. O życiu wolnym od pracy i obowiązków miała niewielkie pojęcie, żywiła zaś wobec niego respekt, jak ci, którzy nigdy go nie zasmakowali. Uważała je za rodzaj wypoczynku, nie wiedząc, że do beztroski i odprężenia bywa Diverom równie daleko jak jej.

– Co się z nim stało? – spytała. – Dlaczego musi pić?

Nicole pokręciła głową.

– Dziś stacza się tylu zdolnych ludzi. – Nie poczuwała się do odpowiedzialności.

– A kiedy się nie staczali? – spytał Dick. – Ludzie zdolni ciągle próbują przeskoczyć siebie, bo muszą; niektórzy nie wytrzymują i odpadają.

– To musi tkwić gdzieś głębiej. – Nicole nie porzucała wątku; Dick ją rozdrażnił, spierając się przy Rosemary. – Tacy artyści... powiedzmy jak Fernand, nie muszą się zalewać. Dlaczego akurat Amerykanie się wykańczają?

Wobec bezliku możliwych tłumaczeń Dick postanowił zostawić pytanie bez odpowiedzi, niech nadal tryumfalnie dźwięczy w uszach Nicole. Nabierał wobec niej mocno krytycznego nastawienia. Chociaż uważał, że jest najbardziej pociągającą istotą, chociaż dawała mu wszystko, czego potrzebował, już czuł nadciągającą z dala bitwę i nieświadomie okopywał się, zbroił z godziny na godzinę. Niechętnie sobie pobłażał, a w tej chwili pobłażania sobie poczuł się niewdzięcznikiem; łudził się, że Nicole dostrzega u niego najwyżej tylko radosne ożywienie na tle Rosemary i nic więcej. Czego i tak nie był pewien, bo ubiegłego wieczoru w teatrze Nicole ostentacyjnie traktowała Rosemary jak dziecko.

We troje jedli lunch na dole. Klimat tworzyły grube dywany i grubi kelnerzy; żadną miarą nie przypominali ludzi, którzy wczoraj podczas kolacji podawali pierwszorzędne jedzenie, wybijając nogami quick-steps. Tu siedziały amerykańskie rodziny, przypatrywały się innym amerykańskim rodzinom i próbowały nawiązać jakąś rozmowę.

Przy sąsiednim stole siedziało towarzystwo, którego nie umieli sklasyfikować. Rej wodził wylewny młody mężczyzna podszyty urzędniczą manierą, powtarzający czy-nie-ma-pani-nic-przeciw-temu, resztę grupki stanowiły ze dwie dziesiątki kobiet. Nie były stare ani młode, nie sposób było je zaliczyć do jakiejś kategorii społecznej, mimo to sprawiały wrażenie zwartej grupy, trzymały się bliżej niż na przykład grupa żon usiłujących przeczekać zawodową konferencję mężów. Wyraźniej stanowiły całość niż wszelkie wycieczki.

Instynkt podszeptał Dickowi, żeby się ugryźć w język i zachować dla siebie drwinę, która akurat mu przyszła do głowy; zamiast tego poprosił kelnera, żeby się czegoś wywiedział.

– To Matki Złotej Gwiazdy – wyjaśnił kelner. – Kobiety po-ległych.

Zareagowali okrzykiem, ciszej bądź głośniejszym. Oczywiście Rosemary nabiegły łzami.

– Pewnie te młodsze to żony – powiedziała Nicole.

Znad kieliszka wina Dick spojrzał na nie raz jeszcze; teraz w tych pogodnych twarzach, w atmosferze godności spowijającej i przenikającej tę grupkę dostrzegał całą dojrzałość starszej Ameryki. Rozważne i stateczne kobiety, które przyjechały uczcić swych zmarłych, swą nieodwracalną stratę, sprawiły, że całe pomieszczenie przez chwilę wypiękniało. I oto Dick znowu siedział na kolanach ojca, słuchał opowieści o wojnie domowej, miał wrażenie, że bierze w niej udział, a wokół ścierają się te stare cnoty, wierność i po-

święcenie. Niemal z wysiłkiem znów spojrział na dwie kobiety przy swoim stole i stanął oko w oko z tym nowym światem, w który wierzył.

Mogę opuścić roletę?

XXIII

W barze u Ritza, gdzie poszukał sobie azylu, Abe tkwił od dziewiątej rano. Okna były otwarte, szerokie strugi światła niezmordowanie demaskowały kurz wzbijający się z dywanów i poduszek, po korytarzach pomykali chłopcy hotelowi; zdawało się przez chwilę, że wolni i odcieleśnieni fruną. Po przeciwległej stronie bar dla pań, ze stolikami, wydawał się maleńki, nie mieściło się w głowie, że po południu zdoła gościć tłumy.

Jeszcze nie zjawił się przesławny Paul, koncesjonariusz lokalu, natomiast Claude oderwał się od przeglądu zapasów i bez zbędnych uwag przyrzadził Abe'owi coś przywracającego do pionu. Abe usiadł pod ścianą. Po dwóch drinkach poczuł się lepiej, na tyle, że dojrzał do fryzjera, gdzie kazał się ogolić. Wróciwszy do baru, zastał Paula, który zdążył zajechać i nienagannie zaparkować zrobione na zamówienie auto przy Boulevard des Capucines. Paul lubił Abe'a i podszedł pogadać.

– Tego ranka miałem być na statku i ruszyć do domu – powiedział Abe. – To znaczy wczorajszego, zresztą licha wie kiedy.

– To dlaczego pan nie wypłynął? – spytał Paul.

Abe się namyślał, aż w końcu znalazł powód.

– Czytam powieść w odcinkach drukowaną w „Liberty”; w Paryżu ukaże się właśnie numer z następnym odcinkiem, więc jeśli odpłynę, to mi przepadnie; już nigdy go nie przeczytam.

– Widocznie jakaś nadzwyczajna historia.

– Ist-ny-kosz-mar.

Rozbawiony Paul roześmiał się, rozparł w fotelu i odezwał po chwili:

– Jeżeli naprawdę chce pan wyjechać, panie North, to pańscy przyjaciele odpływają jutro *France*... Pan, jak on się nazywa... no i Slim Pearson. Pan... niech pomyśle... wysoki, świeżo zapuszczona broda...

– Yardly – podrzucił Abe.

– No właśnie, pan Yardly. Obaj odpływają *France*.

Paul ruszył do swoich zajęć, lecz Abe próbował go zatrzymać.

– Dobra myśl, gdyby nie to, że muszę jechać przez Cherbourg. Tamtędy jechały bagaże.

– Odbierze pan w Nowym Jorku.

Abe stopniowo przekonywał się do tej logiki; ostatnio wcale chętnie oddawał się pod cudzą opiekę, co – innymi słowy – pozwalało dłużej cieszyć się nieodpowiedzialnością.

Tymczasem do baru zawinęli inni goście; jako pierwszy ogromny Duńczyk, którego Abe kiedyś już spotkał. Gość wybrał krzesło po drugiej stronie salki; Abe miał wrażenie, że facet spędzi tu cały dzień na popijaniu, lunchu, pogawędkach bądź czytaniu gazet. Poczul chętkę przetrzymania Duńczyka. O jedenastej przysypało studentów; żeby nie dawać powodu do uwag, stąpali ostrożnie jak w sklepie z porcelaną. Mniej więcej wtedy Abe polecił hotelowemu chłopcu zadzwonić do Diverow, a zanim rozmówił się z Dickiem, już się znaleźli inni przyjaciele, a wtedy Abe'owi przyszło do głowy, żeby połączyć wszystkich naraz z różnych aparatów, ze skutkiem może nazbyt całościowym. Chwilami nękała go myśl, że powinien się ruszyć i uwolnić z paki Freemana, ale odpędzał od siebie wspomnienie wszelkich faktów jak nocną zmoreę.

O pierwszej w barze zrobiło się tłoczno; w nieustającym rozgwarze kelnerzy robili swoje, nie pozwalając klientom zapomnieć o drinkach ani rachunku.

– To były dwa stingery... i jeszcze jeden... dwa martini, potem jeden... i to już wszystko, panie Quarterly... w sumie trzy kolejki. To będzie siedemdziesiąt pięć franków, panie Quarterly. Pan Schaeffer powiedział, że tamto będzie na jego rachunek... a to ostatnie na pański... Mogę zrobić tylko tak, jak pan mówi... Dziękuję bardzo.

W tym zamieszaniu Abe stracił miejsce; teraz stojąc, nieco chwiejnie, wdał się w rozmowę z paroma nowo poznanymi ludźmi. Jakiś terier okręcił mu wokół nóg smycz, lecz Abe zdołał się spokojnie wyplatać, następnie skąpał się w potoku wyrazów ubolewania. Potem zaproszono go na lunch, lecz podziękował. Stąd ledwie krok do Briglith, wyjaśniał, on zaś musi załatwić coś w Briglith. Później z wyszukaną grzecznością alkoholika, podobną do manier więźnia lub kamerdynera, pożegnał przygodnego rozmówcę, a obróciwszy się, zauważył, że rozgardiasz w barze ustał równie raptownie, jak się zaczął.

Naprzeciwko Duńczyk z kolegami zamówili lunch. Abe też zamówił, lecz ledwie tknął. Potem po prostu usiadł i błogo zanurzył się w przeszłości. Drink sprawił, że dawne przyjemne wydarzenia stały się terażniejszością, pozornie toczyły się nadal, nawet wdzierały w przyszłość, jakby miały powrócić.

O czwartej podszedł boy.

– Czy chciałby się pan zobaczyć z pewnym kolorowym gościem? Nazywa się Jules Peterson.

– Boże! Jakim cudem mnie znalazł?

– Ja nie mówiłem, że pan tu jest.

– Więc kto? – Głowa osunęła mu się między kieliszki, lecz zaraz potem Abe wziął się w garść.

– Mówi, że już przeszukał wszystkie bary i hotele z Amerykanami.

– Powiedz, że mnie nie ma... – Boy zawrócił, a wtedy Abe poprosił: – Może przyjść?

– Dowiem się.

Boy zagadnął odwróconego Paula. Ten zerknął przez ramię. Potem pokręcił głową, uważniej przyjrzał się Abebwi i podszedł.

– Przykro mi; nie mogę do tego dopuścić.

Abe z trudem wstał i wyszedł na rue Cambon.

XXIV

Zostawiwszy w komisariacie Siódmej Dzielnicy wiadomość dla Marii Wallis podpisaną „Dicole” – tak wraz z Nicole sygnowali swe listy i notki w zaraniu miłości – Richard Diver ze skórzaną teczuszką w dłoni wyruszył do zakładu bieliźniarskiego, gdzie pracownicy uwijali się wokół niego ponad miarę pozostawianych tu przezeń pieniędzy. Krępowali go ci zapatrzeni w niego biedni Anglicy, zapatrzeni w eleganckie zachowanie i aurę człowieka pławiącego się w bezpieczeństwie; krępowano go, kiedy prosił krawca o zebranie cała materiału na rękawie. Potem pomaszerował do baru Crillon, gdzie napił się kawy i dzinu, w sam raz, na dwa palce.

Wchodząc do hotelu, miał wrażenie, że hole są nienaturalnie świetliste, dopiero wychodząc, zrozumiał, że to na dworze pociemniało. O czwartej nastąpiła popołudniowa noc, nadleciała wichura, a delikatne liście na Champs Élysées dygotały jak szalone, szumiały, śpiewały, spadały. Dick skręcił w rue de Rivoli i pod arkadami mijając dwie przecznice, szedł po pocztę do swego banku. Potem wziął taksówkę i przy akompaniamencie pierwszych kropli bębniących po dachu ruszył przez Champs Élysées, samotny ze swą miłością.

Jeszcze o drugiej na korytarzu hotelu Roi George, patrząc to na Nicole, to Rosemary, miał wrażenie, że porównuje urodę dziewczyny malowanej przez Leonarda z urodą dziewczyny portretowanej przez gazetowego rysownika. A teraz, jak opętany przez duchy, strwożony, ruszył w tę ulewę; targających nim namiętności starczyłoby dla wielu mężczyzn, nic już nie wydawało się proste.

Rosemary otwierała drzwi przepelniona uczuciami, o których istnieniu wiedziała tylko ona. Stała się – jak mówią niekiedy – „małą diablicą” przez dwadzieścia cztery godziny nie umiała ze sobą dojść do ładu, cały czas nurzała się w chaosie, jakby jej przeznaczenie stanowiło układankę: tu korzyści, tam nadzieje, teraz uszczypliwość wobec Dicka, potem wobec Nicole, wobec matki, wobec spotkanego wczoraj reżysera, jak przeliczane na sznurku paciorki.

Już ubrana, kiedy pukał Dick, przyglądała się ulewie, myśląc o pewnym wierszu i potokach wody rwących ulicami Beverly Hills. Otworzywszy drzwi, zobaczyła w Dicku zjawisko nienaruszalne i boskie, jakim bywają starsi w oczach młodszych, zobaczyła kogoś nieprzekształcalnego, integralnego. Dick zaś poczuł na jej widok nieuniknione rozczarowanie. Trzeba było chwili, zanim uświadomił sobie oczywistą słodycz uśmiechu Rosemary i to, że każdy fragment jej ciała przypomina pąk gotów zaraz rozkwitnąć. Przez otwarte drzwi łazienki dostrzegł nawet odcisk mokrej stopy na chodniczku.

– Miss Wytwórni Television – powiedział beztrósco, chociaż do beztróski było mu daleko.

Na toaletce położył rękawiczki i walizeczkę, laskę oparł o ścianę. Wysunięty podbródek odwracał uwagę od śladów bólu widocznych wokół ust, przepędzał te ślady na czoło, w kąci ust, jakby chodziło o lęk, którego nie wolno okazać.

– Chodź bliżej, siądź mi na kolanach – powiedział cicho. – Niech się zajmę twymi ślicznymi ustami.

Podeszła i siadła, jak prosił, deszcz za oknami już nie był tak rześisty, krople – kap, kap ka-ap, ka-aa-aap – padały coraz rzadziej; Rosemary przytknęła wargi do pięknego i zimnego obrazu, który sama sobie stworzyła.

Całowała Dicka raz po raz; jej twarz blisko jego twarzy ogromniała, Dick jeszcze nigdy nie widział czegoś tak oszalamiającego, doskonałego jak jej skóra, a ponieważ piękno przywołuje czasem na

myśl najszlachetniejsze wątki, pomyślał o swej odpowiedzialności wobec Nicole, o tym, że teraz jest zaledwie o parę drzwi dalej, w głębi korytarza.

– Przeszło padać – powiedział. – Widzisz słońce na dachówkach?

Rosemary wstała, nachyliła się i powiedziała ze szczerego serca:

– Ależ z nas aktorzy, z ciebie i ze mnie.

Podeszła do toaletki, wzięła grzebień, by zabrać się do czesania, a wtedy rozległo się niespieszne, lecz natarczywe pukanie do drzwi.

Oboje zamarli, pukanie nie ustawało; nagle Rosemary uświadomiła sobie, że drzwi nie są zamknięte, więc jednym pociągnięciem grzebienia uporządkowała włosy, skinęła na Dicka, ten zaś szybkim szarpnięciem wygładził łóżko, na którym siedzieli przed chwilą, i ruszył do drzwi. Tonem naturalnym i spokojnym, nie za głośno odezwał się:

– ...więc powiem Nicole, że nie czujesz się na siłach i nie wyjdiesz do miasta, a ten ostatni wieczór spędzimy bardzo kameralnie.

Środki ostrożności okazały się zbyteczne, bo dwie figury u progu sprawiały wrażenie tak znękanych, że mogły się zajmować tylko sobą. Byli to Abe, który w ciągu dwudziestu czterech godzin postarzał się o miesiące, i bardzo zalękniony, niespokojny czarnoskóry mężczyzna; Abe przedstawił go jako pana Petersona ze Sztokholmu.

– Z mojej winy znalazł się w okropnej sytuacji – powiedział Abe.
– Potrzebujemy sensownej rady.

– Chodźcie do nas – powiedział Dick.

Abe upierał się, że Rosemary też im powinna towarzyszyć, więc przez hol przeszli do apartamentu Diverow. Pochód zamykał Jules

Peterson, drobny, szacowny Murzyn, podobny do tych układnych, którzy w dawnych stanach Konfederacji służą dziś republikanom za listek figowy.

Okazało się, że pan Peterson został formalnie uznany za świadka awantury na Montparnasse, do której doszło wczesnym rankiem; poszedł z Abeem na komisariat i potwierdził, że jakiś Murzyn, którego zidentyfikowanie było sednem sprawy, wyrwał Abe'owi z ręki tysiącfrankowy banknot. Abe z Petersonem wrócili do bistra w towarzystwie policjanta i nazbyt pochopnie wskazali jako sprawcę Murzyna, który – co ustalono w ciągu godziny – zaszedł do lokalu już po wyjściu Abe'a. Policja dodatkowo skomplikowała sytuację, aresztowali bowiem Freemana, znanego czarnego restauratora, który na początku zajścia wynurzył się z alkoholowych oparów, a potem przepadł. Rzeczywisty sprawca, który – jak zeznali przyjaciele – tylko zarekwirował pięćdziesięciofrankowy banknot, żeby zapłacić za drinki zamówione przez Abe'a, jeszcze raz pojawił się na miejscu później, w roli poniekąd złowieszczej.

Krótko mówiąc, zaledwie w ciągu godziny Abe zdołał się wplątać w życiorysy oraz sprawy sumienia i uczuć jednego Afro Europejczyka oraz trzech Afroamerykanów z francuskiej Dzielnicy Łacińskiej. Natomiast perspektywy wyplątania się wyglądały gorzej niż mizernie i oto cały już dzień upłynął pod znakiem obcych murzyńskich twarzy ni stąd, ni zowąd wyskakujących w nieoczekiwanych miejscach, wychylających się z nienacka zza jakiegoś rogu, oraz natarczywych murzyńskich głosów rozbrzmiewających w słuchawce.

Sam Abe umknął z powodzeniem przed wszystkimi, z wyjątkiem Jules'a Petersona. Ten znalazł się niejako w sytuacji dobrego Indianina, który wspomógł białego. Murzyni, którzy ucierpieli z powodu zdrady, ścigali nie tyle Abe'a, ile Petersona, temu zaś bardzo zależało na ochronie, którą mógł zapewnić Abe.

W Sztokholmie Peterson był drobnym producentem pasty do butów, w tej roli poległ i teraz pozostał mu tylko przepis oraz stosowne narzędzia mieszczące się w pudełku; niemniej wczesnym rankiem nowy protektor przyrzekł, że rozkręci mu na nowo firmę w Wersalu. Były szofer Abe'a był tam szewcem i Abe na dobry początek wręczył Petersonowi dwieście franków.

Rosemary słuchała tych zawiłości z odrazą; trzeba było bardziej rubasznego poczucia humoru, żeby zagustować w takiej grotesce. Ów człowieczek ze swą przenośną fabryczką, jego nieszczerze spojrzenie, oczy, którymi trwożnie toczył, raz po raz łyskając białkami, dalej, widok Abe'a z twarzą tak rozlaną, że niemal ginał jej szlachetny zarys – to wszystko ją odstręczało jak choroba.

– Zależy mi tylko na szansie, nie proszę o nic więcej – mówił Peterson z tą szczególną melodią zdania, czystą i zarazem fałszywą, typową dla krajów kolonialnych. – Moja metoda jest prosta, a przepis na tyle dobry, że wypędzono mnie ze Sztokholmu, zrujnowano tylko dlatego, że nie chciałem go odsprzedać.

Dick uprzejmie go wysłuchał, ale iskierka zainteresowania wkrótce zgasła; Dick zwrócił się teraz do Abe'a.

– Znajdź sobie jakiś hotel i połóż się. Kiedy już dojdiesz do siebie, zajrzy tam pan Peterson.

– Nie zdajesz sobie sprawy, w jakie tarapaty popadł pan Peterson? – zaprotestował Abe.

– Poczekam w holu – taktownie zaproponował Murzyn. – Zapewne niełatwo panom omawiać sprawę w mojej obecności.

Zwięźle sparodiował kontynentalny ukłon, następnie zniknął; Abe ciężko i powoli dźwignął się na nogi jak ruszający parowóz.

– Chyba dzisiaj nie mogę liczyć na burzliwe brawa.

– Brawa to drobiazg, gorzej z obliczalnością. Radziłbym ci zniknąć z tego hotelu – powiedział Dick – jeżeli masz ochotę, to trasą

przez bar. Idź do Chamborda, a jeśli bardzo ci zależy na obsłudze, to do Majestika.

– Nie myślę się narzucać, ale nalałbyś może drinka?

– Na górze nie mamy ani kropli – skłamał Dick.

Zrezygnowany Abe podał rękę Rosemary, powoli wciągał na twarz stosowną minę i długo ujmował dłoń Rosemary, komponując zdania, których wszakże nie zdołał wyekspediować z ust.

– Jesteś najbardziej... jedną z najbardziej...

Zrobiło się jej żal Abe'a, widok jego brudnych rąk odpychał, ale zaśmiała się uprzejmie i powodowana dobrym wychowaniem udała, że mężczyzna ruszający się niemrawo jak lunatyk to dla niej postać najzwyczajniejsza. Ludzie często okazują pijanym jakiś dziwaczny szacunek, co przypomina szacunek ludów prymitywnych okazywany obłąkanym. Właśnie raczej szacunek niż lęk. Człowiek, który się wyzbył wszelkich zahamowań i zdolny jest do wszystkiego, budzi nabożny podziw. Rzecz jasna, za tę chwilę wywyższenia, za to, że nam zaimponował, każemy mu potem zapłacić.

Abe wystosował do Dicka ostatni apel:

– Jeżeli pójdę do hotelu, wyparzę się, wyczeszę zgrzeblem, prześpię i przepędzę tych wszystkich Senegalczyków... Czy wtedy mógłbym przyjść wieczorem i przycupnąć przy kominku?

Dick skinął głową, raczej szyderczo niż zgodliwie.

– Masz wysokie mniemanie o swoich obecnych możliwościach.

– Gdyby tu była Nicole, na pewno pozwoliłaby mi wrócić.

– No dobrze. – Dick podszedł do stelaża na walizy i przyniósł na stół pudło z bezlikiem kartonowych liter.

– Przyjdź, to zagramy w anagramy.

Zawartość pudła przyprawiła Abe'a o wstręt, jakby kazano mu zjeść te litery, niczym jakieś płatki.

– Co za anagramy? Mało mnie już spotkało dziwnych...

– Bardzo spokojna gra. Uczy pisowni. Składasz z liter jakieś słowa... Byle nie „alkohol”.

– Dam głowę, że ty wiesz, jak się pisze „alkohol” – Abe pogrzebał w kartonikach. – Czy mogę wrócić, jeśli potrafię poprawnie złożyć słowo „alkohol”?

– Jeśli chcesz zagrać w anagramy, to możesz wrócić.

Zniechęcony Abe pokręcił głową.

– Nie ma sensu, skoro jesteś w takim humorze. Tylko bym przeszkadzał. – Z wyrzutem pogroził palcem Dickowi. – Ale pamiętaj, co powiedział Jerzy III, że skoro Grant jest pijany, to niechby już pogryzł innych generałów*.

Wyszedł, rzuciwszy Rosemary ostatnie rozpaczliwe spojrzenie złocistym kątem oka. Odetchnął na korytarzu, widząc, że Petersona już nie ma. Zagubiony, bezdomny ruszył z powrotem do Paula zapytać, jak się nazywa ów statek.

* W istocie pomieszenie postaci i sytuacji: autorem sarkastycznej uwagi, że pijany zdolny dowódca mógłby pogryźć niewygodnych generałów, jest Jerzy II, król angielski; uwaga padła na tle wojny toczonej z Francją w Kanadzie w wieku XVIII. Natomiast generał Grant zasłynął z sukcesów w XIX wieku – wojna secesyjna, potem prezydentura USA – oraz słabości do burbona.

XXV

Ledwie Abe wytoczył się chwiejnie z pokoju, Dick i Rosemary objęli się przelotnie. Przez paryski kurz przedostawały się zapachy; gumowej osłonki wiecznego pióra Dicka, leciuteńka woń rozgrzanej szyi Rosemary i jej ramion. Dick poddawał się nastrojowi chwili, pierwsza zaś ocknęła się Rosemary.

– Muszę już iść, młodzieńcze – powiedziała.

Wpatrywali się w siebie wielkimi oczami, dzieląca ich przestrzeń ogromniała, na koniec Rosemary popisała się wyjściem wyuczonym jeszcze za młodu, którego żaden reżyser nigdy nie próbował ulepszyć.

Otworzyła drzwi do swego pokoju i natychmiast podeszła do biurka, na którym – nagle przypomniała sobie – zostawiła zegarek. Leżał na miejscu, a zakładając go na rękę, rzuciła okiem na list pisany jak co dzień do matki i zaczęła w myśli układać ostatnie zdanie. A potem dotarło do niej z wolna – zanim się odwróciła – że nie jest sama.

We wnętrzu ledwie się zwraca uwagę na połyskujące materiały: politurowane drewno, polerowany lepiej czy gorzej mosiądz, srebro bądź kość słoniową, a przecież w zamieszkanym pokoju są prócz nich jeszcze tysiące powierzchni i kształtów wpływających na światło i cień tak delikatnie, że nad ich rolą nikt się nie zastanawia, to skraj ramy obrazu, krawędzie ołówków czy popielniczek, cięcia kryształów czy ornamenty na porcelanie; pełen zbiór tych refleksów działa na równi na niuanse widzenia, jak i na okruchy podświadomości, podobny do zbioru krzywo przyciętych tafli schowanych w magazynku szklarza na wszelki wypadek – otóż ten fakt Rosemary mogła później przedstawiać jako mistyczne „uświadomienie sobie”

czyjejś obecności w pokoju, zanim dojrzała intruza. Obróciła się na pięcie jak baletnica i zobaczyła wyciągniętego na łóżku Murzyna. Nie żył.

Niezapięty zegarek spadł i stuknął o stół, Rosemary wykrzyknęła „aaaaouuu!”, przeświadczona, że to Abe North. Potem pomknęła do drzwi i dalej, na drugą stronę korytarza.

Dick porządkował rzeczy; noszone tego dnia rękawiczki trafiły po oględzinach w kąk kufra, na stertę innych zbrudzonych. Powiesił marynarkę i kamizelkę, a obok koszulę, którą przedtem napiął; sprytna maksyma Dicka brzmiała: „Raczej włóż koszulę przybrudzoną niż zmiętą”. Weszła Nicole, by wysypać do kosza zawartość ekstrawaganckiej popielniczki Abe'a, a zaraz potem do pokoju wpadła Rosemary.

– Dick! Dick, chodź i zobacz!

Dick truchtem przeciął korytarz. W pokoju Rosemary przyklęknął, przyłożył ucho do serca Petersona, potem poszukał tętna; ciało było ciepłe, a twarz – za życia znękana i skryta – po śmierci wydała się opasła i zgorzkniała; pod pachą wciąż tkwił przyborek, lecz na zwieszającym się z łóżka bucie z przetartą na wylot zelówką zabrakło śladów pasty. Francuskie prawo zabraniało Dickowi dotykania ciała, niemniej trochę odsunął ramię, żeby coś dostrzec. Na zielonej narzucie widniała plama, trochę krwi musiało wsiąknąć w koc pod spodem.

Dick zamknął drzwi; stał i namyślał się, potem usłyszał ostrożne stąpanie na korytarzu i Nicole zawołała go po imieniu. Otworzył drzwi i szepnął:

– Przynieś narzutę i wierzchni koc z któregoś z naszych łóżek, tak żeby cię nikt nie widział. – Zauważywszy napięcie na jej twarzy, szybko dodał. – Nie ma się czym przejmować, jakaś murzyńska zwada i tyle.

– Niech się to wreszcie skończy.

Dick uniósł lekkie zwłoki niedożywnego mężczyzny i podtrzymał tak, żeby dalsze wybroczyny wsiąkły w ubranie zmarłego. Ułożył ciało przy łóżku, z którego ściągnął narzutę i wierzchni koc, a potem uchylił drzwi na cal i nasłuchiwał. Z głębi korytarza dobiegło szcęknięcie talerzy, potem głośnie i protekcyjne: *Merci, madame*, kelner ruszył jednak w przeciwnym kierunku, do klatki schodowej dla personelu.

Dick i Nicole spiesznie wymienili zawiniątka; Dick na nowo nakrył łóżko i zgrzany, spocony stał w ciepłym półmroku, usiłując rozgryźć, co zaszło. Pewne rzeczy stały się jasne zaraz po obejrzeniu ciała; po pierwsze – Zły Indianin z opowieści Abe'a śledził Dobrego, a kiedy ten ostatni szukał rozpaczliwie schronienia w pokoju Rosemary, Zły dopadł go i zamordował; po drugie – jeśli sytuacja rozwinię się rutynowo, to Rosemary zostanie w nią wplątana, do czego nie można dopuścić. Jeszcze nie opadł kurz po sprawie Arbuckle'a*, tymczasem podstawa kontraktu Rosemary polega na bezwzględnym i ścisłym trwaniu w roli „pupilki tatusia”.

Dick w samym podkoszulku bezwiednie wykonał rutynowy gest podwijania rękawów i pochylił się nad zwłokami. Chwyciwszy marynarkę w ramionach, otworzył drzwi kopnięciem, wywłókł ciało na korytarz i szybko ułożył w jakiejś wiarygodnej, naturalnej pozycji. Wrócił do pokoju Rosemary i wygładził włosie na pluszowym

* W 1921 roku aktorka Virginia Rappe uczestniczyła w trzydniowym przyjęciu w San Francisco, po którym źle się poczuła. Do szpitala trafiła dopiero po kilku dniach, wcześniej bowiem przypisywano złe samopoczucie pijaństwu; podczas przyjęcia alkohol lał się strumieniami. Zmarła, a przyczyną śmierci było zapalenie otrzewnej, spowodowane uszkodzeniem pęcherza.

W USA obowiązywała wówczas prohibicja.

Przyjęcie wydał gwiazdor kina niemego, komik Roscoe „Fatty” Arbuckle. Był najlepiej opłacanym aktorem hollywoodzkim. Prasa oznajmiła, że Arbuckle zgwałcił i zabił aktorkę. Po trzech procesach został ostatecznie uniewinniony. Wydarzenie złamało mu jednak karierę. Prasa chciała przedstawić Hollywood jako gniazdo zepsucia, nie oglądając się na fakty.

chodniczku. Potem zaś, już w swoim apartamencie, podszedł do telefonu i wybrał numer właściciela, zarazem dyrektora hotelu.

– McBeth? Tu doktor Diver. Zaszło coś poważnego. Mogę porozmawiać w zaufaniu?

Dobrze, że się był zdobył się na dodatkowy wysiłek, by stworzyć więź z panem McBethem. Oto jakiś pożytek z tych słodczy zachowania, którymi szafował w drodze przez obszary, których już nigdy nie przemierzy...

– Wychodząc z apartamentu, natknęliśmy się na martwego Murzyna... na korytarzu... nie, nie, cywil. A teraz moment, chwileczkę; wiem, że nie chce pan, żeby jacyś goście natknęli się na zwłoki, dlatego dzwonię. Oczywiście, muszę pana poprosić, żeby żadną miarą nie łączyć mojego nazwiska z tą sprawą. Nie chcę się mierzyć z francuską biurokracją tylko dlatego, że wpadłem na faceta.

Cóż za bajeczne zrozumienie sytuacji hotelu! Tylko dlatego, że dwa dni temu pan McBeth mógł osobiście poznać takie właśnie zapatrywania doktora Divera, teraz przyjął jego opowieść w najlepszej wierze.

Zjawił się już po minucie, potem dołączył żandarm. McBeth znalazł stosowny moment, żeby szepnąć:

– Może pan być pewien, że nazwiska wszystkich naszych gości znajdują się pod ochroną. Jestem aż nadto wdzięczny za pańskie starania, to wszystko.

Pan McBeth natychmiast zdecydował się na krok jedynie możliwy, który sprawił, że żandarm gorączkowo szarpał wąsy tyleż trawiony niepokojem, ile powodowany chciwością. Sporządził zdawkowe notatki, potem zadzwonił na posterunek. Tymczasem w pośpiechu, jaki rozumiałby doskonale Jules Peterson – bądź co bądź człowiek interesu – zwłoki zataszczono do innego apartamentu jednego z najmodniejszych hoteli świata.

Dick wrócił do swego saloniku.

– Co się dzieje? – spytała Rosemary. – Czy teraz wszyscy Amerykanie w Paryżu strzelają do siebie?

– Wygląda na to, że sezon trwa w najlepsze – odpowiedział. – A gdzie Nicole?

– Chyba w łazience.

Wielbiła go, czciła za to ocalenie, przez myśl przesunęło jej się – jak czarna przepowiednia – pasmo katastrof i nieszczęść, jakie mógł na nią sprowadzić ten wypadek; jak urzeczona i oszołomiona słuchała stanowczego i uprzejmego głosu, którym Dick wszystko doprowadził do ładu. Zanim zdążyła do niego podejść, objąć w porywie ducha i ciała, uwagę Dicka przykuło co innego; z saloniku przez sypialnię ruszył do łazienki. Do Rosemary też dobiegała teraz coraz wyraźniej jakaś niehumanitarna przemowa; sączyła się przez dziurkę od klucza i szpary w drzwiach, wlewała do wnętrza, by przybrać – znowu – szatę grozy.

Rosemary podążyła za Dickiem; przypuszczała, że Nicole upadła w łazience i stało się coś złego. Lecz to, co zdążyła dostrzec, zanim Dick ją odepchnął i bezceremonialnie zasłonił widok, przedstawiało się całkiem inaczej.

Kłęcząca przy wannie Nicole kołysała się, słała, osuwała.

– To ty! – krzyczała. – Wdzierasz się w jedyny zakątek, w którym mam trochę prywatności, pchasz się z tą okrwawioną narzutą. Chcesz, to włożę ją dla ciebie, nie będę się wstydzić, chociaż to takie żalosne. Na prima aprilis wydaliśmy przyjęcie nad Jeziorem Zuryskim i rzeczywiście, zeszyły się wszystkie błazny...^{*} Chciałam wyjść ubrana w narzutę, ale mi nie dali...

– Opanuj się!

^{*} Angielski przydomek pierwszego kwietnia to All Fools Day; „święto wszystkich błaznów” (bądź głupców).

– ...więc siedziałam w łazience, a wtedy przyszli, przynieśli domino i kazali włożyć. A ja włożyłam. Co mogłam począć?

– Opanuj się, Nicole!

– Nie oczekiwałam od ciebie miłości... było za późno... ale przynajmniej nie wchodź za mną do łazienki, w jedyne miejsce, gdzie mogę mieć trochę prywatności, nie wlecz tu jakichś zakrwawionych narzut, nie proś, żebym je prała.

– Weź się w garść. Wstawaj...

Trzaśnięcie drzwiami z łazienki dobiegło roztrzęsioną Rosemary już w saloniku; teraz mogła sobie wyobrazić, co Violet McKisco widziała w łazience Willi Diana.

Rozdzwonił się telefon, podniosła słuchawkę i niemal rozplakała się, tak jej ulżyło odkrycie, że to Collis Clay wytropił ją w apartamencie Diverów. Poprosiła, żeby przyszedł; bała się sama iść do swego pokoju po kapelusz.

KSIĘGA
DRUGA



I

W wieku dwudziestu sześciu lat, wymarzoną dla mężczyzny, szczególnie kawalera, doktor Richard Diver przyjechał po raz pierwszy do Zurychu wiosną 1917 roku. Nawet w tych czasach wojny był to wiek wymarzony, uznano bowiem Dicka za osobę zbyt cenną, w którą za wiele zainwestowano, by ją posłać pod kule. Znacznie później miał wrażenie, że nawet w takim sanktuarium nie umknął wojnie bez reszty, lecz nigdy nie wyrobił sobie ostatecznie zdania; w 1917 tylko śmiał się i mawiał tonem usprawiedliwienia, że wojna nawet go nie drasnęła. Nakaz komisji regionalnej był jasny: Dick ma skończyć studia w Zurychu i zgodnie ze swymi planami uzyskać tam dyplom.

Szwajcaria była wyspą, u której brzegów huczały z jednej strony wzburzone fale pod Gorycją, z drugiej spadające w otchłań wody Sommy i Aisne. Tym razem w kantonach bardziej przykuwali wzrok cudzoziemcy niż chorzy, trudno też było odgadnąć, czy mężczyźni naszeptujący po kawiarenkach Berna bądź Genewy to raczej sprzedawcy brylantów, czy też, powiedzmy, handlowi prokurenci. Na pewno nie dało się przeoczyć długich pociągów wypełnionych dogorywającymi ludzkimi tułowiami, mężczyznami oślepienymi, bez nóg, które mijały się na tle świetlistych jezior Bodeńskiego i Neuchâtel. W piwiarniach i witrynach sklepowych wywieszono jaskrawe plakaty, na których widnieli Szwajcarzy gotowi bronić granic w 1914 roku; z górskich wyżyn starzy i młodzi mężczyźni spoglądali z zaraźliwą zajadłością na widmowych Francuzów i Niemców; chodziło o to, żeby krzepić szwajcarskie serca łatwo udzielającą się chwałą tamtych dni. W miarę postępowania rzezi plakaty traciły jaskrawość, płowiały, a kiedy Stany Zjedno-

czony wmieszały się w tę wojnę, żaden kraj nie popadł w takie zdumienie jak ta siostrzana republika federacyjna.

Tymczasem doktor Diver ledwie się o wojnę otarł; studiując w roku 1914 w Connecticut, otrzymał oksfordzkie stypendium Rhodesa. Wrócił do Stanów na ostatni rok na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i zrobił dyplom. W 1916 zdołał wyjechać do Wiednia w przeświadczeniu, że trzeba się śpieszyć, bo tymczasem na wielkiego Freuda runie z aeroplanu jakaś bomba. Chociaż Wiedeń już wtedy był naznaczony śmiercią, Dick zdołał zorganizować sobie dość węgla i oliwy, co pozwalało egzystować w pokoiku przy Damenstiff Strasse. To tam pisał broszury, które potem zniszczył, by je napisać na nowo, i które się okazały rdzeniem książki wydanej w Zurychu w 1920 roku.

Większość z nas ma w życiu okres ulubiony, heroiczny, i właśnie coś takiego przeżywał wówczas Dick Diver. Jeszcze nie wiedział, że jest czarujący, a sympatia, którą budzi – i którą darzy innych – to coś niezwykłego w kręgu silnych ludzi. Na ostatnim roku studiów w New Haven ktoś nazwał go „szczęsnym Dickiem”; etykieta zapadła mu w pamięć.

– Dicku-szczęściarzu, w czepku urodzony – szeptał do siebie, krążąc po pokoju, kiedy się dopalały ostatnie szczapy. – Trafiłeś, synu, w dziesiątkę. Nikt na to wcześniej nie wpadł, dopiero trzeba było ciebie.

Z początkiem 1917 roku coraz trudniej było o węgiel. Na podsykanie ognia Dick zużył może setkę zgromadzonych wcześniej podręczników; wkładając książkę w ogień, zwykle chichotał w duchu, pewien, że sam jest skrótem jej zawartości, a za pięć lat też ją potrafi streścić, jeżeli jeszcze będzie warto. Z konieczności powtarzało się to od czasu do czasu; otulonego w ściągnięty z podłogi chodnik Dicka nie opuszczał pełen piękna spokój uczonego, najbliższy niebiańskiego spokoju, który jednak – jak się okaże – też dobiega kresu. Dziękował swemu ciału, że zdolne niegdyś w New

Haven do salta, teraz – w nie gorszej formie – zimą pozwala mu pływać w Dunaju. Dzielił mieszkanie z Edem Elkinsem, drugim sekretarzem ambasady; odwiedzały ich dwie ładne dziewczyny; w sam raz, nie za wiele tych dziewczyn i nie za wiele ambasady. Obcowanie z Edem posiało w Dicku pierwsze ziarenka niewiary w jakość własnego systemu myślenia; w tej mierze Dick nie zauważył jakichś głębszych różnic między sobą a współlokatorem, natomiast Elkins umiał wymienić wszystkich głównych rozgrywających drużyny futbolowej New Haven w ostatnich trzydziestu sezonach.

– ...Szczęsny Dick nie może być zwykłym cwaniakiem, nie może być taki niedotykany, ba, wręcz powinien dostać łupnia. Jeśli życie mu tego oszczędzi, to tego ubytku nie zastąpi choroba, złamane serce ani kompleks niższości; cóż, nieźle by było tak zabiżniać ranę, tak się odbudowywać po urazie, żeby w efekcie przewyższyć pierwotne walory.

Pokpiwał z własnych wywodów, uważał je za pokrętne i „amerykańskie”; puszczanie myśli i sądów samopas było zdaniem Dicka właśnie amerykańskie. Niemniej wiedział, iż ceną za brak obrażeń jest brak pełni.

„Moje dziecko – mówi Czarna Wróżka z *Pierścienia i Róży* Thackeraya – najlepiej ci zrobi odrobina niepowodzenia”.

W przyływach złego humoru dobierał się do skóry własnym wywodom: Cóż poradzę, że Pete Livingstone przesiedział w szatni dzień wyborów, a szukali go, kurczę, wszyscy? No i wygrałem te wybory, chociaż ni diabła bym nie wskórał, bo właściwie mało kogo znałem. Był fajny, na tę pozycję w sam raz, zamiast niego to ja powinienem siedzieć w szatni. I może bym tam siedział, gdyby mi przyszło do głowy, że w tych wyborach mam jakieś szanse. Ale w tamtych tygodniach wciąż mnie nachodził Mercer, wciąż się pchał do pokoju. No dobrze, racja, chyba wiedziałem, że mam szansę. Lecz dobrze by mi zrobiło, gdybym próżność schował do kieszeni i wzniecił konflikt.

Po wykładach dyskutował o tym z młodym rumuńskim intelektualistą, ten zaś go uspokajał:

– Nie sposób udowodnić, że Goethe nosił w sobie „konflikt” w nowoczesnym rozumieniu, albo powiedzmy taki Jung. Nie jesteś filozofem romantycznym, lecz naukowcem. Pamięć, siła, charakter, zwłaszcza zdrowy rozsądek. Z tym będziesz miał zgryz, z samooceną... Kiedyś poznałem gościa, który poświęcił dwa lata na badanie mózgu pancernika, z myślą, że prędzej czy później zostanie kimś, kto wie najwięcej o tym mózgu. Ciągłe się z nim spierałem, że nie poszerza w ten sposób ludzkiej wiedzy, stawia sprawę zbyt jednostronnie. Rzecz jasna, kiedy już wysłał studium do przeglądu medycznego, redakcja je odrzuciła. Wcześniej przyjęli pracę napisaną przez kogo innego na ten sam temat.

Dick przywiózł do Zurychu obfitość pięt achillesowych. Może by nie starczyło dla stonogi, lecz i tak sporo: złudzeń własnych, że tężyzna i zdrowie potrwają wiecznie, a ludzie są w gruncie rzeczy dobrzy, i złudzeń dzielonych z narodem, wyrosłych na kłamstwach matek z pogranicza, które od pokoleń uspokajają dzieci, że za drzwiami pionierskiej chaty żadnych wilków nie ma. Po uzyskaniu dyplomu Dick otrzymał nakaz dołączenia do jednostki neurologicznej, tworzonej właśnie w Bar-sur-Aube.

We Francji stwierdził z obrzydzeniem, że raczej przyszło mu zajmować się papierkami niż praktyką. W wolnym czasie – którego nie brakowało – wetował to sobie, kończąc krótki podręcznik i zbierając materiały do kolejnego projektu. Zdemobilizowany wrócił do Zurychu wiosną 1919 roku.

To, co powyżej, przypomina biografię, lecz brak tu istotnego rysu; otóż bohater – niczym Grant pętający się po ojcowskim sklepie z mydłem i powidłem w Galenie – tylko czekał, by stawić czoło trudnemu przeznaczeniu, które się o niego upomni. O większe zakłopotanie i wstrząs może przyprawić stare zdjęcie obcego młodzieńca, szczupłego, ognistego, patrzącego przenikliwym orlim

spojrzeniem, który okazuje się kimś poznanym później, już uładowym w wieku dojrzałym. Bez obaw; chwila Dicka Divera właśnie nadchodzi.

II

W wilgotny kwietniowy dzień nad Albishornem rozsnuły się ukosem długie pasma chmur, w zagłębieniach stała woda. Zurych ma jakiś rys miasta amerykańskiego. Dickowi po przyjeździe czegoś brakowało, dopiero po dwóch dniach uświadomił sobie, że oto wyzbył się poczucia zamknięcia, nieodłącznego w ciasnych francuskich uliczkach, za którymi na pozór nie ma już nic. W Zurychu było mnóstwo czegoś spoza Zurychu; błądzące po dachach spojrzenie wkrótce wędrowało wyżej, ku pastwiskom, z których niósł się brzęk krowich dzwonek i osnuwał wierzchołki w dali; tu życie było ponawianym raz po raz wzbijaniem się ku pocztówkowym niebiosom. W krainach alpejskich, ojczyźnie zabawek i kolejek linowych, karuzeli i płaskich carillonów, nie czuło się uwiązania do tutaj jak we Francji, gdzie wprost spod nóg wyrasta winorośl.

Wcześniej w Salzburgu Dick odczuwał nacisk wysokich wymagań stawianych przez wszechobecne tam stulecie muzyki; kiedy zaś w laboratorium uniwersytetu w Zurychu delikatnie wkłuwał się w rdzeń przedłużony, czuł się raczej konstruktorem zabawek niż zawieruchą mknącą dwa lata wcześniej przez korytarze starych czerwonych budynków Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, niepowstrzymaną nawet przez ironiczne spojrzenie gigantycznego Chrystusa w holu głównym.

Postanowił wszakże spędzić w Zurychu jeszcze dwa lata, bo nie lekcewał tego konstruowania zabawek, przy którym nigdy dość precyzji i cierpliwości.

Tego dnia wybrał się do kliniki Dohmlera nad Jeziorem Zuryckim, ściślej, do Franza Gregoroviusa. Spotkali się na przystanku tramwajowym. Starszy od Dicka o parę lat patolog, rezydent kliniki

Dohmlera, pochodził z Wodezji; spowijająca go aura mroku i wspaniałości godna Cagliostro kontrastowała z oczami świętego. Był trzecim z dynastii Gregoroviusów; Kraepelin* uczył się u jego dziadka, kiedy psychiatria dopiero wyłaniała się z mroków i niebytu. Był dumny, wybuchowy i łagodny – roił sobie, że jest hipnotyzerem. Gdyby nie to, że rodzinny geniusz nieco się zużył, Franz byłby na pewno pierwszorzędnym klinicystą.

W drodze do kliniki zagadnął:

– Opowiedz mi o sobie i wojnie. Zmienileś się jak inni? Dick, masz wiecznie młodo-głupią twarz jak każdy Amerykanin, a wiem, że nie jesteś głupi.

– Nie kosztowałem wojny, Franz... Mogłeś się tego doczytać w moich listach.

– Nieważne.... Mamy tu paru w traumie po ostrzale, chociaż tylko z daleka słyszeli kanonadę. Mamy i takich, którzy o kanonadzie jedynie czytali.

– To jakiś nonsens.

– Możliwe. Ale jesteśmy kliniką dla bogatych i słowa „nonsens” nie używamy. Mów szczerze, jesteś tu, żeby się zobaczyć ze mną, czy z tą dziewczyną?

Zerknęli na siebie kątami oczu; Franz uśmiechał się zagadkowo.

– Rzecz jasna, widziałem te pierwsze listy. – Teraz posłużył się oficjalnym basem. – A kiedy sprawy przybrały nowy obrót, delikatność nie pozwoliła mi otwierać kopert; ona stała się właściwie twoją pacjentką.

– Dobrze się czuje? – wypytywał Dick.

* Emil Kraepelin (1856-1926) – niemiecki psychiatra, profesor uczelni w Dorpacie, Heidelbergu i Monachium.

– Doskonale. Jest pod moją opieką, bo też pod moją opieką jest większość pacjentów z Ameryki i Anglii. Zwracają się do mnie „doktorze Gregory”.

– Franz, opowiem ci, jak było z tą dziewczyną. Faktycznie widziałem ją tylko raz, kiedy przyszedłem się z tobą pożegnać tuż przed wyjazdem do Francji. Pierwszy raz włożyłem wtedy mundur; czułem się jak skończony oszust, idę, a wokół salutują szeregowcy i w ogóle.

– Dlaczego dziś nie włożyłeś munduru?

– Od trzech tygodni jestem w cywilu. A dziewczynę poznałem właśnie wtedy. Pożegnałem się z tobą i poszedłem po rower pod ten budynek nad jeziorem.

– Pod „Cedry”?

– Noc jak z bajki... księżyc nad tą górą...

– Krenzegg.

– ...i dogoniłem pielęgniarkę z młodą dziewczyną. Nawet nie pomyślałem, że to pacjentka; spytałem pielęgniarkę o ostatnie tramwaje i dalej poszliśmy razem. Nie widziałem piękniejszej istoty.

– Wciąż jest taka.

– Ona zaś nigdy nie widziała amerykańskiego munduru. Porozmawialiśmy sobie i tyle, wyleciało mi z głowy i już. – Przerwał, czując, że padała zbyt utartym tropem, potem ciągnął: – To nie do końca tak, jeszcze nie jestem taki zahartowany jak ty, Franz; kiedy widzę taką piękną muszlę, nie umiem powstrzymać żalu nad tym, co w środku. I to już absolutnie wszystko. Dopóki nie zaczęły nadchodzić listy.

– Nie mogło się jej trafić nic lepszego – podniośle oznajmił Franz. – Przeniesienie*, z tych najbardziej sprzyjających. Dlatego wyszedłem ci na spotkanie, chociaż mam bardzo ciężki dzień. Zajdź do mnie do gabinetu i pogadajmy trochę, zanim ją zobaczysz. Prawdę mówiąc, posłałem ją do Zurychu na zakupy. – W głosie Franza napięcie mieszało się entuzjazmem. – Do tego bez pielęgniarke, z mniej stabilną pacjentką. Rozpiera mnie duma z powodu tego przypadku, który prowadzę z twoją niezamierzoną pomocą.

Znad brzegu Jeziora Zuryskiego samochód wjechał w żyzny obszar farm, pastwisk i niewysokich wzgórz, na których tu i ówdzie rozsiadły się domki i pasterskie szałas. Słońce wpłynęło na błękitne morze niebios i oto rozpostarła się przed nimi w pełni uroku szwajcarska dolina, z której dolatywały przyjazne odgłosy i pomruki, napływał zaś pyszny i świeży zapach zdrowia i radości.

Zakład profesora Dohmlera ulokowany między wzniesieniem a brzegiem jeziora składał się z trzech starych budynków i dwóch nowych. Od czasu założenia przed dziesięcioma laty była to pierwsza nowoczesna klinika chorób psychicznych; wprawdzie żaden laik nie rozpoznałby na pierwszy rzut oka, że to schronienie ludzi złamanych, upośledzonych, groźnych, jakich nie brak na świecie, to jednak dwa budynki otaczał podejrzanie wysoki mur, aczkolwiek dyskretnie okryty winoroślą. Świeciło słońce, jacyś mężczyźni grabili słomę, przemierzający teren kliniki samochód mijał co pewien czas powiewającą na ścieżce białą flagę: pielęgniarke w towarzystwie pacjenta.

Franz zaprowadził Dicka do gabinetu, przeprosił i zostawił na pół godziny. Dick lustrował pokój; usiłował naszkicować portret Franza na podstawie szpargałów na biurku, książek, także książek ojca i dziadka Franza – tych odziedziczonych i tych przez nich napisanych, patrząc też na umieszczone na ścianie ze szwajcarskim

* Przeniesienie to termin psychoanalityczny; ściślej, dotyczący terapii, kiedy pacjent przenosi na terapeutę nieuświadomione dotychczas uczucia, co następnie pozwala w sposób świadomy przeżyć treści wyparte wcześniej.

pietyzmem sepiowane zdjęcie dziadka. Gabinet przesiąknął dymem; Dick otworzył drzwi na taras i wpuścił do środka snop słońca. Nagle pobiegł myślami ku tamtej pacjentce.

W ciągu ośmiu miesięcy przysłała do niego około pół setki listów. Pierwszy w tonie przeprosin; dotarły do niej wieści z Ameryki – tłumaczyła się – że dziewczyny pisują do nieznanym żołnierzom. Nazwisko i adres podał doktor Gregory. Może Dickowi nie przeszkodzi, jeśli czasami wyśle mu parę słów z życzeniami powodzenia etc., etc.

Bez trudu mógł rozpoznać ton rodem z *Tajemniczego opiekuna** i *Rzekomej Molly*** , wartkich, sentymentalnych powieści epistolarnych, podówczas modnych w Stanach. Na tym wszakże kończyło się podobieństwo.

Listy dzieliły się na dwie kategorie, z których pierwsza, pisana mniej więcej do czasu zawieszenia broni, nosiła rys patologii, natomiast późniejsza, aż po listy najświeższej daty, była całkowicie normalna, ujawniała wewnętrzne bogactwo dojrzewającej autorki. Tych właśnie listów Dick zaczął niecierpliwie wyglądać w ostatnich monotonna miesiącach spędzanych w Bar-sur-Aube, lecz nawet z najwcześniejszych zdołał wyłuskać więcej, niż mógł przypuszczać Franz.

Mon capitaine,

*kiedy Cię zobaczyłam, pomyślałam, że jesteś taki przystojny. A potem pomyślałam po francusku Je m'en fiche*** i po niemiecku też. Uznał Pan, że jestem ładna, ale ja już tak mam i od dawna muszę to znosić. Jeśli Pan znowu*

* Powieść Jean Webster z 1912 roku (*Daddy-Long-Legs*), wielokrotnie filmowana, także jako musical i animacja; alternatywny polski tytuł *Długonogi tata*.

** Powieść dla młodzieży Eleanor Hallowell Abbott (*Molly Make-Believe*) z roku 1910.

*** Gwiżdżę na to (fr.).

się tu zjawi, pełen tych niskich i przestępczych uczuć, w niczym nieprzypominających tego, co wiąże z postawą dżentelmena, to niech niebiosy mają Pana w opiece. Niemniej wydaje się Pan łagodniejszy niż inni,

[2]

cały miękki jak kot. Co do chłopaków, lubiłam tylko maminsynków. Czy jest Pan maminsynkiem? Trafiają się tacy.

Proszę się nie gniewać, to trzeci list, który napisałam do Pana i zaraz zostanie wysłany, chyba że nigdy. Sporo myślałam też o księżycowym świetle, jest wielu świadków, których mogę odszukać, jeśli zdołam się stąd wydostać.

[3]

Powiedzieli mi, że jest Pan doktorem, lecz dopóki jest Pan kotem, wszystko wygląda inaczej. Jakże mnie głowa boli, więc starczy za wyjaśnienie, że spaceruję, jak gdyby nigdy nic z białym kotem; zdaje się, że mogę mówić trzema językami, czterema, wliczając angielski, więc na pewno mogłabym się przydać jako tłumaczka, jeśli załatwi Pan to we Francji, miałabym wszystko pod kontrolą, zapinając wszystkich pasami, jak było w środę. Teraz mamy sobotę, a

[4]

Pan jest daleko, może zabity.

Proszę któregoś dnia wrócić do mnie, bo zawsze będę na tym zielonym wzgórzu. Chyba że mi pozwolą napisać do ojca, którego szczerze kochałam.

Proszę wybaczyć. Dzisiaj nie jestem, sobą. Napiszę, kiedy poczuję się lepiej.

Cześć

Nicole Warren

Przepraszam za wszystko.

Kapitanie Diver,

Wiem, że w nerwowym rozstroju jak mój introspekcja to nic dobrego, ale chcę, żeby pan wiedział, o co chodzi. W zeszłym roku, czy kiedy to było w Chicago, kiedy mnie dopadło, że nie mogłam mówić do służących ani chodzić ulicą, czekałam cały czas na kogoś, kto mi powie. Był to obowiązek tego, kto rozumiał. Ślepemu trzeba przewodnika. Tylko że nikt nie chciał mówić wszystkiego, mówili mi tylko połowę, a ja już nie dawałam rady dodawać dwóch do dwóch. Jeden był miły i rozumiał, oficer francuski. Dał mi kwiatek i powiedział, że to „plus petite et

[2]

moins entendue”*. Zostaliśmy przyjaciółmi. Potem to zabrał. Chorowałam coraz gorzej, a nikt nic nie wytłumaczył. Mieli taką piosenkę o Joannie d’Arc i czasem śpiewali, ale to zwyczajnie było podłe, po tej piosence płakałam, wcale nie przez jakieś rzeczy z głową. Wciąż mówili też o sporcie, ale nic mnie to nie obchodziło. I nadszedł ten dzień, kiedy wybrałam się na Michigan Boulevard, przeszłam całe mile, aż w końcu mnie wytropili samochodem, ale nie chciałam

[3]

wsiaść. W końcu mnie wciągnęli, a w środku były pielęgniarce. Potem już wszystko zaczęło do mnie docierać, bo już umiałam odczuć, co się dzieje w innych. Teraz Pan widzi, jak to jest ze mną. A co mi z tego przyjdzie, że jestem z lekarzami, którzy wciąż bajdurzą o rzeczach, o których

* „Mniejsze i nie takie oczywiste” (fr.).

powinnam zapomnieć. Więc dzisiaj napisałam do ojca, żeby przyjechał mnie stąd zabrać. Cieszę się,

[4]

że Pana tak interesuje badanie ludzi i odsyłanie ich do domu. To musi sprawiać wielką przyjemność.

I znowu, w innym liście:

Po zrobieniu kolejnych badań mógłby pan do mnie napisać. Właśnie przysłali mi jakieś płyty, żeby nie zapomniała lekcji, a ja je potłukłam co do jednej, więc pielęgniarka przestała się odzywać. Nagrania były po angielsku, więc pielęgniarki by nie zrozumiały. Pewien doktor z Chicago mówiły że ja udaję, a naprawdę chodziło mu o to, że się urodziłam jako sześciornaczka, a kogoś takiego nigdy nie widział. Tymczasem miałam pełną głowę tego, że zwariowałam, więc nic mnie nie obeszło, co on tam gada, bo kiedy mam pełną głowę tego, że zwariowałam, to nic mnie nie obchodzi, co gadają, choćby mówili, że jestem milionem dziewczyn.

Powiedział pan, że mógłby nauczyć mnie grać. Cóż, myślę, że miłość jest wszystkim

[5]

albo powinna być wszystkim. W każdym razie cieszę się, że ma Pan co robić, wciąż zajęty badaniami.

Tout à vous

Nicole Warren

Były też inne listy, gdzie w tchnących bezradnością cesurach
czaiły się mroczne rytmy.

Drogi kapitanie Diver,

Piszę do Pana, bo nie mam do kogo się zwrócić, a skoro ta farsowa sytuacja jest oczywista dla kogoś tak chorego jak ja, powinna też być oczywista dla Pana. Moje umysłowe dolegliwości minęły, tyle że jestem zupełnie zdruzgotana, upokorzona, jeżeli o to im chodziło. Rodzina skandalicznie mnie zaniedbuje, nie ma sensu ich prosić o pomoc ani litość. Mam już dosyć, to po prostu rujnuje mi zdrowie i czystą stratą czasu są wywody, że to, co się dzieje z moją głową,

[2]

można wyleczyć.

Tkwię w tym zakładzie dla wpółobłąkanych, wszystko dlatego, że nikogo nie było stać na powiedzenie mi prawdy, o niczym. Gdybym wiedziała, co się święci, jak wiem to teraz, wytrzymałabym, jak sądzę, jestem na tyle mocna, lecz ci, do których to należy, nie umieli mnie oświecić.

[3]

A teraz, kiedy rozumiem i zapłaciłam za to taką cenę, oni tu sobie siedzą, wiodą to swoje pieskie życie i powiadają, że dalej mam wierzyć w to, w co wierzyłam. Szczególnie jeden taki, ale już teraz wiem swoje.

Jestem tu wciąż samotna, z dala od przyjaciół i rodziny, po drugiej stronie Atlantyku, pętam się po tym terenie jak zamroczona. Gdyby załatwił mi pan posadę tłumaczki – (znam francuski i niemiecki jak ojczysty, całkiem nieźle

[4]

włoski i trochę hiszpańskiego) albo w ambulansie Czerwonego Krzyża, albo jako wykwalifikowanej pielęgniarki, chociaż tego musiałabym się poduczyć – to by się okazało błogostawieństwem.

I znowu:

Skoro nie przyjmuje Pan do wiadomości moich wyjaśnień co do istoty sprawy, może mi Pan przynajmniej wyjaśni, co myśli, bo ma Pan przyjemną kocią twarz, ani śladu tej modnej tu śmieszności. Dr Gregory podarował mi Pana zdjęcie, nie jest Pan taki przystojny jak w mundurze, za to wygląda młodziej.

Mon Capitaine,

miłe to było, ta pocztówka od Pana. Bardzo się cieszę, że tak Pana zainteresowało odsiewanie pielęgniarek... Och, doskonale zrozumiałam Pana uwagę, doskonale. Tyle że kiedy Pana poznałam, był Pan inny.

Drogi Kapitanie,

Dzisiaj mam w głowie to, jutro tamto. Właściwie cały mój przypadek do tego się sprowadza, jeśli nie liczyć maniakalnego buntu i braku wyczucia proporcji Chętnie zaakceptuję każdego psychiatrę, którego Pan poleci. Tutaj oni wszyscy wylegują się tylko w wannach i wyśpiewują „Baw się na swoim podwórku” jakbym miała

jakieś podwórko albo nadzieję na nie przed czy za sobą. Znowu tego próbowali w sklepie ze słodyczami, znów, i niemal walnęłam tego typu czymś ciężkim, ale mnie przytrzymali. Już do Pana nie napiszę. Jestem zbyt roztrzęsiona.

Potem miesiąc bez listów. A później nagła zmiana.

...Powoli wracam do życia...

...Dziś kwiaty i chmury...

...Skończyła się wojna, a ja właściwie nie wiedziałam, że się toczy...

...Jakiż Pan był miły! Za Pana podobieństwem do białego kota pewnie się kryje wiele mądrości, z tym że nie wygląda Pan tak jak na zdjęciu, które dostałam od doktora Gregory...

..Wybrałam się dziś do Zurychu, cóż to za dziwne uczucie, znowu zobaczyć miasto...

...Pojechaliśmy do Berna, tamtejsze zegary to czysta radość...

...Powędrowaliśmy w góry tak wysoko, że znaleźliśmy złotogłów i szarotkę...

Potem listy nadchodziły rzadziej, lecz Dick na wszystkie odpowiadał. Wśród listów z Zurychu był i taki:

Chciałabym, żeby ktoś tak mnie pokochał, jak ci chłopcy wieki temu, zanim zachorowałam. Chociaż mam wrażenie, że miną lata, zanim o czymś takim pomyślę.

Jeżeli coś sprawiło, że Dick się spóźniał z odpisaniem, wzbierał w niej zaraz niepokój, denerwowała się, co przypominało niepokój zakochanej kobiety. „Może Pana nudzę”. „Boję się, że się ośmieliłam” „W nocy wciąż myślę, że Pan jest niezdrowszy”.

Rzeczywiście, Dick rozchorował się na grype. Po wyzdrowieniu, wciąż osłabiony, zdołał się zająć tylko korespondencją urzędową, na więcej nie miał siły, a wkrótce wspomnienie dziewczyny z Zurychu nieco zatarło się za sprawą pewnej żywej osobki z Wisconsin, telefonistki dowództwa stacjonującego w Bar-sur-Aube. Miała godne plakatu karminowe usta, w kantynach cieszyła się zaś popularnością pod niekoniecznie przyzwoitym przydomkiem „Numerowa”.

Franz wrócił do gabinetu naładowany poczuciem ważności. Dick pomyślał, że Franz mógłby być doskonałym klinicystą, bo prążyć do donośnych kadencji bądź perlistych pasaży, którymi przywoływał do porządku pielęgniarkę czy pacjenta, nie był układ nerwowy, lecz kolosalna, acz nieszkodliwa próżność. Prawdziwe uczucia Franz trzymał na wodzy i nie dzielił się nimi pochopnie.

– A teraz, Dick, zajmijmy się dziewczyną – powiedział. – Rzecz jasna, chcę się wszystkiego dowiedzieć o tobie, chcę ci wszystko opowiedzieć o sobie, lecz wpierw o dziewczynie, bo od dawna na to czekam.

Pogrzebał w szafie z dokumentacją, wyciągnął plik papierów, przerzucił, lecz uznał, że na razie na niewiele się zdadzą, i odłożył papiery na biurko. Nie sięgając po nie, opowiedział Dickowi historię.

III

Mniej więcej półtora roku wcześniej doktor Dohmler prowadził dość ogólnikową korespondencję z mieszkającym w Lozannie amerykańskim dżentelmenem, panem Devereux Warrenem, członkiem rodziny Warrenów z Chicago. Uzgodnili w końcu dzień wizyty i oto pan Warren zjawił się w klinice z córką, szesnastoletnią Nicole. Widać było, że jest w kiepskim stanie, a towarzysząca jej pielęgniarka zabrała dziewczynę na spacer po terenach kliniki. Tymczasem pan Warren zasięgał porady.

Uderzająco przystojny, zapewne dobiegał czterdziestki. Wysoki, barczysty, dobrze zbudowany, o wielkich szarych oczach nieco przekrwionych od wiosłowania w słońcu na Jeziorze Genewskim mógł uchodzić za pierwszorzędnego okaz Amerykanina. Obeznany ze śmietanką tego świata roztaczał szczególną aurę. Doktor Dohmler opisał go Franzowi jako *un homme très chic**. Rozmawiano po niemiecku, okazało się bowiem, że Warren kształcił się w Getyndze. Był podenerwowany i najwyraźniej poruszony sprawą, która go sprowadza.

– Doktorze Dohmler, z głową mojej córki coś jest nie w porządku. Dziewczyną zajmowało się mnóstwo specjalistów i pielęgniarek, przeszła parę kuracji wypoczynkowych doktora Mitchella**, ale cała historia już zaczyna mnie przerastać; usilnie radzono mi zwrócić się do pana.

* Bardzo elegancki mężczyzna (fr.).

** Wypracowany w drugiej połowie XIX wieku sposób leczenia chorób nerwowych, zwłaszcza hysterii, polegał na izolacji pacjenta, całodobowym pobycie w łóżku, bezczynności, wysokokalorycznej diecie mlecznej i masażach; izolacja była dotkliwa, kontakty osoby tak leczonej ograniczały się do pielęgniarki, zarazem masażystki.

– Doskonale – odrzekł doktor Dohmler. – Najlepiej, jeśli opowie pan wszystko od początku.

– Tu właściwie nie ma początku, w każdym razie w naszej rodzinie choroby psychicznej nie było, podobnie w tej drugiej. Żona zmarła, kiedy Nicole miała jedenaście lat, więc przy wsparciu guwernantek byłem dla niej kimś w rodzaju ojca i matki naraz... jednocześnie ojcem i matką.

Mówiąc to, bardzo się wzruszył. W kącikach oczu Warrena doktor Dohmler dostrzegł łzy i po raz pierwszy w jego oddechu wyczuł whiskey.

– Jako dziecko to była sama słodycz, wszyscy za nią szaleli, każdy. Cudownie pojętna, od rana do nocy radosna. Lubiła czytać, rysować, tańczyć, grać na fortepianie, co kto chce. Wiele razy słyszałem od żony, że z naszych dzieci jedyna Nicole nigdy nie płakała w nocy. Mam też starszą córkę, no i mieliśmy chłopca, który umarł, ale Nicole... Nicole była... Nicole...

Przerwał. Doktor Dohmler pośpieszył z pomocą:

– Była najnormalniejszym w świecie, bystrym i wesołym dzieckiem.

– Otóż to.

Dohmler poczekał. Pan Warren pokręcił głową, westchnął przeciągle, zerknął na Dohmlera, a potem wbił znowu spojrzenie w podłogę.

– Jakieś osiem miesięcy temu, a może sześć czy dziesięć... usiłuję sobie uzmysławić, ale nie powiem dokładnie, kiedy zaczęła robić śmieszne rzeczy... właściwie dziwaczne. Pierwsza opowiedziała o tym jej siostra... Bo wobec mnie Nicole była wciąż taka sama – dodał spiesznie, jakby oskarżony o zaniedbanie – jak zawsze była kochającą dziewczynką. Wpierw poszło o służącego.

– No tak. – Głowę doktora Dohmlera opromieniało dostojęństwo; skinął, jakby spodziewał się, niczym Sherlock Holmes, że właśnie w tym momencie opowieści pojawi się służący.

– Miałem bowiem służącego... od lat... nawiasem mówiąc, Szwajcara. – Warren zerknął na doktora, wypatrując motywowanej patriotycznie pochwały. – I to na jego tle Nicole wbiła sobie do głowy jakieś niedorzeczności. Że niby się do niej zaleca... Oczywiście wtedy wierzyłem Nicole i kazałem mu się wynosić, lecz teraz widzę, że były to wierutne bzdury.

– Co takiego zrobił jej zdaniem?

– Oto pytanie podstawowe. Lekarze nie zdołali nic z niej wydusić. Patrzyła na nich, jakby to oni powinni wiedzieć. Na pewno chodziło o jakieś nieprzyzwoite propozycje... Co do tego przekonała nas ponad wszelką wątpliwość.

– Rozumiem.

– Kobietom, które się czują samotne, zwidują się mężczyźni zaczajeni pod łóżkiem i tak dalej, czytałem o tym rzecz jasna, ale żeby Nicole? Mogła mieć każdego młodego człowieka, jaki się zamarzy. Byliśmy w Lake Forest, to taka miejscowość letniskowa koło Chicago, mamy tam swój kąpielisko, Nicole całe dni spędzała na dworze, grała z chłopakami w golfa czy tenisa. I paru straciło dla niej głowę.

Warren mówił, a zasuszony jak mumia doktor Dohmler, aczkolwiek słuchał uważnie, raz po raz wracał myślami do Chicago. Dawno temu mógł być wyjechać do Chicago jako młody naukowiec, potem docent; mógł tam, kto wie, wzbogacić się i otworzyć własną klinikę, zamiast być tutaj pomniejszym udziałowcem zakładu. Wtedy zastanawiał się jednak nad wyzwaniem, jakim dla jego skromnej, jak sądził, wiedzy jest ów ogromny obszar pól pszenicznych i bezkresne prairie. Pomysł odrzucił. Czytał jednak o Chicago owych czasów, poznał nazwiska tamtejszych wielkich feudalnych rodzin Armourów, Palmerów, Fieldów, Crane'ów, Warrenów, Swiftów i McCormicków, z

czasem trafił do niego niejeden pacjent z tej warstwy Chicago bądź Nowego Jorku.

– Z Nicole było coraz gorzej – ciągnął Warren. – Miała jakiś atak czy coś podobnego, coraz bardziej mówiła od rzeczy. Jej siostra trochę spisała... – Podał doktorowi złożony w dziesięcioro świstek. – Niemal zawsze chodziło o mężczyzn, chcących ją napaść, raz o mężczyzn znajomych, raz z ulicy... O wszystkich...

Opowiedział o przerażeniu, zmartwieniu, o okropnościach, przez które przechodzą w takiej sytuacji rodziny, o daremnych wysiłkach, których nie szczydzili w Ameryce, wreszcie o nadziei, że coś przyniesie zmiana; dlatego Warren dotarł z córką do Szwajcarii, mimo blokady niemieckich łodzi podwodnych.

– ...na pokładzie krążownika Stanów Zjednoczonych – wyjaśnił z odrobiną wyniosłości. – Trafiła się możliwość, żeby to załatwić, łut szczęścia. I jeszcze to – usprawiedliwił się uśmiechem – że pieniądze, jak to się mówi, nie grały roli.

– Nie wątpię – sucho przytaknął Dohmler.

Zastanawiał się, dlaczego przybysz kłamie i na czym polega kłamstwo. A jeśli to wrażenie jest mylne, to dlaczego wszystkie zakątki pomieszczenia przenika teraz fałsz i czy to sprawka tego przystojniaka w tweedach, który się rozparł w fotelu z nonszalancją sportowca? Prawdziwa tragedia to młody ptak o połamanych skrzydłach na zewnątrz, pod zimowym niebem; tymczasem tu, w gabinecie, wszystko się wydaje wodniste, nieprzekonujące, podrabiane.

– Chciałbym z nią teraz porozmawiać... Najwyżej parę minut – powiedział Dohmler, przechodząc na angielski, jakby próbował się przybliżyć do Warrena.

Warren zostawił córkę w klinice i wrócił do Lozanny, a w kilka dni później doktor Dohmler i Franz założyli kartę choroby Nicole.

Diagnostic: Schizophrénie. Phase aiguë en décroissance. La peur des hommes est un symptôme de la maladie, et n'est point constitutionnelle... Le pronostic doit rester réservé.*

Mijały dni; obaj coraz bardziej zafrapowani czekali na zapowiedzianą ponowną wizytę pana Warrena.

Nic się jednak nie działo. Po dwóch tygodniach doktor Dohmler napisał. Ponieważ odpowiedzią była głucha cisza, popełnił coś uważanego w owych czasach za *une folie***, zatelefonował bowiem do Grand Hotelu w Vevey, żeby od służącego pana Warrena usłyszeć, że pan Warren właśnie pakuje się przed wyjazdem do Ameryki. Na myśl, że przyjdzie za tę rozmowę zapisać w księgach kliniki wydatek czterdziestu franków, w doktorze Dohmlerze zagrała krew gwardzistów z Tuileries*** i oto Warren jednak podszedł do telefonu.

– Pański przyjazd... jest absolutnie nieodzowny. Zdrowie pańskiej córki... od tego wszystko zależy. Nie mogę ponosić żadnej odpowiedzialności.

– Chwileczkę, doktorze. Przecież to pan jest od tego. Wezwano mnie nagle do domu.

Doktor Dohmler jeszcze z nikim nie rozmawiał na taką odległość, lecz ultimatum przekazał tak wymownie, że udręczony Amerykanin na drugim końcu linii w końcu uległ. W pół godziny po ponownym przybyciu nad Jezioro Zuryskie załamał się; straszliwie szlochał, szerokie barki w luźno skrojonej marynarce dygotały,

* Diagnoza: Schizofrenia. Faza ostra z przejściem w stan ubytku. Objawia się lękiem przed mężczyznami, bez podstaw wrodzonych czy organicznych... Z rokowaniami należy się powstrzymać (fr.).

** Szaleństwo, wybryk (fr.).

*** 10 sierpnia 1792 roku w beznadziejnej obronie Ludwika XVI w pałacu Tuileries zginęli niemal wszyscy członkowie Gwardii Szwajcarskiej liczącej 950 żołnierzy i oficerów.

poczerwieniałe w słońcu Jeziora Genewskiego czy jeszcze bardziej nabiegły czerwienią. Wtedy usłyszeli okropną historię.

– To się po prostu stało – wychrypiał. – Nie wiem... no nie wiem. Była jeszcze mała, kiedy po śmierci matki przychodziła do mnie co rano do łóżka, czasami sypiała przy mnie. Było mi żal szkraba. Och, jeśli potem jechaliśmy samochodem czy pociągiem, trzymaliśmy się za ręce. Śpiewała dla mnie. Mawialiśmy sobie: „Tego popołudnia nikt i nic nas nie obchodzi... bądźmy tylko ze sobą... dziś rano jestem tylko twój” – W głosie Warrena zabrzmiał kaleki sarkazm. – Ludzie opowiadali, jaką cudowną jesteście parą, ojcem i córką, mieli łzy w oczach. Byliśmy jak kochankowie... I oto nie wiadomo jak, nagle zostaliśmy kochankami... Mogłem się w dziesięć minut później zastrzelić... Gdyby nie to... aż taki ze mnie cholerny degenerat, że zabrakło mi ikry.

– Co potem? – Doktor Dohmler znowu pomyślał o Chicago i łagodnym, bladolicym dżentelmenie z *pince-nez*, który wypatrzył go w Zurychu przed trzydziestoma laty. – Potoczyło się to dalej?

– Nie! Nicole zaraz... Zaraz potem skamieniała, tak to było. Mówiła tylko: „To nic, tatusiu, to nic. Nic się nie stało. Nie martw się. To nic”.

– Jakież konsekwencje?

– Nie. – Zaszlochał spazmatycznie, potem, parę razy wysiąkał nos. – Nie. Za to konsekwencji nie brak teraz.

Kiedy opowieść dobiegła końca, doktor Dohmler usiadł w fotelu na środku gabinetu, tym wzorcowym meblu klasy średniej, i warknął:

– Dzikus! – I była to jedna z nielicznych impertynencji, na które pozwolił sobie w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Potem powiedział: – Chciałbym, żeby pan pojechał teraz do Zurychu, zostań na noc w hotelu, a rano wrócił. Będę czekał.

- Dobrze, ale co potem?

Doktor Dohmler rozłożył ręce tak szeroko, jakby chciał podnieść sporego prosiaka.

- Potem? Chicago – zachęcił.

IV

Wreszcie wiedzieliśmy, na czym stoimy – powiedział Franz. – Dohmler zapowiedział Warrenowi, że się zajmiemy przypadkiem, jeżeli Warren będzie się trzymał od córki z daleka; trudno powiedzieć, jak długo, ale minimum pięć lat. Warren wpierw się załamał, ale potem, jak myślę, głównie go obchodziło, czy sprawa nie wycieknie do Ameryki.

– Zaplanowaliśmy terapię, pozostawało tylko czekać. Jak wiesz, rokowania były kiepskie, w tym wieku nie tylko odsetek wyleczeń jest nieznaczny, ale nawet tak zwanych powrotów do normy społecznej.

– Pierwsze listy wyglądały źle – przyznał Dick.

– Fatalnie. Były wręcz podręcznikowe. Wahałem się, czy pierwszy z nich wypuścić poza klinikę. Potem pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeżeli Dick się dowie, co za przypadek tu mamy. A ty się zachowałeś wielkodusznie i odpisałeś.

Dick westchnął.

– Była kimś zjawiskowym; włożyła do koperty mnóstwo zdjęć. A przez ten miesiąc niewiele miałem do roboty. Pisałem do niej tylko: „Bądź grzeczną dziewczynką, słuchaj lekarzy”.

– I wystarczyło... mogła już myśleć o kimś przebywającym na zewnątrz. Wcześniej nie miała nikogo, tylko siostrę, z którą chyba nie są za blisko. Poza tym czytanie jej listów pomagało i nam. Były miernikiem jej stanu.

– Cieszę się.

– Wiesz, do czego teraz doszło? Poczwała się współwinna... W sumie nic wielkiego, byle nie wpływało na to, czego chcemy, a

chcemy jej przywrócić podstawową równowagę i odrodzić siłę charakteru. Najpierw był wstrząs. Potem wysłano ją do szkoły z internatem i nasłuchiwała się gadania dziewcząt... W odruchu czystej samoobrony nabrała przeświadczenia, że z jej strony nie było żadnej współwiny, a stąd bardzo blisko do urojonego świata, w którym wszyscy mężczyźni są złem, tym gorsi, im bardziej ich polubisz, im bardziej im ufasz...

– Czy chociaż raz napomknęła wprost... o tej ohydzie?

– Nie; szczerze mówiąc, kiedy zaczęła sprawiać normalne wrażenie, mniej więcej w październiku, znaleźliśmy się w kropce. Gdyby miała trzydzieści lat, pozwolilibyśmy, żeby się sama dostroiła do życia, tymczasem jest taka młodziutka, nieopierzona. Baliśmy się, że okrzepnie wraz z tymi wewnętrznymi skrzywieniami. Doktor Dohmler powiedział jej otwarcie: „Teraz powinnaś polegać na sobie. To wcale nie znaczy, że coś się kończy, nic podobnego... Przed tobą życie stoi otworem, dopiero się zaczyna” i tak dalej, i tak dalej. Ona jest niebywale inteligentna, fakt, więc Dohmler dał jej przeczytać porcję Freuda, nie za wiele, i to ją bardzo zainteresowało. Prawdę mówiąc, stała się tu ulubienicą. Rozmowna jednak nie jest – dodał i zawahał się. – Byliśmy ciekawi, czy w ostatnich listach, które sama już wysyłała do ciebie z Zurychu, jest coś, co rzuci trochę światła na jej obecny stan i plany na przyszłość.

Dick zastanawiał się.

– Tak i nie... Jeżeli chcesz, przyniosę ci te listy. Wygląda na pełną nadziei, głodną życia... i to w dość romantycznym wydaniu. Czasami wspomina o „przeszłości” jak ludzie, którzy wyszli z więzienia. Przy czym nie wiadomo, czy mowa o przestępstwie, o uwięzieniu, czy wszystkim, czego w związku z tym doświadczyli. W końcu jestem w jej życiu takim pluszowym misiem i tyle.

– Jasne, rozumiem twój punkt widzenia i jeszcze raz dziękuję w naszym imieniu. Dlatego chciałem się z tobą zobaczyć, zanim ją spotkasz.

Dick roześmiał się.

– Myślisz, że rzuci mi się na szyję?

– Nie, skądże. Ale chcę cię prosić, żebyś z nią postępował bardzo delikatnie. Dick, bardzo się podobasz kobietom.

– Tak mi dopomóż Bóg! Będę delikatny oraz odpychający, przed każdym spotkaniem będę żuł czosnek i przyjdę z trzydniowym zarostem. Sprawię, że się zaczniesz przede mną ukrywać.

– Nie, nie, wszystko tylko nie czosnek! – Franz potraktował poważnie wywody Dicka. – Chyba nie chcesz sobie zwichnąć kariery. Dick, trochę żartujesz, prawda?

– ...Jeszcze mogę okuleć. No i nie mam w mieszkaniu porządnej wanny.

– Nie, stroisz żarty i tyle. – Franz odetchnął, w każdym razie zadbał o takie wrażenie. – Opowiedz mi wreszcie o sobie i planach.

– Mam tylko jeden, Franz, a streściłbym go tak: chcę zostać dobrym psychologiem, może najlepszym, jaki stapał po ziemi.

Franz dostrzegł, że teraz Dick nie żartuje; zaśmiał się grzecznie.

– Bardzo dobrze... i bardzo to amerykańskie – powiedział. – Nam coś takiego przychodzi trudniej. – Podeszedł do drzwi na taras. – Widzę stąd Zurych, wieże Grossmunster. Mojego dziadka pochowano w krypcie tego kościoła. Za kościołem i mostem spoczywa mój przodek Lavater, którego jakoś się nie udało pochować w żadnym kościele. W pobliżu stoi posąg innego przodka, Heinricha Pestalozziego, no i doktora Alfreda Eschera. A nad tym wszystkim zawsze jest Zwingli – więc stale mam przed sobą panteon gigantów.

– Rozumiem. – Dick wstał. – To był tylko napad oratorski. Wszystko się właśnie zaczyna. We Francji większość Amerykanów przebiera nogami, nie mogą się doczekać powrotu do domu. Ja nie. Armia będzie mi płacić do końca roku, bylebym chodził na wykłady.

Co powiesz o takim wspaniałomyślnym rządzie, który rozpoznał już przyszłe wielkości? Potem pojedę do domu na miesiąc, zobaczę się z ojcem. I wrócę... Zaoferowano mi pracę.

– Gdzie?

– U konkurencji... Klinika Gislera w Interlaken.

– Nie zadawaj się z nimi – poradził Franz. – Co roku przyjmują tuzin młodych ludzi. Sam Gisler to cyklofrenik, klinikę prowadzi żona z kochankiem; niech to, rzecz jasna, zostanie między nami.

– A co z twoim starym pomysłem amerykańskim? – spytał pozornie beztrosko Dick. – Mieliśmy w Nowym Jorku otworzyć nowoczesny zakład dla miliarderów.

– Różnie się mówi na studiach.

Z Franzem, jego świeżo poślubioną żoną i psiakiem rozsiewającym woń palonej gumy zjedli kolację w letnim domku na skraju terenów kliniki. Dick czuł się dziwnie zgnębiony i nie chodziło ani o atmosferę skrzętnej oszczędności, ani o Frau Gregorovius, której istnienie można było przepowiedzieć, lecz o nagłe zwięźenie horyzontów, z czym Franz już zdążył się pogodzić. W oczach Dicka granice ascezy biegły inaczej; widział w niej środek do celu, ba, samo jej uprawianie mogło stanowić powód do chluby, ale nie przyszło mu do głowy świadomie przykrawać życie do odziedziczonych garniturów. W skąpej domowej przestrzeni zachowaniom Franza i jego żony brakowało wdzięku, zmysłu przygody. Na punkt widzenia Dicka wpłynęły powojenne miesiące we Francji, to hojne wyzbywanie się zapasów w aurze amerykańskiej zasobności. Ba, w samym Dicku mężczyźni i kobiety widzieli Bóg wie kogo. Może podszepty intuicji, że taka sytuacja nie przysłuży się poważnemu mężczyźnie, zwabiły Dicka z powrotem w sam środek wielkiego szwajcarskiego zegara.

Postarał się, żeby Kaethe Gregorovius poczuła się kimś czarującym, chociaż buntował się przeciw wszechobecnemu

zapachowi kalafiora, a jednocześnie czuł do siebie odrazę za ów, co tu gadać, zaczątek płytkości sądu.

Na Boga, czy mimo wszystko jestem taki jak inni? – z tą myślą budził się w nocy. Jestem jak cała ta reszta?

Nie bardzo się nadawał na socjalistę, miał jednak pierwszorzędne zadatki na jednego z tych, którzy dokonują rzeczy najniezwyklejszych. Prawdę mówiąc, Dick już od paru miesięcy mocował się z gmatwaniną pytań i zamętem młodości, gdy pora decydować, czy chce się umrzeć za sprawę, w którą już się nie wierzy. W środku bezsennych nocy w Zurychu, wpatrzony w widoczną w świetle latarni czyjaś spiżarnię po drugiej stronie ulicy myślał, że chce być dobry, chce być miły, chce być dzielny i mądry, chociaż razem rzecz biorąc, to trudna sprawa. I chciał być także kochany, gdyby i to zmieściło się na liście.

V

Blask z wnętrza padający przez otwarte przeszklone drzwi rozświetlał werandę centralnego budynku; pasy mroku biegły spod muru tylko między drzwiami, a fantazyjne cienie żelaznych krzeseł sięgały niżej i przecinały klomb gladioli. Między pokojami snuły się postaci, raz czy drugi mignęła wśród nich panna Warren, a potem już widać ją było wyraźnie, kiedy dostrzegła Dicka. Przekroczywszy próg, wyniosła na dwór odrobinę światła z wnętrza. Szła wsłuchana w jakiś rytm – przez ten tydzień dźwięczały jej w uszach pieśni lata, płomienistego nieba i mrocznych cieni, a z przyjazdem Dicka śpiew wezbrał w niej tak mocno, że była gotowa głośno mu towarzyszyć.

– Jak się pan ma, kapitanie. – Z trudem oderwała spojrzenie od Dicka; mogło się zdawać, że są spleceni. – Może usiadziemy? – Wciąż nieporuszona omiotła wzrokiem przestrzeń. – Właściwie to już lato.

Z werandy zeszła przysadzista kobieta owinięta szalem; Nicole przedstawiła:

– Señora...

Franz przeprosił i odszedł, Dick zestawiał trzy krzesła.

– Cudowny wieczór – powiedziała Señora.

– *Muy bella* – potwierdziła Nicole, potem zagadnęła: – Na długo pan przyjechał?

– Zostaję na dłużej w Zurychu, jeżeli o to chodzi.

– To pierwszy prawdziwie wiosenny wieczór – podzieliła się spostrzeżeniem Señora.

– Aż do...?

– Przynajmniej do lipca.

– A ja wyjeżdżam w czerwcu.

– Tu czerwiec jest przeuroczy – wtrąciła Señora. – Powinnaś zostać przez cały czerwiec, a wyjechać w lipcu, kiedy się robi naprawdę za gorąco.

– Gdzie pani wyjeżdża? – Dick spytał Nicole.

– Gdzieś z siostrą... w jakieś fascynujące okolice, bo zmarnowałam tu za wiele czasu. Im się chyba wydaje, że trzeba zacząć od jakichś spokojnych stron, na przykład od Como. Może pan przyjechać nad Como?

– Och, Como... – wtrąciła znowu Señora.

Grające w budynku trio zaatakowało *Lekką kawalerię* Suppého. Nicole skorzystała z okazji, żeby wstać; jej młodość i piękność oszołomiły Dicka. Zdawało się, że wzruszający dziecięcy uśmiech Nicole kryje w sobie całą utraconą młodość świata.

– Za głośno grają, nie sposób rozmawiać, przejdźmy się trochę. *Buenas noches*, Señora.

– ‘Branoc, ‘branoc.

Dwoma schodkami zeszli na ścieżkę, po chwili wchłonął ich cień. Nicole wzięła Dicka pod rękę.

– Mam kilka płyt z Ameryki, od siostry – powiedziała Nicole. – Kiedy znów pan przyjedzie, puszczę je panu, wiem, gdzie można postawić patefon tak, że nikt nie usłyszy.

– Będzie miło.

– Zna pan *Hindustan*? – wypytywała z nutką nostalgii. – Wcześniej go nie słyszałam, a spodobał mi się. Mam też *Why Do They Call Them Babies?* i *I’m Glad I Can Make You Cry**. Pewnie w Paryżu tańczył pan do tych melodii?

* Modne piosenki z 1918 roku: Johna Egana i Alfreda Harrimana oraz Charlesa McCarrona i Careya Morgana.

– Nigdy nie byłem w Paryżu.

Bardzo jasne włosy Nicole wprawiały Dicka w oszołomienie, podobnie jej kremowa sukienka, która podczas przechadzki raz przebierała odcień błękitny, raz szary. Ilekroć obracał się ku Nicole, uśmiechała się delikatnie, a kiedy dotarli w pobliże ulicznej latarni, jej twarz rozświetliła się anielsko. Dziękowała za wszystko, jakby zabrał Nicole nie tyle na przechadzkę, ile na przyjęcie, a w miarę jak Dick zaczynał się gubić – niepewny, co za stosunek łączy go z Nicole – jej ufność rosła; zdawało się, że w fascynacji, jakiej stała się sprawczynią, odbijają się wszystkie fascynacje świata.

– Ja już nie mam tu żadnych zakazów – powiedziała. – Zagram panu dwie pierwszorzędne melodie *Czekaj, aż wrócą krowy* i *Bywaj, mój Aleksandrze*.

Za tydzień spóźnił się; Nicole czekała na te następne odwiedziny tam, gdzie musiał się na nią natknąć po wyjściu z domku Franza. Z włosami zaczesanymi za uszy i opadającymi na ramiona, przez co twarz jakby się wynurzała spomiędzy nich, Nicole przypominała kogoś, kto z mroków lasu wychodzi wprost w księżycową poświatę. Nieznane oddało ją, uległo; Dick wyobraził sobie Nicole jako uwolnioną od przeszłości, od środowiska, doświadczeń, po prostu zagubioną dziewczynę wyłaniającą się z nocy. Ruszyli do schowka z patefonem, obeszlą warsztat, wspięli się na skałę i usiedli za niskim murkiem; gotowi bez końca chłonać przetaczającą się noc.

Teraz byli w Ameryce; nawet Franzowi, który widział w Dicku pożeracza serc, nigdy nie przyszłoby do głowy, że Nicole i Dick są tak daleko. Jakże im żal, słonko, jakże żal, kochanie; trafili na siebie w taksówce, uśmiechnęli jak na zawołanie, potem ten wieczór w „Hindustanie”, a później sprzeczka Bóg wie o co i po co, któż to pamięta, chociaż starczyło, by jedno odeszło, a drugie utonęło we łzach, żalu i smutku...

Tandetne melodyjki, zdolne wiązać czas miniony z nadziejami na przyszłość wplotły się w walezyjski wieczór*. Gdy milkł patefon, na estradę wkraczał wirtuoz jednej nuty: świerszcz. Po jakimś czasie Nicole dała spokój patefonowi i sama zaśpiewała.

Upuść na ziemię srebrnego dolara,
Wyteżaj oczy, patrz, gdzie się toczy.

Czyste, ledwie rozchylone czyste usta zamarły bez tchu. Dick nagle wstał.

- Co się stało? Nie podobało się panu?
- Podobało się.
- A tego mnie nauczyła nasza kucharka:

Że chłop się trafił dobry, kobieta wcześniej nie wie,
Póki go nie wyrzuci, nie wrzaśnie „śpij na drzewie”.

- A to się podoba?

Uśmiechnęła się do niego pewna, że zmieściwszy w tym uśmiechu wszystko, co w niej tkwi, przesyła to teraz jemu i – za tak niewiele, za jego odzew, za wibrowanie w nim podobnie nastrojonej struny – uczyni z samej siebie bezgraniczną obietnicę. Nieprzerwanie chłonęła słodycz wierzb, tego całego pogrążonego w mroku świata.

Także wstała; potknęła się o patefon, na moment oparła o Dicka i przylgnęła do krągłego wgłębienia w jego ramieniu.

- Mam jeszcze jedną płytę – powiedziała. - ...Słyszałeś *Żegnaj, Letty*? Pewnie tak.

* Tak w oryginale. Zurych nie leży w Walezji.

– Nie rozumiesz... Naprawdę niczego nie słyszałem.

Mógł dodać: nie poznałem, nie skosztowałem, nie powąchałem; znałem tylko dziewczyny o rozpalonych policzkach w pokojach na godziny. I te dziewice z New Haven, które całowały, mówiąc „o tak, tutaj!” wparte rękami w pierś mężczyzny i wciąż gotowe go odepchnąć. A teraz to ledwie odratowane, poturbowane dziecko wprowadza go w przestwór kontynentu...

VI

Nastał maj, zanim znów ją odszukał. Lunch w Zurychu skłaniał do rozwagi; życiowa logika nakazywała Dickowi trzymać się z dala od dziewczyny, lecz kiedy jakiś obcy mężczyzna wlepił w nią wzrok znad pobliskiego stolika – rozbłysk nieprzewidziany w programie: spojrzenie oczu płonących i natrętnych – Dick obrócił się ku niemu, co stanowiło elegancko opakowaną pogroźkę, i przerwał te oględziny.

– Taki tam ciekawski – usprawiedliwił go wesoło. – Zagapił się na twoją kreację. Skąd bierzesz tyle różnych sukienek?

– Siostra mówi, że jesteśmy bardzo bogate – wyjawiała skromnie.
– Od kiedy umarła babcia.

– Wybaczam ci.

Był na tyle starszy od Nicole, że mógł się delektować jej młodzieńczymi słabostkami i zachwytnymi, sposobem, w jaki wychodząc z restauracji, przystanąła w holu przed lustrem, dzięki czemu ta nieprzekupna srebrzysta tafla mogła zwrócić Nicole obraz jej samej. Podziwiał Nicole sięgającą otwartymi ramionami po coraz szersze kręgi świata, wiedząc, że jest bogata i piękna. Uczciwie starał się ją odwieść od natrętnego przekonania, że to on zszyl ją ze strzępów; uszczęśliwiony patrzył, jak Nicole bez jego udziału odbudowuje w sobie radość i ufność; problem tkwił w tym, że na koniec Nicole składała wszystko u jego stóp, jak czcicielka z ofiarnym brzemieniem ambrozji i mirtu.

Pierwszy tydzień lata zastał Dicka urządzonego w Zurychu od nowa. Broszury i prace pisane w wojsku uporządkował tak, żeby mogły posłużyć do poprawionego wydania jego *Psychologii dla psychiatrów*. Sądził, że znalazł wydawcę, nawiązał też kontakt z

biednym studentem, który mógł wygładzić niemczyznę Dicka. Franz uważał to za ruch przedwczesny, lecz Dick rozbijając powołał się na skromność tematyki.

– Już nigdy nie poznam lepiej tej dziedziny – upierał się. – Mam wrażenie, że nigdy jej nie uznano za fundamentalną, bo zabrakło twardej dokumentacji. Ten zawód, niestety, przyciąga ludzi poniekąd kalekich i przegranych, to jego słabość. I oto za zamkniętymi drzwiami gabinetu ktoś taki znajduje kompensatę w przypadkach klinicznych, „praktycznych” chcąc swoją bitwę wygrać bez walki. Ty, Franz, przeciwnie, jesteś właściwym człowiekiem, bo los cię wyznaczył do tego zawodu, zanim się urodziłeś. Lepiej podziękuj Bogu, że nie masz żadnej „żyłki” w tej mierze... A ja musiałem zostać psychiatrą, bo w Oksfordzie, w kolegium św. Hildy, była pewna dziewczyna, która chodziła na te akurat wykłady. Może to sztampa, lecz nie chcę, żeby pomysły, które mi krążą po głowie, rozplynęły się kiedyś w parudziesięciu kuflach piwa.

– Zgoda – rzekł Franz. – Jesteś Amerykaninem. Możesz to zrobić i nie wystawisz na szwank kariery. Ja nie lubię takiego uogólniania. Wkrótce zaczniesz pisać książeczki *Głębokie myśli dla laików* pełne takich uproszczeń, że czytelnikowi ani się zamarzy myślenie; będziesz to miał jak w banku. Gdyby mój ojciec żył, spojrzalby na ciebie i chrząknął. Wziąłby serwetkę, złożył w ten sposób, potem trzymając tę właśnie obrączkę do serwetki – Franz podniósł maleńką, wyrzeźbioną w drewnie brunatną głowę dzika – powiedziałby: „No cóż, mam wrażenie...”, potem spojrzalby na ciebie i pomyślał: „Chyba szkoda gadać” Wreszcie przerwałby, chrząknął jeszcze raz i taki byłby koniec kolacji.

– Dzisiaj jestem samotny – Dick odparł cierpko. – A jutro może być inaczej. Potem, kto wie, wzorem twojego ojca może poprzestane na złożeniu serwetki i chrząknięciu.

Franz odczekał chwilę.

– Co z naszą pacjentką? – spytał.

– Nie wiem.

– A już powinienes.

– Lubię ją. Ładna, powabna. Co chcesz, co mam zrobić? Dorwać ją gdzieś w szarotkach?

– Nie. Pomyślałem sobie, że skoro cię wciągnęły książki naukowe, to może coś ci chodzi po głowie.

– ...Że poświęcę jej życie?

Franz zawołał do żony krzątającej się w kuchni.

– *Du lieber Gott! Bitte, bringe Dick noch ein Glas-Bier**.

– Skoro mam porozmawiać z Dohmlerem, to starczy.

– Nam się wydaje, że najlepiej trzymać się planu. Minęły cztery tygodnie... Dziewczyna, co tu gadać, zakochała się w tobie. Nie wtykalibyśmy nosa do tego, gdyby nie fakt, że to w klinice, więc sprawa dotyczy też nas.

– Postąpię, jak uważa doktor Dohmler – zapewnił Dick.

A jednak zbyt nie wierzył, że doktor Dohmler wiele rozświetli. To on, Dick, stał się w tym wszystkim czynnikiem nieprzewidywalnym. A sprawa – chociaż nie chciał, nie dążył świadomie do tego – sama pchała mu się w ręce. Przypominało to Dickowi scenę z dzieciństwa, kiedy wszyscy w domu szukali zgubionego kluczyka do szafki ze srebrami, Dick zaś wiedział, że kluczyk leży pod chusteczkami do nosa w górnej szufladzie matczynej komody, bo sam go tam schował; tym, co wówczas odczuwał, był filozoficzny dystans, a odczucie to odżyło, kiedy poszli z Franzem do gabinetu doktora Dohmlera.

Profesor – o pięknej twarzy, która obramowana prosto biegnącymi bokobrodami przypominała porośniętą winem werandę starego, szlchetnego domu – rozbroił Dicka. Owszem, Dick poznał

* Na miłość boską, przynieś Dickowi jeszcze jedno piwo (niem.).

parę osób może bardziej utalentowanych, lecz nikogo, kto by przewyższał klasą Dohmlera.

(To samo pomyślał pół roku później na widok zmarłego profesora, gdy pierzchnęło światło z werandy, pędy bokobrodów natarły na sztywny biały kołnierzyk, a niezliczone bitwy falujące niegdyś przed szparkami oczu teraz zastygły na zawsze pod cienkimi, delikatnymi powiekami.)

– Dzień dobry, panie profesorze. – Zdawało się, że Dick składa meldunek, zepchnięty na powrót w rygor wojska.

Profesor Dohmler splótł cierpliwe palce. Franz mówił po części jak oficer łącznikowy, po części jak sekretarz; wreszcie patron przerwał mu w pół zdania.

– Mamy za sobą kawałek drogi – powiedział miękko. – A teraz, doktorze Diver, to pan nam może najskuteczniej pomóc.

Wywołany do odpowiedzi Dick wyznał:

– Sam ze sobą nie doszedłem do ładu w tej mierze.

– Nie wnikam w pańskie osobiste reakcje – powiedział Dohmler.
– Natomiast bardzo mnie obchodzi fakt, że tak zwane przeniesienie – rzucił przelotne ironiczne spojrzenie w stronę Franza, ten zaś je odwzajemnił podobnym – musi się kiedyś skończyć. Stan panny Nicole wygląda teraz naprawdę nieźle, mimo to panna Nicole nie zdoła przetrwać czegoś, co zinterpretuje jako tragedię.

Franz znów chciał mówić, lecz Dohmler uciszył go gestem.

– Mam wrażenie, że pańska sytuacja nie jest łatwa.

– Zgadza się, nie jest.

Profesor odchylił się w fotelu i wybuchnął śmiechem, by na koniec rzucić z ostrym błyskiem szarych oczek:

– Możliwe, że jest pan zaangażowany uczuciowo.

Dick, przejrzany, też się roześmiał.

– To ładna dziewczyna... co przemawia do każdego, przynajmniej w pewnej mierze. Lecz nie zamierzam...

Znów Franz próbował zabrać głos i znowu Dohmler to uciął pytaniem skierowanym do Dicka:

– Myślał pan o wyjeździe?

– Nie mogę wyjechać.

Dohmler zwrócił się do Franza:

– W takim razie my możemy wyprawić stąd pannę Warren.

Dick nie zaprotestował.

– Skoro pan tak uważa, panie profesorze... – powiedział. – To bez wątpienia trudny problem.

Profesor Dohmler podniósł się jak beznogi wstający o kulach.

– Tyle że to jest trudny problem zawodowy – zagrział, ale głosowi brakowało już mocy.

Z westchnieniem opadł na fotel, czekając, aż przez pokój przetoczą się echa gromu. Dick miał wrażenie, że uderzywszy w wysokie tony, doktor Dohmler już nie jest pewien, czy drogo nie przypłaci takiej kulminacji. Gdy burza cichła, Franz wreszcie zdołał się wtrącić:

– Doktor Diver jest człowiekiem szlachetnym – powiedział. – Mam wrażenie, że sam musi ocenić okoliczności, żeby postąpić właściwie. Moim zdaniem Dick może współpracować i nikt nie musi nigdzie wyjeżdżać.

– A pan jak na to patrzy? – Dohmler spytał Dicka.

Wobec takiego postawienia sprawy Dick poczuł się fatalnie; w ciszy, która zapadła po pytaniu Dohmlera, zrozumiał, że nie może

przeciągać w nieskończoność niezdecydowania, i oto nagle wylał z siebie wszystko:

– Jestem w niej na wpół zakochany... Już się zastanawiałem, czy się z nią ożenić.

– Sssssss... – Franz syknął z wrażenia.

– Chwileczkę – przestrzegł Dohmler.

Franz ani myślał czekać.

– Coś podobnego? Chcesz na to poświęcić pół życia, żeby być jej lekarzem, pielęgniarzką i w ogóle... nigdy! Wiem, czym się kończą takie przypadki. W jednym na dwadzieścia przy pierwszej inicjatywie jest już po wszystkim... Już lepiej, żebyś jej nigdy nie zobaczył!

– A jak pan na to patrzy? – jeszcze raz spytał Dicka doktor Dohmler.

– Rzecz jasna, Franz ma rację.

VII

Dyskusja o tym, co Dick powinien zrobić, dobiegła końca późnym popołudniem; stanęło na tym, że jednocześnie musi się zachowywać bardzo życzliwie, lecz i usuwać się. Lekarze wreszcie wstali, a spojrzenie Dicka przeskoczyło na zewnątrz: na dworze siąpiło i gdzieś w tym deszczu czekała pełna nadziei Nicole. Dopiął pod szyję płaszcz przeciwdeszczowy, opuścił rondo kapelusza i wyszedł, by natknąć się natychmiast na Nicole pod daszkiem głównego wejścia.

– Wypatrzyłam nowe miejsce, gdzie można pójść – powiedziała.
– Kiedy chorowałam, nie miałam nic przeciw spędzaniu wieczorów z innymi, tam w środku, bo nie słyszałam nic dziwnego w tym, co mówią. Rzecz jasna, teraz widzę w nich chorych, a to jest... to jest...

– Wkrótce wyjeżdżasz...

– A właśnie, wkrótce. Beth, moja siostra, zawsze mówimy na nią Baby, lecz to Beth, otóż siostra przyjeżdża za parę tygodni, żeby mnie gdzieś zabrać, a potem wracam i to ma być ostatni miesiąc tutaj.

– Starsza siostra?

– Znacznie. Ma dwadzieścia cztery lata, bardzo taka angielska. Mieszka w Londynie z siostrą ojca. Zaręczyła się z Anglikiem, lecz zginął; nigdy go nie poznałam.

Twarz Nicole – kość słoniowa o złocistym odcieniu na tle osnutego deszczem zmierzchu – kryła obietnicę, z którą Dick jeszcze nigdy się nie zetknął; wysoko osadzone wydatne kości policzkowe i lekka bladość raczej spowinowacana z chłodem niż gorączkami jakoś przypominały dobrze zapowiadającego się żrebaka: stworzenie,

którego istnienie nie ma być projekcją młodości na szarzejących z biegiem lat ekranach, lecz obietnicą prawdziwego dojrzewania; twarz Nicole powinna być przystojna i w wieku średnim, i na starość, bo istotą tej twarzy były harmonia i umiar.

– Na co patrzysz?

– Na nic, po prostu myślę, że zbliża się czas coraz szczęśliwszy dla ciebie.

Nicole przestraszyła się.

– Tak myślisz? No trudno, ze mną nie może być już gorzej, niż było.

Zaprowadziła go do drewnianej szopy i teraz siedziała tam ze skrzyżowanymi nogami w sportowych półbucikach, owinięta trenczem, z policzkami zaróżowionymi na wilgotnym powietrzu. Poważnym spojrzeniem odpowiedziała na spojrzenie Dicka; wspierał się lekko o drewniany słup, w jego sylwetce rzucał się w oczy rys dumy. Nicole wpatrywała się w tę zawsze zdyscyplinowaną twarz, ćwiczoną w szybkich powrotach do powagi i uwagi po wypadach w krainę wesołości oraz drwin. Najmniej wiedziała, co kryją rudawe irlandzkie koloryty Dicka; obawiała się tego, lecz jeszcze bardziej pragnęła wy badać ów szczególnie męski rys Dicka; jak większość kobiet tę odwrotną stronę medalu – opanowanie i rozwagę tkwiące w uprzejmym spojrzeniu – uznała bez namysłu za swą własność.

– Przynajmniej mogłam tu ćwiczyć języki – powiedziała. – Po francusku rozmawiałam z dwoma lekarzami, po niemiecku z pielęgniarkami, po włosku bądź czymś do włoskiego podobnym z paroma sprzątaczkami i pewną pacjentką, u innej podsłuchałam trochę hiszpańskiego.

– Całkiem nieźle.

Chciał to jakoś skomentować, ale zabrakło mu pomysłu.

– ...No i muzyka. Chyba nie myślisz, że w głowie mi tylko ragtime. Codziennie ćwiczę, ostatnio przez parę miesięcy chodziłam w Zurychu na kurs historii muzyki. Prawdę mówiąc, były takie momenty, że tylko to trzymało mnie przy życiu, muzyka i rysowanie. – Nagle schyliła się, ukręciła jakiś naderwany strzęp zelówki, potem podniosła wzrok. – Chętnie bym cię narysowała, takiego jak teraz.

Liczyła na pochwałę z ust Dicka, on zaś posmutniał.

– Zazdroszczę ci. Mnie teraz interesuje tylko praca.

– To chyba dobrze, jak na mężczyznę – odparła spiesznie. – Z kolei dziewczyna powinna mieć sporo pomniejszych zajęć, a umiejętności przekazać dzieciom, prawda?

– Możliwe – powiedział Dick na pozór obojętnie.

Nicole siedziała teraz bez słowa, Dick zaś pragnął, żeby mówiła. Mógłby grać łatwą rolę mentora, ale zamilkła.

– Już całkiem wyzdrowiałaś – powiedział. – Próbuj zapomnieć o przeszłości, oszczędzaj się co najmniej przez rok. Wróć do Ameryki, daj się poznać w towarzystwie, zakochaj się... bądź szczęśliwa.

– Nie zdołam się zakochać. – Butem z naderwaną podeszwą strąciła kłęb starych pajęczyn obrastający kłodę, na której siedziała.

– Oczywiście, że zdołasz – upierał się Dick. – Może nie zaraz, może minie rok, ale zdołasz prędzej czy później. – Potem dodał bezceremonialnie: – Możesz mieć absolutnie normalne życie z gromadką pięknych dzieciaków. Właśnie to, że w twoim wieku zdołałaś całkowicie wydobrzeć, dowodzi, że niemal o wszystkim zdecydowały czynniki doraźne i nagle. Młoda damo, będziesz się cieszyć życiem jeszcze długo po tym, jak twoje przyjaciółki z płaczem opuszczą ten padół.

Oczy Nicole świadczyły jednak o bólu, z jakim przyjmowała tę gorzką pigułkę, to szorstkie napomnienie.

– Ja wiem, że jeszcze długo nie będę się nadawała do małżeństwa. – W głosie brzmiał ton pokory.

Dick, zbyt znękany, nie miał ochoty mówić. Patrzył na łąk zboża przed szopą i usiłował na nowo przybrać zwykłą pozę podszytąuchwalstwem.

– Nic złego cię nie spotka... Skądże... Wszyscy tu w ciebie wierzą, a doktor Gregory jest z ciebie taki dumny, że chyba...

– Nie znoszę doktora Gregory'ego.

– No nie; tak nie można.

Świat Nicole rozpadł się na strzępy, lecz był to świat wiotki, ledwie naszkicowany, tymczasem ukryte głębiej emocje i instynkty Nicole nadal toczyły walkę. Nie do wiary, że przed godziną czekała przy wejściu z nadzieją w sercu, jak z bukiecikiem wpiętym w sukienkę.

...Sukienka świeża wciąż czeka na niego i czeka pąk rozkwitającego narcyza, czeka nawet powietrze, zastygłe i słodkie*.

– Przyjemnie będzie znowu poszaleć. – Nicole szukała jakiegoś punktu zaczepienia. Przez chwilę krążył jej po głowie rozpaczliwy pomysł, żeby opowiedzieć Dickowi, jaka jest bogata, w jak wielkich domach mieszka, jak cennym naprawdę jest okazem; przez chwilę w Nicole zagrała krew dziadka Sida Warrena, handlarza końmi. Oparła się jednak pokusie gmatwania wartości i zamknęła te sprawy w ich wiktoriańskich niszach... Jej samej usunął się jednak grunt spod nóg, zostały tylko ból i pustka.

– Czas wracać do kliniki. Przestało padać.

Idącemu przy niej Dickowi udzielała się jej udręka, zapragnął spijać krople deszczu, które dotknęły jej policzków.

* Ten krótki monolog wewnętrzny to autocytat, zaczerpnięty przez Fitzgeralda z opowiadania *Flight and Pursuit*.

– Mam parę nowych płyt – powiedziała. – Nie mogę się doczekać, kiedy ich posłucham. Bo widzisz...

Wieczorem po kolacji Dick pomyślał, że należałoby doprowadzić zerwanie do końca; zarazem chętnie by skopał po tyłku Franza za to, że ten w jakiejś mierze wpakował Dicka w tak obrzydliwą sytuację. W holu powiódł wzrokiem za beretem, który – inaczej niż beret Nicole – nie przemókł podczas wyczekiwania, okrywał zaś niedawno operowaną czaszkę. Spod beretu zerknęły ludzkie oczy. Ów ktoś dostrzegł Dicka i podszedł.

– *Bonjour, Docteur.*

– *Bonjour, Monsieur.*

– *Il fait beau temps.*

– *Oui, merveilleux.*

– *Vous êtes ici maintenant?*

– *Non, pour la journée seulement.*

– *Ach, bon. Alors... au revoir, Monsieur*.*

Nieszczęśnik w berecie odszedł zadowolony, że wytrzymał kolejne spotkanie z człowiekiem. Dick czekał. I oto zeszła po schodach pielęgniarka z wiadomością.

– Panna Warren prosi o wybaczenie, doktorze. Chce się położyć. Dzisiaj kolację zje na górze.

Pielęgniarka wyczekiwała odpowiedzi jakby w obawie, że Dick się dopatruje zaburzeń w postępowaniu panny Warren.

* Dzień dobry, panie doktorze. – Dzień dobry panu. – Piękną mamy pogodę. – Tak, prześliczną. – Pan teraz tutaj? – Nie, wpadłem tylko na jeden dzień. – Ach tak. To do widzenia panu (fr.).

– Rozumiem. No pewnie... – Przełknął ślinę i starał się zapamiętać nad łomotaniem serca. – Mam nadzieję, że panna Warren czuje się lepiej. Dziękuję.

Był zaskoczony i niezadowolony. Tak czy owak, wywinał się.

Zostawił Franzowi wiadomość; wymówiwszy się uprzejmie od kolacji, szedł teraz między polami do tramwaju. Wiosenny zmierzch złocił szyny i szyby automatów biletowych na przystanku, Dicka zaś nękało złudzenie, że oto przystanek i klinika popadły w stan nierównowagi między tym, co odśrodkowe a dośrodkowe. Przestraszył się. I ucieszył, kiedy pod podeszwami poczuł twardy bruk; znowu usłyszał znajomy stuk obcasów na kocich łbach Zurychu.

Nazajutrz czekał na jakiś sygnał od Nicole, lecz ani słowa. W obawie, że jest chora, zadzwonił do kliniki.

– Schodziła na lunch i wczoraj, i dziś – zapewnił Franz. – Jakby trochę zamyślona, buja w obłokach. W jaki sposób to się zakończyło?

Dick usiłował przeskoczyć przepastną szczelinę dzielącą płci.

– Nie doszliśmy aż do tego; przynajmniej ja mam takie wrażenie. Próbowałem zachowywać dystans, lecz moim zdaniem nie wydarzyło się aż tyle, żeby zmienić jej nastawienie, o ile w ogóle była głębiej zaangażowana.

Dick nie miał okazji zadać żadnego *coup de grâce**, na czym cierpiała jego miłość własna.

– Z tego, co mówiła pielęgniarka, wynika, że zrozumiała – oznajmił Franz.

– No i dobrze.

– Nie mogło się ułożyć lepiej. Chyba nie jest nadmiernie pobudzona. Może tylko... trochę rozkojarzona.

* Śmiertelny cios zadawany z litości (fr.).

- No to dobrze.

- Wpadaj piorunem, Dick, musimy się zobaczyć.

VIII

W następnych tygodniach Dicka przytłaczał ogrom niezadowolenia. U początku przygody patologia, potem mechaniczne zdławienie wszystkiego, w sumie mdły metaliczny posmak. Zwiedziono uczucia Nicole, kto wie, może i jego własne? Trudno, na jakiś czas Dick weźmie rozbrat ze szczęściem... W snach widywał Nicole, która przechadza się ścieżkami kliniki i wymachuje słomkowym kapeluszem z szerokim rondem...

Tymczasem zobaczył Nicole na jawie: mijał hotel Palace i na półkolisty podjazd właśnie zajechał bajeczny rolls. Nicole – maleńka w tym gigancie, niesiona niedorzeczną mocą stu koni – siedziała obok młodej kobiety, zapewne siostry. Dostrzegła Dicka i na chwilę rozchyliła usta, jak w popłochu. Dick uchylił kapelusza i poszedł dalej, mimo to miał wrażenie, że powietrze wokół niego zgęstniało i kołują w nim z wrzaskiem wszystkie gnomy z Grossmunster. Próbował wypchnąć sprawę z głowy na papier. Napisał fachowy szkic, nie wolny od szczegółów, aż po opis rygorów, którym należy sprostać; poruszył też możliwość kolejnego „ataku” choroby pod wpływem napięć, których świat na pewno nie oszczędzi Nicole; słowem, opis mógł być przekonujący dla każdego, wyjąwszy jedną jedyną osobę: autora.

Na szczęście ślęcząc nad szkicem, Dick jeszcze raz uświadomił sobie, jak dalece się zaangażował, i w rezultacie sięgnął po środki zaradcze, w tym po pewną telefonistkę z Bar-sur-Aube, która przemierzała teraz gorączkowo Europę od Nicei po Koblencję w pościgu za mężczyznami poznanymi podczas tych fenomenalnych wakacji. Zakrzętnął się ponadto wokół rządowego transportu, by w sierpniu wrócić do domu. Za trzecie antidotum posłużyło zatopienie się w

korektach książki, którą Dick miał przedstawić tej jesieni całemu niemieckojęzycznemu światu psychiatrii.

Dick już przerósł tę książkę; teraz chciał sięgnąć głębiej, do podstaw; gdyby w trybie wymiany dostał jakieś stanowisko przy klinice uniwersyteckiej, miałby w zasięgu obfitość przypadków.

Na razie obmyślał to nowe dzieło: *Próba stworzenia jednolitej i praktycznej klasyfikacji nerwic oraz psychoz w oparciu o tysiąc pięćset przed- i po-Kraepelinowskich przypadków zdiagnozowanych zgodnie z terminologią odmiennych współczesnych szkół* – do tego jeszcze jeden dźwięczny podtytuł – *Wraz z chronologicznym zestawieniem poglądów powstałych niezależnie, poza głównym nurtem.*

Monumentalnie zabrzmiał taki tytuł po niemiecku.

Dick pedałowal powoli do Montreux, patrząc przy każdej okazji na Jugenhorn; kiedy mijał uliczki wychodzące między nadbrzeżnymi hotelami na jezioro, oślepiało go migotanie słońca na wodzie. Dostrzegal Anglików, wyłaniające się po czterech latach grupy; podczas przechadzki rzucali podejrzliwe spojrzenia godne powieści kryminalnych, jakby w tym zagadkowym kraju miały ich lada chwila napaść wyszkolone z niemiecka bandy. Nawałnica pozostawiła rumowisko, lecz na każdym kroku wyczuwało się na nim ducha przebudzenia i budowania. Czy w Bernie, czy Lozannie, jadącego na południe Dicka wypytywano niecierpliwie o Amerykanów, czy tego roku przyjadą.

– Skoro nie w czerwcu, to może w sierpniu?

Dick miał na sobie krótkie skórzane spodnie, wojskową koszulę i górskie buty, w plecaku zaś bawełniany garnitur i zmianę bielizny. Przy kolejce linowej Glion nadał na bagaż rower, na tarasie restauracyjki przy stacji wypił piwo, śledząc jednocześnie żuczka, który pełznął w dół nad nachylonym pod kątem osiemdziesięciu stopni zboczem. Wcześniej, w La Tour de Pelz, poczuł się noszonym na rękach sportowcem, pomknął i oto miał teraz w uchu pełno

zakrzepłej krwi. Poprosił o trochę spirytusu, powierzchownie przetarł ucho, tymczasem kolejka zjechała na stację. Dopilnował ładowania roweru i wszedł do dolnego przedziału, wpierw wrzuciwszy tam plecak.

Wagoniki wspinające się na górę zbudowano stosownie do stromizny przypominającej taki kąt opuszczenia ronda kapelusza, kiedy człowiek chce się pod nim ukryć. Z komory pod wagonikiem wytrysnęła woda. Dick podziwiał pomysłowość tego rozwiązania. Do drugiego wagonika, na górze, wodę właśnie wlewano; w ten sposób po zwolnieniu hamulców górny wagonik – tylko dzięki sile grawitacji – zacznie wyciągać na górę ten dolny, teraz lżejszy. Coś takiego mogła podyktować tylko chwila olśnienia. Siedząca naprzeciw brytyjska para właśnie rozprawiała o kolejce.

– Robione w Anglii zawsze wytrzymują pięć lub sześć lat. Dwa lata temu wyrugowali nas Niemcy, bo byli tańsi, i jak myślisz, ile wytrzymały te ich liny?

– Nie mam pojęcia.

– Rok i dziesięć miesięcy. Potem Szwajcarzy sprzedali je Włochom. Tam ze sprawdzaniem lin nikt nie przesadza.

– Dla Szwajcarii byłaby to tragedia, gdyby tu pękła lina.

Konduktor zamknął drzwi, przez telefon zameldował się koledze po fachu, druhowi w jeżdżeniu do góry i na dół, a potem wagonik ruszył z szarpnięciem i zaczął się wspinać ku punkcikowi na szmaragdowej górze. Kiedy w dole zostały niskie dachy, pasażerowie wpłynęli w przestwór nieba Wodezji, Walezji, szwajcarskiej Sabaudii i Genewy spinający się w cykloramę. Środek jeziora drażonego dojmująco zimnymi prądami Rodanu był zarazem prawdziwym środkiem świata Zachodu. Sunęły po nim łabędzie jak łodzie i łodzie jak łabędzie, na doskonale obojętnym pustkowiu piękna. W pogodny dzień w dole lśniło słońce odbite od trawiastej plaży i białych

dziedzińców domu zdrojowego. Postaci na dziedzińcach nie rzucały cienia.

Kiedy w polu widzenia pojawiły się Chillon i pałac na wyspie Salagnon, Dick powiódł wzrokiem po wnętrzu wagonika. Teraz byli już ponad najwyżej położonymi domami na wybrzeżu, a po obu stronach raz po raz gęstwina liści i kwiatów zamieniała się w kolorowe chmury. Ów ogród okalał kolejkę; w wagoniku widniał napis: *Défense de cueillir les fleurs**.

Obsypane kwiatami gałęzie mimo zakazu wdzierały się do sunącego w górę wagonika, pnące róże „Dorothy Perkins” czepiały się wytrwale każdego przedziału, powoli przemieszczały wraz z wagonikiem, by wreszcie oderwać się i wrócić na miejsce w różanym obłoku. Raz po raz po burcie szorowały gałęzie.

W położonym wyżej przedziale stała na wprost Dicka gromadka Anglików; zachwyceni panoramą i niebem pokrzykiwali, lecz nagle wkradło się między nich jakieś zamieszanie, rozstąpili się, pozwalając przejść parze młodych ludzi, którzy mnożąc przeprosiny, zmierzali do przedziału położonego niżej. Młody mężczyzna o oczach wypchanego jelenia wyglądał na południowca; dziewczyną była Nicole.

Wędrowcy usadowili się, spychając do kąta Anglików, odsapnęli i wtedy Nicole powiedziała:

– Ha!-lo!

Wyglądała ślicznie i jakoś inaczej. Dick natychmiast zauważył wyrafinowaną fryzurę: włosy krótko przycięte, skręcone w loki w stylu Irene Castle**. W jasnoniebieskim sweterku i białej tenisowej spódnicy była istnym majowym porankiem, bez śladu zniknęło piętno kliniki.

* Nie zrywać kwiatów (fr.).

** Tancerka i gwiazda kina niemego (1893-1969). Z mężem Vernonem stanowili legendarny duet taneczny; Vernon – podczas I wojny światowej pilot wojskowy i instruktor – zginął w 1918 roku w katastrofie lotniczej.

– No to bums! – Jeszcze dyszała. – Ależ numer z tego strażnika. Przymkną nas na stacyjce. Doktorze Diver, to conte de Marmora. – O rety! – Zdyszana musnęła dłonią uczesanie. – Siostra kupiła bilety pierwszej klasy. Dla niej to sprawa zasad. – Spojrzała porozumiewawczo na Marmorę i zawołała: – A potem zobaczyliśmy, że ta pierwsza klasa to jakaś trupiarnia tuż za maszynistą, nic stamtąd nie widać, bo na wszelki wypadek pozasłaniana przed deszczem. Lecz siostra jako osoba godna... – Nicole i Marmora roześmiali się, spoufalerzeni przez młodość.

– Gdzie się wybieracie?

– Do Caux. Ty także? – Nicole przyjrzała się strojowi Dicka. – Ten rower, który załadowali, to twój?

– Mój. W poniedziałek zjadę w dół, nad jezioro.

– Przewieziesz mnie na kierownicy? Nie żartuję, przewieziesz? Ależ będzie zabawa!

– Ja cię zniosę na rękach – gwałtownie zaprotestował Marmora. – Zwiozę na wrotkach albo zrzucę, a ty łagodnie sfruniesz jak piórko.

Radość na twarzy Nicole, na myśl, że będzie piórkiem, a nie ciężarem, że będzie frunąć, a nie brnąć... Nicole była jak karnawał, od którego nie sposób oderwać oczu, ożywiona, to strojąca miny i pozy, to skromnisia... Ale czasami padał na nią cień, powaga minionych cierpień przenikała ją po czubki palców. Dick chciał być z dala od Nicole w obawie, że wraz z nim stanie jej przed oczami ów świat, który na dobre odsunął się w przeszłość. Postanowił poszukać innego hotelu.

Kiedy kolejka dojechała do stacji, zmieszani pasażerowie-nowicjusze nie umieli się odnaleźć między błękitami aż dwóch niebiańskich przestworzy. Nie trwało to dłużej niż tajemnicze komunikowanie się konduktorów z wagonika zjeżdżającego i z wjeżdżającego. A potem dalej w górę, nad leśną ścieżką i wąwozem, i

ku szczytowi wzgórza, obsypanego narcyzami po samo niebo. Teraz ludzie na kortach tenisowych w Montreaux zamienili się w punkciki. Kiedy wagonik zawinał do Glion, w powietrzu wyczuli coś nowego: świeżość zaklętą w muzykę dobiegającą z hotelowego ogrodu.

Kiedy przesiedli się do następnej kolejki, muzykę zagłuszył szum wody wypływającej z komory hydraulicznej. Niemal wprost nad nimi leżało Caux, gdzie w tysiącu hotelowych okien lśniło popołudniowe słońce.

Tym razem wznosili się inaczej – głośno dudniąca machina pchała pasażerów po spirali coraz wyżej i wyżej; z wysiłkiem przebrnęli warstwę niskich chmur, w kłębach pary z silnika wspomagającego wspinaczkę na chwilę zniknęła twarz Nicole; uderzył w nich jakiś zagubiony podmuch wiatru, hotel rósł w oczach z każdym okrążeniem, wreszcie na samej górze znaleźli się, ku swemu zdumieniu, w powodzi słońca.

Przyjazd oznaczał zamieszanie. Dick zarzucił plecak i wzdłuż peronu ruszył po rower; okazało się, że wraz z nim idzie Nicole.

– Nie zatrzymujesz się w naszym hotelu? – spytała.

– Staram się oszczędzać.

– A przyjdiesz na kolację? – Znów coś się poplątało z bagażami. – To moja siostra. Doktor Diver z Zurychu.

Dick uklonił się młodej kobiecie w wieku może dwudziestu pięciu lat, wysokiej i pewnej siebie. Ktoś jednocześnie wspaniała i kruchy, ocenił Dick, myśląc o innych kobietach o ustach postrzępionych jak kwiaty.

– Wpadnę po kolacji – obiecał. – Wpierw muszę się zaaklimatyzować.

Prowadził rower odprowadzany spojrzeniem Nicole; czuł bezradność jej pierwszej miłości i czuł, że ta miłość gruntownie przeinacza jego samego. Podszedł trzysta jardów pod górę do innego

hotelu i wynajął pokój; podczas mycia uświadomił sobie, że nie pamięta niczego z ostatnich dziesięciu minut; szumi mu w głowie, jakby się upił, a przez szum przebijają się jakieś głosy, nieważne, nieświadome, jak bardzo ktoś go kocha.

IX

Brakowało im Dicka; po panie Warren, młodym Włochu i po Nicole widać było, że niecierpliwie go wypatrują. Wciąż stanowił zagadkę. W znanym z zadziwiającej akustyki salonie hotelowym ubyto mebli ze względu na rychły dansing, natomiast ciasną galerijkę zapełniały Angielki w pewnym wieku o farbowanych włosach, upudrowane szaroróżowo i obwieszane naszyjnikami, inną zaś obsiadły Amerykanki w pewnym wieku o śnieżnobiałych ondulacjach, wiśniowoczerwonych wargach, ubrane w czarne suknie. Panna Warren i Marmora siedzieli w rogu przy stoliku, Nicole stała w przeciwległym rogu, czterdzieści jardów dalej; wchodzącego Dicka dobiegły jej słowa:

– *Mówię zwykłym tonem. Słyszysz?*

– Świetnie słyszę.

– *Witam, doktorze Diver.*

– Co to za historia?

– *Ci ludzie na środku parkietu nie mogą mnie usłyszeć, a ty możesz?*

– Kelner o tym opowiedział – wyjaśniła panna Warren. – Głos się niesie z rogu do rogu; jakby to było radio.

Pobyty na tej górze wprawiał w podniecenie, jak pobyt na morzu na statku. Dołączyli rodzice Marmory. Do panien Warren odnosili się z szacunkiem; Dick wywnioskował, że majątek Marmorów ma coś wspólnego z bankiem w Mediolanie, a ten coś wspólnego z fortuną Warrenów. Baby Warren chciała jednak rozmawiać z Dickiem, parła do tej rozmowy z impetem, który ją popychał ku każdemu nowemu mężczyźnie, zmuszał do szamotania, jakby się

chciała zerwać z jakiegoś postronka. Założywszy nogę na nogę, przekładała je raz po raz zwyczajem wybujałych dziewczyc, niezdolnych usiedzieć w spokoju.

– ...Nicole mi opowiadała, że pan też się nią opiekował i bardzo przyczynił do wyzdrowienia. A ja nie mogę pojąć, czego się po nas spodziewają... Oni w tym sanatorium są tacy niekonkretni; powiedzieli tylko, że powinna być naturalna i wesoła. Wiedziałam, że są tu Marmorowie, więc poprosiłam Tina, żeby zjechał na dół i poczekał przy kolejce. I wie pan, co się dzieje... Nicole z miejsca namawia Tina do wspinania się po burtach wagonika, jakby oboje byli niespełna rozumu...

– Ależ to najzwyklejsza historia – roześmiał się Dick. – Widzę w niej dobry omen. Popisywali się.

– Skąd ja mam o tym wiedzieć? Zanim się połapałam, Nicole w Zurychu niemal na moich oczach ścięła włosy, bo zobaczyła jakieś zdjęcie w „Vanity Fair”.

– I bardzo dobrze. Nicole to typ schizotypiczny... niepoprawnie ekscentryczna. Tego pani nie zmieni.

– Co takiego?

– Dokładnie to, co powiedziałem: ekscentryczka.

– Skoro tak, to skąd można wiedzieć, co jest ekscentryczne, a co szalone?

– Tu nic nie zmierza do szaleństwa, Nicole rozsadza energia i jest szczęśliwa; nie musi się pani bać.

Baby przełożyła nogi. Była uosobieniem tych wszystkich zawiedzionych kobiet, które sto lat wcześniej kochały się w Byronie; mimo tragicznego romansu z oficerem tkwiło w niej jakieś zdrewnienie, coś onanistycznego.

– Nie uchylam się od odpowiedzialności – zapewniła – lecz brak mi gruntu pod nogami. W rodzinie nigdy nie mieliśmy do czynienia z

czymś takim. Owszem, wiemy, że Nicole przeżyła pewien wstrząs, i moim zdaniem to się wiąże z chłopakiem, ale naprawdę nic nie wiemy. Ojciec mówi, że gdyby tego smarkacza znalazł, toby go zastrzelił.

Orkiestra zagrała *Poor Butterfly**, młody Marmora tańczył z matką. Dla wszystkich była to melodia jeszcze dość nowa. Zawsłuchanemu Dickowi, zapatrzonemu w ramiona Nicole – gawędziła teraz ze starszym Marmorą, którego włosy tak przeplatała mleczna siwizna, że przypominały klawiaturę fortepianu – przyszedł na myśl wykrój skrzypiec, potem pomyślał o hańbie, wreszcie o tajemnicy. Nieszczęsny motylu... Chwile dłużyły się jak godziny...

– Prawdę mówiąc, mam pewien plan – ciągnęła Baby tonem usprawiedliwienia, lecz i natarczywie. – Może się panu wydać wprost niedorzeczny, lecz tam mi powiedzieli, że jeszcze przez parę lat Nicole wymagać będzie troski. Nie wiem, czy pan zna Chicago, czy nie...

– Nie znam.

– No cóż, mamy w Chicago stronę północną i mamy stronę południową, a one się bardzo różnią, z jednej daleko do drugiej. Północna to sam szyk i w ogóle, my w niej mieszkamy od zawsze, w każdym razie od wielu lat, lecz mnóstwo starych chicagowskich rodzin, jeżeli dobrze mnie pan rozumie, wciąż mieszka po stronie południowej. Tam też jest uniwersytet. Rzecz w tym, że tam niektórzy się duszą, bo to zupełnie co innego niż strona północna. Nie wiem, czy pan rozumie.

Skinał, że tak. Owszem, skojarzy, pod warunkiem że się skupi.

– Więc mamy tam mnóstwo znajomości... Ojciec ma wpływ na niektóre katedry na uniwersytecie, na nominacje i tak dalej, więc pomyślałam, że jeśli zabierzemy do domu Nicole i rzucimy w ten

* Broadwayowska piosenka z 1916 roku (muz. Raymond Hubbell, sł. John Golden) inspirowana arią z *Madamy Butterfly* Pucciniego.

tłum... Wie pan, jest bardzo muzykalna, ma w jednym palcu te wszystkie języki... powiedzmy, że zakochałaby się w jakimś dobrym lekarzu, bo i cóż lepszego może się trafić w jej sytuacji...

Dick nagle poczuł przyływ wesołości: Warrenowie chcą kupić jakiegoś lekarza dla Nicole... „Może ma pan na zbyciu sympatycznego doktora?” Szkoda się martwić o Nicole, jeśli rodzina może jej sprawić miłego młodego, ledwie opierzonego doktora.

– A co na to doktor? – spytał.

– Niejeden się rzuci na taką okazję.

Tancerze wrócili do stolika, Baby zdążyła zaś dopowiedzieć szeptem:

– Ja w każdym razie tak to widzę. A gdzie jest teraz Nicole... No proszę, gdzieś sobie poszła. Może do pokoju na górze? I co teraz? Nie mam pojęcia, czy to coś niewinnego, czy jednak trzeba jej poszukać.

– Może chce się nacieszyć własnym towarzystwem. Ludzie żyjący samotnie zżywają się z samotnością. – Przerwał, widząc, że panna Warren nie słucha. – Rozejrzę się.

Świat na zewnątrz zasnęła na chwilę mgłą, jakby ktoś wiosnę zasłonił firanką. Życie skupiło się przy hotelu. Dick minął okienka jakiejś piwnicy, w której chłopcy hotelowi na dole piętrowych łóżek grali w karty przy litrze hiszpańskiego wina. Doszedł do promenady; zza bielejących grani wysokich Alp zaczęły się wyłaniać gwiazdy. Nicole stała bez ruchu między dwiema latarniami na podkowiastej alejce spacerowej z widokiem na jezioro. Bezszelestnie podszedł do niej na przełaj przez trawnik. Kiedy się odwróciła, z jej twarzy można było wyczytać „A więc to ty”. Na mgnienie oka pożałował, że przyszedł.

– Twoja siostra nie wie, co się z tobą dzieje.

– Ooo! – Nicole przywykła do nadzoru. Tłumaczyła się mozolnie:
– Czasami jestem trochę... Bo trochę tego za wiele. Żyłam tak

spokojnie. A dziś wieczorem przelało mi się, przez tę muzykę. Chciało mi się płakać...

– Rozumiem.

– Miałam dziś tyle przeżyć, coś niesamowitego.

– Wiem.

– Nie chcę być odludkiem... Narobiłam wszystkim dosyć kłopotów. Ale teraz miałam ochotę się wyrwać.

Nagle Dick uświadomił sobie – niczym umierający, który zapomniał powiedzieć, gdzie leży testament – że Dohmler, naciskany przez upiorne starsze pokolenia, „redukował” Nicole; Dick pojął też, ile trzeba jeszcze powiedzieć Nicole. Odkrycie zachował jednak dla siebie; zbyt przemożny był nacisk sytuacji.

– Jesteś tak miłą, tak subtelną osobą – powiedział. – Po prostu miej własne zdanie o sobie i tego się trzymaj.

– Lubisz mnie.

– To jasne.

– Czy mógłbyś... – Szli w stronę mającego o dwieście jardów dalej skraju alejki spacerowej. – Czy mógłbyś, gdybym nie chorowała... To znaczy, czy wtedy byłabym taką dziewczyną, z którą mógłbyś... U licha, wiesz, o co chodzi.

Już w to wsiąkł, koniec z racjonalnością. Była tak blisko, czuł swój przyśpieszony oddech, lecz znowu dała znać o sobie autotrensura; Dick sięgnął po wypróbowane narzędzia: chłopięcy śmiech i banalny komentarz.

– Tylko się drażnisz ze sobą, dziecko. Znałem gościa, który zakochał się w swojej pielęgniarence... – Snuł opowiastkę, alejką niósł się stukot ich kroków i nagle Nicole przerwała soczystym chicagowskim:

– Gówno prawda!

– Wyrażasz się wulgarnie.

– No to co?! – wybuchnęła. – Myślisz, że nie mam za grosz rozsądku? Może brakowało mi piątej klepki, kiedy chorowałam, ale nie teraz. Jesteś porywającym mężczyzną, najciekawszym, jakiego znam; pomyślałbyś, że wciąż mam źle w głowie, gdybym tego nie dostrzegła. Takiego już mam pecha, trudno... Ale nie udaję, że nie wiem, co się dzieje... Wiem wszystko o mnie i tobie.

Sytuacja przedstawiała się zatem jeszcze gorzej, bo Dick nie zapomniał o projekcie starszej panny Warren: nabywania młodych lekarzy na sztuki na intelektualnym targowisku chicagowskiej strony południowej. Zamarł na moment.

– Czarujące dziecko z ciebie, ale nie mogę się zakochać.

– Bo nie dajesz mi szansy.

– Co takiego?

Zdumiała go ta zuchwałość, roszczenie sobie praw do wtargnięcia w czyjeś ja. Cóż za samowola. Na jakiej podstawie Nicole zasługuje na jakąś szansę?

– Daj mi tę szansę teraz.

Przytuliła się; ściszony głos zatonął między jej piersiami, rozepchnął ciasny stanik, pod którym biło serce. Poczul młode wargi, poczul ciało z westchnieniem ulgi wtulone w jego ramię obejmujące Nicole coraz mocniej. Wszelkie plany Dicka pierzchły prócz jednego: sporządzić jakąś miksturę odporną na ingerencje, złożoną z nierozdzielnie połączonych atomów, którą można odrzucić w całości, lecz nie sposób rozproszyć cząstek. Nicole wtulała się w niego coraz mocniej, wtulała usta, czując je na nowo, zatopione w miłości, pokrzepione i tryumfujące, on zaś obejmował ją, kosztował, pełen wdzięczności za swe istnienie, nawet gdyby istniał tylko jako refleks w jej oczach.

– Boże! – westchnął. – Całować cię to czysta radość.

Słowa to słowa, natomiast Nicole miała teraz nad nim więcej władzy i ani myślała się jej wyrzekać. Przeobrażona w kokietkę odeszła, znów zostawiając Dicka w stanie zawieszenia, jak tego popołudnia w wagoniku kolejki. „Masz, zobacz, jak to jest, zrozumialcze jeden – mogłaby powiedzieć. – Miał czelność tak się do mnie odnosić. Coś wspaniałego! Dopadłam go, jest mój!” Zaraz potem wezbrało w niej pragnienie ucieczki, ale to wszystko razem było słodyczą i nowością, więc Nicole zwlekała, żeby tę chwilę przedłużyć i chłonać.

Nagle zadrżała. O dwa tysiące stóp poniżej widniały naszyjnik i bransoleta świateł – Montreux i Vevey, dalej przyćmiony wisior – Lozanna. Z dołu niosły się stłumione frazy orkiestry dansingowej. Nicole wezwała na pomoc chłodny umysł; próbowała teraz porządkować zauroczenia z dzieciństwa, a zanurzyła się w nie z wyrachowaniem, jak mężczyzna, który upija się po bitwie. Wciąż lękała się Dicka. Stał obok, tak po swojemu oparty o żelazną balustradę okalającą spacerową alejkę. Widok ją sprowokował.

– Stałam w ogrodzie i czekałam na ciebie, dobrze pamiętam, w ramionach trzymałam samą siebie jak kosz kwiatów, żeby ci je wręczyć, sam nektar.

Ponad ramieniem usłyszała oddech, Dick obrócił ją; Nicole całowała go, jej twarz za każdym razem ogromniała, ręce wpiły się w jego ramiona.

– Spójrz, pada.

Znad porośniętych winem wzgórz nad jeziorem dobiegł grzmot, palbą z dział rozpraszano chmury gradowe. Lampy przy alejce przygasły, by znowu się rozjarzyć. Znienacka nadciągnęła burza, wprawdzie lunęło z nieba, potem runęły potoki z gór, z głośnym szumem napęły kamienne rowy odpływowe, zalewały drogi. Wraz z burzą nastąpiła ciemność, włókna błyskawic kroily groźne niebo, dobiegał rozdzierający łoskot piorunów, a poszarpane, apokali-

tyczne chmury sunęły na hotel. Zniknęły góry, zniknęło jezioro; hotel aż przysiadł w tym huk, mroku i chaosie.

Dick i Nicole dobiegli tymczasem do holu, gdzie niespokojnie czekała Baby Warren, a wraz z nią trójka Marmorów. To było nie lada przeżycie: wynurzyć się z mgły przy wtórze łomocących drzwi, stanąć i roześmiać się, jeszcze trzęsąc się z wrażenia, wciąż z wiatrem w uszach i strugami deszczu na ubraniu. W sali tanecznej orkiestra głośno i nieskładnie grała Straussowskiego walca.

...Bo doktor Diver poślubi pacjentkę chorą umysłowo? Jak to się stało? Od czego zaczęło?

– Może pan wróci, kiedy pan się przebierze? – zaprosiła Baby Warren po uważnych oględzinach.

– Na zmianę mam tylko krótkie spodnie.

Brnął do hotelu w pożyczonym deszczowcu, śmiejąc się wciąż szyderczo.

„Otóż i wielka szansa, tak jest. Mój Boże! Postanowili sprawić sobie doktora? No i dobrze, niech kogoś wrobiją w Chicago, pierwszego z brzegu” mówił sobie. Wstrząśnięty własną gruboskórnością, pomyślał jednak o Nicole, nieodzowna była ta poprawka, wspomnienie jej warg – esencji młodości, wspomnienie kropli deszczu spływających z niego jak łzy na jej delikatnie lśniące porcelanowe policzki... Cisza po burzy zbudziła go, była trzecia nad ranem; Dick podszedł do okna. Pofałdowanym zboczem pięła się ku niemu piękność Nicole, wniknęła do pokoju, zamajaczyła jak duch za firanką...

Nazajutrz rano podszedł całe dwa tysiące metrów do Rochers de Naye; rozbawiło go, że konduktor spotkany wczoraj w kolejce tak samo spędza dzień na górskiej wędrówce.

Potem zszedł aż do Montreux, popływał i jeszcze zdążył z powrotem na kolację do hotelu. Czekały na niego dwie wiadomości.

Nie wstydzę się tego, co wczoraj; nigdy nie przeżyłam czegoś tak urzekającego; nawet gdybym Cię miała już nie zobaczyć, Mój Kapitanie, będę się cieszyć tym wieczorem.

To mogło rozbroić do reszty... Mroczny cień Dohmlera rozwiązał się, Dick zaś otworzył następną kopertę.

Drogi doktorze Diver,

Dzwoniłam, lecz Pan już wyszedł. Nie wiem, czy mogę Pana prosić o wielką, nadzwyczajną przysługę. Nieprzewidziane okoliczności wzywają mnie znów do Paryża, zorientowałam się zaś, że szybciej dojadę przez Lozannę. Czy mógłby Pan zabrać ze sobą Nicole do Zurychu, skoro Pan tam wraca w poniedziałek? I podrzucić ją do sanatorium? Czy proszę o zbyt wiele?

Pańska

Beth Evan Warren

Liścik rozsierdził Dicka... Ma tu ze sobą rower, panna Warren dobrze o tym wie. Lecz cóż, napisała tak, że nie sposób odmówić. Rzuca nas sobie w ramiona! Słodka bliskość, a w tle pieniądze Warrenów!

Mylił się jednak: Baby nie o to chodziło. Otaksowała Dicka okiem bywalczyni, posługując się zaś spaczoną anglofilską miarą, uznała go za mężczyznę nieodpowiedniego, chociaż atrakcyjnego. Jak na gust Baby, za wiele w nim było „intelektualisty” więc

zaszufladkowała go jako snobującego się tandeciarza, jakich poznała w Londynie całe rzesze; zbyt łatwo śpieszył z pomocą, by się naprawdę zaliczać do właściwego towarzystwa. Dick żadną miarą nie mógł sprostać jej wyobrażeniu arystokraty.

Na domiar złego był uparty; ładnych parę razy puszczał mimo ucha słowa Baby, w ów dziwny sposób – jak różni inni – ukrywał się za własnym spojrzeniem. Baby nie lubiła swobodnego, niewymuszonego zachowania Nicole w dzieciństwie, teraz przywykła trzeźwo myśleć o siostrze jako „nieszczęśnicy” mimo to doktora Divera nie mogła sobie wyobrazić w roli członka rodziny.

Chciała się tylko nim wyręczyć, jak najniewinniej.

Jednak jej prośbę Dick odczytał inaczej. Podróż pociągiem może być straszna, przygnębiająca albo komiczna, może być próbą ucieczki, a może też stanowić zapowiedź innej podróży, jako długi dzień spędzony z kimś zaprzyjaźnionym, poczynając od porannego pośpiechu zamiast śniadania, po zaspokojenie wreszcie głodu i wspólny posiłek. Potem nadchodzi popołudnie, kiedy podróż z wolna gubi się, zamiera, by jeszcze raz nabrać rozpędu na koniec. Dick obserwował ze smutkiem tę nikłą radość Nicole; dla niej to jednak była ulga, wracała do jedyne go domu, jaki ma. Nie całowali się tego dnia, lecz kiedy Dick zostawił ją pod posępnymi drzwiami wychodzącymi na Jezioro Zuryskie, a ona odwróciła się i rzuciła pożegnalne spojrzenie, Dick już wiedział, że jej problem stał się ich wspólnym, i to na zawsze.

X

We wrześniu doktor Diver i Baby Warren spotkali się przy herbacie w Zurychu.

– Moim zdaniem to nierozważne – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy rzeczywiście rozumiem pańskie motywy.

– Darujmy sobie nieuprzejmości.

– Bądź co bądź jestem siostrą Nicole.

– To jeszcze nie daje prawa do nieuprzejmości. – Dicka gniewało, że tyle wie, a tak niewiele może powiedzieć. – Nicole nie brak pieniędzy, lecz z tego nie wynika, że jestem naciągaczem.

– Właśnie – nadal ubolewała Baby. – Nie brak jej pieniędzy.

– No to po prostu spytam: ile ma?

Baby chciała się odezwać, lecz Dick ciągnął ze śmiechem:

– Widzi pani, jakie to niemądre? Może lepiej będzie, jeśli porozmawiam z jakimś męskim reprezentantem rodziny...

– Wszystko zwalili na mnie – nie kapitulowała. – I wcale pana nie uważamy za naciągacza. Nie wiemy, kim pan jest.

– Doktorem medycyny – odrzekł. – Synem duchownego; ojciec już na emeryturze. Mieszkaliśmy w Buffalo, a jeśli chodzi o przeszłość, nie mam nic do ukrycia. Dostałem się do New Haven, potem przyznano mi stypendium Rhodessa. Mój pradziadek był gubernatorem Karoliny Północnej, ja zaś w prostej linii jestem potomkiem Szalonego Anthony'ego Wayne'a*.

* „Mad” Anthony Wayne (1745-1796) – generał słynny z odwagi i sukcesów podczas amerykańskiej wojny o niepodległość; następnie uczestniczył w uchwaleniu konstytucji Stanów Zjednoczonych.

– Szalonego Anthony’ego Wayne’a? Kto to taki? – spytała podejrzliwie.

– Szalony Anthony Wayne?

– Chyba wystarczy szaleństwa w tej historii.

Dick bezradnie pokręcił głową; na taras hotelu wyszła Nicole i rozglądała się za nimi.

– Był zbyt szalony, żeby zostawić po sobie tyle pieniędzy co Marshall Field* – powiedział.

– Wszystko to bardzo ładnie...

Baby miała rację i wiedziała o tym. Mówiąc wprost, jej ojciec górował nad niemal każdym duchownym. Warrenowie wprowadzili nie mają tytułu, lecz są rodem książęcym Ameryki; to nazwisko wpisane do hotelowej księgi czy na bileciku z rekomendacją, czy przywołane w trudnej sytuacji powoduje psychiczną przemianę ludzi, co ugruntowało w Baby świadomość własnej pozycji. Wrażliwości w tej mierze nauczyli ją Brytyjczycy, dla których takie fakty liczą się od dwustu lat z górą. Nie wiedziała natomiast, że Dick już dwukrotnie był gotów rzucić jej w twarz to małżeństwo. Teraz powstrzymał go widok Nicole, która wypatrzyła ich stolik: promienna, jasna, świeża w to wrześnie popołudnie.

Jak pan się miewa, mecenasie. Wyjeżdżamy jutro do Como na tydzień, potem wracamy do Zurychu. Dlatego pragnę, żeby Pan doszedł do porozumienia z moją siostrą, ponieważ dla nas nie ma znaczenia suma, jaka mi przypadnie. Zamierzamy bardzo spokojnie przeżyć dwa lata w Zurychu, Dick zaś ma tyle, że nam wystarczy. O nie, Baby, mam więcej praktycznego zmysłu, niż myślisz... Tylko na

* Marshall Field (1834-1906) – twórca sieci domów towarowych; za życia wpływowy i najbogatszy przedsiębiorca w Chicago, także filantrop, współfundator University of Chicago.

ubranie i jakieś potrzebne mi rzeczy... Ależ dlaczego, to więcej niż... Ta nieruchomości naprawdę zapewni mi to wszystko? Wiem, że nigdy nie zdołam tego wydać. Ty masz aż tyle? Dlaczego masz więcej... Bo mnie się uważa za nierozsądną? Dobrze, niech moja część sobie rośnie... Nie, Dick stanowczo odmawia, nie chce mieć z tym nic wspólnego. Będę się czuła nadziana za nas oboje... Baby, tobie się wciąż wydaje, że Dick jest tylko... jest tylko... Gdzie mam teraz podpisać? O, tak, przepraszam.

...Bycie razem, Dick, jest i zabawne, i coś ma z osamotnienia, prawda? Gdziekolwiek by się ruszyć, zawsze jest się blisko. Wciąż będziemy samą miłością i tylko miłością? Och, kocham ze wszystkich sił i dostrzegam, kiedy myślisz o czym innym, choćby przelotnie. To przecież coś wspaniałego, być jak wszyscy, wyciągnąć rękę i poczuć tve ciepło w łóżku, tuż obok.

...Proszę uprzejmie zadzwonić do męża do szpitala. Tak, teraz wszędzie sprzedają tę książeczkę... Chcą ją wydać w sześciu językach. Miałam przygotować francuski przekład, ale ostatnio bywam zmęczona... Boję się, że się przewrócę, taka jestem ciężka i niezgrabna, istna klucha, co to nie może się nawet wyprostować. Ten zimny stetoskop pod sercem i mocne poczucie *Je m'en fiche de tout...** Och, ta nieszczęsnica w szpitalu, ta z sinym dzieckiem, już lepiej, że zmarło. Pięknie, że jest nas teraz troje, prawda?

...To nonsens... Dick, wszystko przemawia za zmianą mieszkania na większe. Niby dlaczego mamy się karać za to, że więcej pieniędzy leży na koncie z nazwiskiem Warren niż Diver? Och, dziękuję pani, *camériste*, lecz zdecydowaliśmy się na co innego. Ten angielski duchowny zapewniał, że wasze wino w Orvieto jest nadzwyczajne. Nie znosi podróży? Widocznie dlatego jeszcze nie słyszeliśmy o nim, a jesteście miłośnikami wina.

Jeziorka wsysa brunatna glina, wzgórze porożone rozpadlinami jak rozstępy na brzuchu. Fotograf dał mi to zdjęcie: płynie st-

* Mam to gdzieś (fr.).

teczkiem na Capri, mam rozwiane włosy aż za reling. „Żegnaj mi, Lazurowa Groto – śpiewał przewoźnik – ale rychło tu wróó-óóce”. Potem wędrówka w dół tego złowrogiego, rozprężonego włoskiego buta w szumie wiatru omiatającego widmowe zamki, pod okiem zmarłych śledzących nas ze wzgórz.

...To przyjemny statek. Przechadzamy się po pokładzie tym samym krokiem. Ilekroć dochodzimy do wietrznego narożnika, wychylam się w przód i przytrzymuję płaszcz, żeby nie wypaść z rytmu. Nucimy sobie bez sensu:

O ho ho ho

To nie te flamingi co ja

O ho ho ho

To nie te flamingi co ja

Życie z Dickiem to frajda... Obserwują nas ludzie z leżaków, jakaś kobieta próbuje podsłuchać, co nucimy. Dicka już nuży to śpiewanie, więc idź swoją drogą, Dick. Samotnie wędruje się inaczej, mój miły, atmosfera zgęstnieje, zagrodzą ci drogę cienie tych leżaków, w oczy się wgrzyzie dym z kominów. Poczujesz, jak twoje odbicie przeskakuje z oka do oka gapiących się na ciebie ludzi. Nie jesteś już impregnowany; powiedziałabym, że musisz dotknąć życia, żeby się od niego odbić.

Siedzę na żurawiku łodzi ratunkowej, patrzę na morze, wiatr rozmiata mi włosy, a one lśnią. Nie ruszam się; zewsząd niebo, a łódź zrobiono po to, by poniosła dalej ów kształt, w którym tkwię, w błękitny mrok przyszłości. Jestem Pallas Ateną, wyrzeźbionym z szacunkiem galionem na dziobie. Woda bulgoce w publicznych toaletach, za rufą mieni się i żali listowie rozbryzgów, agatowozielone.

...Wiele podróżowaliśmy tego lata, od zatoki Woolloomooloo po Biskrę. Na skraju Sahary natknęliśmy się na plagę szarańczy, ale szofer zapewnił układnie, że to trzmiele. Nocą zwieszało się nisko niebo aż ciężkie od obecności obcego i czujnego Boga. Och, ta biedna, mała, naga Ouled Nadl; nocą nie było cicho, tętniły sene-galskie bębny, flety, jęczały wielbłądy, słysząc było miejscowych, tupot ich butów ze starych opon.

Lecz wtedy znów byłam w ciąży, więc jak mogły mnie wzruszać pociągi albo plaże. Właśnie dlatego zabierał mnie w podróż, ale po drugim dziecku, Topsy, mojej dziewczyneczce, wszystko się znowu pograżyło w mroku.

...Gdybym zdołała dać znać mężowi, który uznał za stosowne zostawić mnie w rękach ignorantów. Mówicie, że moje dziecko jest czarne... to tania farsa. Do Afryki pojechaliśmy zobaczyć Timgad, po nic więcej, bo moje fundamentalne zainteresowanie życiowe to archeologia. Bokiem mi już wychodzi to, że nic nie wiem, o czym wciąż mi przypominają.

...Kiedy wydobrzeję, chciałabym być kimś fantastycznym, jak ty, Dick; poszłabym na medycynę, ale już za późno. Musimy wydawać moje pieniądze, kupimy dom. Mam dość wynajmowanych mieszkań i czekania na ciebie. Znudził ci się Zurych, tu nie masz czasu na pisanie, a przecież mówisz, że dla naukowca nie pisać to tyle, co wyznać słabość. Rozejrzę się po całym obszarze wiedzy, coś sobie wybiorę i naprawdę się w to wgrzęzę, dzięki temu będę się miała czego trzymać, gdybym znowu zaczęła się rozpadać na strzępy. Pomożesz mi, Dick, prawda, wtedy nie będę się czuła taka winna. Będziemy mieszkać blisko ciepłej plaży, opaleni na brąz i młodzi.

...Z tego zrobimy pracownię Dicka. Przyszło nam to do głowy w tej samej chwili. Dziesiątki razy mijaliśmy Tarmes, wreszcie podjechaliśmy na górę, żeby przekonać się, że domy stoją puste, z wyjątkiem dwóch stajni. Kupowaliśmy za pośrednictwem Francuza,

lecz marynarka zaraz nasłala szpiegów, kiedy rozeszła się pogłoska, że na wzgórzu Amerykanie nabyli kawałek wioski. Szukając armat, ci ludzie gruntownie przetrzepali materiały budowlane, w końcu Baby musiała w naszej sprawie pociągnąć za sznurki w *Affaires Etrangères** w Paryżu.

Latem nikt nie przyjeżdża na Riwierę, więc się nie spodziewamy wielu gości, raczej czasu do pracy. Bywają tu Francuzi, owszem, w zeszłym tygodniu Mistinquet zaskoczona, że hotel przyjmuje, Picasso i ten gość, który napisał *Pas sur la boucle***.

...Dick, dlaczego w książce hotelowej meldujesz nas jak „Pana i Panią Diver” zamiast napisać „Doktor Diver z żoną”. Nie wiem, wciąż mi to chodzi po głowie... Uczyłeś, że praca jest wszystkim, a ja ci wierzę. Mawiałeś, że mężczyzna zna się na tym czy tamtym, a kiedy przestanie się wyznawać, stoczy się do poziomu innych; rzecz w tym, żeby się znaleźć na szczycie, zanim straci się wiedzę. Skoro chcesz stawiać świat na głowie, to proszę bardzo, kochanie, ale czy twoja Nicole musi ci towarzyszyć, maszerując na rękach?

...Tommy powiada, że jestem małomówna. Po pierwszej poprawie dużo rozmawiałam z Dickiem, siedzieliśmy na łóżku do późna w nocy, paliliśmy papierosy, potem dawaliśmy nura pod poduszki, kryjąc się przed brzaskiem, chroniąc oczy przed światłem dnia. Czasami śpiewam, bawię się ze zwierzętami, mam parę przyjaciółek, chociażby Mary. Kiedy rozmawiamy sobie, Mary i ja, żadna nie słucha tej drugiej. Rozmowa to żywioł mężczyzn. Wdaję się w rozmowę i myślę, że pewnie jestem Dickiem. Bywałam już nawet moim synem i pamiętałam, jaki jest mądry i powolny. Czasami bywam doktorem Dohmlerem, a raz zdarzyło mi się, że byłam chyba jakąś twoją odmianą, Tommy. Mam wrażenie, że Tommy Barban zakochał się we mnie, lecz umie być powściągliwy, czym dodaje mi

* Ministerstwo Spraw Zagranicznych (fr.).

** *Tylko nie w usta* – operetka wystawiona po raz pierwszy w roku 1925; autor libretta to André Barde (wł. André Bourdonneau); musicalowa wersja filmowa – 2003.

otuchy. Starczyło i tego, żeby zaczęli z Dickiem krzywo na siebie patrzeć. Tak czy owak, nigdy sprawy nie układały się lepiej. Jestem wśród przyjaciół, wśród ludzi, którzy mnie lubią. Na tej zacisznej plaży jestem z mężem i dwojgiem dzieci. I bardzo dobrze, jeżeli tylko zdołam przełożyć na francuski ten cholerny przepis na marylandzkie kurczęta. Piasek parzy mi palce u nóg.

– Tak, zerknę. Jest więcej tych nowych... o, ta dziewczyna... aha. Która, jak mówisz, przypomina... Nie, nie widziałam; tu nie ma wiele okazji do oglądania nowych filmów amerykańskich. Rosemary kto? No proszę, mamy tu coraz bardziej światowe klimaty jak na lipiec... aż dziw. Zgoda, jest śliczna, może jednak za dużo już tych ludzi.

XI

W sierpniu doktor Richard Diver i pani Elsie Speers siedzieli przed Café des Alliés, gdzie zakurzone drzewa zapewniały nieco chłodu. W rozprażonej ziemi przygasły rozbłyśki miki, parę podmuchów mistrała, przemknąwszy znad lądu przez masyw Esterel, kołysało teraz rybackimi kutrami w porcie, rozchybotane maszty mierzyły to tu, to tam w zmętniałe niebo.

– Dostałam rano list – powiedziała pani Speers. – Straszna pan miał przeprawę z tymi Murzynami! A Rosemary pisze, że dla niej był pan nadzwyczajny.

– Rosemary należy się stopień wojskowy. Bo to naprawdę było okropne... Nie przejął się tylko Abe North... Odleciał do Hawru i pewnie nic nie pamięta.

– Przykro mi, że pani Diver aż tak to przeżyła – ostrożnie zagadnęła pani Speers.

Rosemary napisała:

Miałam wrażenie, że Nicole Postradała Zmysły. Nie chcę z nimi jechać na południe, Dick i bez tego ma dość na głowie.

– Nicole już doszła do siebie. – Brzmiała w tym nuta zniecierpliwienia. – Więc wyruszają panie jutro. A kiedy na pokład?

– Zaraz odpływamy.

– Mój Boże, to okropność, że musicie jechać.

– Tu nam się bardzo spodobało. A panu zawdzięczamy, że te dni były takie udane. Jest pan pierwszym mężczyzną, na którym Rosemary zależy.

Kolejny podmuch wiatru omiół porfirowe wzgórza La Napoule. Ziemia wysłała w powietrze zapowiedź, że spieszno jej zmienić szatę; przemijała już bujna, wyjęta z biegu czasu kulminacja lata.

– Rosemary nieraz się durzyła, ale prędzej czy później odsyłała mężczyznę do mnie – pani Speers roześmiała się – ja zaś miałam przeprowadzić rozbiór na czynniki pierwsze.

– Zatem zostałem ułaskawiony?

– Już nic nie mogłam działać. Zakochała się, zanim zdążyłam się panu przyjrzeć. Więc powiedziałam: nie bój się, w drogę.

Widział, że w planach pani Speers zabrakło miejsca na troskę o niego czy Nicole... I widział, że amoralność pani Speers wynika z okoliczności, w których wycofała się z własnych rozgrywek. Ma dobre prawo do uczuciowej emerytury. W walce o przetrwanie kobiety zdolne są właściwie do wszystkiego; trudno je winić o wymyślone przez mężczyzn zbrodnie zwane „okrucieństwem”. Póki huśtawka – od bólu do miłości – nie wychyli się za mocno, nie rozwali jakichś zacnych ścian, pani Speers będzie tylko popatrywać z dystansu, z humorem, jak eunuch. Nie przyjdzie jej do głowy, że krzywda może też spotkać jej córkę. Może pani Speers sądzi nawet, że krzywdy nie imają się Rosemary?

– Jeśli to prawda, to Rosemary chyba nie ucierpiała. – Do upadłego udawał, że może o Rosemary myśleć trzeźwo i bezstronnie. – Ma to już za sobą. Niemniej... niejeden ważny okres w życiu zaczyna się przypadkowo na pozór.

– Tutaj nie było przypadku – pani Speers obstawała przy swoim. – Zobaczyła w panu pierwszego mężczyznę, który... Pan jest dla niej ideałem. Powtarza to w każdym liście.

– Ujmująca uprzejmość.

– Pan i Rosemary to najlepiej wychowani ludzie, jakich znam, a co do ideału: Rosemary rzeczywiście tak myśli.

– Moje dobre wychowanie to tylko podstęp.

I to po części się zgadzało. Dick przejął od ojca dobre maniery, nieco powściągliwe, godne młodego południowca, który po wojnie domowej udaje się na Północ. Często korzystał z tego nabytku i często nim gardził, dobre maniery nie były bowiem sprzeciwem wobec samolubności, a tylko wobec przykrego wrażenia, jakie samolubność stwarza.

– Zakochałem się w Rosemary – powiedział nagle. – Co mówię pani, wiedząc, że z mojej strony to pójdzie na łatwiznę.

Miał wrażenie, że deklaracja zabrzmiała dziwacznie i oficjalnie, jakby stoliki i krzesła przed Café des Alliés miały ją zapamiętać na wieki. Niebo nad głową już wieściło nieobecność Rosemary; nad morzem zdołał sobie przypomnieć tylko jej ramię maltretowane przez słońce; w ogrodzie w Tarmes zacierał ślady jej stóp, a teraz, kiedy orkiestra zabrała się do *Pieśni nicejskiego karnawału*, tego echa minionych już radości ostatniego roku, i kiedy jakieś pary ruszyły do tańca, to ów taniec był od początku do końca opowieścią o Rosemary. Starczyło sto godzin, by posiadała całą magię świata; oślepiającej belladony, kofeiny przemieniającej energię fizyczną w psychiczną, mandragory narzucającej harmonię.

Raz jeszcze zmusił się do udawania dystansu, jaki zachowywała pani Speers.

– W gruncie rzeczy nie jesteście do siebie podobne: pani i Rosemary – powiedział. – Ona z zaczerpniętej od pani mądrości ulepiała personę: maskę, za której pomocą stawia czoło światu. Sama aż tyle nie myśli, a jej głębie pochodzą z Irlandii, to romantyzm oraz irracjonalność.

Pani Speers wiedziała jednak, że Rosemary, z jej delikatną powierchownością, to także młody mustang; gdyby to zwierzę poddał sekcji kapitan doktor Hoyt, weterynarz wojsk lądowych USA, okazałoby się, że pod uroczą powłoką kryją się ciasno upakowane wielkie serce, zdrowa wątroba i kawał duszy.

Rozstając się z panią Speers, Dick podziwiał jej czar; był przekonany, że pani Elsie Speers jest dla niego kimś więcej, nie tylko ostatnią cząstką Rosemary, z którą – niestety – też czas się pożegnać. Pewnie mógłby kształtować Rosemary, ale żadną miarą jej matkę. Jeżeli płaszcz, ostrogi i brylanty odchodzącej Rosemary mogły być darem Dicka, to dla odmiany przyjemnie było podziwiać powaby matki, wiedząc, że nie są jego zasługą. Pani Speers umiałaby czekać na mężczyznę pochłoniętego czymś ważniejszym niż ona, toczącego bitwę albo prowadzącego operację, kiedy nie wolno go ponaglać ani zawracać mu głowy. Taka kobieta bez śladu zniecierpliwienia zaczeka do końca, kartkując na barowym stolku kolorowy magazyn.

– Do widzenia. Chciałbym, żebyście panie zawsze pamiętały, jak głęboko zapadłyście w serce Nicole i mnie.

Wrócił do Willi Diana, wszedł do pracowni i otworzył okiennice chroniące przed południowym blaskiem. Na dwóch długich stołach w bezładzie, wszakże kontrolowanym, leżały materiały do książki. Tom pierwszy osiągnął pewien sukces; poświęcony był klasyfikacji, wydany skromnie, przy wsparciu pieniężnym. Dick toczył rozmowy na temat wznowienia. Tom drugi miał się stać wielkim rozszerzeniem *Psychologii dla psychiatrów*, pierwszej książki Dicka. Wzorem innych autorów zrozumiał, że ma się tylko jeden czy dwa ważne pomysły, a ów skromny zbiór broszur, który doczekał pięćdziesiątego już wydania po niemiecku, zawiera w załączku wszystko, co Dick zdoła kiedyś wynaleźć bądź do czego dotrze.

Teraz nie dawało mu to spokoju. Z przykrością myślał o zmarnowanych latach w New Haven, a częściej o manowcach, na które

wiodły rosnący luksus, w jakim żyli z Nicole, i pragnienie popisania się majątkiem. Pamiętając opowieść rumuńskiego kolegi – o człowieku, który całe lata rozpracowywał mózg pancernika – podejrzewał, że cierpliwi Niemcy siedzą teraz w pobliżu berlińskich czy wiedeńskich bibliotek i z zimną krwią go wyprzedzają. Dick był już gotów skrócić pracę i opublikować – bez dokumentacji – tom objętości stu tysięcy słów jako wstęp do lepiej podbudowanych naukowo następnych tomów.

Krażył po pracowni skąpanej teraz w słońcu późnego popołudnia i przekonywał się ostatecznie do pomysłu. Przyjmując nowy plan, może być gotów na wiosnę. Jeżeli człowieka o jego energii przez cały rok dręczą wątpliwości, pomyślał, to z planem coś jest nie w porządku.

Na plikach notatek rozłożył – jako przyciski – sztabki pozłacanego metalu. Zamiótł, bo służąca nie miała prawa wchodzić do pracowni, łazienkę zmył specyfiką bon ami, naprawił siatkę w oknie i wysłał zamówienie do wydawnictwa w Zurychu. Potem wypił dżinu na palec, z dodatkiem wody na dwa.

Zobaczył w ogrodzie Nicole. Musi się teraz na nią natknąć, a myśl o tym ciążyła mu jak ołów. Musi przed nią bezbłędnie udawać, grać teraz, jutro, za tydzień, grać za rok. W Paryżu przez całą noc trzymał w ramionach Nicole łagodnie uspioną luminalem; nad ranem wtrącił w jej sen słowa czułości i troski, odpędzając od żony poczucie zamętu, zanim zdołało się zagnieździć, Nicole zasnęła na nowo, zapach jej włosów osnuł twarz Dicka. Zanim się obudziła, zdążył wszystko uporządkować, dzwoniąc z sąsiedniego pokoju. Rosemary miała się przenieść do innego hotelu. Nie może wyjść z roli „pupilki tatusia” nawet za cenę wyjazdu bez pożegnania. Właściciel hotelu, pan McBeth, miał się zachować jak trzy chińskie małpki. A Dick i Nicole uwijali się potem między stertami książek, wśród stosów papierowych opakowań po zakupach, by już w południe wyjechać na Riwierę.

Potem nastąpiła reakcja. Kiedy się umościli w wagonie sypialnym, Dick dostrzegł, że Nicole czeka na to, reakcja zaś nadeszła szybko i była okropnością; jeszcze pociąg nie wyjechał z miasta, a Dick zapragnął wyskoczyć, zanim pociąg nabierze szybkości, wrócić i poszukać Rosemary, zobaczyć, gdzie jest i co robi. Otworzył książkę i zbliżył do niej *pince-nez*; wiedział, że z przeciwległego kąta przygląda mu się Nicole, z głową na poduszce. Nie mógł czytać, więc przymknął oczy, udając zmęczenie, lecz Nicole wciąż mu się przyglądała; nadal trwała w półśnie, jeszcze otumaniona po luminalu, lecz już spokojna, z uczuciem ulgi, niemal szczęśliwa, że Dick znów należy do niej.

Przymknął oczy, lecz wtedy było jeszcze gorzej, nękał go pulsujący rytm: odnalezienie-utrata, odnalezienie-utrata; nie chciał jednak okazywać niepokoju, więc leżał do południa. Podczas lunchu ujrzał sprawy w lepszym świetle; lunch zawsze się okazywał miłym posiłkiem – były tych lunchów tysiące, w zajazdach i restauracjach, w wagonach sypialnych, bufetach i samolotach, w sumie zbiór nader okazały. Znajoma gorączkowa krzątanina kolejowych kelnerów, wino i woda mineralna w małych butelkach, znakomita kuchnia pociągu Paryż-Lyon-Lazurowe Wybrzeże, to wszystko pozwalało się łudzić, że nadal jest jak dawniej, była to jednak pierwsza chyba podróż z Nicole podobna bardziej do ucieczki niż zdatowania do celu. Wypił całą butelkę wina, jeśli nie liczyć kieliszka dla Nicole; rozmawiali o domu i dzieciach. Ale w przedziale znowu zapadła cisza jak wtedy, w restauracji przy Ogrodzie Luksemburskim. Wraz z wypieraniem smutku i żalu wydaje nam się, że trzeba raz jeszcze przemierzyć ścieżkę prowadzącą ku zgryzocie. Dicka ogarnęła nieznana mu niecierpliwość, tymczasem Nicole odezwała się nagle:

– Chyba nie powinniśmy tak zostawiać Rosemary. Jak myślisz, poradzi sobie?

– Pewnie. Rosemary wszędzie sobie poradzi... – I dodał, żeby nie umniejszać zdolności Nicole do tego samego: – Jest w końcu

aktorką, a jeśli nawet stoi za nią matka, to aktorka sama musi wiedzieć, jak się zatroszczyć o siebie.

– Jest bardzo ładna. Powabna.

– To dziecko.

– Dziecko, nie dziecko, a bardzo ładna.

Zakrawało to na czczą gadaninę, oboje nawzajem wchodzili sobie w rolę.

– Nie jest aż tak inteligentna, jak myślałem – podsunął Dick.

– Jest wcale bystra.

– Niezbyt... I przesiąknięta zapaszkiem dzieciennego pokoju.

– Jest bardzo, bardzo ładna. – Zabrzmiało to stanowczo i rzeczowo. – Świetnie wypadła w tym filmie.

– Reżyser ją dobrze poprowadził. Właściwie nie jest wielką osobowością.

– Zdawało mi się, że jest. Nie dziwię się, że na jej widok mężczyźni tracą głowę.

Poczuł skurcz serca. Jacy mężczyźni? Ilu?

Mogę opuścić roletę?

Opuść. Tu jest za jasno.

Gdzie teraz jest? Z kim?

– Niedługo będzie wyglądała na dziesięć lat starszą od ciebie.

– Nie zgadzam się. Któregoś wieczoru naszkicowałam ją sobie na programie teatralnym. Ta uroda pewnie przetrwa.

W nocy oboje spali niespokojnie. Za dzień lub dwa Dick spróbuje widmo Rosemary odegnąć, zanim na dobre zagnieździ się z nimi, na razie jednak zabrakło mu siły. Czasami trudniej wyrzec się bólu niż przyjemności, a pamięć o Rosemary tak go opętała, że nie

miał wyjścia, po prostu musiał grać. Stawało się to tym trudniejsze, że teraz drażniła go Nicole, która po tylu latach powinna rozpoznać przejawy przeciążenia i umieć się ich strzec. W ciągu dwóch tygodni dwukrotnie przeżyła załamanie. Wpierw była ta kolacja w Tarmes, kiedy Dick zastał Nicole w sypialni, gdzie zaśmiewała się szaleńczo, przestrzegając panią McKisco, żeby ta nie wybierała się do łazienki, bo klucz rzucono do studni. Zdumiona, zbita z tropu pani McKisco poczuła się dotknięta, ale odniosła się do sytuacji z niejakim zrozumieniem. Tą sceną Dick niezbyt się przejął, bo Nicole robiła sobie po niej wyrzuty. Zadzwoiła do hotelu Gausse'a, lecz państwo McKisco już wyjechali.

Załamanie w Paryżu to było co innego i dodało wagi pierwszemu zajściu. Mogło zapowiadać nowy cykl, nasilenie choroby. Podczas długiego pogorszenia po narodzinach Topsy Dick przeszedł koszmar – zaprzeczenie zawodowej beznamiętności – lecz potem zahartował się, jeśli chodzi o żonę; wykopał przepaść między Nicole zdrową a chorą. Teraz trudno mu było oddzielić dystans psychologa, podszyty motywem samoobrony, od pewnej nowości: chłodu serca. Obojętność – czy to podtrzymywana, czy pozostawiona sobie – wyrodnije i przeistacza się w końcu w pustkę; i oto podobnie Dick zorientował się, że to, co go łączy z Nicole, stało się pustką, a on sam wbrew swej woli szafuje wobec żony odmowami i zaniechaniem uczuć. Pisze się o zabliznionych ranach, nader dowolnie przywołując zjawisko z dziedziny patologii skóry, tymczasem w życiu jednostki nic takiego nie istnieje. Tu są otwarte rany; czasem się kurczą, już nie większe od ukłucia szpilką, niemniej wciąż rany. Lepiej porównać ślady cierpienia z utratą palca lub oka. Może być tak, że nie odczujemy ich braku nawet przez chwilę, jak rok długi, lecz jeśli odczujemy – już nic się nie poradzi.

XII

Odnalazł Nicole w ogrodzie; splotła ramiona na barkach, w spojrzeniu jej czystych szarych oczu malował się dziecinny zachwyty.

– Pojechałem do Cannes – powiedział. – I wpadłem na panią Speers. Jutro odpływa. Chciała tu wpaść i pożegnać się, ale ukatrupiłem ten pomysł.

– Szkoda. Chętnie bym zobaczyła panią Speers. Lubię ją.

– Jak myślisz, kogo jeszcze spotkałem? Otóż Bartholomew Tailora.

– Niemożliwe.

– Trudno tej twarzy nie zauważyć: starej i cwanej łasicy. Rozglądał się za terenami dla Menażerii Ciro, zjadą tu w przyszłym roku. Nie wykluczam, że pani Abrams wpadła tutaj na zwiady.

– A Baby była oburzona, gdy po raz pierwszy przyjechaliśmy tu na lato.

– Im naprawdę zwisa, gdzie są, więc nie mam pojęcia, dlaczego nie zostali w Deauville, żeby trochę pomarznąć.

– Może puścimy plotkę, że tu panuje cholera, czy coś podobnego.

– Ostrzegłem Bartholomew, że niektórzy padają tu jak muchy... Ostrzegłem, że życie ssaka nie trwa tu dłużej niż życie cekaemisty na wojnie.

– Nie powiedziałaś nic takiego.

– No nie – przyznał. – Był bardzo miły. Musiało to wspaniale wyglądać, nasz uścisk dłoni na bulwarze. Oto spotkanie Zygmunta Freuda z Wardem McAllisterem*.

Nie miał ochoty rozmawiać... Chciał być sam; myśli o pracy i przyszłości brały górę nad rozterkami miłosnymi i wgrzaniem się w codzienność. Nicole wiedziała o tym, ale jej wiedza nabierała złowroziej, tragicznej tonacji, zabarwiona odrobiną zwierzęcej nienawiści, zarazem chęcią ocierania się o jego ramię.

– Moje kochanie – powiedział od niechcienia.

Wszedł do domu, zapominając po co; potem przypomniał sobie, że chodzi o fortepian. Usiadł, zagwizdał i zagrał ze słuchu:

A drugi łyk

Błyszczący złościście

Chcę wypić w mig

Już w twym towarzystwie...

Nagle uświadomił sobie, że w tej melodii Nicole zaraz się dopatrzy tęsknoty za minionymi dwoma tygodniami. Skończył jakimś przypadkowym akordem i wstał od instrumentu.

Po prostu nie wiedział, co ze sobą zrobić. Rozejrzał się po domu, który stworzyła Nicole, a za który zapłacił jej dziadek. Do Dicka należała tylko pracownia wraz gruntem pod nią. Z tych trzech tysięcy rocznie plus to, co sączyło się wąskim strumyczkiem za publikacje Dick kupował ubranie, pokrywał osobiste wydatki, dbał o piwnicę i kształcił Laniera, co się na razie ograniczało do opłacania

* Ward McAllister (1827-1895) – amerykański prawnik, dyktator nowojorskiego życia towarzyskiego i autor twierdzenia, że w Nowym Jorku „liczy się” tylko 400 osób. Powiedzenie zrobiło karierę i zamieniło się w idiom – „czteryście” to synonim śmietanki towarzyskiej.

opiekunki. Każde posunięcie tak planowano, by się w nim mieścił wkład Dicka. Żył niemal ascetycznie, kiedy był sam, podróżował trzecią klasą, pijał najtańsze wina, dbał o strój, owszem, ale za każdą ekstrawagancję wymierzał sobie karę, w sumie zachował niejaką niezależność finansową. Po przekroczeniu pewnego punktu stało się to jednak trudne. Raz po raz trzeba było wspólnie decydować o takim czy innym wykorzystaniu pieniędzy Nicole. Rzecz jasna, Nicole – która chciała mieć Dicka dla siebie i chciała, żeby raz na zawsze tkwił spokojnie przy niej – nakłaniała do wszelkich możliwych zaniechań, jednocześnie sypały się na Dicka najróżniejsze dobra i pieniądze. Dobrym przykładem była willa na klifie; wpierw tylko wymarzona, jednak – po urzeczywistnieniu – stała się już barierą odgradzającą od jakże prostego kiedyś życia w Zurychu.

– Byłoby zabawnie, gdyby... – i bywało.

A potem:

– Będzie zabawnie, kiedy...

Nie było tak zabawnie. Problemy Nicole odciskały się na pracy Dicka, a jej dochody, szybko rosące w ostatnim czasie, pomniejszały znaczenie tej pracy. Co więcej, ze względu na zdrowie Nicole Dick grał przez wiele lat rolę żarliwego domatora, która już mu ciążyła; udawanie stawało się bardziej uciążliwe w stanie bezczynności i bezruchu, kiedy to Dick – trudno i darmo – podlegał drobiazgowej obserwacji. Skoro nie może już zagrać na fortepianie ulubionej melodii, to znaczy, że jego życie zostało drobiazgowo przesiane, aż po najmniejsze ziarenka. Dick długo stał w tym dużym pokoju, wsłuchując się w brzęczenie elektrycznego zegara – w upływ czasu.

W listopadzie pociemniałe fale przetaczały się przez falochrony i zalewały nadmorską szosę; zniknęły ostatnie ślady letniego życia, wymarłe plaże smagane deszczem i omiatane przez mistral tchnęły melancholią. Hotel Gausse'a zamknięto ze względu na remont i

rozbudowę, a coraz potężniejsze rusztowania wokół letniego kasyna w Juan-les-Pins pięły się coraz wyżej. Podczas wypadów do Cannes czy Nicei Dick i Nicole poznawali nowych ludzi: muzyków orkiestrowych, restauratorów, entuzjastów ogrodnictwa, sztukników – Dick kupił jola – i członków Syndicat d’Initiative. Poznali bliżej służących, doglądali, jak uczą się dzieci. Po miesiącu, który upłynął bez napięć, zaciskania ust, bez niesprowokowanych uśmiechów czy zagadkowych uwag, wydawało się, że Nicole doszła do siebie. Na Boże Narodzenie wybrali się w Alpy Szwajcarskie.

XIII

Przed wejściem do środka Dick otrzepał ze śniegu czapkę granatowy kombinezon narciarski. Na popołudniową potańcówkę uprzątnięto wielki hol, z podłogą od dwudziestu lat dziurawioną jak przez ospę ćwiekami górskich butów, a osiemdziesięciu młodych Amerykanów, rozsianych po szkołach z okolic Gstaad, płaśało w takt radosnej melodii *Nie zapraszajcie Lulu** bądź szalało w charlestonie od pierwszego riffu perkusji. Była to paczka ludzi młodych, nieskomplikowanych i nadzianych. *Sturmtruppen*** bogaczy zjechały do St. Moritz. Baby Warren sądziła, że dołączenie do Diverów to gest poświęcenia z jej strony.

Dick bez trudu wypatrzył siostry w rozkołysanym, po trosze magicznym pomieszczeniu. Zdawało się, że zstąpiły z rozkładówki magazynu, w narciarskich strojach wyglądały nadzwyczajnie, Nicole w turkusowym, Baby w ceglastym. Wdał się z nimi w rozmowę młody Anglik, lecz ledwie zwracały na niego uwagę, zauroczone młodzieńczym tańcem.

Zaróżowiona od śniegu twarz Nicole jeszcze się rozjaśniła na widok Dicka.

– Gdzie on jest?

– Uciekł mu pociąg; spotkamy się później.

Usiadł i założywszy wysoko nogę na nogę – w ciężkich butach – kołysał tą wyższą.

– Wyglądacie zabójczo. Raz po raz zapominam, że należę do tej samej szajki, a wtedy wasz widok zbija mnie z nóg.

* *Don't Bring Lulu* – piosenka Browna, Rose'a i Hendersona z 1925 roku, wielokrotnie nagrywana; między innymi przez Franka Sinatrę.

** Oddziały szturmowe (niem.).

Baby była wysoką, przystojną kobietą, pod mocną presją rychłej trzydziestki. Znamienne, że z Londynu ściągnęła dwóch mężczyzn: jednego tuż po Cambridge oraz starego, notorycznego lubieżnika o wiktoriańskim zacięciu. Po Baby znać było staropanieństwo; niespodziewanie dotknięta płoszyła się, zbliżenie było dla niej czymś z gruntu obcym, a długotrwałe kontakty jak pocałunek czy objęcia tylko spływały po jej ciele, by zaraz trafić do laboratorium świadomości. Sztywny tułów niewiele wyrażał, zamiast gestykulacji zwracała uwagę jakąś poprawność ciała; gesty zastępowało potupywanie nogą i głowa odrzucona w tył w staroświeckiej pozie. Napawała się przedsmakami śmierci, wywróżonej z katastrof przyjaciół, do głowy wbiła zaś sobie, że przeznaczeniem Nicole jest tragedia.

Młodszy Anglik na dworze Baby dotrzymywał paniom towarzysztwa na starannie dobranych stokach i wyciskał z nich siódme poty na bobsleju. Dick, chociaż skreślił kostkę w zbyt ambitnym telemarku, wcale zadowolony zbijał baki z dziećmi na oślej łączce bądź popijał w hotelu kwas z pewnym rosyjskim doktorem.

– Dick – namawiała Nicole – proszę, zabaw się. Czemu nie poznasz paru dzidzibudek i nie potańczysz na fajfie?

– Co miałbym im powiedzieć?

Niski, niemal chrapliwy głos Nicole zabrzmiał wyżej; teraz odgrywała płaczącą kokietkę:

– Powiesz: „Tycia dzidzia cacana”; chyba tak się mówi?

– Nie lubię dzidzibudek. Pachną miętówkami i oliwkowym mydłem. Zatańczyć z nimi to tyle, co popychać wózek dziecinnie.

Temat był groźny; Dick wręcz się speszył. Tak dalece miał się na bacności, że wzrok kierował w dal, ponad głowami młodych panien.

– Mam masę spraw – powiedziała Baby. – Po pierwsze, są wieści z domu; chodzi o nieruchomość, którą nazywaliśmy między sobą stacją. Kolej początkowo kupiła tylko centralną część. Teraz kupili resztę; wszystko należało do matki. Pytanie brzmi: jak za-inwestować pieniądze?

Anglik ruszył na deski ku jakiejś dziewczynie; udawał, że mierzi go owa obrzydliwa zmiana tematu. Baby rzuciła za nim niepewne spojrzenie Amerykanki dotkniętej nieuleczalną anglofilią i ciągnęła wyzywająco:

– To góra pieniędzy. Trzysta tysięcy na głowę. Sama doglądam swoich inwestycji, ale Nicole nie ma pojęcia o papierach wartościowych, ty chyba też nie.

Dick nie podjął tematu.

– Muszę wyjść na stację – powiedział.

Na dworze zaciągnął się mokrymi płatkami śniegu, których nie było już widać na tle pociemniałego nieba. Zjeżdżająca na sankach trójka dzieciaków wykrzykiwała ostrzeżenia w jakimś dziwnym języku; potem okrzyki dobiegały zza następnego zakrętu, w chwilę później usłyszał dzwonki sań sunących w ciemności pod górę. Dworzec kolejowy turystycznej miejscowości aż skrzył się; dziewczęta i chłopcy czekali na nowo przybyłe dziewczęta i nowo przybyłych chłopców, Dickowi zaś, zanim nadjechał pociąg, udzieliła się atmosfera, wszedł w ten sam rytm i oto udawał przed Franzem Gregoroviušem, że wykrawa pół godziny z bezkresnego ciągu przyjemności. Franz był tak przejęty zamiarem, z jakim przybył, że Dick nie zdołał zarazić go nastrojem. „Może wpadnę na dzień do Zurychu – napisał wcześniej Dick – a może tobie się uda wyskoczyć do Lozanny”. Franzowi udało się dojechać aż tu, do Gstaad.

Skończył czterdziestkę. Czerstwą dojrzałość uzupełniał repertuar miłych, oficjalnych zachowań; niemniej Franz większość czasu spędzał u siebie, w nieco zakisłej atmosferze i poczuciu

bezpieczeństwa, gardząc bogatymi wrakami ludzkimi, które reedukował. Przynależność do rodu uczonych otwierała mu drogę w szeroki świat, lecz najwyraźniej Franz wybrał z rozmysłem pozycję w klasie skromniejszej, czego świadectwem był wybór żony. W hotelu Baby szybko zlustrowała Franza; nie dopatrzywszy się chociażby jednego szacownego atrybutu, żadnej subtelniejszej zalety czy uprzejmostki, po których w lot rozpoznają się członkowie klas uprzywilejowanych, sięgnęła po traktowanie zastrzeżone dla figur pośledniejszych. Nicole zawsze się trochę bała Franza. Dick zaś go lubił bez zastrzeżeń, jak wszystkich przyjaciół.

Wieczorem zjechali do wioski na sankach, które funkcjonowały tu jak gondole w Wenecji. Celem był hotel; w staroświeckiej salce biesiadnej, drewnianej i hałaśliwej, pełno było zegarów, baryłek, kufla i jelenich rogów. Liczne grupki przy długich stołach połączyły się w jedno towarzystwo zajęte jedzeniem *fondue*, pewnej szczególnej i niestrawnej odmiany grzanek z serem, której smak tłumilo grzane wino z korzeniami.

W tym dużym pomieszczeniu było w dechę; zapewnił o tym młodszy z Anglików, Dick zaś zaznaczył, że trudno o celniejszą definicję. Esencjonalne, idące do głowy wino sprawiło, że się rozluźnił, udawał, że cały świat znów się uporządkował za sprawą siwych mężczyzn, których młodość przypadła na złote lata pięćdziesiąte, teraz pokrzykujących radośnie przy pianinie, oraz za sprawą młodych głosów i jaskrawych strojów osnutych w tym wnętrzu kłębam dymu. Przez chwilę miał wrażenie, że są na statku, który przybije do brzegu; na twarzach dziewcząt widać było to samo niewinne wyczekiwanie na możliwości, które niesie sytuacja i wieczór. Rozejrzał się, czy jest także ta wybrana dziewczyna; miał wrażenie, że siedzi z tyłu przy stole, potem zapomniał o niej, wymyślił dłuższą mówkę i zadbał, żeby jego paczka bawiła się w najlepsze.

– Muszę z tobą pomówić – zagadnął Franz po angielsku. – Mam tylko dwadzieścia cztery godziny.

– Podejrzywałem, że coś ci chodzi po głowie.

– Mam pewien plan... Po prostu bajeczny. – Klepnął Dicka w kolano. – Plan, który ustawi nas obu.

– Czyli?

– Posłuchaj... Jest klinika, którą moglibyśmy mieć do spółki... Stary szpital Brauna nad Zugersee. Z wyjątkiem paru rzeczy urządzenia są nowoczesne. Braun choruje, zamierza wyjechać do Austrii, chyba tam chce umrzeć. Taka szansa nie zdarza się dwa razy. Ty i ja, wyobraź sobie ten zespół! Nic nie mów, dopóki nie skończę.

Dick w oczach Baby dostrzegł błysk lęku; najwyraźniej słuchała.

– Musimy się zabrać do tego razem. Wcale nie zwiąże ci to rąk... Da ci bazę, laboratorium, ośrodek. Możesz siedzieć w klinice na miejscu, powiedzmy sześć, najwyżej sześć miesięcy, w ładniejszej porze roku. Zimą możesz sobie pojechać do Francji czy Ameryki i pisać na podstawie świeżych obserwacji klinicznych. – Ściszył głos. – A mając na uwadze rekonwalescencję w rodzinie, zyskałbyś odpowiednią atmosferę i regularność, jaką zapewnia klinika. – Franz z miny Dicka wyczytał, że lepiej tego wątku nie rozwijać, więc cmoknął i szybko zmienił temat. – Zostaniemy współnikami. Ja dyrektorem, ty teoretykiem, wybitnym konsultantem i w ogóle. Znam siebie i wiem, że brak mi twojego geniuszu. Lecz na swój sposób ja też naprawdę coś potrafię, tak uważam; mam pełne kwalifikacje, jeśli chodzi o najnowocześniejsze metody kliniczne. Niekiedy przez całe miesiące byłem właściwie szefem w mojej dawnej klinice. Profesor uważa ten plan za znakomity i radzi się zaangażować. Sam twierdzi, że będzie żył wiecznie i pracował do ostatniej minuty.

Dick wpięrow próbował sobie wyobrazić całe przedsięwzięcie, zanim ważył się na jakąkolwiek opinię.

– Jak to wygląda od strony finansowej? – spytał.

Franz uniósł podbródek, uniósł brwi, zmarszczył na czole, ręce, łokcie, ramiona; napiął mięśnie nóg, wypychając nogawki, serce podeszło mu do gardła, głos zabrzmiał zaś piskliwie.

– No właśnie, jesteśmy w domu! Pieniądze! – Zabrzmiało to jak lament. – Nie mam tylu pieniędzy. W amerykańskiej walucie cena wynosi dwieście tysięcy dolarów. A innowacja... innowacje – niepewnie wsłuchiwał się w nowe słowo – niezbędne, z czym się zgodzisz, będą kosztować dalsze dwadzieścia tysięcy. Lecz ta klinika to kopalnia złota, wierz mi bez zaglądanja w księgi. Inwestując dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów, uzyskujemy murowany przychód...

Ciekawość Baby tak się rzucała w oczy, że Dick wciągnął szwagierkę do rozmowy.

– Czy według ciebie, Baby, to jest tak – wypytywał – że kiedy Europejczyk koniecznie chce się spotkać z Amerykaninem, to nieodmiennie chodzi o jakieś pieniądze?

– W czym rzecz? – spytała niewinnie.

– Ten oto młody *Privatdozent* sądzi, że powinniśmy się puścić na szerokie wody biznesu, wabiąc z Ameryki osoby załamane nerwowo.

Zmartwiony Franz wpatrywał się w Baby, Dick zaś ciągnął:

– Kim obaj jesteśmy, Franz? Ty nosisz znakomite nazwisko, ja napisałem dwa podręczniki. Jak myślisz, to dosyć, żeby kogoś zachęcić? Nie mam tylu pieniędzy, nie mam jednej dziesiątej tej sumy. – Franz uśmiechnął się sceptycznie. – Słowo daję, że nie mam. Nicole i Baby są bogate jak sam Krezus, lecz mnie nie udało się jeszcze położyć na tym ręki.

Teraz już wszyscy słuchali... Dick był ciekaw, czy słucha też dziewczyna przy stole z tyłu. Pomysł go pociągał. Uznał, że lepiej będzie, jeśli w jego imieniu wypowie się Baby, bo często dopuszcza się kobiety do głosu w sprawach, w których niewiele mają do gadania. A Baby przeistoczyła się nagle we własnego dziadka.

– Sądzę, że powinieneś tę propozycję rozważyć. Nie wiem, Dick, co powiedział doktor Gregory... Jednak wydaje mi się...

Tamta dziewczyna za plecami Dicka schyliła się, wsunęła głowę w aureolę dymu i coś podniosła z podłogi. A była także twarz Nicole, za stołem po drugiej stronie, jakże dobrana do jego własnej... Jej piękno, ostrożnie przybierane pozy, moszczenie się przyprawiły Dicka o napływ czułości, wręcz potrzebę chronienia.

– Zastanów się – naciskał podniecony Franz. – Jeśli ktoś pisze o psychiatrii, powinien mieć kontakty z kliniką. Jung pisze, Bleuler pisze, Freud pisze, Forel pisze, Adler pisze... ale wszyscy są w stałym kontakcie z zaburzeniami psychicznymi.

– Dick ma mnie – roześmiała się Nicole. – Podejrzewam, że starczy tych psychicznych zaburzeń jak na jednego człowieka.

– To co innego – ostrożnie zapewnił Franz.

Baby tymczasem pomyślała, że byłaby wreszcie spokojna o Nicole, gdyby siostra zamieszkała przy klinice.

– Musimy to gruntownie przemyśleć – powiedziała.

Bezczelność Baby rozbawiła Dicka; niemniej nie zagrzewał szwagierki.

– Piwo wypiję ja, Baby – powiedział łagodnie. – To miłe, że chcesz mi kupić klinikę.

Czując, że weszła na nieswoje podwórko, Baby wycofała się spieszenie.

– Jasne, to najzupełniej twoja sprawa.

– Tak poważna historia wymaga tygodni namysłu. Ciekaw jestem, czy się przekonam do wizji Nicole i mnie zadomowionych w Zurychu. – Tu zwrócił się do Franza, uprzedzając kwestię. – Wiem, wiem; w Zurychu jest gaz, wodociągi i elektryczność. W końcu mieszkałem tam trzy lata.

– Musisz to sam przemyśleć – powiedział Franz. – Jestem przekonany...

Rozległ się tupot stu par pięcioletnich butów; ich posiadacze zmierzali do drzwi, paczka Dicka wmieszała się w tłum. Na dworze, w chłodnym świetle księżyca Dick dostrzegł swą dziewczynę: wiązała saneczki do sań na przedzie. Całą paczką władowali się na swoje i przy soczystym trzaskaniu z bata konie naprężyły mięśnie i napały pierściami na mrok. Obok przebiegali jacyś ludzie, gramolili się, co młodszy spychali się z sanek, z płóz, padali w puszysty śnieg, potem dysząc, gnali za końmi, by resztką sił dopaść znów sanek lub lamentować, że porzucono ich na drodze. Pola po obu stronach zalegał błogi spokój; kawalkada przemierzała przestrzeń sklepioną wysoko, niezgłębioną. Kiedy znaleźli się w szczerym polu, hałas przycichł, jakby wszyscy zaczęli w atawistycznym odruchu nasłuchiwać wilków w śnieżnym bezkresie.

W Saanen wtoczyli się do miejskiej sali tanecznej pełnej pasterzy, sklepikarzy, służby hotelowej, instruktorów narciarskich, przewodników, turystów i chłopów. Wchodząc do zamkniętego ciepłego pomieszczenia – po emocjach na dworze, zwierzęcych i panteistycznych – mieli absurdalne a nieodparte poczucie, że oto znów przybierają rycerskie miano, gromkie niczym krok butów podzwaniających ostrogami lub stukot kroków na betonowej podłodze piłkarskiej szatni. Uszy przewiercało rutynowe jodłowanie; żyty z nim Dick już się nie dopatrywał w tej scenie romantyzmu. Może dlatego, pomyślał najpierw, że wyszczuł ze świadomości tamtą dziewczynę; potem zaczął wnić Baby, ściślej, sposób, w jaki powiedziała „Musimy to gruntownie przemyśleć”, w którym to

zdaniu krył się inny, niewypowiedziany tekst: „Mamy cię na własność, przyznasz to prędzej czy później. To nonsens, wciąż zgrywać się na niezależność”.

Minęły lata, od kiedy Dick uwięził – jak dzinna w butelce – złość wobec innych istot; jako student pierwszego roku w New Haven natrafił na szkic o „higienie psychicznej”. Teraz Baby wytrąciła go z równowagi; Dick miał jej za złe zimną bezczelność bogatej kobiety, jednak próbował to w sobie zdusić. Miną setki lat, zanim wstępujące na scenę życia Amazonki pojmą, że tylko duma jest słabym punktem mężczyzny, istoty delikatnej jak Humpty-Dumpty*, z którym łatwo go pomylić; niektóre już to przyznają, aczkolwiek nieszczerze. Zawód doktora Divera polegający na porządkowaniu innego rodzaju stłuczonych skorupki przyprawiał go o lęk przed wszelkim tłuczeniem. Jednakże...

W drodze powrotnej do Gstaad, w gładko sunących saniach powiedział:

– Za wiele tu grzeczności.

– Cóż, moim zdaniem to miłe – odrzekła Baby.

– Otóż nie – wojował z anonimowym kłębem futra. – Grzeczność oznacza, że do wszystkich należy się odnosić w białych rękawiczkach, bo wszyscy są wrażliwi. Tymczasem szacunek wobec ludzi... To niby nie problem uznać kogoś za tchórza czy kłamcę, lecz jeśli komuś życie upływa na chronieniu ludzkich uczuć i zaspokajaniu ich próżności, to z czasem trudno ocenić, co rzeczywiście trzeba szanować u innych.

– Powiedziałbym, że Amerykanie dość poważnie traktują swoją szkołę grzeczności – oznajmił młodszy Anglik.

– Chyba tak – zgodził się Dick. – Weźmy na przykład mojego ojca; wzory grzeczności odziedziczył po czasach, w których wpraw

* Krucha postać z wiersza dla dzieci; w istocie jajko, którego po stłuczeniu nie da się złożyć.

pociągano za spust, a przepraszano później. Broń i mężczyźni... Przecież wy, Europejczycy, już z początkiem osiemnastego wieku zarzuciliście noszenie broni na co dzień...

– Właściwie nie; może...

– Właściwie czy niewłaściwie, ale nie nosiliście.

– Dick, w twoim zachowaniu zawsze jest tyle elegancji – łągodziła Baby.

Kobiety – na ich okrycia zużytkowano zoo – z niepokojem śledziły Dicka. Młodszy Anglik, w rodzaju tych, którzy nie wyrosli ze skakania po gzymsach i balkonach jak po olinowaniu statku, niewiele ze wszystkiego rozumiał i przez całą drogę do hotelu snuł niedorzeczną opowiastkę o starciu bokserskim ze swym najlepszym przyjacielem, z którym przez bitą godzinę okładali się z całą sympatią i niezachwianym dystansem wobec sytuacji. Dicka ogarnęła wesołość.

– Słowem, z każdym zadany cios uważał go pan za coraz lepszego przyjaciela?

– Coraz bardziej go szanowałem.

– Nie rozumiem takiego podejścia. Wdaje się pan w bójkę z najlepszym przyjacielem z banalnego powodu...

– Skoro pan nie rozumie, to trudno, nie zdołam panu wytłumaczyć – odgryzł się Anglik.

„Na tym się kończy, kiedy zaczynam mówić, co myślę”; Dick tę uwagę zachował dla siebie.

Wstyd mu było, że sprowokował człowieka; idiotyzm historyjki wynikał z niedojrzałości narratora w zderzeniu z kunsztowną narracją.

Duch karnawału nie pierzchał; całą gromadą zapełnili teraz bar z rusztem; tunezyjski barman zadbał o świetlny kontrapunkt,

przy czym drugim głosem było odbite od lodowiska światło księżyca wlewające się przez wielkie okna. W tym świetle dziewczyna wydała się Dickowi apatyczna i nieciekawa; odwrócił się i zachwycał ciemnością. W poświacie czerwonych lamp zieleniły się i srebrzyły koniuszki papierosów; ukośne pasmo bieli wpadało przez drzwi, ilekroć do baru wchodzili lub wychodzili tancerze.

– A teraz powiedz, Franz, jak myślisz – wypytywał – po całej nocy spędzonej przy piwie możesz wrócić do kliniki i przekonywać pacjentów, że nie brak ci charakteru? A może cię posądzą o gastropatię?

– Idę do łóżka – oznajmiła Nicole.

Dick odprowadził ją do windy.

– Poszedłbym z tobą, ale muszę wykazać Franzowi, że żaden ze mnie klinicysta.

Nicole weszła do kabiny.

– Baby nie brak zdrowego rozsądku – powiedziała zamyślona.

– Baby to jedna z...

Drzwi windy zasunęły się, zahuczał mechanizm, Dick zaś dokończył w myśli: „...Baby to pospolita, samolubna kobieta”.

W dwa dni później odwoził saniami Franza na stację; przyznał, że po przemyśleniu uważa projekt za zachęcający.

– Zaczynamy się kręcić w kółko. – Dick nie owijał w bawełnę. – Życie na takiej stopie to nieunikniony ciąg napięć, z którymi Nicole sobie nie poradzi. A te bukoliczne letnie nastroje Riwieri zmieniają się, znikają, już za rok tam nastanie Wielki Sezon.

Mijali chrześzczące pod łyżwami zielonkawe lodowiska, znad których dolatywały walce wiedeńskie, kolorowe mundurki wielu szkół górskich mieniły się na tle bladego błękitu nieba.

– ...Zakładam, Franz, że sobie poradzimy. Jeżeli miałbym się w to wdawać, to tylko z tobą.,.

Żegnaj, Gstaad! Żegnajcie, rześkie twarze, zakwitający na szybach śliczny szronie, płatki tańczące w mroku. Żegnaj, Gstaad, żegnaj!

XIV

Dick zbudził się o piątej z długiego snu o wojnie; podszedł do okna i utkwiał wzrok w Zugersee. Sen zaczął się ponuro i majestatycznie: przez mroczny plac sunęły orkiestry, grając drugą część *Miłości do trzech pomarańczy* Prokofiewa, za nimi szeregi granatowych mundurów, dalej wozy strażackie, symbole katastrofy; potem w punkcie opatrunkowym wybuchł upiorny bunt rannych. Zaświecił nocną lampkę i starannie spisał sen, na wpół ironicznie kończąc uwagą „szok bitewny osobnika, który nie wahał prochu”.

Przysiadł na brzegu łóżku; miał wrażenie, że zioną pustką noc, dom i ten pokój. W sąsiedniej sypialni Nicole zamruczała żałośnie, a Dickowi ścisnęło się serce na myśl o któż wie jakiej samotności dręczącej Nicole we śnie. Czas Dicka stał w miejscu, by raz na parę lat mknąć gorączkowo, jak szybko przewijany film, lata Nicole odchodziły w przeszłość w rytmie zegara, kalendarza i kolejnych urodzin, a ją samą boleśnie drażyła świadomość przemijania urody.

Nawet ostatnie osiemnaście miesięcy nad Zugersee uważała za czas stracony; wystarczało, że pory roku może rozróżnić na skórze robotników drogowych, różowej w maju, brązowej w lipcu, szerniałej we wrześniu i znowu białej na wiosnę. Pierwsze swe wyzdrowienie witała nowymi nadziejami, ileż wówczas oczekiwała! Tymczasem w roli jedyne go wsparcia ostał się Dick, a ją stać było tylko na pozory miłości wobec dzieci, w gruncie rzeczy sierot, raczej szkolonych niż wychowywanych. Ludzie, których lubiła, na ogół byli buntownikami, szarpali jej nerwy, to zaś groziło załamaniem. Szukała w nich tej witalności, która daje niezależność, zapewnia impulsy twórcze, nieustępliwość, ale szukała na próżno, bo zagadka tych ludzi kryła się w ich zmaganiach z dzieciństwem, już dawno pogrzebanych i zapomnianych. Bardziej ich interesowały harmonia i

czar Nicole, jakże widoczne, a będące jednym więcej znamię jej choroby. Wiodła więc życie samotne, mając na własność Dicka, on zaś ani myślał być czyjąkolwiek własnością.

Dick wiele razy próbował zmniejszyć swój wpływ na Nicole, zawsze bez powodzenia. Spędzili razem wspaniałe chwile i nie było ich mało, ileż odbyli cudownych rozmów w miłosne noce aż do białego rana, lecz kiedy Dicka pochłaniały potem jego zajęcia, w rękach Nicole pozostawało wielkie Nic; wpatrywała się w nie, obdarzała najróżniejszymi nazwami, zawsze jednak była to ta sama nadzieja, że Dick szybko wróci.

Zwinał ciasno poduszkę, zwyczajem Japończyków wparł w nią kark, żeby spowolnić krążenie, i na pewien czas zasnął. Później, już podczas golenia, wstała Nicole i krążąc po domu, szorstko wydawała polecenia dzieciom i służbie. Zjawił się Lanier ciekaw ojcowskiego golenia; życie obok kliniki psychiatrycznej sprawiło, że nabrał nadzwyczajnego podziwu dla ojca, wierzył w niego, czemu towarzyszyło przesadne lekceważenie większości innych dorosłych; pacjenci wydawali się Lanierowi dziwaczni albo bezwolni, hiperpoprawni, wyzbyci osobowości. Dick poświęcał mnóstwo czasu temu ładnemu, dobrze się zapowiadającemu chłopcu, przy czym Dick obsadził się w roli życzliwego, acz wymagającego oficera, Lanier grał szeregowca.

– Dlaczego przy goleniu – spytał chłopiec – zawsze masz trochę piany na czubku głowy?

Dick ostrożnie rozwarł namydlone wargi.

– Nie mogłem tego nigdy rozgryźć. Często się zastanawiałem. Kciukiem zaznaczam z boku miejsce, do którego się golić, więc piana lepi się do palca, ale skąd się bierze na głowie, i to na samym czubku, nie wiem.

– Jutro się temu dobrze przyjrzę.

– To twój jedyny problem przed śniadaniem?

– Nie mówię, że to problem.

– Jeden zero dla ciebie.

W pół godziny potem Dick wyszedł do budynku administracyjnego. W wieku trzydziestu ośmiu lat znacznie bardziej przypominał teraz lekarza niż na Riwierze, chociaż nadal stronił od brody. Od osiemnastu miesięcy mieszkał przy klinice, jednej z najlepiej urządzonych w całej Europie. Nowoczesna, jak zakład Dohmlera, już nie mieściła się w pojedynczym ciemnym i ponurym budynku, lecz stanowiła rozsianą, na pozór zintegrowaną wioskę. Dick i Nicole wiele zrobili z myślą o dobrym smaku, a teraz pięknie pomyślaną całość odwiedzał każdy psycholog bawiący przejazdem w Zurychu. Gdyby jeszcze postawić domek caddy'ego, zakład mógłby uchodzić za country club. Z głównego budynku nie można było dostrzec pawilonów Pod Szkołą Różą i Pod Bukami, dla pacjentów na zawsze pogrążonych w mroku; ukryte za niewielkimi zagajnikami przysiadły jak pod kamuflażem kryjącym gniazda oporu. Dalej rozpościerało się duże gospodarstwo; warzywa uprawiali po części pacjenci. Warsztaty terapii zajęciowej ulokowano pod wspólnym dachem i od nich doktor Diver rozpoczynał poranny obchód, Z zalewanego słońcem warsztatu ciesielskiego biła słodka woń trocin rodem z minionego wieku drewna; milczący ludzie – zazwyczaj sześciu – stukali młotkami, heblowali, piłowali, a w stronę przechodzącego Dicka kierowali poważne, uroczyste spojrzenia. Dick sam był niezłym cieślą i stolarzem, wdawał się więc w rozmowę o przydatności tego czy innego narzędzia, mówił zaś spokojnie, okazując troskę i zainteresowanie. Do warsztatu ciesielskiego przylegała introligatornia otwarta z myślą o pacjentach najbardziej ruchliwych, co nie zawsze oznaczało dostatek szans na wyzdrowienie. W ostatnim pomieszczeniu tkano, pracowano w mosiądzu, wyszywano paciorkowe aplikacje. Twarze pacjentów przywodziły na myśl kogoś, kto z głębokim westchnieniem odsuwa od siebie coś nierozwiązywalnego; lecz tutaj to westchnienie było wstępem do kolejnej rundy ustawicznych rozważań; myśli tych ludzi – inaczej niż

zwykłych – krążyły w zaklętym kręgu. Jeszcze raz w kółko, jeszcze raz i jeszcze; i tak na zawsze. Jednak jaskrawość materiałów, nad którymi pracowali pacjenci, sprawiała, że ktoś obcy mógł przez chwilę się ludzić: oto wszystko w porządku, jak w przedszkolu. Na widok doktora Divera twarze się rozjaśniały. Większość lubiła go bardziej niż doktora Gregoroviusa. Z reguły bardziej lubili go ludzie żyjący niegdyś w wielkim świecie. Nieliczni uważali, że ich lekceważy bądź zgrywa się albo mądrzy. Reakcje pacjentów niewiele się różniły od tych, które osobowość Dicka wywoływała w jego prywatnym otoczeniu, były jednak wykoślawione.

Pewna Angielka zawsze poruszała temat, z którym czuła się zrosnięta.

– Czy dziś wieczorem będzie muzyka?

– Nie wiem – odpowiadał. – Nie widziałem doktora Ladislaua. A jak się pani podobał wczorajszy występ pani Sachs i pana Longstreeta?

– Tak sobie.

– Mnie się podobał, zwłaszcza Chopin.

– Chopin też tak sobie.

– Kiedy pani nam zagra?

Wzruszyła ramionami, mile polechtana pytaniem od lat sprawiającym jej przyjemność.

– Kiedyś zagram. Ale tylko tak sobie.

Wiedzieli, że w ogóle nie gra; miała dwie siostry, znakomite artystki, ona jednak nie umiała za młodu nauczyć się przy nich nawet czytania nut.

Po warsztatach Dick robił obchód pawilonów Pod Szkołą Różą i Pod Bukami. Z zewnątrz budynki wyglądały pogodnie, jak pozostałe; wystrój i umeblowanie zaprojektowała Nicole, wpisując je w

nieodzowny i niewidoczny szkielet krat, prętów i sprzętów przytwierdzonych na stałe. Wykazała przy tym wiele wyobraźni – żyłkę twórczą Nicole, zazwyczaj wątłą, tu wsparło samo zadanie – i żaden nieuprzedzony gość ani by przypuszczał, że lekkie, pełne wdzięku wzory z wplecionego w okna drutu to kraty i zastępują w istocie mocny łańcuch, że sprzęty o modnych rurowatych kształtach są mocniejsze niż masywne struktury edwardiańskie, nawet kwiaty tkwiły w żelaznych zaciskach, a każda przypadkowa z pozoru ozdoba czy instalacja była równie niezbędna jak dźwigar drapacza chmur. Niestrudzone spojrzenie Nicole wykrzeszało z każdego pokoju pełnię funkcjonalności. Pochwały zbywała opryskliwie, utrzymując, że jej praca nie różni się od poczynań hydraulika.

Ci, których kompas nadal rozróżniał bieguny, mogli w tych pawilonach napatrzeć się na osobliwości. Doktor Diver nieraz wychodził rozbawiony ze Szkockiej Róży, pawilonu dla mężczyzn, gdzie utknął dziwny ekshibicjonista, drobnej budowy, przekonany, że gdyby bez przeszkód i napastowania mógł z Étoile przejść nago na Place de la Concorde, rozwiązałyby wiele problemów. Kto wie, myślał Dick, może facet ma rację.

Najciekawszy przypadek był w głównym budynku. Trzydziestoletnia amerykańska malarka od dawna osiadła w Paryżu trafiła do kliniki pół roku wcześniej. Nie mieli żadnej wiarygodnej historii choroby. Na obłąkaną i wycieńczoną kobietę natknął się kuzyn. Po nieudanym interludium, czyli podejrzanej kuracji w peryferyjnym zakładziku, żyjącym głównie z turystów zafascynowanych narkotykami i pijaństwem, kuzyn zdołał ją przenieść do Szwajcarii. W chwili przyjęcia do kliniki była zadziwiająco ładna, lecz z czasem stała się żywą, rozjątrzoną raną. Z badania krwi właściwie nic nie wynikało; schorzenie niezbyt poradnie sklasyfikowano jako egzemę nerwicową. Przez dwa miesiące leżała z tą diagnozą, uwięziona w

swej przypadłości jak w żelaznej dziewicy*. Reagowała zbornie, nawet błyskotliwie, w granicach wyznaczonych przez niezwykle omamy.

Dla Dicka była pacjentką szczególną. W chwilach jej nadpobudliwości był jedynym lekarzem, który mógł „coś z nią zrobić”. Kilka tygodni wcześniej, podczas jednej z jej bezsennych nocy, w istocie męczarni, Franz zdołał ją zahipnotyzować, zapewniając kilka godzin ulgi, lecz na tym koniec, więcej mu się nie powiodło.

Dick nie ufał hipnozie, rzadko sięgał po to narzędzie; wiedział, że nie zawsze potrafi w sobie wzbudzić odpowiednie nastawienie, a kiedy swego czasu próbował hipnotyzować własną żonę, Nicole wyśmiała go, wręcz wyszydziła.

W salce numer dwadzieścia kobieta nie zobaczyła wchodzącego Dicka, zbyt szybko zapuchły jej oczy. Głos zabrzmiał mocno, przenikliwie, był głęboki i pełny.

– Ile to potrwa? Wiecznie?

– Zapewne już niedługo. Doktor Ladislau zapewnia, że całe partie ciała wydobrzały.

– Mogłabym przyjąć to spokojnie, gdybym wiedziała, czym sobie na to zasłużyłam.

– Ja nie mieszałbym do tego mistyki, to nie za mądre. Naszym zdaniem zachodzi objaw nerwicowy, spokrewniony z rumieńcem; czy pani łatwo się rumieniła w dzieciństwie?

Leżała na wznak, z twarzą zwróconą do sufitu.

– Odkąd wyrznęły mi się zęby mądrości, nie miałam powodu do rumieńca.

– Nie zaliczyła pani zwykłej porcji grzeszków i pomyłek?

– Nie mam sobie nic do wyrzucenia.

* Narzędzie tortur – skrzynia z kolcami skierowanymi do wnętrza.

– No to udało się pani.

– Dzielę los współczesnych kobiet, które rzucają wyzwanie mężczyznom, by zmusić ich do walki.

– Ku pani wielkiemu zdziwieniu ta walka nie różni się od innych. – Teraz Dick naśladował podniosłą tonację jej słów.

– Nie różni się od innych. – Zastanowiła się. – Człowiek wybiera pole bitwy i odnosi zwycięstwo, rzecz jasna pyrrusowe, albo zostaje wrakiem, ruiną, zaledwie upiornym echem odbitym od zwalonej ściany.

– Pani nie jest ani wrakiem, ani ruiną – odrzekł Dick. – Czy pani na pewno uczestniczyła w prawdziwej bitwie?

– Niechże pan na mnie spojrzy! – krzyknęła z furją.

– Cierpiała pani, lecz ileż kobiet cierpiało, zanim pojęły tę pomyłkę, że nie są mężczyznami. – Dick wdał się w spór, więc zaraz ustąpił. – W każdym razie nie może pani brać pojedynczej porażki za ostateczną klęskę.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Pięknie powiedziane.

Upokorzyło go to zdanie, które dotarło zza skorupy bólu.

– Chcemy się dobrać do prawdziwych powodów, przez które trafiła pani do nas... – zaczął, ale pacjentka przerwała Dickowi.

– Znalazłam się tu jako symbol czegoś. Pomyślałam, że może wiecie czego.

– Pani jest chora – powiedział machinalnie.

– Czym więc było to, co niemal odkryłam?

– Jeszcze większą chorobą.

– I to już wszystko?

– Tak, wszystko. – Ze wstrętem słuchał własnych kłamstw, lecz na tym etapie każda próba skondensowania rozległego zagadnienia prowadziła nieuchronnie do kłamstw. – Wykroczywszy poza to, natrafi pani tylko na zamęt i chaos. Nie chcę tu pani urządzać pogadanek... Aż za dobrze zdajemy sobie sprawę z pani cierpień fizycznych. Niemniej tylko poprzez stawienie czoła problemom codzienności, choćby się wydawały nie wiem jak nudne i błahe, może pani wszystko poustawiać z powrotem na miejscu. A potem... Nie wykluczam, że zdoła pani na nowo rozpoznać...

Zawiesił zdanie, bo nie chciał głośno dokończyć myśli nieuniknionym: „na nowo rozpoznać pogranicze świadomości” Pogranicze, po którym musi się poruszać artysta, już przestało być jej strefą, z tym koniec. Malarka była osobą wysublimowaną, introwertyczką, ostatecznie mogła odnaleźć spokój w jakiejś łagodnej odmianie mistyki. Pionierskie poszukiwania to coś dla ludzi z domieszką chłopskiej krwi, tych z tęgimi udami i grubymi kostkami, dla których zbieranie cięgow na ciele czy duszy to bułka z masłem.

Ugryzł się w język, nie chciał powiedzieć „To nie dla pani. To zbyt brutalna gra”

Okropny, wyrosły z bólu majestat tej kobiety pociągał jednak Dicka, nieledwie seksualnie. Chciał ją wziąć w ramiona, jak brał Nicole, gotów był cenić nawet jej błędy, tak dalece były jej częścią. Pomarańczowa poświata sącząca się z za żaluzji, ona sama: żywy sarkofag na łóżku, plama w miejscu twarzy, głos, którym draży pustkę choroby, by jedynie znaleźć odległe abstrakcje...

Dick wstał, a wtedy przez bandażę przedarły się łzy, jak lawa.

– To czemuś służy – wyszeptała. – Coś z tego musi wynikać.

Schylił się i pocałował ją w czoło.

– Bardzo starajmy się być dobrzy, wszyscy.

Po wyjściu z salki posłał tam pielęgniarkę. Trzeba było odwiedzić innych pacjentów: piętnastoletnia Amerykanka właśnie powystrzygała sobie włosy nożyczkami do paznokci; wychowano ją w przekonaniu, że dzieciństwo ma być tylko zabawą. Dla tej dziewczyny niewiele dało się zrobić, bo trudno coś budować na rodzinnych dziejach nerwic i tym, że przeszłość pacjentki niewiele ma wspólnego ze stabilnością. Jej ojciec, człowiek sumienny i normalny, usiłował chronić swe przewrażliwione potomstwo przed trudami i zamętem życia, osiągnął zaś tyle, że przeszkodził rozwijaniu się potencjału pozwalającego mierzyć się z nieuniknionymi niespodziankami. Cóż Dick miał tu do powiedzenia?

– Helen, jeśli nie jesteś czegoś pewna, musisz zapytać pielęgniarkę, musisz nauczyć się korzystać z rad. Przrzeknij, że tak zrobisz.

Ile warte jest przyrzeczenie pomyleńca? Dick zajrzał też do wymizerowanego uchodźcy z Kaukazu, który zapięty w coś podobnego do hamaka zażywał właśnie ciepłej kąpieli leczniczej, i do trzech córek portugalskiego generała, które niemal niedostrzegalnie osuwały się w niedowład histeryczny. Odwiedził też sąsiedni pokój, gdzie pewnego psychiatrę przeżywającego załamanie zapewnił, że jest już lepiej, że stale jest lepiej; psychiatra usiłował potwierdzenie tych słów wyczytać z twarzy Dicka, bo dostęp do świata rzeczywistego zawdzięczał tylko porcji otuchy, raz obecnej, raz nie, w głosie doktora Divera.

Potem Dick odprawił gamoniowatego pielęgniarza – i oto dochodziła już godzina lunchu.

XV

Posiłki z pacjentami były dla Dicka udręką. Towarzystwo na pierwszy rzut oka mogło się wydawać dość szablonowe – rzecz jasna, nie zaliczali się do niego pacjenci pawilonów Pod Szkocką Różą ani Pod Bukami – lecz zawsze spowite ciężką melancholią. Lekarze podtrzymywali rozmowę przy stole, niemniej pacjenci, czy to wyczerpani po wysiłkach poranka, czy przygnębieni obecnością innych, odzywali się na ogół niewiele i jedli, wbijając wzrok w talerze.

Lunch dobiegł końca, Dick wrócił do swej willi. W salonie czekała Nicole, miała dziwny wyraz twarzy.

– Przeczytaj – powiedziała.

List wyszedł spod ręki kobiety niedawno wypisanej z zakładu, wbrew sceptycznej opinii części personelu. Jasno i bez ogródek oskarżała Dicka o uwiedzenie córki towarzyszącej matce w krytycznej fazie choroby. W ślad za tym szło zapewnienie, że pani Diver ucieszy się z wiadomości, bo dowie się wreszcie, „kim jest naprawdę” jej mąż.

Dick przeczytał list jeszcze raz. Mimo klarownej i zwięzłej angielszczyzny pisała go niewątpliwie maniaczka. Tę dziewczynę zabrał przy jakiejś okazji do Zurychu, na jej wyraźną prośbę; wieczorem podwiózł z powrotem do kliniki tę drobną brunetkę, bardzo skłoną do flirtu. Pocałował ją od niechcienia, wręcz pobłaźliwie. Potem usiłowała pociągnąć dalej przygodę, co Dicka w ogóle nie obeszło, i w rezultacie zaczęła chyba odczuwać wobec niego coraz większą niechęć, wreszcie zabrała matkę z zakładu.

– Pisanina kogoś niepoczytalnego – powiedział. – Z tą dziewczyną nic mnie nie łączyło, w najmniejszej mierze. Nawet jej nie lubiłem.

– Właśnie próbowałam tak na to patrzeć.

– Chyba w to nie wierzysz?

– Ja byłam tutaj.

Usiadł obok Nicole, żeby tonem wymówki, cicho, wytłumaczyć raz jeszcze:

– To czysty nonsens. List od pacjentki chorej umysłowo.

– Sama byłam pacjentką chorą umysłowo.

Wstał i odezwał się bardziej stanowczo:

– Darujmy sobie te brednie, Nicole. Zabierz dzieci i ruszamy w drogę.

Samochód prowadził Dick; mijali cyple na jeziorze, na przedniej szybie łądowały potoki światła i bryzgi wody, wwiercali się w kaskady wiecznie zielonych roślin. To był wóz Dicka, renault tak maleńkie, że wszyscy wręcz wystawali z auta, z wyjątkiem dzieci, nad którymi na tylnym siedzeniu górowała niczym maszt Mademoiselle. Znali każdy fragment tej drogi, wiedzieli, gdzie się unosi zapach sosnowych igieł, gdzie czarny dym z pieca. Wysokie, świecące w oczy słońce wyżywało się na słomkowych kapeluszach dzieci.

Nicole nie odzywała się; Dicka niepokoiło jej twarde, skierowane przed siebie spojrzenie. Często czuł się z nią samotny, nieraz też zdołała go wymęczyć napadami zwierzeń zastrzeżonych tylko dla niego. „Jestem właśnie taka... Jestem raczej taka, niż...” lecz tego popołudnia mógł poczuć ulgę, bo przez chwilę trajkotała staccato, pozwalając dociekać, o czym naprawdę myśli. Zawsze sytuacja wyglądała groźniej, kiedy Nicole zamykała się w sobie, zatrząskiwała za sobą drzwi.

Mademoiselle wysiadła w Zug, a Diverowie pojechali do wesołego miasteczka Agiri, lawirując między ustępującymi drogi mamutami, stadem parowych walców. Dick zaparkował. Nicole wpatrywała się w niego bez ruchu.

– Chodź, skarbie – powiedział. Nagle wargi Nicole wykrzywił okropny uśmiech. Dick poczuł ołów w żołądku. Udał, że niczego nie widzi, i powtórzył: – No chodź. Pozwól wyjść dzieciom.

– Jasne, wychodzę – odrzekła, wydzierając poszczególne słowa z jakiegoś wątku, który snuła w duchu zbyt spiesznie, żeby Dick mógł nabrać o nim pojęcia. – Nie martw się, już wychodzę...

– To chodź.

Szli razem; przez twarz Nicole, odwróconej od Dicka, wciąż przemykał ów uśmiech, szyderczy i chłodny. Potem, zagadnięta przez Laniera, zdołała parę razy skupić uwagę na kukielkowym widowisku; wciągnięta w przygody Puncha i Judy* zyskiwała grunt pod nogami, punkt odniesienia.

Dick próbował się zastanowić, co dalej. Dwoistość postrzegania Nicole – okiem męża i okiem psychiatry – pętała go coraz mocniej. W ciągu tych sześciu lat Nicole nieraz przeprowadzała go przez granicę, powodowało nim dojmujące uczucie litości lub wciągał chaotyczny przyływ jej fantazji i dowcipu; dopiero kiedy taki epizod minał, Dick – wyzbywszy się już napięcia, w pełni roztropny – pojmował, że Nicole znów zaliczyła punkt dla siebie w starciu z jego trzeźwością sądu.

Rozstrzygnąwszy spór z Topsy o kukielki – czy tutejszy Punch to ten sam, którego widzieli w zeszłym roku w Cannes – przechadzali się całą rodziną między budami rozstawionymi pod gołym niebem. Na tle straganów, na tle błękitnych i pomarańczowych wozów wręcz skromnie wyglądały sterczące czepeczki kobiet, aksamitne serdaki i

* Tradycyjne angielskie przedstawienie kukielkowe: małżeństwo Punch i Judy przeżywają tragikomiczne perypetie.

jaskrawe szerokie spódnice z różnych kantonów. Skądś dobiegały zawodzenia, podzwanianie, najwyraźniej czarowano publiczność tańcem brzucha.

Nicole ruszyła do ucieczki tak nagle, że Dick przez chwilę nie dostrzegł nieobecności żony. Gdzieś daleko w tłumie migiała jej żółta sukienka, raz widoczna, raz nie ochrowa nitka zszywająca rzeczywistość i nierzeczywistość. Dick, dojrawszy Nicole, ruszył w pogoń. Uciekała dyskretnie, biegnący Dick również nie chciał rzucać się w oczy. Popołudniowy kaşający skwar wydał się z chwilą ucieczki Nicole koszmarem; Dick z wrażenia zapomniał o dzieciach, więc zawrócił, pobiegł do nich, wzięwszy za ręce, ciągnął raz tu, raz tam, taksując to tę budę, to inną.

– *Madame* – zawołał do młodej kobiety stojącej za białym kołem loterii. – *Est-ce que je peux laisser ces petits avec vous pour deux minutes? C'est très urgent; je vous donnerai dix francs.*

– *Mais oui.*

Zaprowadził dzieci do budy.

– *Alors, restez avec cette gentille dame.*

– *Oui, Dick*.*

Rzucił się znowu w pościg, lecz stracił Nicole z oczu; biegł wokół karuzeli, dotrzymując jej tempa, aż wreszcie dostrzegł, że przez cały czas wpatruje się w tego samego konia. Łokciami torował sobie drogę w ścisku w bufecie, a potem przypomniał sobie skłonnoştkę Nicole, odgarnął zasłone namiotu wróżki i zajrzał do środka. Powitał go huczący głos:

– *La septième fille d'une septième fille née sur les rives du Nil... entrez, monsieur*.*

* Proszę pani, czy mogę zostawić tu dzieciaki, tylko na dwie minuty? To bardzo pilne, zapłacę dziesięć franków. – Oczywiście. – W takim razie posiedźcie z tą miłą damą. – Tak, Dick (fr.).

Opuścił płótno i pognął na skraj lunaparku, gdzie nad brzegiem jeziora obracał się z wolna na tle nieba niewielki diabelski młyn. Wreszcie odnalazł Nicole.

Siedziała w gondoli, która wzbiła się właśnie do najwyższego położenia. Kiedy zaczęła opadać, Dick – widząc, że Nicole śmieje się w najlepsze – wmieszał się w tłum; przy następnym obrocie koła ludzie zaczęli zwracać uwagę na histeryczne zachowanie Nicole.

– *Regardez-moi ça!*

– *Regarde donc cette Anglaise!**

Gondola znowu zjechała na dół, tym razem młyn zwolnił, towarzysząca muzyka przycichła, a gondolę otoczył tuzin ludzi zwabionych tonem śmiechu Nicole, gapiących się na nią z politowaniem i kretyńskimi uśmieszkami. Śmiech zamarł na ustach Nicole, kiedy zauważyła Dicka, gest zdradził, że znów chce się wymknąć, uciec przed nim, lecz Dick uchwycił ją za ramię i mocno trzymał, kiedy odchodzili.

– Dlaczego przestałaś panować nad sobą? Dlaczego w ten sposób?

– Dobrze wiesz dlaczego.

– Nie, nie wiem.

– Nie bądź śmieszny... Puść mnie... Obrażasz moją inteligencję. Myślisz, że nie widziałam, jak ta dziewczyna na ciebie patrzy? Ta czarnulka? To dopiero farsa... dziecko, najwyżej piętnastoletnie. Myślisz, że nie widziałam?

– Przystanmy na minutę, aż się uspokoisz.

* Siódma córka siódmej córki, zrodzona nad brzegami Nilu... Niechże pan wejdzie... (fr.)

* Patrzcie, uwaga! Zobaczcie tę Angielkę! (fr.)

Usiedli przy stole; Nicole wodziła ręką przed oczami, jakby coś utrudniało jej patrzenie, w spojrzeniu widać było pokłady nieufności.

– Chcę się napić... Chcę brandy...

– Nie dostaniesz brandy. Może być porter, jeżeli masz ochotę.

– Dlaczego nie mogę dostać brandy?

– Dajmy sobie z tym spokój. Posłuchaj, historia z dziewczyną to urojenie; rozumiesz to słowo?

– Zawsze to jest urojenie, kiedy zobaczę coś, czego nie chcesz.

Ogarnęło go poczucie winy podobne do koszmarów sennych, kiedy bywamy oskarżani o zbrodnię, jej popełnienie uznajemy za bezsporne, tymczasem po przebudzeniu uświadamiamy sobie, że żadnej zbrodni nie było. Unikał jej spojrzenia.

– Zostawiłem dzieci z Cyganką w jakiejś budzie. Powinniśmy po nie pójść.

– Myślisz, że kim jesteś? – pytała. – Svengalim?*

Przed kwadransiem stanowili rodzinę. Teraz, kiedy nie bawiąc się w uprzejmość, zapędził ją ramieniem do narożnika, dostrzegł w sobie i dzieciach, we wszystkich, ofiary groźnego wypadku.

– Idziemy do domu.

– Do domu! – krzyknęła przeraźliwie; dziki głos Nicole łamał się z wysiłku, chrypiała. – I co, siądziemy sobie, zacznijemy rozmyślać, że gnijemy, wszyscy próchniejemy, w każdym pudełku, które otworzę, butwieją popioły dzieci, tak? Co za ohyda!

* Svengali – hipnotyzer, postać z powieści *Trilby* George'a du Mauriera, z końca XIX wieku.

Niemal z ulgą dostrzegł, że wybuch ją oczyścił; wrażliwa do trzewi Nicole dostrzegła na twarzy Dicka chłód i zdystansowanie. Jej twarz złagodniała, Nicole zaczęła błagać:

– Pomóż mi, Dick!

Dicka zdławiła fala bólu. Horror; ta piękna wieża nie może ustać prosto, on zaś musi ją podtrzymywać, bo runie. W jakiejś mierze racja, to rola mężczyzn, być dźwigarem i koncepcją, filarem i logarytmem, ale Dick i Nicole stali się jakąś jednością, żadnym przeciwieństwem ani dopełnieniem; Nicole też była Dickiem, niedosytem jego szpiku kości. Dick nie potrafił biernie przyglądać się jej rozpadom, sam w nich uczestniczył. Jego intuicja objawiała się na zewnątrz jako tkliwość i współczucie... Cóż może? Obracć typowo nowoczesny tryb postępowania... Ściągnie z Zurychu pielęgniarkę, żeby czuwała przy Nicole tej nocy.

– Ty możesz mi pomóc.

Słodkie nagabywanie zbijało go z nóg.

– Pomogłeś przedtem, możesz i teraz.

– Mogę tylko pomóc w stary, wypróbowany sposób.

– Ktoś zdoła mi pomóc.

– Możliwe. A najskuteczniej pomożesz sobie sama. Chodź, poszukamy dzieci.

W wesołym miasteczku nie brakowało bud z białym kołem i loterią... W pierwszej stanowczo odprawiono zdumionego Dicka. Nicole trzymała się z dala, stała przy wejściu, patrzyła złym wzrokiem, nie przyznawała się do dzieci, czując wobec nich niechęć, były bowiem częścią rzeczywistego świata, któremu pragnęła odebrać wszelką formę, wszelki kształt. W końcu Dick odnalazł je w otoczeniu gapiącej się wiejskiej dziatwy i gromadki kobiet rozmarzonym wzrokiem chłonących dziewczynkę i chłopca jak cenne przedmioty.

– *Merci, monsieur, ah monsieur est trop généreux. C’était un plaisir, m’sieur, madame. Au revoir, mes petits**.

Ruszyli z powrotem, drażeni palącym uczuciem smutku; samochód aż przysiadł pod ciężarem cierpień i wzajemnych obaw, usta rozczarowanych dzieci wykrzywiły się w podkówkę. Smutek przybrał okropną, mroczną i obcą barwę. Na peryferiach Zug Nicole zdobyła się na spazmatyczny wysiłek i powtórzyła wygłoszoną wcześniej uwagę o żółtym, jakby zamglonym domku odsuniętym nieco od drogi; jej zdaniem przypominał świeże, jeszcze wilgotne malowidło; była to jednak tylko próba złapania liny ratunkowej zbyt szybko śmigającej przed oczami.

Dick próbował odpocząć. Walkę mógł w końcu stoczyć w domu, może będzie musiał długo, długo siedzieć i na nowo porządkować wszechświat Nicole. „Schizophrénie” doczekała się trafnej definicji: rozszczepienie osobowości; Nicole bywała na zmianę osobą, której nic nie trzeba wyjaśniać, bądź osobą, której nie sposób nic wyjaśnić. Wobec Nicole najlepsza była czynna i pozytywna nieustępliwość, kiedy to droga do rzeczywistości musi być stale otwarta, a drogi ucieczki najeżone trudnościami. Jednak w błyskotliwości, wielokształtności i wszechstronności szaleństwa znać związek z zaradnością wody, która umie się przelać przez groblę, górą, dołem czy bokiem. Wymaga to wspólnego frontu ludzi przeciwdziałających wylewowi. Dick miał wrażenie, że tym razem Nicole winna uleczyć się sama; chciał poczekać, aż Nicole przypomni sobie inne napaści i zbuntuje się przeciw nim. Znużony, może dlatego zamierzał odnowić rygory złagodzone przed rokiem.

Skręcił pod górę, w skrót do kliniki. Kiedy docisnął pedał gazu na krótkiej prostej biegnącej zboczem, wóz raptownie skręcił w lewo, potem w prawo, potem przez moment jechał na dwóch kołach, a Dick – któremu Nicole wrzeszczała prosto w ucho – miażdżył w

* Dziękuję panu, och, jest pan zbyt hojny. To była przyjemność, proszę państwa. Do widzenia, maleństwa (fr.).

uścisku jej oszalała rękę zaciśniętą na kierownicy; wóz opadł z powrotem na cztery koła, raz jeszcze gwałtownie zarzucił, wypadł z szosy, przeleciał przez niskie zarośla, raz jeszcze przechylił się i wreszcie, jak na zwolnionym filmie, osiadł bokiem na drzewie.

Dzieci krzyczały, wydzierała się Nicole, miotając przekleństwa, próbowała rozorać twarz Dicka. Wpierw myśląc o przechyle samochodu, nie umiejąc go ocenić, Dick odgiął ramię Nicole, wydostał się z wozu i wyciągnął dzieci; potem ocenił, że auto się nie przewróci. Zanim cokolwiek przedsięwziął, powstał chwilę. Drżał i głośno, głęboko oddychał.

– To ty...! – wykrzyknął.

Śmiała się w głos, bezwstydnie, bez lęku, obojętna. Gdyby ktoś nadszedł, nie domyśliłby się, że to sprawczyni wypadku; zaśmiewała się jak dziecko, które uniknęło błahaego zagrożenia.

– Prawda, że się wystraszyłeś? – rzuciła oskarżenie. – Koniecznie chciałeś żyć!

Mówiła z taką mocą, że Dick – bądź co bądź w szoku – rozważył, czy rzeczywiście lękał się o siebie, ale napięte twarze dzieci, przenoszących spojrzenie z ojca na matkę i z matki na ojca, nie pozostawiały wyboru: musi tę roześmianą, szczerzącą zęby twarz rozgnieść na miazgę.

O pół kilometra w górę serpentynami, a ledwie o sto jardów na wprost usadowił się zajazd; skrzydło budynku prześwitywało przez las na zboczu.

– Weź Topsy za rękę, o tak – zlecił Dick Lanierowi – i idźcie prosto pod górę, widzisz tam tę ścieżynkę? Kiedy dojdziecie do gospody, masz powiedzieć *La voiture de Divers est cassée**. Ktoś musi tu zejść na dół.

* Rozbił się wóz Diverow (fr.).

Lanier, nie do końca pewien, co się stało, podejrzewając jednak najgorsze, zapytał:

– Co teraz zrobisz, Dick?

– Zostaniemy przy wozie.

Ruszając w drogę, żadne z dzieci nie spojrzało na matkę.

– Uważajcie na jezdni! Rozejrzyjcie się w jedną i w drugą stronę! – wykrzyknął Dick na pożegnanie.

Wpatrywali się w siebie, oczy Dicka i Nicole przypominały płonące okna rozdzielone dziedzińcem tego samego domu. Potem Nicole wyjęła puderniczkę, przejrzała się w lusterku i przyglądała włosy na skroni. Dick śledził dzieci wdrapujące się pod górę, aż zniknęły między sosnami w połowie drogi. Obszedł samochód, żeby ocenić szkody, i obmyślał, jak go stąd wyciągnąć. W ziemi wyryty był kręty ślad auta, w sumie ponad sto stóp; Dicka ogarnęło dojmujące, gwałtowne obrzydzenie, w niczym niepodobne do gniewu.

Po kilku minutach zbiegł na dół właściciel zajazdu.

– Mój Boże! – krzyknął. – Jak to się stało? Jechaliście za szybko? Gdyby nie drzewo, stoczylibyście się w przepaść.

Emile – w szerokim czarnym fartuchu, ze strużkami potu w fałdach mięsistej twarzy – był wysłannikiem rzeczywistości, a Dick to wykorzystał; rzeczowo dał znak Nicole, że pomoże jej wydostać się z auta; wyskoczyła zeń na niższą stronę, na stoku straciła równowagę, upadła na kolana, potem wstała. Z coraz bardziej wyzywającą miną przyglądała się mężczyznom usiłującym ruszyć wóz z miejsca. Nawet taki przejaw uczuć ucieszył Dicka.

– Idź tam, poczekaj z dziećmi, Nicole – powiedział.

Dopiero kiedy odeszła, przypomniał sobie, że miała chętkę na koniak, a tam na górze koniak był pod ręką; powiedział więc Emile'owi, że nie ma sensu zawracać sobie głowy autem; trzeba

poczekać na kierowcę i jakiś duży samochód, który wyciągnie renault na drogę. Obaj spiesznie ruszyli do zajazdu.

XVI

– Chcę wyjechać – oznajmił Franzowi. – Na jakiś miesiąc, na ile się da.

– Jasne, Dick, czemu nie? Taka była umowa od początku... To ty się upierałeś, że nie chcesz się stąd ruszać. Ale jeśli razem z Nicole...

– Nie chcę jechać z Nicole. Chcę jechać sam. Ta ostatnia historia dała mi w kość... Jeśli przytrafi mi się pospać dwie godziny na dobę, to cud, jeden z cudów Zwingliego.

– Przydadzą ci się prawdziwe wakaty.

– Franz, masz na myśli „wakacje”. Posłuchaj, dasz sobie radę, jeśli się wybiorę do Berlina na Kongres Psychiatryczny? Od trzech miesięcy jest z nią spokój, polubiła też pielęgniarkę. Mój Boże, jesteś jedynym człowiekiem na świecie, którego mogę prosić o coś takiego.

Franz chrząknął; wdał się w rozważanie, czy naprawdę zawsze zdoła mieć na uwadze interesy partnera.

W tydzień później Dick jechał na lotnisko w Zurychu i wsiadł tam do dużej maszyny lecącej do Monachium. Huczący samolot wzbijał się w błękit, Dick zaś czuł się otępiały; dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Przeniknął go bezbrzeżny spokój; choroby Dick pozostawiał teraz chorym, huk silnikom, nawigacja należała do pilota. Nie miał zamiaru tkwić na żadnej sesji kongresu; doskonale mógł sobie wszystko wyobrazić, nowe broszury Bleulera lub starszego Forela, w które z jeszcze lepszym skutkiem może się wgryzać w domu, mógł sobie też wyobrazić referat tego Amerykanina, który leczy wczesną demencję za pomocą rwania

pacjentom zębów bądź przypalania migdałków, oraz na wpełszyderczy szacunek, z jakim ów pomysł zostanie powitany z tej tylko racji, że Ameryka to taki bogaty i potężny kraj. Inni delegaci z Ameryki, rudy Schwartz o twarzy świętego, z bezgraniczną cierpliwością lawirujący między jednym a drugim światem; no i jeszcze hordy modnych na rynku psychiatrów o szubrawych twarzach, którzy trafią na kongres po części dla podwyższenia pozycji, dzięki czemu w swej przestępczej działalności sięgną po lepsze konfitury, po części zaś, żeby wyuczyć się nowych zawodowych sofizmacików, które dorzucą do repertuaru, przybliżając w ten sposób absolutne pomieszanie wszelkich wartości. Powinni się zjawić cyniczni Latynosi i ktoś z Wiednia od Freuda. Na tym tle jasno się wypowie wielki Jung, łagodny, nieprzeciętnie energiczny, skory do wypadków bądź w dżungłę antropologii, bądź w stronę nerwic chłopców w wieku szkolnym. Wpierw rzuci się w oczy amerykańska obsada kongresu, niemal rotariańskiego, jeżeli chodzi o formę i ceremoniał, potem przebiję się utkana gęściejszym ściegiem europejska witalność, na koniec zaś Amerykanie wyłożą na stół atuty, wiadomość o kolosalnych darowiznach i dotacjach, o wielkich nowych instytutach i klinikach; na widok takich liczb z Europejczyków ujdzie powietrze i odejdą w milczeniu. Lecz Dicka przy tym nie będzie, ani myśli na to patrzeć.

Lecieli nad górskim skrajem Vorarlbergu; wioski, których widokiem się rozkoszował, wprawiły Dickę w bukoliczny nastrój. W zasięgu wzroku było ich zwykle cztery lub pięć, domostwa zawsze skupiały się wokół kościoła. Jakie to proste: patrzeć na ziemię z oddali; proste jak zacięte walki ołowianych żołnierzyków, jak zabawy lalek. W ten sposób patrzą na świat politycy, dowódcy i emeryci. Tak czy owak, dostała mu się szczodra doza ulgi.

Zagadał Anglik z drugiej strony przejścia, ale ostatnio Dick żywił wobec Anglików jakąś niechęć. Anglia przypominała bogacza, który po katastrofalnej orgii podlizuje się domownikom, rozmawia osobno z każdym, aż wreszcie do wszystkich dociera, że chodzi mu

tylko o odzyskanie szacunku, dzięki czemu może samozwańczo sięgnąć po dawną władzę.

Dick nakupił na stacji ilustrowanych magazynów: „The Century” „The Motion Picture” „L’Illustration” i „Fliegende Blatter”, dużo zabawniej było jednak skierować wyobraźnię ku wioskom i uścisk dłoni wymienić z postaciami ze wsi. Przysiadał więc w kościołach, jak siadywał w ojcowskim kościele w Buffalo nasączonym stęchlizną niedzielnych ubrań. Znowś słuchał mądrości z Bliskiego Wschodu, Ukrzyżowan, Umarł i Pogrzebion w pogodnym kościółku, znowś nie mógł się zdecydować, czy położyć na tacy pięć czy dziesięć centów, zważywszy na to, że patrzy dziewczyna siedząca w ławce z tyłu.

Nie wdając się zbytnio w konwersację, Anglik nagle pożyczył od Dicka magazyny. Dick, zadowolony, że facet spływa, zaczął rozmyślać o czekającej go podróży. Wilkiem podszyty, chociaż w australijskich wełnach strzyżonych z długowłosych owiec, zapuścił się w wędrówkę po ziemskich radościach; więc zjawiał się niezniszczalny świat śródziemnomorski z tym słodkawym starym kurzem na drzewach oliwnych, zjawiała się młodziutka chłopka z okolic Savony o twarzy tak zielonej i różowej jak iluminacje w mszale. Mógłby ją wziąć na ręce i porwać przez granicę...

...Tu jednak ją porzucił, bo przecież musi pomknąć ku greckim wyspom, ku nieznanym portom o wodach, w których przeglądają się chmury, ku dziewczynie zagubionej na brzegu, ku księżycowi z popularnych piosenek. Na jakąś część umysłowości Dicka składały się jarmarczne pamiątki z czasów chłopięcych. A mimo to w owych cokolwiek zaśmieconych sklepach Five-and-Ten* zdołał podtrzymać wąty płomyczek myśli.

* Tanie sklepy z różnościami, często w cenie 5 lub 10 centów (przy sile nabywczej dolara z pierwszych dziesięcioleci XX wieku).

XVII

Rej wodził Tommy Barban; był bohaterem. Dick natknął się na niego na monachijskim Marienplatz w kawiarence, w której hazardowy drobiazg gra w kości na „gobelinowych” matach. Powietrze aż gęstniało od polityki i trzaskania kartami.

Tommy przy stole zanosił się koszarowym śmiechem:

– Am-bu-ha-ha-ha! Am-bu-ha-ha-ha!

Z zasady pił niewiele; wolał rywalizować w odwadze, koledzy zawsze trochę się bali Tommy’ego. Niedawno chirurg w Warszawie usunął mu ósmą część czaszki, która pod okryciem włosów teraz się zrastała, zatem najgorszy słabeusz w całej kawiarni mógł jednym trzepnięciem zwiniętej serwetki wyprawić Tommy’ego na drugi świat.

– ...Oto książę Cziliczew – zniszczony pięćdziesięciolatek, Rosjanin o śnieżnobiałych włosach – ...to pan McKibben... oraz pan Hannan.

Ten ostatni był żwawą kulką, składał się głównie z czarnych włosów i oczu, grał klauna i natychmiast zagadnął Dicka:

– Zanim wymienimy uścisk dłoni... Zechce mi pan powiedzieć, co to za hece pan wyczynia z moją ciotką?

– Ależ skąd, ja...

– Chyba pan słyszy, co mówię. I co pan tu robi w Monachium?

– Am-bu-ha-ha-ha! – rżał Tommy.

– Mało panu pańskich ciotek? Czemu nie pajacuje pan z nimi?

Dick roześmiał się, wtedy osobnik zmienił kierunek natarcia.

– Dobrze, dość już gadania o ciotkach. Lecz skąd mam wiedzieć, czy pan tej całej historii nie wyssał z palca? Pan, ktoś całkiem nowy, bo poznaliśmy się niespełna pół godziny temu, częstuje mnie bredniami o pańskich ciotkach. To skąd mam wiedzieć, co pan przede mną ukrywa?

Tommy znów się roześmiał, potem powiedział tonem dobrodusznym, w którym zarazem brzmiała pewność siebie:

– Starczy tego dobrego, Carly. Siadaj, Dick. Jak się masz? Co słychać u Nicole?

Tommy wcale nie przepadał za męskim towarzystwem, niczym nie mogło go natchnąć; pełen swobody i gotów do walki, przypominał rasowego sportowca w głębokiej obronie, który umie znaleźć chwilę wytchnienia, podczas gdy gracz pośledniejszej marki tylko udaje, że wypoczywa, a w istocie nie potrafi się wyzbyć ciągłej, niszczącej nerwowości.

Na twarz Hannana znów wypełzała niechęć, ilekroć spojrzał na Dicka; niezbyt skutecznie spacyfikowany, podszedł do stojącego w pobliżu fortepianu i zagrał parę akordów, raz po raz mruczając:

– Twe ciotki. – A potem na koniec cichnącej frazy: – Wcale nie powiedziałem „ciotki” tylko „gatki”.

– No dobrze, co u ciebie? – raz jeszcze spytał Tommy. – Już nie wydajesz się taki... – szukał słowa – ...taką chodzącą beztroską, ani wymuskany jak kiedyś, wiesz, o czym mówię.

W tych słowach zbyt wyraźnie brzmiała oskarżycielska nuta, wytykanie gasnącej witalności i Dick miał już na końcu języka ripostę. Zamierzał właśnie zrecenzować niesłychane garnitury Tommy’ego i księcia Cziliczewa, skrojone ekstrawagancko i z tak

wzorzystego materiału, że świetnie nadawały się na niedzielną przechadzkę po Beale Street*, jednak wcześniej usłyszał wyjaśnienie.

– Widzę, że pan podziwia nasze stroje – powiedział książę. – Właśnie przyjechaliśmy z Rosji.

– Te garnitury szył w Polsce tamtejszy krawiec dworu – poinformował Tommy. – Ściślej rzecz biorąc, krawiec Piłsudskiego.

– Urządziliście sobie wycieczkę? – spytał Dick.

Wybuchnęli śmiechem, książę z rozmachem klepał Tommy'ego po plecach.

– No właśnie, urządziliśmy sobie wycieczkę. Tak jest, wypad. Z pompą. Wielkim wszechrosyjskim szlakiem.

Dick czekał na jakieś wyjaśnienia. Udzielił ich jednym słowem pan McKibben.

– Uciekli.

– Siedzieliście w rosyjskim więzieniu?

– Ja siedziałem – oświadczył książę Cziliczew; martwe spojrzenie żółtych oczu wbił w Dicka. – Lecz nie w więzieniu, a w ukryciu.

– Trudno się stamtąd wydostać?

– Łatwe to nie jest. Zostawiliśmy na granicy trzech zabitych czerwonogwardzistów. Tommy zostawił dwóch... – Podniósł dwa palce, jak Francuz. – Ja jednego.

– Tego akurat nie pojmuję – powiedział pan McKibben. – Mieli wam za złe, że chcecie ich opuścić?

Hannan odwrócił się od fortepianu i mrugnął.

* Ulica w śródmieściu Memphis, w stanie Tennessee, od XIX wieku stawna z knajp i klubów, gdzie czarni muzycy grali bluesa; dziś nostalgiczna atrakcja turystyczna.

– Mac myśli, że marksista to gość, który chodził do szkoły imienia świętego Marka.

Historia ucieczki wywodziła się z najlepszych tradycji gatunku: oto arystokrata ukrywa się przez dziewięć lat u dawnego służącego i pracuje w państwowej piekarni, natomiast osiemnastoletnia córka arystokraty mieszka w Paryżu i poznaje Tommy'ego Barbana... Słuchając tej opowieści, Dick uznał, że ów zasuszony zabytek z papier mâché nie jest wart życia trzech młodych ludzi. Tymczasem roztrząsano, czy Tommy i Cziliczew się bali.

– Tak, kiedy było mi zimno – powiedział Tommy. – Zawsze się boję, kiedy marznę. Kiedy na wojnie marzłem, zawsze się bałem.

McKibben wstał.

– Muszę już iść. Jutro rano ruszamy samochodem do Innsbrucku z żoną i dziećmi. I z guwernantką.

– Ja też wybieram się jutro do Innsbrucku – powiedział Dick.

– Naprawdę? – wykrzyknął McKibben. – To może z nami? Packard jest duży, a jadą tylko żona z dziećmi, ja... I guwernantka.

– Raczej nie mogę, bo...

– Tak naprawdę, to wcale nie guwernantka – ciągnął McKibben, jakoś żałośnie patrząc na Dicka. – A muszę powiedzieć, że moja żona zna pańską szwagierkę, Baby Warren.

Dick ani myślał wdawać się w ciemno w tę wyprawę.

– Wybieram się z dwoma panami i już jesteśmy umówieni.

– Ooo... – Z McKibbena uszło powietrze. – No cóż, pożegnam się. – Odwiązał od sąsiedniego stolika dwa nader rasowe teriery i wyszedł.

Dick wyobraził sobie packarda, który telepie się do Innsbrucku wypełniony po brzegi McKibbenami, dziećmi, bagażami, szczekającymi psami... I guwernantką.

– W gazecie piszą, że wiedzą, kto go zabił – powiedział Tommy.
– Ale kuzyni nie życzyli sobie rozgłosu, bo rzecz się wydarzyła w melinie*. Co o tym sądzisz?

– Tak się objawia duma rodowa.

Hannan chciał zwrócić na siebie uwagę i głośno zagrał jakiś akord.

– Ta historyjka rzucona na początek nie wybroni się, nie wierzę – powiedział. – Nawet nie licząc Europejczyków, jest parunastu Amerykanów zdolnych dojść do tego, co North.

Dopiero teraz Dick zdał sobie sprawę, że mowa o Abie Norcie.

– Jest tylko pewna różnica: otóż Abe był pierwszy – powiedział Tommy.

– A ja myślę inaczej – upierał się Hannan. – Dlatego miał opinię dobrego muzyka, że tyle pił, a przyjaciele musieli to jakoś usprawiedliwić...

– O co tu chodzi z Northern? Co się stało? W coś się zaplątał?

– Czytałeś dzisiejszego „Heralda”?

– Nie.

– Abe nie żyje. Dał się zatłuc w nowojorskiej norze, gdzie piją na czarno. Zdołał doczołgać się do domu, do Racquet Club, i tam umarł...

– Abe North?

– Jasne, on. Piszą...

– Abe North? – Dick wstał. – Abe North nie żyje?

Hannan odwrócił się do McKibbena.

* Mowa o czasach prohibicji w Ameryce, tym samym o czasach nielegalnych knajp.

– Wcale nie dopełznął do Racquet Club... – powiedział – bo to był Harvard Club. Z pewnością nie należał do Racquet.

– Tak piszą w gazecie – nie ustępował McKibben.

– Pomyłka. Wiem, co mówię.

Dał się zatluc w nowojorskiej norze.

– Bo tak się składa, że znam większość członków Racquet Club – oznajmił Hannan. – Więc to musiał być Harvard Club.

Dick wstał, po nim Tommy. Książę Cziliczew wybudził się z jałowych rozmyślań, kto wie, może ciągle rozważał szansę wydostania się z Rosji, skoro na takich rozważaniach upłynął mu szmat życia i wcale nie było pewne, czy łatwo zdoła się oderwać od tematu; Cziliczew wyszedł wraz z nimi.

Abe North dał się zatluc.

Drogę do hotelu Dick przemierzał jak lunatyk.

– Czekamy, aż krawiec skończy nam szyć parę garniturów – powiedział Tommy – i będziemy mogli ruszyć do Paryża. Zamierzam zająć się giełdą, ale z maklerstwa wyjdą nici, jeśli pokażę się w czymś takim. U ciebie w kraju milionów dorabiają się wszyscy. To prawda, że jutro wyjeżdżasz? Nawet nie zdołamy zjeść razem kolacji. Zdaje się, że książę miał kiedyś w Monachium flame. Teraz zadzwonił, ale się okazało, że dama od pięciu lat nie żyje, więc umówiliśmy się na kolację z jej dwiema córkami.

Książę przytaknął.

– Może da się coś załatwić dla doktora Divera.

– Nie, nie – Dick spiesznie się wymówił.

Z głębokiego snu wyrwał go żałobny pochód pod oknem. Maszerowała długa kolumna złożona z mężczyzn w mundurach i hełmach z 1914 roku, kroczyli tędy jegomości w surdutach i cylindrach, mieszczanie, arystokraci, prości ludzie. Stowarzyszenie

weteranów szło złożyć wieńce na grobach poległych. Kolumna postępowała powoli, dumny krok był zarazem lamentem z powodu utraconej wielkości, daremnych minionych wysiłków, zapominanych już goryczy. Ich twarze okrywał smutek ceremonialny, a pierś Dicka rozrywał ból z powodu śmierci Abe'a i już minionej, odległej o dziesięć lat własnej młodości.

XVIII

Do Innsbrucku przyjechał przed zmierzchem; bagaże wysłał do hotelu, a sam wybrał się do miasta. Refleksy zachodzącego słońca padały na klęczącego i modlącego się cesarza Maksymiliana, który górował na sarkofagu nad oplakującą go odlaną z brązu świtą. Zastopieni w lekturze spacerowali po uniwersyteckim ogrodzie czterej nowicjusze jezuici. Kiedy słońce zniknęło, wydając na pastwę mroku marmurowe pamiątki dawnych oblężeń, zaślubin i rocznic, Dick zjadł kolację: *erbsen-suppe* z kawałeczkami *wurstchen*, wypił cztery pilznery i wymówił się od wspaniałego deseru podawanego pod nazwą *kaiser-schmarren**.

Wprawdzie nad miastem piętrzyły się góry, ale Szwajcaria była daleko. I Nicole była daleko. Kiedy znów spacerował po ogrodzie, było już zupełnie ciemno; rozmyślał teraz o Nicole chłodniej, bardziej bezstronnie, kochał ją za jej najlepszą część, najlepsze „ja”. Przypomniawszy sobie, jak pobiegła do niego po zroszonej trawie i doszczętnie przemoczyła pantofle. Stała na butach Dicka, wtuliła się w niego, jej uniesiona twarz przypominała otwartą książkę.

– Zastanów się, jak mnie kochasz – szepnęła. – Nie proszę, żebyś mnie tak kochał zawsze, lecz żebyś zapamiętał. W głębi mnie zawsze gdzieś będzie ta istota, którą jestem dziś wieczorem.

Dick jednak wyjechał, oddalił się od niej w trosce o siebie i swój stan ducha, a teraz zaczął to rozgryzać. Zagubił się; nie potrafi powiedzieć, o której to się stało godzinie, którego dnia, tygodnia, miesiąca czy roku. Swego czasu pokonywał trudności jak burza, radził sobie z najbardziej skomplikowanymi równaniami jak z najprostszymi przypadkami w klinice. Tymczasem między chwilą, w

* Grochówka z parówkami; cesarskie-byle-co (niem.).

której pod skałą nad Jeziorem Zuryskim spotkał rozkwitającą Nicole, a chwilą, w której poznał Rosemary, ostrze włóczni się stępiło.

Dick żadną miarą nie był zachłanny, a dążenie do pieniędzy zrodził w nim widok ojcowskich starań, by w ubogich parafiach związać koniec z końcem. Lecz sednem sprawy nie była zapewne ta zdrowa myśl o zapewnieniu sobie bezpieczeństwa, Dick nigdy bowiem nie czuł się tak pewnie i tak dalece niezależny jak w czasach, w których ożenił się z Nicole. Mimo to wciągnęło go jak żigolaka, jakimś cudem pozwolił, żeby jego arsenał został zamknięty w skarbcach i sejfach Warrenów.

Trzeba się rozliczyć i zawrzeć ugodę w kontynentalnym stylu; jeszcze nie wszystko przepadło. Zmarnowałem osiem lat, wbijając do głowy bogaczom elementarz przyzwoitości, mimo to nie dałem się, jeszcze nie po mnie. Wciąż mam w ręce za wiele atutów, myślał.

Błąkał się wśród krzaków przekwitłych róż, między rzędami ledwie majających, wilgotnych paproci. Jak na październik było ciepło, ale na tyle zimno, że grubą samodziałową marynarkę musiał szczelnie dopiąć pod szyją elastyczna tasiemką. Od ciemnego zarysu drzewa oderwał się czarny kształt i Dick już wiedział, że to kobieta, którą minął w holu, wychodząc z hotelu. Teraz był zakochany w każdej napotkanej ładnej kobiecie, nawet w widzianej w dali sylwetce, w cieniu na murze.

Stała odwrócona plecami, zapatrzona w światła miasta. Musiała usłyszeć, że potarł zapalką pudełko, mimo to nadal stała nieruchomo.

...Rodzaj zaproszenia? Sygnał obojętności? Tak długo przebywał poza światem prostych pragnień i ich zaspokajania, że czuł się tu nieswojo, niepewny siebie. Istnieje zapewne kod, dzięki któremu wędrowcy w uzdrowiskach mogą po ciemku szybko się odszukać.

...Może kolejny ruch należy do niego? Nieznające się dzieci powinny uśmiechnąć się do siebie i powiedzieć: „Pobawmy się”

Podszedł bliżej, ale cień się odsunął. Może Dickowi się oberwie, zostanie zwymyślany, jak ci szubrawi komiwojażerowie, o których słyszał za młodu. W zetknięciu z czymś niezbadanym, nierozgryzionym, niezanalizowanym i nieobliczalnym serce waliło mu jak młotem. Nagle obrócił się, w tej samej chwili obróciła się dziewczyna, rujnując czarny fresk, którego była częścią obok zarysu liści; obeszła ławkę i stanowczym, chociaż niespiesznym krokiem ruszyła z powrotem do hotelu.

Nazajutrz rano Dick wybrał się na Birgkkarspitze z przewodnikiem i dwoma jeszcze partnerami. Tam w górze, nad kołataniem krowich dzwonek na najwyższych pastwiskach poczuli się wspaniale; Dick już się cieszył na nocleg w szałasie, zmęczenie przyniosło mu radość, cieszyło poddanie się pod komendę przewodnika, rozkoszował się anonimowością. Ale w południe pogoda się zmieniła, wycieczkę dopadł śnieg z deszczem, potem grad, z hukiem przetaczała się górską burza. Dick i jeszcze jeden z turystów chcieli iść dalej, ale przewodnik się nie zgodził. Z żalem zeszli do Innsbrucku, żeby następnego dnia wybrać się na nowo.

Po obiedzie w opustoszałej jadalni i butelce ciężkiego miejscowego wina Dick bez powodu czuł jakieś podniecenie, wreszcie przypomniał sobie ogród. Przed kolacją znów minął tę dziewczynę w holu. Tym razem spojrzała na niego nie bez zachęty, mimo to Dicka wciąż nękało pytanie: dlaczego? Skoro kiedyś mogłem mieć na skinienie tyle ładnych kobiet, dlaczego miałbym to teraz zacząć? Z sobowtorem, ledwie ułamkiem tego, czego pożądam? Dlaczego?

Wyobraźnia Dicka nabierała rozpędu; górą była dawna asceza, w istocie wyobcowanie: Mój Boże, przecież mógłbym wyskoczyć teraz na Riwierę i przespać się z Janice Caricamento lub z tą dziewczyną, Wilburhazy. Ale zdeprecjonować te wszystkie lata taką łatwizną?

Wciąż podekscytowany, zawrócił na werandzie i na dalszy ciąg rozmyślań ruszył do pokoju na górę. Samotność doznawana duszą i ciałem rodzi większą samotność, a większa samotność rodzi jeszcze większą.

Na górze krążył po pokoju zamyślony i rozkładał mokry ubiór górski na ledwie ciepłym kaloryferze. Znowu się natknął na telegram od Nicole, nadal nierozpieczętowany; jej depesze towarzyszyły mu każdego dnia podróży. Przed kolacją odwłókł otwarcie telegramu, może z uwagi na ogród. Był to jednak telegram z Buffalo, przeadresowany w Zurychu.

Pański ojciec zmarł w spokoju tej nocy.

Holmes

Poczuł bolesny kurcz, który przetoczył się przez lędźwie i żołądek do gardła. Zebrał siły, żeby przyjąć cios.

Jeszcze raz przeczytał depeszę. Usiadł na łóżku, głośno dysząc i wpatrując się w papier. Wpierw przemknęły mu przez głowę samolubne myśli zakorzenione w dzieciństwie, a wyzwalane przez śmierć któregoś z rodziców: co teraz ze mną będzie, jak dotknie mnie fakt, że oto nie ma już najdawniejszej w życiu i najmocniejszej ochrony?

Atawistyczny niepokój pierzchł, Dick nadal krążył po pokoju, co pewien czas przystawał i spoglądał na telegram. Formalnie rzecz biorąc, Holmes wciąż był wikarym u ojca, ale w istocie zarządzał parafią od dziesięciu lat. Na co ojciec umarł? Ze starości? Miał siedemdziesiąt pięć lat. Pożył sobie.

Na myśl, że umarł samotnie, Dicka ogarnął smutek; ojciec przeżył żonę, braci i siostry; w Wirginii żyli jeszcze kuzyni, zbyt biedni, żeby się wybrać na Północ, dlatego pod depeszą musiał

podpisać się Holmes. Dick kochał ojca; swe sądy stale przymierzał do tego, co ojciec by pomyślał lub zrobił w tej czy innej sprawie. Dick się urodził w kilka miesięcy po śmierci dwóch młodziutkich siostr, a ojciec – przeczuwając, jak to się musi odcisnąć na matce – zadbał, żeby Dicka nie rozpieścić, i stał się jego przewodnikiem duchowym. Był już człowiekiem znużonym, lecz zdobył się na ten wysiłek.

Latem ojciec z synem szli do śródmieścia wyczyścić buty; Dick w wykrochmalonym płóciennym marynarskim ubranku, ojciec w zawsze nienagannie uszytym stroju pastora, bardzo dumny z urodziwego syna. Wiedzą o życiu sumiennie dzielił się z Dickiem, może niewiele tego było, chodziło o proste rzeczy, ale rzetelnie sprawdzone, o podpowiedzi, jak postępować, wysnute z doświadczeń duchownego. „Świeżo wyświęcony, w obcej miejscowości, wszedłem pewnego razu do zatłoczonego pomieszczenia i nie mogłem się zorientować, kto jest gospodarzem. Podeszli do mnie ludzie, których już poznałem, ale zignorowałem ich, bo wcześniej dostrzegłem siwowłosą kobietę siedzącą pod oknem w drugim końcu pomieszczenia. Podeszedłem do niej i przedstawiłem się. I tak przysporzyłem sobie przyjaciół w mieście”.

Przysparzał ich sobie z dobrego serca; ojciec świetnie wiedział, kim jest, nieobca mu była głęboka duma, dar dwóch wdów, które go wychowały w przekonaniu, że nic nie przewyższy „dobrych skłonności” honoru, kurtuazji i odwagi.

Zawsze uważał, że skromny majątek żony należy do syna, więc w college’u i akademii medycznej Dick cztery razy do roku otrzymywał czek. Ojciec należał do ludzi, o których mawia się stanowczo, z samozadowoleniem, tonem właściwym wiekowi błyskotek: „kawał dżentelmena, ale za grosz siły przebicia”.

Dick posłał po gazetę.

Na biurku wciąż leżał otwarty telegram, a Dick, krążąc po pokoju, wyszukał statek do Ameryki, potem zamówił Zurych,

czekając zaś na rozmowę z Nicole, wiele sobie przypomniał i zapragnął być zawsze taki dobry, jak niegdyś sobie przyrzekał.

XIX

Głęboko przejętemu śmiercią ojca Dickowi port nowojorski, bajeczny fronton ojczyzny, wydawał się przez godzinę tyleż pomnikowy, ile smutny, lecz już na brzegu wrażenie natychmiast pierzchnęło, nie odżyło też na ulicach ani w hotelach, ani pociągach, które powiozły Dicka wpierw do Buffalo, a potem – już z ciałem ojca – na południe, do Wirginii. Tylko raz, kiedy lokalny pociąg włókł się przez pokryte niskopiennym lasem gliniaste okolice hrabstwa Westmoreland, Dick jeszcze raz poczuł więź z tym otoczeniem; na niebie nad stacją znów rozpoznał tę samą co kiedyś gwiazdę, a zimna tarcza księżycy lśniła nad zatoką Chesapeake; koła powozików zgrzytały na zakrętach, z ciemności dobiegały strzępy zdań uroczych i niemądrych, słyszał szmer starych, łagodnych i leniwych rzek o miękko brzmiących indiańskich nazwach.

Nazajutrz ojciec Dicka spoczął na przykościelnym cmentarzu, pośród setki Diverów, Dorseyów i Hunterów. Zaznał życzliwości losu, pozostawiony tu z wianuszkiem krewnych i powinowatych. Kwiaty okryły brunatną, nieosiadłą ziemię. Dicka już nic nie wiązało z tymi stronami, przypuszczał, że już tu nigdy nie wróci. Klęczał na twardej ziemi. Cóż, znał tych wszystkich zmarłych, widział ich rozumne, niebieskie oczy i twarze chłostane deszczem, śniegiem, palone słońcem, ścinane mrozem; widział ich szczupłe ciała skore do przemocy, dusze ukształtowane na nowej ziemi, w mrocznych leśnych gąszczach siedemnastego stulecia.

– Żegnaj, mój ojcze; żegnajcie, wszyscy moi ojcowie.

Nabrzeże liniowców pod długim dachem; tu człowiek wkracza w krainę pomiędzy, już nie tu, jeszcze nie tam. Mgiełka, kotłowanina

okrzyków pod żółtym sklepieniem, warkot ciężarówek, stuk kufrów, zwał bagaży, piskliwe pogawędki dźwigów, pierwsze słone powiewy znad morza. Tu człowiek wpada w pośpiech, nawet jeżeli nie brak mu czasu. Przeszłość, kontynent, są już za plecami; przyszłość to rozświetlona paszcza w burcie statku. Mroczny i chybotliwy pomost to nazbyt mętna terażniejszość.

Trapem pod górę i oto wyobrażenie świata zawęży się, dopasuje do ram. Człowiek staje się członkiem wspólnoty nie większej niż Andora, niepewny wszystkiego. Ludzie przy biurku intendenta wydają się równie dziwni jak kabiny; z oczu podróżnych i ich przyjaciół wyziera lekceważenie. Potem żaloszny, głośny świst, jeden, drugi, następny, uroczyste wzbieranie wibracji i wreszcie statek – ten twór wyobraźni ludzi – odpływa. Twarze na pirsie suną, a statek wydaje się przez chwilę odłupaną przypadkiem częścią nabrzeża; potem twarze stają się odległe, nieme, nabrzeże przemienia się w jedną z wielu plam na skraju wody. Port szybko pogrąża się w morzu.

Tym samym rejsem płynął Albert McKisco, uznany przez gazety za najcenniejszy ładunek statku. Wchodził w modę. Powieści McKisco były pastiszami dzieł najlepszych ówczesnych pisarzy, sam w sobie wyczyn godny uznania, ponadto McKisco umiał z talentem umniejszyć to, co zapożyczył, wrywać temu kły, nic więc dziwnego, że rzeszę czytelników pociągała łatwość, z jaką podążają za autorem. Sukces odmienił go na korzyść, McKisco nabrał pokory. Nie łudził się co do swych możliwości; wiedział, że nad wieloma ludźmi o świetniejszych zdolnościach góruje tylko witalnością; uznał jednak, że zdobytym powodzeniem trzeba się cieszyć.

– Nic jeszcze nie zrobiłem – mawiał. – Nie sądzę, żebym był obdarzony prawdziwym geniuszem. Lecz jeśli się postaram i nie ustane, mogę napisać dobrą książkę.

Pięknie skoczyć można i z podlejszych trampolin. W zapomnienie poszły niezliczone upokorzenia z przeszłości. W gruncie rzeczy psychologicznym podłożem sukcesu McKisco był pojedynek z Tom-

mym Barbanem; poprzez to wydarzenie – i w miarę zacierania się wspomnień – McKisco na nowo nabierał szacunku do siebie.

W drugim dniu rejsu zauważył Dicka Divera, przyglądał mu się z wahaniem, potem przyjaźnie przedstawił się i usiadł. Dick odłożył lekturę; przemianę dostrzegł szybko, McKisco wyzbył się bowiem irytującego poczucia niższości i już po paru minutach Dick poczuł, że rozmowa sprawia mu przyjemność. Zakresem zagadnień, co do których był „nieźle zorientowany” McKisco przewyższał Goethego; zajmujące było słuchanie niezliczonych gładkich kompilacji, które uważał za własne poglądy. Dick odnowił znajomość i jadł z nimi parę razy. Państwo McKisco otrzymali zaproszenie do kapitańskiego stołu, lecz tu odezwał się snobizm świeżej daty; powiedzieli Dickowi, że „nie mogą znieść tej zgrai”.

Violet teraz błyszczała, wystrojona w salonach *haute couture*, zachwycona drobnymi odkryciami, których dziewczynki z bardzo dobrych domów dokonują jako podlotki. Rzecz jasna, mogła się tego wszystkiego dowiedzieć od matki w Boise, ale duchowa formacja pani McKisco dokonywała się, niestety, w salkach kinowych Idaho i dziewczyna nie miała wtedy czasu dla matki. Teraz, szczęśliwa, była „kimś z towarzystwa” – z paroma milionami innych – aczkolwiek mąż wciąż na nią fukał, kiedy dawała jakiś namiętny popis naiwności.

Państwo McKisco zeszli na ląd w Gibraltarze. Nazajutrz wieczorem w Neapolu Dick zabrał do autobusu jadącego z hotelu na dworzec jakąś zagubioną i nieszczęsną rodzinę, dwie dziewczyny i matkę. Zauważył je wcześniej na statku. Zawładnęło nim pragnienie pomagania bądź wzbudzenia podziwu; Dick odgrywał przed nimi scenki z radosnego widowiska, na początek kupił wino i z przyjemnością obserwował, jak zaczynają w sobie odtwarzać należyte dawki egotyzmu. Wmawiał im, że są tym lub owym, stawał się więźniem odgrywanej roli, za wiele pił, żeby podtrzymać miraż, kobiety zaś wciąż w nim widziały wysłannika niebios. Zostawił je w przedziale z nadejściem przedświt, kiedy pociąg trząsł się i sapał

nieopodal Cassino i Frosinone. Po dziwacznej scenie, jaką są rozstania Amerykanów na rzymskim dworcu, Dick pojechał do hotelu Quirinale, sumiennie zmordowany.

Przy recepcyjnej ladzie uniósł nagle głowę i zmarł. Jakby to była sprawka wina, które jeszcze raz dobrało się do niego, rozgrzało nabłonek żołądka i pchnęło do mózgu falę krwi – oto Dick miał przed sobą tę, którą przyjechał zobaczyć i dla której odbył ten rejs przez Morze Śródziemne.

Rosemary dostrzegła Dicka w tej samej chwili. Zanim go umiejscowiła, przeczuła jego obecność; odwróciła się zaskoczona i pomknęła ku niemu, zostawiając towarzyszkę. Z zapartym tchem, prosty jak świeca Dick obrócił się. Na widok przemierzającej hol Rosemary serce skoczyło mu do gardła – była teraz piękną skończeniem zadbaną, jak młody koń dokarmiany oliwą, z lakierem na kopytach. Wszystko rozgrywało się tak szybko, że Dicka stać było tylko na względnie staranne ukrycie zmęczenia, nic więcej. Spojrzenie ufnych i rozgwieżdżonych oczu Rosemary skwitował odegraniem obłudnej pantomimy „No proszę, akurat tutaj cię widzę; ni mniej, ni więcej, tylko ciebie”.

Dłonie Rosemary w rękawiczkach objęły dłonie Dicka na ladzie.

– Dick, kręcimy teraz *Świetność zwaną Rzymem*, przynajmniej tak się nam zdaje, bo lada dzień może się okazać, że już po filmie.

Wpatrywał się w nią uważnie, próbował ją trochę onieśmielić w nadziei, że Rosemary nie przyjrzy się zbyt wnikliwie jego nieogolonej twarzy ani kołnierzykowi wygniecionemu w całonocnej podróży. Na szczęście śpieszyła się.

– Wcześniej zaczynamy, bo o jedenastej podnosi się mgła. Zadzwoń o drugiej.

W pokoju Dick ochłonał. Zamówił budzenie w południe, rozebrał się i zasnął kamiennym snem.

Przespał budzenie; wstając o drugiej, czuł się wypoczęty. Rozpakował walizę, garnitury posłał do czyszczenia, bieliznę do prania. Ogolił się, pozwolił sobie na półgodzinną kąpiel, potem zjadł śniadanie. Słońce wtargnęło w *via Nazionale*, Dick wpuścił je do pokoju, a rozsuwaniu zasłon towarzyszył brzęk starych mosiężnych kółek. Czekając na wyprasowany garnitur, wyczytał w „*Corriere della Sera*” że *una novella di Sinclair Lewis „Wall Street” nella quale autore analizza la vita sociale di una piccola città Americana**. Potem spróbował pomyśleć o Rosemary.

Wpierw nic mu nie przychodziło do głowy. Młoda i czarująca; lecz można to samo powiedzieć o Topsy. Przypuszczał, że w ciągu tych czterech ostatnich lat miała już kochanków, traciła dla nich głowę. Cóż, nigdy nie wiadomo, ile miejsca zajmiemy w czyimś życiu. Dopiero zza takich mgieł zaczęło się wyłaniać uczucie Dicka; najlepsze związki to te, w których człowiek zdaje sobie sprawę z przeszkód, a mimo to chce związek zachować. Powróciła przeszłość; Dick pragnął ocalić tak wiele mówiące oddanie Rosemary, przechować w drogocennej powłoce, zawrzeć je w sobie, by nie stało się czyimś udziałem. Próbował zebrać wszystko, co może ją pociągać, i było tego mniej niż przed czterema laty. Osiemnastolatka patrzy na trzydziestoczterolatka oczami przesłoniętymi mgiełką z czasów dorastania; ale dwudziestodwuletnia kobieta patrzy na trzydziestoośmiolatka inaczej, okiem wytrawnym i trzeźwym. Co więcej, poprzednio Dick był u szczytu możliwości emocjonalnych; teraz jego entuzjazm zaczynał niedomagać.

Zjawił się boy; Dick włożył białą koszulę, przypiął kołnierzyk, w czarny krawat wpiął perłę, a tasiemkę binokli przewlókł przez inną,

* „W powieści *Wall Street* jej autor, Sinclair Lewis, analizuje życie społeczne amerykańskiego miasteczka” (wł.).

W rzeczywistości ciesząca się podówczas kolosalnym powodzeniem powieść amerykańskiego noblisty nosi tytuł *Main Street*. Fitzgerald pokpiwa tu z europejskiej nieznajomości Ameryki; popularna nazwa „*Main Street*” (Ulica Główna) symbolizuje małe miasteczko, „*Wall Street*”- przeciwnie – to synonim elit finansowych.

podobną, kołyszącą się o cal niżej od tamtej. Sen sprawił, że na twarz Dicka powrócił czerstwy brąz, pamiątka letnich sezonów na Riwierze. Dla rozgrzewki Dick zrobił na krześle stójkę na rękach; z kieszonek wypadły monety i wieczne pióro. O trzeciej zadzwonił, a Rosemary zaprosiła go zaraz do siebie. Nieco zamroczony akrobacjami wpadł jeszcze do baru na dżin z tonikiem.

– Cześć, doktorze Diver!

Tylko dlatego, że w hotelu mieszkała Rosemary, Dick zdołał rozpoznać Collisa Claya, który po dawnemu zachował pewność siebie i obnosił klimaty sukcesu, natomiast zaskakująco szybko postarał się o tęgie, obwisłe policzki.

– Wie pan, że tu się zatrzymała Rosemary? – spytał.

– Przypadkiem ją spotkałem,

– A ja usłyszałem o niej we Florencji, więc w zeszłym tygodniu przyjechałem do Rzymu. Nie pozna pan maminej córeczki. Chcę powiedzieć – poprawił się – że była taką troskliwie wychowywaną dziewczyną, a teraz, proszę, kobieta światowa, wie pan, o co chodzi. Słowo daję, tych chłopców z Rzymu owinęła sobie wokół palca! I to jak!

– Studiuje pan we Florencji?

– Czy studiuję? Jasne, architekturę. W niedzielę wracam; poczekam jeszcze na wyścigi.

Barowy rachunek Collisa wyglądał jak raport z giełdy; Dick z trudem powstrzymał chłopaka od dopisania tam jego dżinu z tonikiem.

XX

Po wyjściu z windy Dick wędrował krętym korytarzem, w końcu przywabił go odległy głos zza oświetlonych drzwi. Rosemary siedziała w czarnej piżamie i piła kawę; z pokoju jeszcze nie zabrano stolika pod lunch.

– Wciąż piękna – powiedział. – I coraz piękniejsza.

– Nalać ci kawy, młodzieńcze?

– Przepraszam za mało reprezentacyjny wygląd rankiem.

– Rzeczywiście, nie wyglądałaś najlepiej. A teraz jak, w porządku? I co z kawą?

– Dziękuję, nie.

– Znów zjawiskowy, bo rano już się wystraszyłam. W przyszłym miesiącu przyjeżdża mama, jeśli ekipa wytrwa. Matka zawsze mnie pyta, czy może cię spotkałam, jakby myślała, że mieszkamy drzwi w drzwi. Zawsze cię lubiła; miała wrażenie, że zaliczasz się do osób, które powinnam w życiu spotkać.

– Cieszę się, że mnie pamięta.

– Pamięta – zapewniła Rosemary. – Sporo o tobie myśli.

– Widziałem cię na ekranie to tu, to tam. Pewnego razu zamówiłem seans *Pupilki tatusia* tylko dla siebie!

– Teraz mam niezłą rolę, jeżeli jej nie potną.

Przeszła za plecami Dicka i wtedy dotknęła jego ramienia. Poprosiła przez telefon, żeby zabrano stół, i usadowiła się w fotelu.

– Kiedy poznałam cię, Dick, byłam dziewczynką. Dziś jestem kobietą.

- Chcę się o tobie dowiedzieć wszystkiego.
- Jak się ma Nicole... Jak Lanier? I Topsy?
- Świetnie. Często o tobie mówią.

Zadzwonił telefon. Kiedy Rosemary rozmawiała, Dick przerzucił dwie powieści, wpieryw Edny Ferber, potem Alberta McKisco. Zjawił się kelner po stolik. W ogołoconym z mebelka pokoju Rosemary w tej czarnej piżamie wydawała się jeszcze bardziej samotna.

- ...Mam gościa... Nie, nie za bardzo. Wychodzę do krawcowej na dłuższą przymiarkę... Nie, nie teraz...

Po zabraniu stolika Rosemary poczuła się chyba swobodniej; obdarzyła Dicka uśmiechem, który powiadał, że oboje pozbyli się teraz wszelkich kłopotów, całego ciężaru świata i zaznają spokoju we własnym niebie.

- No i już - powiedziała. - Wiesz, że na twoje przyście szykowałam się całą godzinę?

Lecz znowu odezwał się telefon. Dick wstał i przełożył swój kapelusz z łóżka na stojak na walizy, tymczasem spłoszona Rosemary zasłoniła ręką słuchawkę.

- Chyba nie wychodzisz?
- Nie.

Rozmowa dobiegła końca, a Dick spróbował popchnąć dalej to popołudnie.

- Mam nadzieje, że ktoś mnie teraz trochę dowartościuje.
- Ja też - powiedziała Rosemary. - Człowiek, który dzwonił przed chwilą, kiedyś poznał mojego dalekiego kuzyna. W głowie się nie mieści, żeby telefonować z tego powodu!

Teraz ściemniła światła, z myślą o miłości. Bo w przeciwnym razie nie pozbawiałaby Dicka swego widoku. Słał teraz do niej słowa jak listy, musiała upłynąć chwila, zanim dotrą do celu.

– Trudno przy tobie wysiedzieć bez pocałunku.

I zaraz potem całowali się namiętnie na środku pokoju. Rosemary przywarła do niego, potem wróciła na fotel.

Na tym nie mogło się skończyć, na miłej chwili. Albo-albo, krok naprzód lub odwrót. Kiedy znowu rozdzwonił się telefon, Dick przeszedł do sypialni, położył się na łóżku i otworzył powieść Alberta McKisco. Po chwili weszła Rosemary i usiadła przy nim.

– Masz takie długie rzęsy – powiedziała.

– Witamy na balu trzeciego roku, wśród obecnych są panna Rosemary Hoyt, miłośniczka rzęs...

Pocałowała go, Dick przyciągnął ją, leżeli obok siebie i całowali się w uniesieniu. Oddech Rosemary był samą młodością, żarem, podnieceniem. W kącikach lekko spękanych warg kryła się miękkość.

Kiedy wciąż jeszcze stanowili płataninę rąk, nóg, ubrań, kiedy Rosemary starała się dosięgnąć ramion i barków Dicka, a on jej szyi i piersi, szepnęła:

– Nie, nie teraz; te sprawy się rządzą swoim rytmem.

Nawykły do rygorów zdławił namiętność, zapędził w zakamarki świadomości; uniósł lekko Rosemary, aż zawisła nad nim, a czując w ramionach jej kruchość, powiedział łagodnie:

– Nie szkodzi, kochana.

Spojrzenie Dicka sprawiło, że twarz Rosemary zmieniła się, emanowała z niej odwieczna poświata księżyca.

– Gdyby to padło na ciebie, powiedziałabym, że tak wygląda sprawiedliwość poezji – usłyszał. Wyślizgnęła się z objęć, podeszła do

lustra i strzepnięciami dłoni porządkowała włosy. Potem przysunęła krzesło do łóżka i pogłaskała go po policzku.

– Powiedz mi o sobie prawdę – Dick chciał wyjaśnić.

– Zawsze mówię.

– Do pewnego stopnia... tylko że nic do niczego nie pasuje.

Roześmiali się oboje, lecz Dick nalegał:

– Jesteś jeszcze dziewicą?

– Nie-e-e-e-e. – Zabrzmiało to jak śpiew. – Przespałam się z sześciuset czterdziestoma mężczyznami; skoro już czekasz na taką odpowiedź.

– Nie moja sprawa.

– Chcesz mnie rozpracować jako przypadek psychologiczny?

– Skoro wyglądasz na absolutnie normalną dwudziestodwulatkę z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego, to powinnaś zaliczyć parę ujęć miłosnych.

– Wszystko to było takie... niewydarzone – powiedziała.

Dick nie uwierzył. Nie był też pewien, czy Rosemary z premedytacją wznosi barierę między nimi, czy też zamierza dodać wagi końcowemu poddaniu się.

– Chodźmy na spacer na Pincio – zaproponował.

Przyglądził ubranie i doprowadził do porządku fryzurę. Chwila nadeszła, a potem pierzchła.

Dick przez trzy lata był ideałem, do którego Rosemary przyrównywała innych mężczyzn, więc jego postać rosła w jej oczach aż po wymiar mityczny. Nie chciała, żeby przypominał innych, mimo to pojawiły się te dobrze znane, naglące wymagania, jakby jakąś cząstkę Rosemary chciał sobie zabrać i wynieść w kieszeni.

Spacerowali po zielonej murawie, wśród cherubów i filozofów, faunów i wodnych kaskad; Rosemary ciasno ujęła Dicka pod ramię, wwierciała się tam, mościła coraz staranniej, jak najdoskonalej, jakby miała się w tym miejscu zagnieździć na zawsze. Podniosła gałązkę i przełamała; zeschniętej gałązce brakło sprężystości. Nagle na twarzy Dicka dostrzegła to, czego pragnęła, ujęła jego dłoń w rękawiczce i pocałowała. Potem zaczęła harcować jak dziecko, twarz Dicka rozjaśniła się, a wtedy Rosemary roześmiała się głośno i oto oboje poczuli, jak im dobrze ze sobą.

– Nie możemy wyjść razem wieczorem, kochanie, bo już dawno temu umówiłam się z ludźmi. Lecz jeśli wcześniej wstaniesz, rano zabiorę cię na plan.

Kolację zjadł w hotelu sam, wcześniej położył się spać, a rano o wpół do siódmej spotkał się z Rosemary w holu. Siedząca przy nim w samochodzie promieniała, świeża, odrodzona w porannym słońcu. Jechali przez Porta San Sebastiano, potem via Appia, wreszcie dotarli do ogromnych dekoracji przedstawiających forum, większych niż samo forum. Opiekę nad Dickiem Rosemary powierzyła mężczyźnie, który pokazał mu elementy dekoracji: łuki, rzędy siedzisk, pokrytą piaskiem arenę. Rosemary szykowała się do zdjęć w więzieniu dla chrześcijan; Dick z opiekunem podeszli bliżej i przyglądali się, jak Nicotera, jeden z obiecujących naśladowców Rudolfa Valentino, puszy się i kroczy majestatycznie przed kilkunastoma „niewolnicami” o melancholijnym wejrzeniu i oczach lśniących od tuszu.

Rosemary zjawiała się w tunice do kolan.

– Przyjrzyj się temu – szepnęła Dickowi. – Chcę wiedzieć, jak ci się spodoba. Wszyscy, którzy widzieli materiał, mówią, że...

– Jaki „materiał”?

– To, co nakrecono dzień wcześniej. Więc mówią, że to pierwszy kawałek, w którym znać po mnie seksapil.

– Nie zauważyłem.

– I nie trzeba! Ale go mam.

Nicotera w lamparczej skórce skupił się na rozmowie z Rosemary, tymczasem szef oświetlenia coś uzgadniał z reżyserem, niemal się na nim kładąc. W końcu reżyser odepchnął bez ceregieli ramię oświetleniowca, otarł spocone czoło, a przewodnik Dicka zauważył:

– Gość jest znowu na cyku, i to jakim!

– Kto? – spytał Dick, lecz zanim usłyszał odpowiedź, reżyser już stał przy nich.

– Kto jest na cyku? Sam jesteś podcięty. Kiedy się urznie – tę część gwałtownej przemowy skierował do Dicka jak do jurora – zawsze myśli, że to inni nie mogą ustać na nogach, bo są na cyku, i to jakim! – Wpatrywał się przez chwilę w przewodnika, potem klasnął w dłonie. – W porządku, wszyscy na plan.

Dick przyglądał się temu jak gość wielkiej, poruszonej rodziny; jakaś aktorka podeszła do niego i przez pięć minut coś opowiadała, przekonana, że Dick to aktor przybyły właśnie z Londynu. Po odkryciu pomyłki umknęła w popłochu. Większość tego bractwa odczuwała rażące poczucie wyższości bądź – przeciwnie – niższości wobec pozafilmowego świata, przeważało jednak to pierwsze. Śmiali i pracownicy, zostali wyniesieni tak wysoko, ich naród bowiem od dziesięciu lat chciał się tylko bawić.

Plan zasnęła mgiełka i zdjęcia zakończono; teraz to było światło malarzy, lecz nie kamery, i nie wytrzymało porównania z przejrzystym powietrzem Kalifornii. Nicotera odprowadził Rosemary do samochodu, szepnął coś do niej, ona zaś spojrzała na niego bez uśmiechu i pożegnała się.

Rosemary i Dick zjedli lunch w Castelli dei Caesari, wspaniałej restauracji, z której wyniosłych tarasów rozpościerał się widok na

niszczące od niepamiętnych czasów ruiny forum. Rosemary wypila koktajl i odrobinę wina, Dick zaś tyle, że opuściło go uczucie niezadowolenia. Potem pojechali do hotelu, promienni i szczęśliwi, w stanie pełnego spokoju uniesienia. Chciała, żeby ją wziął, i wziął ją; i oto coś, co się zaczęło od dzieciennego zauroczenia na plaży, nareszcie się spełniło.

XXI

Wieczorem Rosemary znów była zaproszona, tym razem na przyjęcie urodzinowe kogoś z ekipy. Dick natknął się w holu na Collisa Claya, kolację chciał jednak zjeść sam, więc wykręcił się rzekomym spotkaniem w Excelsiorze. Wypił z Collisem koktajl; niejasne rozczarowanie ustępowało miejsca niecierpliwości, czekała klinika, pretekst do wagarów zniknął. W tym, co zaszło, mniej było zauroczenia, więcej romantycznych wspomnień. Jego dziewczyną jest Nicole – serce krwawiło mu przez nią zbyt często, mimo to jest jego dziewczyną. Pobłąża sobie, spędzając czas z Rosemary, a czas z Collisem to było dodawanie zera do zera.

W drzwiach Excelsiora wpadł na Baby Warren. Podobne do dwóch kawałków marmuru wielkie i piękne oczy Baby wpatrywały się w niego ciekawie, wręcz ze zdumieniem.

– Dick! Myślałam, że jesteś w Ameryce. Nicole jest z tobą?

– Wróciłem przez Neapol.

Dzięki czarnej opasce na ramieniu Dicka Baby przypomniała sobie, co powiedzieć.

– Tak mi było przykro, kiedy się dowiedziałam o twoich kłopotach.

Wspólna kolacja była nieunikniona.

– Opowiedz wszystko – poprosiła.

Dick oględnie przedstawił fakty, Baby zmarszczyła brwi. Uznała, że za katastrofę, która dotknęła jej siostrę, trzeba stanowczo kogoś obwinić.

– Jak myślisz, czy doktor Dohmler stosował od początku właściwą metodę?

– Przy tego rodzaju kuracji nie ma wielkiego wyboru. Rzecz jasna, lepiej, kiedy konkretny przypadek trafi pod opiekę odpowiedniej osobowości.

– Ani myślę udawać, że mogę ci radzić, Dick, ani że chociaż trochę znam się na tym, ale zastanów się, może Nicole dobrze zrobi jakaś zmiana; gdyby się uwolniła od tej atmosfery chorób, żyła w normalnym świecie, jak inni?

– Przecież to ciebie pociągała myśl o klinice – przypomniał Dick. – Powiedziałaś, że nigdy nie poczujesz się całkiem pewnie, jeżeli Nicole...

– Ale wtedy prowadziłaś to pustelnicze życie na Riwierze, na wzgórzu, z dala od ludzi. Nie o to mi chodzi, żeby do tego wracać. Nie. Ale weźmy na przykład Londyn. Anglicy są najbardziej zrównoważoną rasą pod słońcem.

– Nic podobnego – zaprzeczył.

– Właśnie, że są. Bo widzisz, ja ich znam. Pomyślałam, że byłoby wam bardzo miło, gdybyście w Londynie wynajęli dom, pomieszkali tam wiosną. Znam idealny domek do wynajęcia przy Talbot Square, umeblowany. Żylibyście wśród dorzecznych, zrównoważonych Anglików...

Zapewne Baby zaczęłyby wciskać te wszystkie propagandowe historyjki z 1914 roku, lecz Dick roześmiał się głośno i powiedział:

– Czytałem książkę Michaela Arlena* i jeśli to jest...

* Michael Arlen (1895-1956) – angielski pisarz ormiańskiego pochodzenia, niezwykle popularny w latach dwudziestych XX wieku, także w Polsce. Powieść *Zielony kapelusz* doczekała się adaptacji scenicznej i filmowej (*Władczyni miłości* z Gretą Garbo).

Machnięciem łyżki do sałaty Baby starła na miazgę Michaela Arlena.

– On pisze tylko o degeneratach. Mnie chodzi o Anglików wartościowych.

Jakkolwiek by podsumowała swych przyjaciół, wyobraźnią Dicka zawładnęły jedynie obce, niewrażliwe twarze, których pełno w hotelikach na kontynencie.

– Oczywiście, nie moja sprawa – powtórzyła Baby, szykując się do nowej szarży – lecz to, że zostawiłeś ją samą w tego rodzaju atmosferze...

– Pojechałem do Ameryki, bo umarł mój ojciec.

– Rozumiem, przecież ci powiedziałam, jak mi było przykro. – Bawiła się szklanymi gronami naszyjnika. – Ale teraz mamy tyle pieniędzy. Mnóstwo. Na wszystko. I powinny posłużyć Nicole. Niech wydobrzeje.

– Tyle że jakoś nie widzę siebie w Londynie.

– Dlaczego? Równie dobrze możesz pracować w Londynie.

Oparł się, odchylił i przyjrzał szwagierce. Jeżeli Baby nawet coś podejrzewała w związku z tą starą cuchnącą sprawą – prawdziwą przyczyną choroby Nicole – to na pewno postanowiła to wyprzeć ze świadomości, wrzucić do starej, zakurzonej szafy z obrazami, których kupno okazało się pomyłką.

Rozmowę toczyli dalej w Ulpii, gdzie przysiadł się Collis Clay, a w piwnicy pełnej beczek wina jakiś uzdolniony gitarzysta znęcał się nad *Suona fanfara mia*.

– Może okazałem się nieodpowiednim mężczyzną dla Nicole – powiedział Dick. – Lecz tak czy owak, wyszłaby za kogoś podobnego do mnie, gdyby tylko uznała, że może na nim polegać... Bezgranicznie.

– Uważasz, że z kimś innym byłaby szczęśliwsza? – Baby głośno myślała. – Pewnie to dałoby się jakoś załatwić.

Dopiero widok Dicka pokładającego się ze śmiechu uświadomił jej, jak groteskowo zabrzmiał ten wywód.

– Och, sam rozumiesz... Nawet przez chwilę nie myśl, że nie doceniamy tego, co zrobiłeś – zapewniała. – Wiemy, ile cię to kosztowało, co przeszedłeś...

– Na miłość boską – zaprotestował. – Tylko dlatego, że kocham Nicole, w przeciwnym razie to by się potoczyło inaczej.

– I naprawdę kochasz Nicole? – wypytywała zaniepokojona.

Collis Clay zaczynał się już czegoś domyślać, więc Dick szybko zmienił temat.

– Porozmawiajmy o czym innym... Na przykład o tobie. Dlaczego nie wyszłaś za męża? Słyszeliśmy, że byłaś zaręczona z lordem Paleyem, kuzynem...

– Och, nie... – speszona Baby odpowiedziała wymijająco. – To było zeszłego roku.

– Dlaczego nie wyszłaś za męża? – Dick nie rezygnował.

– Nie wiem. Pierwszy mężczyzna, którego kochałam, zginął na wojnie, drugi mnie rzucił.

– Opowiedz o tym. Opowiedz o swoim życiu prywatnym, Baby, o twoich poglądach. Nigdy tego nie tykasz, wciąż mówimy o Nicole.

– Obaj byli Anglikami. Jak sądzisz, czy jest gatunek człowieka przewyższający pierwszorzędnego Anglika? Bo moim zdaniem nie. Jeżeli tacy ludzie są, to ja ich nie spotkałam. A ów mężczyzna... cóż, długa historia. Osobiście nie znoszę długich historii, a ty?

– Okropność! – wtrącił Collis.

– Czemu nie, lubię długie historie... zwłaszcza ciekawe.

– Umiesz to, Dick, po prostu jesteś specem. Umiesz rozgrzać towarzystwo, zainspirować jednym zdankiem, powiedzonkiem rzuconym tu czy tam. Masz fantastyczny talent.

– To tylko sztuczka – powiedział łagodnie. W ten sposób po raz trzeci odrzucił pogląd Baby.

– Tak, podoba mi się przestrzeganie form... Lubię, kiedy wszystko jest na swoim miejscu; nie tylko drobiazgi, wszystko. Ty na to patrzysz inaczej, wiem, lecz musisz przyznać, że dzięki temu znać po mnie jedno: rzetelność.

Dick ani myślał się spierać.

– Wiem, co ludzie mówią, wierz mi – ciągnęła – że Baby Warren szwenda się po Europie to tu, to tam, poluje na nowinki, przerzuca się od jednej do drugiej, tymczasem ucieka jej to, co w życiu najlepsze. Osobiście uważam, że jest odwrotnie, bo należę do tej garstki ludzi, którzy naprawdę biorą z życia to, co najlepsze. Poznałam najciekawszych ludzi moich czasów. – Jej słowa zagłuszał gitarzysta rozprawiający się z kolejnym kawałkiem, lecz Baby udało się go przekrzyczeć. – Popełniłam niewiele grubych błędów...

– ...Jasne, Baby. Niewiele. Wyłącznie jeszcze grubsze.

Dostrzegła rozbawienie w spojrzeniu Dicka i zmieniła temat. Najwyraźniej nie byli w stanie znaleźć wspólnego mianownika. Niemniej miała w sobie coś, co zachwycało Dicka. Pożegnał ją pod Excelsiorem wiązanką komplementów, po której się rozpromieniła.

Rosemary uparła się, że to ona zaprosi nazajutrz Dicka na lunch. Wybrali się do małej trattorii, której właściciel, Włoch, niegdyś pracował w Ameryce; zamówili jajka na szynce i grzanki. Potem poszli do hotelu. Odkrycie Dicka – że nie kocha Rosemary, podobnie jak ona nie kocha jego – raczej podsycało w nim namiętność, niż ostudziło. Skoro już teraz wiedział, że nie wniknie

głębiej w jej życie, stała się dla niego kobietą obcą. Przypuszczał, że podobne uczucie niejedni mężczyźni nazywa miłością, właśnie to, a nie zapamiętała unicestwienie własnej duszy, przemianę wszystkich jej barw w jeden mroczny odcień, a tym się stała jego miłość do Nicole. Niekiedy, myśląc o niej – że może umarła, przeżyła umysłową zapaść, pokochała kogoś innego – Dick najdosłowniej cierpiał fizycznie.

W swym saloniku Rosemary omawiała z Nicoterą sprawy zawodowe. Kiedy dała mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł, Nicotera żartobliwie zaprotestował, a na odchodnym dość beczelnie mrugnął do Dicka. Jak zwykle rozkrzyczał się telefon, Rosemary strawiła przy nim dziesięć minut, Dick zaczął tracić cierpliwość.

– Chodźmy do mnie – zaproponował.

Zgodziła się.

Na wielkiej sofie ułożyła się Dickowi na kolanach, on zaś bawił się ślicznymi lokami na jej czole.

– Czy znowu mogę pozwolić sobie na pytania? – spytał.

– A co chcesz wiedzieć?

– Coś o mężczyznach. Żadne zboczenie, czysta ciekawość.

– Po tym, jak cię poznałam?

– Raczej przedtem.

– Och, nie. – Oszłupiała. – Przedtem nie było nic. Byłeś pierwszym mężczyzną, na którym mi zależało. I nadal jesteś jedynym, na którym naprawdę mi zależy. – Zastanowiła się. – Trwało to jakiś rok.

– Kto to był?

– Och, no ktoś.

Nie dał się zbyć unikiem.

– Założę się, że zdołam ci opowiedzieć to wszystko: pierwszy romans cię rozczarował, po nim nastąpiła przerwa. Z drugim poszło lepiej, lecz trzeba od tego zacząć, że nie kochałaś człowieka. Trzecia przygoda już była w porządku... – Zadręczał się i brnął dalej: – Potem nadeszła prawdziwa miłość, lecz załamała się pod własnym ciężarem; od tej pory zaczęłaś się bać, że człowiekowi, którego w końcu pokochałaś, nie możesz już nic ofiarować. – Czuł, że staje się coraz bardziej wiktoriański. – Następnie przydarzyło się z pół tuzina różnych epizodów i tak już jest do dzisiaj. Trafiłem?

Śmiała się, to rozbawiona, to ze łzami w oczach.

– Trafiłeś. Jak kulą w płot – odparła. Dick poczuł ulgę. – Ale kiedyś do tego dojdzie, że kogoś znajde, pokocham, pokocham, pokocham i nie pozwolę mu odejść.

Zadzwoił telefon. Dick odebrał i rozpoznał głos; Nicotera prosił Rosemary. Dick dłonią zasłonił słuchawkę.

– Chcesz z nim rozmawiać?

Podeszła do aparatu i w zawrotnym tempie zatrajkotała po włosku; Dick nie rozumiał tego ani w ząb.

– Telefony tylko kradną czas – powiedział, – Jest po czwartej, a ja się umówiłem na piątą. Lepiej idź się zabawić z signorem Nicoterą.

– Nie bądź głupi.

– A więc jeśli tu jestem, to powinnaś go spławić.

– Nie takie to łatwe. – Rozpłakała się nagle. – Dick, naprawdę cię kocham, nigdy nikogo tak nie kochałam. Ale co mi możesz dać?

– A co może komuś dać Nicotera?

– To inna historia.

...Bo młodość lgnie do młodości.

– Przecież to Metys! – powiedział. Tracił rozum z zazdrości, nie chciał znów dać się zranić.

– To tylko dzieciak – powiedziała, pociągając nosem. – Wiesz, że przede wszystkim jestem twoja.

Poruszony objął ją, lecz jakoś z ociąganiem uwolniła się; podtrzymał ją przez chwilę jakby na koniec jakiegoś adagio: przymknięte oczy, opadające włosy topielicy...

– Daj spokój, Dick, już pójdę. Nigdy się tak nie pogubiłam.

Siedział tu, istny nastroszony ptak kardynał, a Rosemary instynktownie odsunęła się od niego; nieuprawniona zazdrość zaczęła górować nad wyrozumiałością i rozważą, tymi jego cnotami, dzięki którym czuła się przy nim jak w domu.

– Chcę poznać prawdę – powiedział.

– Proszę. Spędzamy razem dużo czasu, chce się ze mną ożenić, czego ja nie chcę. I co? Czego się spodziewasz? Nie poprosiłeś nigdy, żebym za ciebie wyszła. Chcesz, żebym całe życie zadawała się z takimi cymbałami jak Collis Clay?

– Byłaś zeszłej nocy z Nicoterą?

– Nie twoja sprawa. – Rosemary łkała. – Przepraszam, Dick, twoja. Twoja sprawa. Ty i matka to jedyni ludzie na świecie, na których mi zależy.

– A co z Nicoterą?

– Czy ja wiem?

Wspięła się na takie wyżyny zwodniczości, że teraz mógł się dopatrywać ukrytego znaczenia w najmniej znaczących słowach.

– Czy to podobne do tego, co czułaś wobec mnie w Paryżu?

– Z tobą się czuję szczęśliwa, pokrzepiona. Ale w Paryżu było inaczej. Jak? A jak się dowiedzieć, co czuło się kiedyś. Może ty potrafisz?

Dick wstał i zaczął dobierać strój wieczorowy; choćby miał nasączyć serce całą goryczą i nienawiścią świata, już nie zakocha się na nowo w Rosemary.

– Zresztą co mnie obchodzi Nicotera! – oświadczyła. – Jutro muszę pojechać z ekipą do Livorno. Och, czemu to tak się składa, nie mogło być inaczej? – Wylała nowy potok łez. – Jaka szkoda. Czemu tu przyjechałeś? Czemu nie mogliśmy poprzestać na wspomnieniach? Czuję się jak po kłótni z matką.

Dick zaczął się ubierać, Rosemary wstała i ruszyła do drzwi.

– Nie idę dzisiaj na przyjęcie. – To była już ostatnia próba. – Zostanę z tobą. Nie mam ochoty nigdzie iść.

Dick zdusił jeszcze jedną powracającą falę uczucia.

– Będę u siebie – powiedziała Rosemary. – Do widzenia.

– Do widzenia.

– Jaka szkoda, jaka szkoda. Och, jaka szkoda. W końcu, o co tu w ogóle chodzi?

– Od dawna się nad tym zastanawiam.

– Ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Kto wie, może jestem jak czarna śmierć – powiedział nieśpiesznie. – Na to wygląda, że już nie niosę ludziom szczęścia.

XXII

Po kolacji w barze Quirinale siedziało pięć osób: włoski wymoczek z wyższych sfer niestrudzenie wciągał w rozmowę przy barze znudzonego barmana, ten zaś, w odpowiedzi bąkał tylko *si... si... si...*, kobieta, trzymający się od niej z daleka snob – samotny, jasnoskóry Egipcjanin, wreszcie dwaj Amerykanie.

Dick nadzwyczajnie wyczuwał otoczenie, tak było zawsze, natomiast Collis Clay żył jak we mgle, w jego aparaturze poznawczej wcześniej dotkniętej atrofią rozmywały się nawet najbardziej wyraziste doznania; zatem pierwszy z nich mówił, drugi wsłuchiwał się w to jak przez zawieję.

Wyczerpany przedpołudniowymi przejściami Dick wyżywał się teraz na mieszkańcach Italii. Rozejrzał się po barze, jakby w nadziei, że go usłyszy jakiś Włoch i poczuje się dotknięty do żywego.

– W Excelsiorze piłem dziś po południu herbatę ze szwagierką. Zajęliśmy ostatni wolny stolik, a po nas weszli dwaj mężczyźni i na próżno wypatrywali, gdzie usiąść. W końcu podchodzi do nas jeden i mówi: „Czy to nie stolik zarezerwowany dla księżniczki Orsini?” na co odpowiadam: „Nie było żadnego biletu, nic” on zaś: „Moim zdaniem stolik jest zarezerwowany dla księżniczki Orsini” Pomyślałem, że szkoda gadać.

– I co zrobił?

– Odczepił się. – Dick okręcił się na krześle. – Nie lubię tych ludzi. Kiedy indziej zostawiłem Rosemary przed sklepem tylko na chwilę i zaraz zaczął przed nią paradować tam i z powrotem jakiś oficer, wciąż przytykając palce do tego, co nosi na głowie.

– No nie wiem – po chwili odrzekł Collis. – Wolę być tu niż w Paryżu, gdzie co chwilę okradają człowieka. – Świetnie się bawił, więc kwestionował wszystko, co mogło zakłócić frajdę. – Nie wiem – nie ustępował. – Mnie tu nic nie przeszkadza.

Dickowi znów stanął przed oczami obrazek sprzed paru dni, przechadzka do American Express, obok wonnych cukierni via Nationale, potem cuchnącym tunelem do podnóża Schodów Hiszpańskich, gdzie dodał mu otuchy widok straganów z kwiatami oraz domu, w którym zmarł Keats. Dick interesował się ludźmi i tylko nimi; więcej uwagi poświęcał nawet pogodzie niż samym miejscom, chyba że nabierały kolorytu za sprawą konkretnych wydarzeń. Rzym okazał się zmierzchem snów o Rosemary.

Zjawił się boy z bilecikiem.

Nie poszłam na przyjęcie, czytał, jestem u siebie. Wczesnie rano wyjeżdżamy do Livorno.

Oddał bilecik wraz z napiwkami.

– Powiesz pannie Hoyt, że nie mogłeś mnie znaleźć.

Zaproponował Collisowi wypad do Bonbonieri.

Otaksowali kokotę przy barze, okazując to minimum zainteresowania, o które dopomina się jej rzemiosło; kobieta odwzajemniła oględziny spojrzeniem bystrym i śmiałym. Potem przecięli opustoszały hol przytłoczony draperiami, gdzie w zaskorupiałych fałdach zachował się kurz pamiętający wiktoriańskie czasy, potem skinęli nocnemu odźwiernemu, na co zareagował gestem typowym na nocnej zmianie, wyrażającym służalczość i gorycz. Potem w wilgotną listopadową noc przemierzali taksówką ponure ulice. Nie widać było kobiet, tylko przy zimnych kamiennych krawężnikach grupki bladych mężczyzn w ciemnych, zapiętych pod szyję paltach.

– Mój Boże! – westchnął Dick.

– Co się stało?

– Myślałem o facecie, który nawinał się po południu. „Stolik zarezerwowany dla księżniczki Orsini” Wiesz, czym są stare rzymskie rody? To zbiry, to oni przywłaszczyli sobie świątynie i pałace, po tym jak Rzym się rozpadł. Wyssali, ludzi.

– Lubię Rzym – Collis obstawał przy swoim. – Czemu się nie wybierzesz na wyścigi? Spróbuj.

– Nie lubię.

– Te wszystkie kobiety zadają tam szyku...

– Tutaj nic mi się nie spodoba. Ja lubię Francję, gdzie każdy się uważa za Napoleona... Tu każdy ma się za Chrystusa.

W Bonbonieri zeszli do kabaretu, sali wyłożonej boazerią rozpaczliwie prowizoryczną na tle zimnego kamienia. Apatyczna orkiestra grała tango, kilkanaście par przemierzało obszerny parkiet krokiem wykwinnym a zawiłym; czysta obraza dla oka Amerykanina. Przy nadkomplecie kelnerów nie mogło być mowy o żwawej krzątaniu, którą potrafi stworzyć paru zabieganych mężczyzn; a jeśli ta scena kryła jakiś dynamizm, to było nim wyczekiwanie na koniec: na koniec tańca i równowagi sił, dzięki której to wszystko jeszcze się trzyma. Gość z jakim takim wyczuciem mógł być pewien, że tutaj nic nie znajdzie, bez względu na to, czego szuka.

Dla Dicka było to aż nazbyt oczywiste. Rozejrzał się, licząc, że zdoła na czymś zawiesić oko i że najbliższą godzinę uda mu się przetrzymać z pomocą podniety, nie zaś wyobraźni. Nic jednak nie dostrzegł, więc po chwili wrócił do Collisa. Podzielił się paroma ostatnimi spostrzeżeniami, lecz szybko znudził go brak oddźwięku; słuchacz się nie zalecał spostrzegawczością ani pamięcią. Po półgodzinie zmarnowanej na Collisa Dick poczuł odpływ energii.

Wypili butelkę włoskiego *mousseux*, Dick pobladł i zaczął się zachowywać głośniejsz. Przywołał do stolika bandlidera, Murzyna z

Bahamów, antypatycznego zarozumialca. Już po paru minutach zazgrzytało.

– Prosił pan, żebym się przysiadł.

– Tak jest. I dałem ci pięćdziesiąt lirów? Zgadza się?

– Zgadza się. Racja.

– Racja. Dałem pięćdziesiąt lirów. Dałem czy nie? A potem podchodzisz i chcesz, żeby jeszcze dołożył. W trąbkę.

– Prosił pan, żebym się przysiadł. Zgadza się? Prosił pan czy nie?

– Prosiłem, żebyś się przysiadł, ale dostałeś pięćdziesiąt lirów. Dostałeś?

– Jasne. Dostałem. W porządku.

Skwaszony Murzyn wstał, pozostawiając Dicka w jeszcze gorszym nastroju. Tymczasem z drugiego końca sali uśmiechała się do Dicka dziewczyna, a kiedy to spostrzegł, nękające go wyblakłe sylwetki rzymian nagle spokorniały i odstąpiły na przyzwoitą odległość. Młodziutka i urodziwa blondynka, Angielka, o twarzy tryskającej zdrowiem znów obdarzyła go uśmiechem, a zarazem – jak uznał – ofertą, która przemilcza konkrety i obiecuje.

– No proszę, szybka wziętka, o ile znam się na brydżu – skomentował Collis.

Dick wstał i podszedł przez całą salę do dziewczyny.

– Zatańczy pani?

Jej towarzysz, Anglik w średnim wieku, odrzekł tonem nieledwie usprawiedliwienia:

– Ja zaraz wychodzę.

Pod wpływem podniecenia Dick wytrzeźwiał. Dziewczyna, z którą tańczył, wydała mu się zapowiedzią wszelkich angielskich ra-

dości: kiedy odchylił się, by napatrzeć się na nią, pogodny głos dziewczyny podsuwał myśl o przytulnych ogrodach okolonych morzem. Dick odzywał się do niej głosem drżącym z nadmiaru szczerości. Obiecała, że przesiądzie się do Dicka i Collisa, kiedy jej współtowarzysz już się pożegna. Anglik znów nie poskąpił usprawiedliwień i uśmiechów Dickowi, który odprowadził dziewczynę.

Przy swym stoliku Dick jeszcze raz zamówił *spumante*.

– Przypomina mi kogoś z ekranu – powiedział. – Ale kogo? – Spojrzał niecierpliwie przez ramię. – Ciekawe, co ją tam zatrzymuje?

– Chciałbym trafić do filmu. – Collis popadł w zadumę. – Mam zacząć pracę w firmie ojca, ale to żaden miód. Przynajmniej dla mnie. Tkwić dwadzieścia lat w biurze w Birmingham... – W głosie Collisa pobrzmiwał sprzeciw wobec cywilizacji pieniądza.

– Szkoda cię na to? – wypytywał Dick.

– Nie, nie o to chodzi.

– Właśnie, że o to.

– Skąd pan wie, o co mi chodzi? I dlaczego nie praktykuje pan jako lekarz, skoro tak pan pokochał pracę?

Dick zdażył sprawić, że obaj poczuli się wrednie, na szczęście namąciło im też w głowach wino i zaraz zapomnieli o wszystkim; Collis poszedł, a wcześniej serdecznie uścisnęli sobie dłonie.

– Przemyśl to – poradził Dick tonem mędrca.

– Ale co?

– Dobrze wiesz co. – Życzliwa i wnikliwa rada dotyczyła zapewne przyszłości Collisa w ojcowskiej firmie.

Clay rozplynał się we wszechświecie. Dick dopił *spumante*, zatańczył znowu z Angielką, wymuszając na opornym ciele śmiałe manewry i te rygory kroku, których domaga się parkiet. Aż nagle

wydarzyło się coś nader niezwykłego. Tańczył z dziewczyną, ucichła muzyka – i oto dziewczyna przepadła.

– Widziała ją pani?

– Kogo?

– Dziewczynę, z którą tańczyłem. Nagle ani śladu. Musi gdzieś być w budynku.

– Nie! Nie! To damska toaleta.

Stanął przy barze. Było tam jeszcze dwóch mężczyzn, lecz Dick nie wiedział, jak nawiązać rozmowę. Mógł im opowiedzieć o Rzymie wszystko, na przykład o wyrastaniu rodów Colonna i Gaetani na krwi i przemocy, lecz uznał taki gambit za zbyt zaskakujący. Z regału na cygara nagle spadł na podłogę rząd japońskich maskotek i wynikło zamieszanie; Dick, który poczuł się sprawcą, zszedł do kabaretu i wypił filiżankę czarnej kawy. Collisa nie było, Angielki też nie, najwyraźniej nie miał tu czego szukać; należało wrócić do hotelu i położyć się, z sercem czarnym jak noc. Zapłacił, włożył kapelusz i płaszcz.

Po kocich łbach spływała do rynsztoka brudna woda; poranne powietrze przenikał bagienny opar Kampanii i pot zmęczonych kultur. Kwartet taksówkarzy o niespokojnych oczkach oprawnych w ciemne wory stłoczył się wokół Dicka. Ostro odepchnął natręta, który niemal wpierał mu nos w twarz.

– *Quanto a hotel Quirinale?*

– *Cento lire.*

Sześć dolarów. Pokręcił głową i zaproponował trzydzieści lirów, co stanowiło dwukrotność dziennej taryfy. Taksówkarze jak jeden mąż wzruszyli ramionami i odeszli.

– *Trente-cinque lire e mancie* – twardo zadeklarował.

– *Centò lire**.

Przeszedł na angielski.

– Pół mili? Zawieź mnie za czterdzieści lirów.

– O nie.

Był skonany. Otworzył drzwi i wsiadł do taksówki.

– Hotel Quirinale – rzucił szoferowi, który uparcie tkwił na zewnątrz przy oknie. – Ściągnij łaskawie z buzi ten uśmiezek i zawieź mnie do Quirinale.

– Nie.

Dick wysiadł. Przed wejściem do Bonbonieri ktoś się wyklócał z taksówkarzami, a teraz usiłował tłumaczyć Dickowi, dlaczego tak się do niego odnoszą, z kolei Dick odepchnął taksówkarza, który napał na niego, gestykulował i czegoś się domagał.

– Chcę jechać do Quirinale.

– Domaga się setki – wyjaśnił przygodny tłumacz.

– Rozumiem. Dostanie pięćdziesiąt. Spływaj, człowieku. Odbiorcą ostatnich słów był natręt, który znowu się napatoczył.

Spojrzał na Dicka i pogardliwie splunął.

W Dicku coś nagle wezbrało; zniecierpliwienie, a także podmiowanie emocjami całego tygodnia skumulowało się i – jak każda tradycja jego ojczystych stron – w mgnieniu oka znalazło ujście w przemocy: Dick podszedł do gościa i huknął go w twarz.

Tamci stłoczyli się wokół Dicka, wyrastali zewsząd, grozili, wymachiwali rękami, usiłowali osaczyć, a Dick wparty plecami w mur niezbornie rozdzielał razy, podśmiewał się i przez parę minut toczył tę karykaturalną walkę przed drzwiami Bonbonieri, raz tu, raz

* Ile płacę do hotelu Quirinale? – Sto lirów. – Trzydzieści pięć lirów plus napiwek. – Sto lirów (wt.).

tam odpierał natarcia bądź zadawał poduchowate, chybione ciosy. Potem potknął się i padł; czuł, że gdzieś się potłukł, lecz znów wdał się w zmagania, mocował z czyimiś ramionami, które nagle uwolniły go z uścisku. Dobiegł go nowy głos, dosłyszał nową sprzeczkę, tymczasem dyszał ciężko, ledwie się trzymał na nogach oparty o mur, wściekły z powodu upokorzenia. Widział, że nie budzi sympatii, lecz nie dopuszczał myśli, że robi coś złego.

Ruszyli wyjaśnić sprawę na komisariacie. Znalazł się nagle kapelusz i wrócił na głowę Dicka, on sam, łagodnie prowadzony pod ramię, powędrował za róg ze świtą taksówkarzy, by wejść do budynku o gołych ścianach, gdzie w marnym świetle jedynej lampy czuwali karabinierzy.

Za biurkiem siedział kapitan i to do niego skierowało długą przemowę po włosku gorliwe indywiduum, które powstrzymało bijatykę; jegomość raz po raz pozwalał wtrącać się taksówkarzom, ci zaś szafowali wiązkami obelg i nie szczędzili potępień. Zniecierpliwiony kapitan zaczął kiwać głową, a uniesiona ręka spowodowała, że po kilku finałowych wykrzyknikach wrzeszcząca stugłowa hydra rozplynęła się, zdematerializowała, zapadła pod ziemię. Kapitan zwrócił się do Dicka.

– Spik italiano?

– Nie.

– Spik français?

– *Oui.* – Dick patrzył na niego spode łba.

– *Alors. Ecoute. Va au Quirinale. Espèce d'endormi. Écoute: vous êtes soûl. Payez ce que le chauffeur demande. Comprenez-vous?*

Dick pokręcił głową.

– *Non, je ne veux pas.*

– *Come?*

– *Je paierai quarante lires. C'est bien assez.*

Kapitan wstał.

– *Écoute!* – wykrzyknął pompatycznie a złowieszczo. – *Vous êtes soûl. Vous avez battu le chauffeur. Comme ci, comme ça.* – Poirytowany młócił powietrze obiema rękami. – *C'est bon que je vous donne la liberté. Payez ce qu'il a dit – cento lire. Va au Quirinale**.

Dick wściekły i upokorzony twardo patrzył mu w oczy.

– W porządku – powiedział. Bez namysłu odwrócił się ku drzwiom, gdzie z krzywym uśmiechem, kiwając głową, stał typ, który doprowadził Dicka na komisariat. – W porządku, idę do domu! – wrzasnął. – Ale najpierw wyremontuję aniołkowi facjatę.

Minał gapiących się karabinierów, spojrzął na szczerzącą zęby twarz i wyprowadził na szczękę lewy sierpowy. Mężczyzna runął.

Dick tryumfował jak jaskiniowiec; przez chwilę puszył się nad leżącym, a zanim tknęły go pierwsze wątpliwości, świat zawirował, ktoś powalił go pałką, w ruch poszły pięści i obcasy, by zrobić z niego miazgę. Nos pękł jak krucha dachówka, gałki oczu, jak uczepione na gumkach, wyskoczyły, a potem wpadły w głąb czaszki. Pod czymś butem trzasnęło żebro. Na chwilę stracił przytomność, a odzyskał ją, kiedy podniesiono go, posadzono, on zaś wciąż się szarpał, skuty kajdankami. Odruchowo wciąż walczył. Gość, którego znokautował, porucznik w cywilu, już stał, ostrożnie pocierał zuchwę chusteczką i sprawdzał, czy na tkaninie jest krew; podszedł do Dicka, zamierzył się, zamachnął i pięścią zwałił go na podłogę.

* Więc tak, posłuchaj, człowieku. Jedź do Quirinale i wyśpij się. Posłuchaj, jesteś schlany. Więc zapłać taksjarszowi, ile żąda. Jasne? – Ani myślę. – Że co? – Zapłać czterdzieści lirów. To zupełnie wystarczy. – Słuchaj. Jesteś zapruty. Pobileś szofera, z grubsza rzecz biorąc. Ciesz się, że cię puszczam. Zapłać, co chce, sto lirów i jazda do Quirinale (fr.).

Leżącego bezwładnie doktora Divera potraktowano kubłem wody. Otworzył z trudem oko. Wlekli go za nadgarstki jacyś ludzie, a w krwawym oparze dostrzegł widmową twarz jednego z taksówkarzy.

– Jedź do hotelu Excelsior – wychrypiał. – Opowiedz o tym panie Warren. Dwieście lirów! Panna Warren. *Due centi lire!* Och, ty parszywy... Boże...

Krztusił się, łkał, dalej wleczony w głąb krwawej mgły przez jakieś nierówności aż do ciasnego pomieszczenia, gdzie rzucono go na kamienną posadzkę. Ludzie poszli, drzwi trzasnęły, Dick został sam.

XXIII

Baby Warren czytała w łóżku do pierwszej w nocy jedną z tych cudacznie ślimaczących się rzymskich opowieści Marion Crawford, potem wstała i wyjrzała przez okno na ulicę. Dwaj groteskowi karabinierzy w obszernych pelerynach i pstrych nakryciach głowy zamasyście halsowali to w prawo, to w lewo sami podobni do żagli; patrzącej na nich Baby stanął przed oczami oficer gwardii, który tak natarczywie przyglądał jej się podczas lunchu. Tryskała z niego arogancja osobnika wysokiego wywodzącego się z rasy stworzeń niskich, który zatem uważa bycie wysokim za jedyny ciężący na nim obowiązek. Gdyby podszedł do Baby i powiedział. „Przejdźmy się razem, pani i ja”, odrzekłaby: „Czemu nie” w każdym razie tak się jej teraz wydawało; w nieoswojonej rzeczywistości nadal czuła się odcieleśniona.

Myśli Baby powędrowały leniwie od gwardzisty do karabinierów, a potem do Dicka; wróciła do łóżka i zgasła światło.

Tuż przed czwartą zbudziło ją natarczywe pukanie.

– Tak? Co się dzieje?

– Tu portier, proszę pani.

Zaspana włożyła kimono i otworzyła drzwi.

– Pani przyjaciel nazwiskiem Dejwa ma kłopoty. I to z policją. Siedzi w areszcie. Przysłał taksówkę, żeby dać znać, a szoferowi podobno obiecał dwieście lirów. – Przerwał i czekał ostrożnie na reakcję. – Taksówkarz mówi, że fatalna sprawa. Pan Dejwa bił się z policjantami, a oni go skatowali.

– Zaraz zejdę.

Serce poskoczyło jej do gardła; ubrała się i po dziesięciu minutach wychodziła już z windy w ciemnym holu. Szofer, który przywiózł wiadomość, pojechał; portier ściągnął innego i wytłumaczył, jak się dostać do aresztu. Podczas jazdy mrok zaczął rzednąć, a widok chwiejnej równowagi nocy i dnia przyprawił ledwie rozbudzoną Baby o mroźny dreszcz. Zaczęła się ścigać z dniem, na szerokich alejach chwilami była górą, lecz kiedy trzeba było na moment zwolnić, ustać w wysiłkach, już niecierpliwie zakradały się zewsząd poranne podmuchy, a za nimi strużki światła. Taksówka minęła fontannę głośno szumiącą w pomroce i zjechała między powykrzywiane i ciasno stłoczone budynki krętej uliczki, podskakując i klekocąc na kocich łbach, wreszcie zatrzymała się z szarpnięciem przed wartą: dwiema budkami jaśniejącymi pod murem koloru zgniętej zieleni. Spod sklepionego mrocznego przejścia podbarwionego fioletem Baby usłyszała nagle Dicka; krzyczał przeraźliwie:

– Są tu jacyś Anglicy? Amerykanie? Jacyś Anglicy? Czy w ogóle jest tu... Chryste! Zastrani makaroniarze! – Głos ucichł, potem rozległo się głucho walenie w drzwi. I znowu: – Są tu jacyś Anglicy? Amerykanie?

Baby pobiegła za wołaniem, wpadła przez sklepione przejście na dziedziniec, przez moment obracała się zdezorientowana, wreszcie zlokalizowała celę, skąd dobiegał krzyk. Dwaj karabinierzy zerwali się, lecz Baby tylko otarła się o nich i pomknęła do drzwi.

– Dick! – krzyknęła. – Co tu się dzieje?

– Wybili mi oko – zawołał. – Skuli kajdankami i pobili, ci sakramenccy... ci...

Teraz spojrzenie Baby spoczęło na karabinierach. Wzdrygnęli się na widok nadciągającej furii.

– Co zrobiliście temu człowiekowi? – syknęła wściekła.

– *Non capisco inglese.*

Zaczęła ich łajać po francusku: atak wściekłego gniewu i pasji podszytej pewnością siebie rósł, wypełniał pomieszczenie i sprawił, że wili się, kulili pod ciężarem winy, którą zdołała ich obarczyć.

– Zróbcie coś! No jazda, zróbcie!

– Bez rozkazu nie możemy.

– *Bene. Be-ene! Bee-eene!*

Rozjuszona Baby znów dała upust wściekłości, aż strażnicy wykrztusili przeprosiny za bezczynność, przy czym obaj spoglądali po sobie z uczuciem, że jednak coś tu cholernie poszło pod włos. Baby stanęła przy drzwiach celi, oparła się o nie, pieszcząc je niemal, jakby Dick dzięki temu mógł odczuć jej obecność i siłę wpływów.

– Jadę do ambasady – zawołała. – Potem wracam. – Wybiegła, na odchodne rzuciwszy karabinierom spojrzenie kryjące bezmiar grózb.

Pod amerykańską ambasadą opłaciła i odprawiła taksówkarza, czego natarczywie się domagał. Wciąż było ciemno, kiedy biegła po schodach, by zadzwonić do drzwi. Musiała dzwonić trzykrotnie, zanim otworzył portier, zaspany Anglik.

– Chcę się zobaczyć z kimś z ambasady – powiedziała. – Wszystko jedno z kim, byle zaraz.

– Wszyscy śpią, proszę pani. Otwieramy o dziewiątej. Machnąwszy ręką, Baby zbyła wątek godziny.

– To ważna sprawa. Został zmasakrowany człowiek, Amerykanin. Zamknięty we włoskim więzieniu.

– Wszyscy śpią, proszę pani. O dziewiątej...

– Nie mogę tu stać i czekać. Wybili mu oko; to mój szwagier i nie chcą go wypuścić. Muszę z kimś porozmawiać, nie rozumiesz? Masz źle w głowie, człowieku? Będziesz tak stał i gapił się na mnie jak idiota?

– Nic nie poradzę, proszę pani. I nic nie mogę zrobić.

– Masz kogoś zbudzić, ale już! – Baby złapała go za ramiona i potrząsnęła z całej siły. – To sprawa życia i śmierci. Jeśli nikogo nie obudzisz, to nie chciałabym być w twojej skórze...

– Zechce pani zabrać te ręce, proszę pani.

Z góry, zza placów portiera dobiegł znużony głos z mocnym akcentem z Connecticut.

– Co tu się dzieje?

– Ta dama, proszę pana, właśnie mnie tarłosi – portier odrzekł z ulgą.

Odpowiadając, cofnął się o krok, dzięki czemu Baby wtargnęła do holu. Wyżej, na podeście schodów, stał dziwacznie wyglądający młody człowiek wyrwany ze snu, owinięty perskim białym haftowanym szlafrokiem. Miał nienaturalnie różową, monstrialną twarz, martwą i ożywioną zarazem, a nad ustami widniało coś podobnego do knebla. Zobaczywszy Baby, usunął głowę w cień.

– Co się stało? – zapytał jeszcze raz.

Referując sprawę Dicka, wzburzona Baby podsunęła się do schodów. Zorientowała się, że domniemany knebel to binda na wąsy, a twarz mężczyzny pokrywa różowy krem nawilżający, co razem składało się na ów koszmarny wygląd. Facet powinien teraz, krzyczała z furją, koniecznie pojechać z nią do kryminału i wyciągnąć Dicka.

– Paskudna historia – powiedział mężczyzna.

– Zgadza się – zapewniła pojednawczo. – Więc jak?

– To napaść na policjantów. – W słowach pobrzmiwał ton osobistej urazy. – Obawiam się, że nic się nie da zrobić przed dziewiątą.

– Przed dziewiątą? – powtórzyła zdumiona. – Ależ da się, zapewniam! Może podjechać pan ze mną do aresztu i dopilnować, żeby zaprzestali maltretowania.

– W żadnym wypadku, nie mamy prawa. Tymi sprawami zajmuje się konsulat. Który jest czynny od dziewiątej.

Obojętna, unieruchomiona przez binde twarz doprowadzała Baby do szału.

– Nie mogę czekać do dziewiątej. Mój szwagier mówi, że wybili mu oko; jest ciężko ranny. Muszę się dostać do niego. Muszę znaleźć lekarza. – Dała upust uczuciom i podczas przemowy rozpląkała się ze złości, wiedziała bowiem, że na facecie większe wrażenie zrobi jej wściekłość niż słowa. – Musi pan coś z tym począć. Pana obowiązkiem jest chronić amerykańskich obywateli w trudnej sytuacji.

Gość pochodził jednak ze Wschodniego Wybrzeża i nie dał sobie w kaszę dmuchać. Widząc, że Baby nie może pojąć jego roli, wyrozumiale pokręcił głową, następnie szczelniej owinał się perskim szlafrokiem i zszedł kilka stopni.

– Proszę zapisać adres konsulatu i przekazać tej damie – polecił portierowi – proszę wyszukać adres doktora Colazzo wraz z numerem telefonu i zapisać na tej samej kartce. – Zwrócił się do Baby z miną Chrystusa frasobliwego: – Łaskawa pani, zadaniem korpusu dyplomatycznego jest reprezentować rząd Stanów Zjednoczonych wobec rządu włoskiego. To nie ma nic wspólnego z ochronieniem obywateli, z wyjątkiem wypadków szczególnych, wskazanych w instrukcjach Departamentu Stanu. Pani szwagier naruszył prawo tego kraju i został osadzony w areszcie, jak trafiłby za kraty Włoch w Nowym Jorku. Prawo do wypuszczenia go na wolność przysługuje włoskim sądom, a w razie rozprawy pani szwagier może liczyć na wsparcie i poradę konsulatu, który chroni prawa obywateli amerykańskich. Konsulat jest czynny od dziewiątej. Nawet gdyby chodziło o mego brata, nie mógłbym nic zrobić...

– Może pan zadzwonić do konsulatu? – przerwała Baby.

– Nie wolno nam się wtrącać w działania konsulatu. Kiedy o dziewiątej przybędzie konsul...

– Może mi pan dać jego domowy adres?

Po trwającym ułamek sekundy namyśle mężczyzna pokręcił głową. Wziął od portiera notatkę i podał Baby.

– Teraz wybacz pani, przepraszam.

Pokierował nią ku drzwiom, przez chwilę fioletowa poświata brzasku padała na różową maskę i lniany woreczek na wąsy; za chwilę Baby stała na schodach ambasady sama jak palec. W środku wytrzymała dziesięć minut.

Rozciągająca się przed nią piazza była pusta, jeśli nie liczyć staruszka, który nadziewał na szpikulec niedopałki. Baby złapała zaraz taksówkę i pojechała do konsulatu, nie zastała jednak nikogo z wyjątkiem trzech wymizerowanych kobiet zajętych szorowaniem schodów. Nie była w stanie wytłumaczyć, że chodzi jej o domowy adres konsula, i w nagłym przypływie obaw spiesznie odjechała. Kazała wieźć się do aresztu. Taksówkarz nie wiedział gdzie, lecz Baby wystarczyły słowa *semper dritte, dextra i sinistra*, żeby dotarli w okolice aresztu, tam zaś wysiadła i zagłębiła się w labirynt znajomych uliczek. Rzecz w tym, że okoliczne uliczki i budynki niewiele się różniły. Jeden ze szlaków wyprowadził ją na Plac Hiszpański, a zobaczywszy siedzibę American Express Company, nabrała otuchy na widok słowa „American” na szyldzie. W oknie świeciło się, więc pomknęła przez plac, pociągnęła za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Zegar w środku wskazywał siódmą. Potem przyszedł jej na myśl Collis Clay.

Pamiętała nazwę hotelu. Zatechna willa wysłana czerwonym pluszem mieściła się naprzeciw Excelsiora. Dyżurująca kobieta nie kwapiła się pomóc Baby; nie ma prawa przeszkadzać panu Clayowi i nie pozwoli, żeby panna Warren sama udała się na górę; w końcu

Baby zdołała ją przekonać, że nie chodzi o wybuch miłosnej namiętności, i razem ruszyły po schodach.

Collis leżał na łóżku nago. Wrócił pod dobrą datą, a zbudziwszy się, nie od razu uprzytomnił sobie, że jest goły, co zaraz odpokutował nadmiarem wstydlivosti. Porwał ubranie do łazienki; wkładając je w pośpiechu, mruzczał pod nosem: „O rany, na pewno dobrze mi się przyjrzała”. Po paru telefonach znaleźli z Baby adres więzienia i pojechali na miejsce.

Drzwi celi były otwarte, Dick tkwił bezwładnie na krześle w wartowni. Karabinierzy zmywali mu krew z twarzy, czyścili ubranie, ukradkiem włożyli na głowę kapelusz. Baby stała w drzwiach i dygotała.

– Zostanie z tobą pan Clay – powiedziała. – A ja chcę dopaść konsula i lekarza.

– W porządku.

– Po prostu siedź spokojnie.

– W porządku.

– Wrócę.

Pojechała do konsulatu; minęła ósma i pozwolono jej usiąść w poczekalni. Konsul zjawił się przed dziewiątą, a Baby histerycznie – co było skutkiem bezradności i wyczerpania – jeszcze raz opowiedziała historię. Konsul się zaniepokoił. Przestrzegł przed wtrącaniem się w zwady w obcych miastach, głównie jednak skupił się na zatrzymaniu Baby w poczekalni. Rozpaczliwie – co Baby wyczytała w starczych oczkach – pragnął mieć z tą katastrofą jak najmniej do czynienia. Czekać na to, co zrobi konsul, Baby wezwała przez telefon lekarza. Potem zjawili się w poczekalni jacyś ludzie, niektórzy wchodzili do gabinetu konsula. Po półgodzinie Baby wybrała stosowny moment: poczekała, aż ktoś wyjdzie, odepchnęła sekretarkę i wparowała do środka.

– Niesłychane! To skandal! Amerykanin został niemal śmiertelnie pobity, następnie uwięziony, a pan nie kiwnie nawet palcem, żeby pomóc.

– Minutkę, proszę pani...

– Już się dość naczekałam. Pojedzie pan zaraz do więzienia i wydostanie go stamtąd!

– Proszę pani...

– W Ameryce jesteśmy ludźmi, którzy się liczą... – W miarę perory twarz Baby twardniała. – Gdyby nie to, że nie chcemy skandalu, moglibyśmy... Dopilnuję, żeby o pańskim lekceważeniu sprawy dowiedziano się we właściwym departamencie. Gdyby mój szwagier był obywatelem brytyjskim, byłby już wolny od paru godzin, ale pan bardziej się przejmuję tym, co pomyśli policja, niż tym, co do pana należy na pańskim stanowisku.

– Proszę pani...

– Zechce pan włożyć kapelusz i natychmiast wyjdzie pan ze mną.

Napomknienie o kapeluszu wprawilo konsula w popłoch; zaczął nerwowo przecierać okulary i szurać papierami. Niewiele to dało; oto stała przed nim rozjuszona Amerykańska Kobieta, wcielenie zmiatającej wszystko z drogi, głuchej na tłumaczenia porywczosci, która już przetrąciła kręgosłup swej rasy i zamieniła kontynent w dziecinny pokój – tego już było dlań za wiele. Zadzwoił po wicekonsula. Baby wygrała.

Przez okno wartowni strugi słońca lały się wprost na siedzącego Dicka. Collis i dwaj karabinierzy czekali, aż coś się wydarzy. Jedyńm zdolnym do patrzenia okiem Dick obserwował karabinierów; trudno było obwiniać tych toskańskich chłopów o dziwnych ustach z krótką górną wargą o bestialstwa minionej nocy. Jednego z karabinierów Dick posłał po piwo.

Po szklance piwa doznał iluminacji i ostatnie przejścia zobaczył przez chwilę w innym świetle, zaprawiwszy je porcją sardonicznego humoru. Collis podejrzewał młodą Angielkę, że miała coś wspólnego z katastrofą, lecz Dick nie miał wątpliwości: zniknęła dużo wcześniej. Collisowi wciąż nie dawała spokoju myśl, że panna Warren widziała go nagiego w łóżku.

Wściekłość Dicka nieco przygasła; dławiło go poczucie kolosalnego, zbrodniczego braku odpowiedzialności. Spowodował coś okropnego, teraz – trudno i darmo – już nic się nie zmieni, chyba że zdołałby to zdusić, wypchnąć z pamięci, co mało prawdopodobne; zatem Dick był niepokieszony. Od tej pory będzie kim innym, a w tym oplakanym stanie tylko mgliście wyobrażał sobie kim. Kryło się w tej sprawie coś nieosobowego, jak palec boży. Żaden dojrzały Aryjczyk nie potrafi czerpać korzyści z upokorzenia; przebaczenie – jeśli przebacza – staje się częścią jego życia, on sam utożsamia się z tym, co go upokorzyło; w tej sprawie taki wynik nie wchodzi jednak w rachubę.

Collis napomknął o odpłacie, lecz Dick w milczeniu pokręcił głową. Kiedy wkroczył do pomieszczenia porucznik – odprasowany, wypucowany, pełen energii jak wsadzony na sto koni – karabinierzy zerwali się i stanęli na baczność. Porwał pustą butelkę po piwie i brawurowo zwymyślał podwładnych. Wniósł nowego ducha, a zaczął od pozbycia się z wartowni butelki. Dick spojrzał na Collisa i się roześmiał.

Przybył wicekonsul, przepracowany młody człowiek nazwiskiem Swanson, i wyruszyli do sądu: Dick z Collisem i Swansonem po bokach, a zaraz z tyłu dwaj karabinierzy. W mglisty, żółtawy ranek zaludniły się już place i podcienia; Dick nasunął na oczy kapelusz i spieszenie maszerując, narzucił szybkie tempo, aż krótkonogi karabinier podbiegł i zaprotestował. Swanson wylał oliwę na fale.

– Narobiłem wam wstydu, co? – wesóło spytał Dick.

– O mało pan nie zginął w bijatyce z Włochami – z zakłopotaniem odparł Swanson. – Tym razem pewnie pana puszczą, ale gdyby pan był Włochem, szkoda gadać, miałby pan jak w banku parę miesięcy paki.

– Siedział pan kiedyś w więzieniu?

Swanson roześmiał się.

– Lubię go – tym oświadczeniem Dick zaszczyił Claya. – To przesympatyczny młody człowiek, który pierwszorzędnie służy radą, założę się jednak, że siedział. Zapewne parę tygodni za jednym zamachem.

Swanson znów się roześmiał.

– Rzecz w tym, że trochę ostrożności nie zawadzi. Pan nie zna tych ludzi.

– Ależ znam, znam – przerwał zirytowany Dick. – Cholerni śmierdziele i tyle. – Obrócił się do karabinierów. – Łapiecie, o co chodzi?

– Tu pana zostawiam – spieszenie odezwał się Swanson. – Uprzedziłem pańską szwagierkę... Na górze, w sali rozpraw przywita pana nasz prawnik. I niech pan będzie ostrożny.

– Do widzenia. – Dick grzecznie wymienił uścisk dłoni. – Dziękuję bardzo. Sądzę, że czeka pana nie lada przyszłość...

Uśmiechnąwszy się raz jeszcze, Swanson szybko się ulotnił, niezwłocznie przybierając minę urzędową, świadczącą o zgorszeniu.

Weszli na dziedziniec, gdzie na górę do sal sądowych wiodły ze wszystkich czterech stron zewnętrzne schody. Na dziedzińcu roilo się od gapiów, którzy na widok Dicka kroczącego po kamiennych płytach zaczęli buczeć i syczeć, a ów pomruk wyrażał wściekłość i pogardę. Dick rozejrzał się.

– O co tu chodzi? – zapytał przerażony.

Jeden z karabinierów przemówił do grupy mężczyzn, którzy ucichli.

Weszli do sali rozpraw. Sterany włoski adwokat z konsulatu długo wywodził coś sędziemu, tymczasem Dick z Collisem czekali z boku. Ktoś władający angielskim odwrócił się od okna wychodzącego na dziedziniec i wytłumaczył, skąd wziął się pomruk podczas przejścia Dicka. Tego właśnie ranka miał zostać doprowadzony przed sąd mężczyzna z Frascati, który zgwałcił i zamordował pięcioletnie dziecko; tłum wziął Dicka za niego.

Po paru minutach adwokat powiadomił, że Dick jest wolny; sąd uznał, że to, co Dicka spotkało, wystarczy jako kara.

– Wystarczy? – wykrzyknął Dick. – A ta kara to za co?

– Chodźmy – powiedział Collis. – Teraz już nic nie wskórasz.

– Co takiego zrobiłem? Raptem pobiłem się z paroma taksówkarzami, no i co?

– Oni się tu zarzekają, że podszedłeś do detektywa, jakbyś chciał podać mu rękę, tymczasem walnąłeś człowieka...

– Nieprawda! Zapowiedziałem, że oberwie, że mu wysprzątam facjatę... Skąd miałem wiedzieć, że to detektyw?

– Lepiej już chodźmy – popędzał adwokat.

– Chodź stąd. – Collis wziął Dicka pod ramię i zaraz znaleźli się na schodach.

– Chcę wygłosić mowę! – krzyczał Dick. – Chcę opowiedzieć tym ludziom, jak zgwałciłem pięcioletnią dziewczynkę. Bo może zgwałciłem...

– Chodźmy.

Baby czekała z lekarzem w taksówce. Dick nie chciał oglądać Baby, doktor też mu nie przypadł do gustu; surowy sposób bycia zdradzał, że to przedstawiciel najmniej ujmującego europejskiego

gatunku: śródziemnomorski moralizator. Dick zrekapitulował swą teorię katastrofy, lecz nikt nie zamierzał dyskutować. W Quirinale, w hotelowym pokoju doktor zmył z twarzy Dicka resztę krwi i zaschniętego potu, nastawił nos, pęknięte żebra i palce, zdezynfekował pomniejsze rany, na oko nałożył zaś opatrunek, świadczący o nie najgorszych rokowaniach. Dick poprosił o ćwierć grama morfiny, bo jeszcze nie zmrużył oka, wciąż pełen energii, nadpobudliwy. Po morfinie zasnął, doktor i Collis poszli, a Baby czekała, aż zjawi się zamówiona pielęgniarka z angielskiej kliniki. Była to ciężka noc, owszem, lecz Baby czuła się teraz ukontentowana. Bez względu na dotychczasowy katalog dokonań Dicka Warrenowie zdobyli nad nim moralną przewagę, przydatną tak długo, jak długo przydatny okaże się sam Dick.

KSIĘGA
TRZECIA



I

Frau Kaethe dogoniła męża na ścieżce przed willą Gregoroviusów.

– Jak się czuje Nicole? – zagadnęła delikatnie, chociaż zadyszka i brak tchu świadczyły, że biegła z tym pytaniem.

Franz spojrział na nią zdumiony.

– Nicole nie jest chora. Skąd ci to przyszło do głowy, kochanie?

– Tak często ją odwiedzasz... Pomyślałam, że coś się z nią dzieje.

– Porozmawiajmy w domu.

Potulnie przytaknęła. Gabinet Franza mieścił się gdzie indziej, w budynku administracyjnym, salon w willi okupowały dzieci z nauczycielką, poszli więc do sypialni. Zanim Franz zdążył się odezwać, Kaethe zaczęła:

– Wybacz, Franz, nie mam prawa tego mówić; wybacz, kochany. Znam swoje obowiązki, jestem z nich dumna. Ale patrzymy na siebie wilkiem, Nicole i ja.

– W swych gniazdkach ptaki żyją w zgodzie – zagrzemiał Franz. Potem uznał, że ton kłóci się z treścią, więc powtórzył maksymę w rytmie powolnym i świadczącym zarazem o przemyśleniach; w ten sposób profesor Dohmler, dawny mistrz Franza, dodawał głębi wyświechtanym banałom. – W swych gniazdkach... ptaki... żyją... w zgodzie!

– Wiem. Jesteś świadkiem, że nigdy nie byłam wobec niej niegrzeczna.

– Zdobądź się na trochę zdrowego rozsądku. Nicole to poniekąd pacjentka i pewnie kimś takim zostanie do końca życia. Odpowiadam za nią pod nieobecność Dicka. – Zawahał się, bo czasem ukrywał nowiny przed żoną, uważając to za niewinną zabawę. – Rano dostałem depezę z Rzymu. Dick nabawił się grypy i wraca jutro do domu.

– Moim zdaniem Nicole nie jest taka chora, jak się zdaje... – spokojniejsza już Kaethe ciągnęła z mniej widocznym zaangażowaniem. – Chucha na tę chorobę, bo to instrument władzy. Powinna grać w filmach, jak twoja Norma Talmadge... Każdą Amerykankę kino uszczęśliwi.

– Jesteś zazdrosna o kobietę z ekranu, o Normę Talmadge?

– Nie lubię Amerykanów. To egoiści. E...go...iś...ci.

– A Dicka?

– Owszem, jego lubię – przyznała. – Nie jest taki. Myśli o innych. Podobnie Norma Talmadge, pomyślał Franz. Musi być wspaniałą szlachetną istotą, kobiecie powab nie ma tu nic do rzeczy. Każą jej grywać głupie role, fakt, lecz poznać Normę Talmadge to byłby wielki zaszczyt.

Kaethe przestała już myśleć o Normie Talmadge, roziskrzonym cieniu, który tak ją rozzłościł w samochodzie, kiedy wracali z jakiegoś wieczornego seansu w Zurychu.

– ...Dick się ożenił z Nicole dla pieniędzy – orzekła. – Tutaj tkwi jego słabość. Sam kiedyś o tym napomknąłeś.

– To już podłe.

Kaethe zrejterowała.

– Za dużo powiedziałam, zgoda. Musimy żyć jak ptaszęta. Lecz to nie jest proste, skoro Nicole tak się zachowuje... Ona się cofa, chyba wstrzymuje oddech... Jakby... jakby ode mnie było czuć.

Kaethe nie minęła się z prawdą. Większość prac w domu wykonywała sama, do tego oszczędna, kupowała niewiele odzieży. Zwykła amerykańska ekspedientka, która co wieczór pierze dwie zmiany bielizny, zwróciłyby zaraz uwagę na rozsiewany przez Kaethe zapaszek wczorajszego potu; nie tyle woń, ile przypomnienie o wiekuistości trudu i gnicia przyprawione amoniakiem. Dla Franza było to tak naturalne jak ciężki, mocny zapach włosów Kaethe, brak jednego bądź drugiego odczułby na równi; natomiast dla Nicole – którą już w kołysce brzydził zapach palców ubierającej ją niańki – była to właściwość rażąca, nie do zniesienia.

– A dzieci? – ciągnęła Kaethe. – Nicole nie lubi, kiedy się bawią z naszymi...

Lecz Franz już dosyć się nasłuchał.

– Ugryź się w język – powiedział. – Takie gadanie może mi tylko zaszkodzić w zawodowych sprawach. Mamy tę klinikę dzięki pieniądzom Nicole. Chodźmy na lunch.

Kaethe zdała sobie sprawę, że wybuch dowiódł braku rozsądku. Natomiast ostatnia uwaga Franza na coś ją naprowadziła. Innym Amerykanom też nie brak funduszy. W tydzień później Kaethe już inaczej wyraziła swą niechęć do Nicole.

Pretekstem była kolacja, na którą zaprosili Diverów z okazji powrotu Dicka. Ledwie na ścieżce ucichły kroki wychodzących gości, Kaethe zamknęła drzwi i odezwała się do Franza:

– Widziałeś te podbite oczy? Te podkowy? Pamiątki po pijatyce!

– Nie tak ostro – zarządził Franz. – Zaraz po powrocie Dick mi o wszystkim opowiedział. Boksował na transatlantyku. Boks podczas rejsu to popularna rozrywka Amerykanów.

– Mam w to uwierzyć? – szdyżła. – Nie może poruszyć ręką bez bólu, na skroni ma niezagojoną bliznę, chyba zauważyłeś, wystrzygli mu tam włosy.

Franz nie dostrzegł jednak tych szczegółów.

– I co ty na to? – Kaethe domagała się odpowiedzi. – Myślisz, że takie historie pomogą klinice? Czuć od niego alkohol, nie tylko dziś wieczorem, ale już wcześniej i to nie raz, od kiedy wrócił. – Ściszyła głos świadoma wagi tego, co powie: – Dick przestał być kimś poważnym.

Franz wspiał się na schody i wzruszył ramionami, jakby chciał strząsnąć zawziętość Kaethe. W sypialni napadł na żonę:

– Dick jest człowiekiem poważnym i bajecznie utalentowanym, tu nie ma cienia wątpliwości. Spośród wszystkich, którzy w ostatnich latach ukończyli neuropatologię w Zurychu, Dicka uznano za najzdolniejszego; ja mogę tylko pomarzyć o jego talentach.

– Wstydziłbyś się!

– Taka jest prawda. To byłby dopiero wstyd, gdybym udawał, że jest inaczej! Szukam pomocy Dicka we wszystkich trudnych przypadkach. W naszej dziedzinie jego prace to wciąż podstawa... Idź do pierwszej lepszej biblioteki medycznej i zobacz. Większość studentów uważa go za Anglika, bo nie podejrzewają Amerykanina o taką gruntowność ani wnikliwość. – Stęknął bez skrępowania, kiedy wyciągał spod poduszki piżamę. – Nie mogę pojąć, skąd ci się to bierze, Kaethe. Myślałem, że go lubisz.

– Wstydziłbyś się! – powtórzyła. – Jesteś solidny. Ciężko pracujesz. To w sumie historia o żółwiu i zającu, a moim zdaniem zając już nie ma siły pędzić.

– Szz! Szz!

– W porządku, jak chcesz. Ale to prawda.

Machnął dłonią, jakby uciszał wiatr.

– Przestań!

W rezultacie zamienili się w tym sporze punktami widzenia.

Kaethe uznała, że jest zbyt surowa wobec Dicka, którego uwielbiała, wobec którego żywiła nabożny podziw, a który jej okazywał tyle wyrozumienia i tak ją umiał docenić. Natomiast Franz – kiedy minęło dość czasu, by oceny Kaethe mogły się głębiej zagnieździć w jego świadomości – przestał widzieć w Dicku kogoś poważnego. A jeszcze później Franz sam siebie przekonał, że od początku był tego zdania.

II

Dick na użytek Nicole wyretuszował rzymską katastrofę. Rzekomo śpieszył na ratunek zalanemu koledze, niejako z misją dobroczynną. Mógł ufać Baby Warren, że ta się nie wygada; dostatecznie barwnie i dramatycznie przedstawił, co się stanie, jeśli Nicole dowie się prawdy. To wszakże była fraszka w porównaniu z następstwami zdarzenia niestrudzenie nękającymi samego Dicka.

Narzucił sobie morderczy reżim pracy, przez co skłonny do zerwania Franz nie mógł znaleźć żadnego pretekstu do sporu. Nie da się w ciągu godziny zerwać prawdziwej przyjaźni, nie wypalając żywym ogniem tego, co może zboleć, zatem Franz coraz chętniej, z rosnącym przekonaniem wmawiał już sobie, że Dick zawrotnym tempem swych przygód intelektualnych i uczuciowych przyprawia go o rozstrój, rozdygotanie, słowem, szkodzi Franzowi to, co wcześniej uważał za zalety Dicka. Taniemu widowisku przystoi tani kostium.

Dopiero w maju Franz znalazł okazję do wbicia pierwszego klina. Błady, zmordowany Dick wszedł w południe do gabinetu i powiedział:

- Już po wszystkim.
- Nie żyje?
- Serce nie wytrzymało.

Dick siedział przy drzwiach, miał dosyć. Przy okrytej strupami bezimiennej artystce, którą pokochał, spędził ostatnie trzy noce; w zasadzie doglądał podawania adrenaliny, w istocie zaś chciał rzucać tyle nikłego światła w nadciągający mrok, ile zdoła.

Nie całkiem rozumiejąc jego uczucia, Franz szybko przeskoczył do diagnozy.

– Neurosyfilis. To wynikało ze wszystkich prób Wassermanna, które zrobiłem. Płyn mózgowo-rdzeniowy...

– Wszystko jedno – przerwał Dick. – Na Boga, to nie ma znaczenia! Skoro tak bardzo chciała zabrać do grobu tę tajemnicę, to niech już tak zostanie.

– Powinieneś odetchnąć, weź sobie wolny dzień.

– Nie martw się. Pewnie wezmę.

I oto Franz miał już swój klin. Spojrzał sponad depechy pisanej właśnie do brata zmarłej i zapytał:

– Chyba że masz ochotę na mały wypad?

– Nie teraz.

– Nie chodzi o wakacje. Jest przypadek w Lozannie. Całe rano zeszło mi na wysłuchiwanie telefonu pewnego Chilijczyka...

– Była dzielna jak diabli – rzekł Dick. – A to tak długo trwało.

Franz pokiwał głową ze współczuciem, Dick wziął się w garść.

– Przepraszam, przerwałem ci.

– Chodzi o ojcowskie problemy z synem. Dla ciebie odmiana. Ojciec nie może przywieźć chłopca, chce, żeby ktoś przyjechał.

– A co to za historia? Skoro mówisz, że w Lozannie... Alkohol? Homoseksualizm?

– Wszystkiego po trosze.

– Pojadę. Widzisz w tym jakieś pieniądze?

– Furę pieniędzy, tak bym to ujął. Posiedzisz w Lozannie, powiedzmy, dwa, trzy dni i ściągniesz chłopca, jeśli wymaga opieki. W

każdym razie nie śpiesz się, odetchnij, połącz przyjemne z pożytecznym.

Po dwóch godzinach snu w pociągu Dick poczuł się jak nowo narodzony i w doskonałym nastroju przystąpił do lekarskiego wywiadu z señorem Pardo y Cuidad Real.

Takie rozmowy przebiegały typowo. Czystej wody histeria przedstawiciela rodziny bywała często równie zajmująca jak sam przypadek i stan pacjenta. Podobnie było tym razem. Przystojny szpakowaty Hiszpan szlachetnej postury, wyposażony we wszystko, co świadczy o bogactwie i władzy, słowem, señor Pardo y Cuidad Real miotał się od ściany do ściany apartamentu w Hôtel de Trois Mondes, a synowską historię przedstawił z umiarem godnym pijanej kobiety.

– Naprawdę już nie wiem, co robić, nic nie przychodzi mi do głowy. Mój syn jest zepsuty. Psuto go w Harrow, psuto w King's College w Cambridge. Został nieodwracalnie zepsuty. Dochodzi do tego picie, które coraz wyraźniej ujawnia, kim on jest, więc w sumie skandal goni skandal. Próbowałem wszystkiego... Z zaprzyjaźnionym lekarzem coś wymyśliłem i wyprawilem obu w podróż po Hiszpanii. Chłopak co wieczór dostawał zastrzyk kantarydy, a potem szli razem do pierwszorzędnego burdelu... Przez tydzień można się było łudzić, że to działa; w istocie nie poskutkowało, nic a nic. Wreszcie w zeszłym tygodniu tu, w tym pokoju, a ściślej w tej łazience – wskazał drzwi – kazałem Franciscowi rozebrać się do pasa i po prostu go wybatożyłem...

Podniecenie odjęło mu siły i usiadł. Teraz odezwał się Dick:

– Rozumne to nie było... Podobnie wyprawa do Hiszpanii, zupełnie niepotrzebna... – Dick starał się ukryć wzbierającą wesołość. Otóż cieszący się przyzwoitą opinią lekarz dał się najać do isticie znachorskiego eksperymentu! – Señor, muszę wyjaśnić, że w

przypadkach tego rodzaju nie możemy nic przyrzec. Co innego, kiedy chodzi o picie; w tej mierze stać nas na to i owo, pod warunkiem należytej współpracy. Wpierw trzeba spotkać się z chłopcem i pozyskać jego zaufanie, sprawdzić, na ile sam się wgłębia w zagadnienie.

Przystojny dwudziestolatek, z którym Dick siedział na tarasie, był czujny.

– Ciekaw jestem, jak się pan na to wszystko zapatruje – powiedział Dick. – Czy sądzi pan, że sytuacja się pogarsza? Czy ma pan zamiar coś z tym zrobić?

– Chyba tak – odrzekł Francisco. – Bo jestem bardzo nie-szczęśliwy.

– Z powodu picia czy bycia wyjątkiem od reguły? Jak pan sądzi?

– Mam wrażenie, że za pierwszą sprawą, za picciem, kryje się ta druga. – Przez chwilę znać było po nim powagę, lecz nagle wziął górę żywioł żartu, chłopak roześmiał się i powiedział: – Beznadziejna historia. W Kings byłem znany jako królowa: Królowa Chile. A wyprawa do Hiszpanii... Tylko tyle z niej wynikło, że teraz na widok kobiet robi mi się niedobrze.

– Jeśli uszczęśliwia pana ten chaos – przerwał ostro Dick – to nie potrafię panu pomóc, marnuję tylko czas.

– Nie, nie, porozmawiajmy... Zazwyczaj tak gardzę innymi... – W jakiejś mierze chłopcu nie brakowało męstwa, które przemienił w czynny opór wobec ojca. Miał jednak w oczach ów charakterystyczny szelmowski błysk, który zdobi homoseksualistów w czasie dysputy na ich temat.

– W najlepszym razie to się sprowadzi do kamuflażu – powiedział Dick. – Spędzi pan całe życie na maskowaniu się, ponoszeniu

konsekwencji maskowania, aż w końcu zabraknie panu sił na jakiegokolwiek przyzwoite działanie w społeczności. Jeśli chce się pan zmierzyć ze światem, to musi pan okiełznać własną zmysłowość... A w pierwszym rzędzie uporać się z piciem, czyli zapalnikiem...

Mówił machinalnie; od dobrych paru minut przypadek przestał go obchodzić. Jeszcze przez godzinę mile rozprawiali o ambicjach chłopca, o jego domu w Chile. Nigdy wcześniej Dick tak się nie zbliżył do rozumienia podobnego charakteru od strony, która nie ma nic wspólnego z psychopatologią; przypuszczał, że właśnie wdzięk umożliwia chłopcu popełnianie drastycznych wybryków, Dick zaś postrzegał zawsze wdzięk jako byt samoistny, wszystko jedno, czy chodzi o szaleńczą elegancję nieszczęśnicy zmarłej dziś rano w klinice, czy o śmiałość i grację, którą ów młody straceniec wnosi do wątku starego jak świat i nudnego. Dick próbował rozkruszyć wdzięk na najmniejsze drobiny zdatne do przechowania, chociaż zdawał sobie sprawę, że życie w swej pełni to jakość zapewne różna od cząstek, z których się składa; przypuszczał też, że do życia kogoś po czterdziestce można mieć dostęp najwyżej fragmentaryczny, wgląd tylko wyrywkowy. W zdruzgotanym powojennym wszechświecie w miłości Dicka do Nicole i Rosemary, w przyjaźni z Abe'em Northern, Tommym Barbanem wydawało się koniecznością brać wszystko lub nic – a miał wrażenie, że osobowości w tych związkach tak napierają na niego, tak się doń zbliżają, że je od innych zapożycza – więc został właściwie skazany na dźwiganie przez resztę życia ego pewnych ludzi, tych wcześniej poznanych i wcześniej pokochanych, jakby miał dojrzeć i spełnić się w takiej tylko mierze jak oni. A wszystko to przenikał jeszcze żywioł samotności, bo jakże łatwo brać miłość i jakże trudno kochać.

Dick siedział jeszcze na werandzie z młodym Franciskiem, kiedy zza krzewów wychynęło widmo przeszłości. Wysoki, dziwnie rozkołysany mężczyzna podszedł z wahaniem do stolika. Przez chwilę wydawał się jakąś pełną skruchy i nadziewaną usprawiedliwieniami częścią tętniącego życiem krajobrazu, Dick zaś właściwie

go nie zauważył. Dick potem wstał, rozkojarzony wymienił uścisk dłoni, myśląc: „Boże, chyba wetknąłem kij w gniazdo os!” i usiłował przypomnieć sobie nazwisko mężczyzny.

– Nie myślę się, doktor Diver?

– To ja... Pan Dumphry, prawda?

– Royal Dumphry. Niegdyś miałem przyjemność być na kolacji w pańskim prześlicznym ogrodzie.

– Tak jest, oczywiście. – Chcąc ostudzić entuzjazm pana Dumphry’ego, Dick wdał się w chronologię, strefę niezbyt intymną. – To było w tysiąc dziewięćset... dwudziestym czwartym... albo dwudziestym piątym....

Wciąż stał, lecz Royal Dumphry, wpierw tak nieśmiały, teraz nie tracił czasu. Zwrócił się do Francisca nonszalancko, w sposób zdradzający zażyłość. Tymczasem zawstydzony chłopak próbował, jak Dick, zniechęcić pana Dumphry’ego.

– Panie doktorze... zanim pan odejdzie, chciałbym powiedzieć jedno. Nigdy nie zapomnę wieczoru w pańskim ogrodzie ani tego, jacy byliście nadzwyczajni, pańska żona i pan. To może najpiękniejsze wspomnienie mego życia, wspomnienie jednej z najszcześniejszych chwil. Nigdy nie uczestniczyłem w spotkaniu o takim poziomie kultury i do dzisiaj nie zmieniłem zdania.

Dick rakiem sunął w stronę najbliższych drzwi.

– Miło mi, że tak dobrze pan to wspomina. Teraz muszę się zobaczyć z...

– Rozumiem – przerwał Royal Dumphry tonem współczucia. – Słyszałem, że jest umierający.

– Kto?

– Może nie powinienem mówić... Lecz mamy tego samego lekarza.

Zdumiony Dick wpatrywał się w pana Dumphry ego.

– O kim pan mówi?

– O kim? O pańskim teściu... Być może...

– Słucham?

– Czyżbym pierwszy...?

– Mówi pan, że ojciec mojej żony jest tu, w Lozannie?

– Myślałem, że pan wie... Sądziłem, że dlatego pan tu przyjechał...

– Co za lekarz się nim opiekuje?

Dick nagryzmolił w notesie nazwisko, przeprosił i pomknął do budki telefonicznej.

Tak jest, doktor Dangeu chętnie przyjmie doktora Divera, u siebie w domu, choćby zaraz.

Dangeu był młodym genewczykiem. Przez chwilę obawiał się, że traci zamożnego pacjenta, lecz Dick go uspokoił, a wtedy Dangeu wyjawiał, że Warren naprawdę umiera.

– Ma zaledwie pięćdziesiątkę, ale wątroba odmówiła już posłuszeństwa; alkoholizm przyspieszył zwyrodnienie.

– I na nic nie reaguje?

– Przyjmuje tylko płyny. Moim zdaniem to kwestia trzech dni. Najwyżej tygodnia.

– Czy w sytuacji orientuje się panna Warren, jego starsza córka?

– Nikt nic nie wie, prócz służącego, na wyraźne życzenie pacjenta. Dopiero dziś rano uznałem, że czas powiedzieć, jak stoją sprawy. Przejął się, pewnie, lecz od początku choroby wydaje się tyleż zrezygnowany, ile zatopiony w pobożności.

Dick zastanawiał się.

– Cóż... – Po chwili podjął decyzję. – Wystąpię wobec tego w imieniu rodziny. Oni zaś, sądzą, życzyliby sobie konsylium.

– Jak pan uważa.

– Jestem przekonany, że na moim miejscu poprosiliby pana o sprowadzenie najlepszego specjalisty w tych stronach, Herbruggego z Genewy.

– Właśnie myślałem o Herbruggem.

– Na razie zostanę tu przynajmniej dobie; bądźmy w kontakcie. Wieczorem Dick wybrał się na rozmowę do señora Pardo y Ciudad Real.

– W Chile mamy znaczne posiadłości – zwierzał się starszy pan. – Syn mógłby nimi zarządzać. Mógłbym go ulokować w dużym przedsiębiorstwie w Paryżu, wybrałby sobie z kilkunastu... – Kręcił głową i chodził od okna do okna, za którymi wiosenny deszcz padał tak radośnie, że niczym niespeszone łabędzie ani myślały się chować. – Mój syn, jednak! Nie może go pan zabrać?

Hiszpan ukląkł przed Dickiem.

– Nie może pan uleczyć mego jedynaka? Wierzę w pana, przecież pan może go zabrać, uzdrowić.

– To za mało, żeby kogoś zamknąć w zakładzie. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł.

Hiszpan wstał.

– Może przesadziłem... Dostaje już przez to...

Zjeżdżając do holu, Dick natknął się w windzie na doktora Dangeu.

– Właśnie miałem do pana dzwonić – powiedział Dangeu. – Może porozmawiamy na tarasie?

– Pan Warren zmarł? – spytał Dick.

– Stan się nie zmienił... konsylium jutro rano. Tymczasem koniecznie chce zobaczyć córkę... pańską żonę... wyraźnie się uparł... W przeszłości był chyba jakiś spór...

– Wiem, o co chodzi.

Lekarze namyślali się, patrząc na siebie.

– A może pan z nim porozmawia, zanim podejmie pan decyzję?
– zaproponował Dangeu. – On umrze elegancko... jest coraz słabszy, zatoni sam w sobie, zaniknie.

Dick przemógł się i przystał na propozycję.

– Chodźmy.

Devereux Warren elegancko słabł, tonął i zanikał w apartamencie tych samych rozmiarów co apartament señora Pardo y Ciudad Real; w hotelu nie brakowało obszernych pomieszczeń, w których bogate wraki, uciekinierzy spod ręki sprawiedliwości, pretendenci do tronów w zmediatyzowanych niemieckich księstwach żyli zacządeni opiatami, barbituranami i bezustannie słuchali – jak radia, przed którym nie sposób uciec – ochrypłego śpiewu starych grzechów. Ten zakątek Europy nie tyle przyciąga ludzi, ile przygarnia bez zadawania kłopotliwych pytań. Tu krzyżują się drogi tych, którzy zmierzają do sanatoriów czy uzdrowisk przeciwgruźliczych, i tych, których we Włoszech czy Francji już przestano uważać za *personne gratae*.

W apartamencie panował półmrok. Zakonnica o twarzy świętej doglądała mężczyzny przykrytego białym prześcieradłem, ten zaś wynędzniałymi palcami przebierał paciorki różańca. Wciąż był przystojny, a kiedy się odezwał – doktor Dangeu zostawił Warrena i Dicka samych – w głosie brzmiał jeszcze ów pomruk, ślad dawnego temperamentu.

– U schyłku życia sporo już rozumiemy. Dopiero teraz, doktorze Diver, naprawdę pojmuję, jak to wszystko wyglądało.

Dick czekał.

– Byłem złym człowiekiem, to prawda. Właściwie nie mam prawa raz jeszcze spojrzeć na Nicole, chociaż Ten Większy od nas obu każe przebaczać i uczy miłosierdzia. – Różaniec wypadł z osłabłych rąk i po gładkiej pościeli zsunął się na podłogę. Dick podniósł go i oddał Warrenowi. – Gdybym mógł dziesięć minut spędzić z Nicole, odszedłbym z tego świata szczęśliwy.

– Nie mogę o tym decydować sam – odrzekł Dick. – Nicole nie jest w najlepszym stanie. – Już podjął decyzję, ale udawał wahanie. – Muszę sprawę omówić z kolegą lekarzem.

– Cokolwiek postanowi, przyjmę to... dobrze, doktorze. Powiem tylko, że zaciągnąłem u ciebie dług tak wielki...

Dick szybko wstał.

– Przekażę wiadomość przez doktora Dangeu.

Z pokoju hotelowego zadzwonił do kliniki nad Zugersee. Po dłuższym wyczekiwaniu usłyszał Kaethe; słuchawkę podniosła u siebie w willi.

– Chcę porozmawiać z Franzem.

– Wybrał się w góry. Zaraz do niego jadę... Dick? Mam coś przekazać Franzowi?

– Chodzi o Nicole... Tutaj w Lozannie umiera jej ojciec. Powtórz to Franzowi, powinien zrozumieć, że to ważne. Poproś, żeby do mnie zadzwonił.

– Dobrze.

– Powiedz, że będę czekał w pokoju od trzeciej do piątej, a potem od siódmej do ósmej; a jeśli później, to niech poprosi, żeby posłano po mnie do jadalni.

Wyliczając godziny, zapominał dodać, że Nicole nie może się o niczym dowiedzieć, lecz kiedy sobie przypomniał, w słuchawce już zapadła cisza. Zresztą Kaethe sama powinna się zorientować.

...W pociągu – wspinającym się na opustoszałe ukwiecone wzgórze, dyskretnie omiatane wiatrem, na które zimą zabierano pacjentów na narty, a latem na wypady w góry – Kaethe rzeczywiście nie zamierzała nic mówić Nicole o telefonie Dicka. Wsiadając z wagonu, dostrzegła Nicole, która dyrygowała głośną dziecięcą zabawą. Kaethe podeszła, delikatnie ujęła pod ramię Nicole i powiedziała:

– Masz zmysł do zajmowania się dziećmi. Latem musisz to bractwo podciągnąć w pływaniu.

Zgrzały się podczas harców, więc Nicole machinalnie uwolniła ramię z uścisku Kaethe, lecz odruch mógł się wydać niegrzeczny. Ręka Kaethe niezgrabnie zawisła w powietrzu i opadła, a sama Kaethe zrewanżowała się słowami, w sposób godny pożalowania.

– Myślisz, że chciałam cię objąć? – napadła na Nicole. – To przez Dicka, bo rozmawiałam z nim przez telefon i zmartwiłam się...

– Coś się stało?

Kaethe nagle zrozumiała, jaki popełnia błąd, skoro jednak obrała kurs obcesowy, uznała, że nie ma wyboru i musi odpowiedzieć na powtarzane przez Nicole pytanie:

– Dlaczego się zmartwiłaś?

– Nie chodzi o Dicka. Muszę porozmawiać z Franzem.

– Tu chodzi o Dicka.

Przestrach wtargnął na twarz Nicole, tuż obok widać było zaniepokojone buzie dzieci. Kaethe skapitulowała.

– Twój ojciec leży chory w Lozannie, a Dick chce o tym porozmawiać z Franzem.

– Poważnie chory? – wypytywała Nicole.

Tymczasem atmosfera ociepliła się, bo nadszedł Franz, jego lekarskie obycie zrobiło swoje, Kaethe mogła zaś odetchnąć z wdzięcznością i obarczyć kłopotem męża. Lecz już się stało; szkody nie mogli odwrócić.

– Wyjeżdżam do Lozanny – oznajmiła Nicole.

– Minutkę – powstrzymał Franz. – Nie wiem, czy tak będzie najlepiej. Wpierw muszę porozmawiać z Dickiem.

– Ucieknie mi powrotny pociąg – protestowała Nicole – a wtedy ucieknie mi ten o trzeciej z Zurychu! Jeżeli ojciec umiera, to muszę... – Urwała i pozwoliła wybrzmieć słowom, lękając się tego, co niosa. – Muszę jechać. Muszę zdążyć na pociąg. – Mówiąc to, już biegła, bo na wierzchołku nagiego wzgórza pojawił się jak korona rząderek jednakowych wagonów, spowitych w kłęby pary głośno buchającej z lokomotywy. Rzuciła jeszcze przez ramię: – Franz, kiedy zadzwonisz do Dicka, powiedz mu, że już jadę!

...Dick czytał „New York Herald” kiedy do hotelowego pokoju wpadła zdyszana jaskółkopodobna zakonnica; w tej samej chwili rozdzwonił się telefon.

– Umarł? – Dick zapytał z nadzieją w głosie.

– *Monsieur, il est parti...* Wyjechał.

– *Comment?*

– *Il est parti;* gdzieś przepadł, a razem z nim bagaże. Niewiarygodne. Człowiek w tym stanie podnosi się z łóżka i wyjeżdża.

Dick odebrał telefon; dzwonił Franz.

– Nie powinieneś zawiadamiać Nicole – poskarżył się Dick.

– To Kaethe się wygadała. Bardzo niemądrze.

– Chyba to moja wina. Zanim załatwi się sprawę, trzeba przy kobietach trzymać język za zębami. Tak czy inaczej, zobaczę się z Nicole... Franz, posłuchaj, tu się dzieje coś nie z tej ziemi; starszy pan wziął łóżko na plecy i odmaszerował...

– Że co? Co ty opowiadasz?

– Mówię, że wyszedł... Że stary Warren sobie odmaszerował!

– Ale co w tym dziwnego?

– Był umierający, rzekomo z powodu wyniszczenia organizmu... Wstał i poszedł, pewnie z powrotem do Chicago... Nie wiem, jest tu pielęgniarka... Nie wiem, Franz, dowiedziałem się w tej chwili... Zadzwoń później.

Bez mała dwie godziny strawił na odtwarzaniu manewrów Warrena. W porze zmiany pielęgniarek – odejścia dziennej i nadejścia nocnej – pacjent skorzystał z okazji i wymknął się do baru, gdzie wlał w siebie cztery porcje whisky; rachunek hotelowy uregulował tysiąc dolarówką, poprosił w recepcji, żeby resztę przesłano pocztą, a potem odjechał, prawdopodobnie do Ameryki, Dick i Dangeu biegiem puścili się na dworzec, żeby w ostatniej chwili zatrzymać pacjenta, z czego wynikło tyle, że Dick na dworcu minął się z Nicole. Kiedy spotkali się potem w hotelowym holu, nagle wydała się zmęczona, a zaciśnięte wargi zaniepokoiły Dicka.

– Co z ojcem? – spytała.

– Ma się dużo lepiej. Wygląda na to, że ma spory zapas sił. – Zawahał się i wreszcie rzucił jakby mimochodem: – Prawdę mówiąc, wstał i wyjechał.

Miał ochotę się napić, poszukiwania i pogoń wypadły w porze kolacji, poprowadził więc zdumioną Nicole do baru, gdzie usiedli w klubowych fotelach. Dick, zamówiwszy whisky z wodą sodową i piwo, ciągnął:

– Jego lekarz postawił fałszywą diagnozę albo się pomylił, nie wiem... Poczekaj chwilę, nawet nie miałem czasu porządnie się zastanowić.

– Ojciec wyjechał?

– Wieczornym pociągiem do Paryża.

Siedzieli bez słowa. Bezbrzeżna, naznaczona tragizmem apatia ogarnęła Nicole.

– To instynkt – orzekł w końcu Dick. – Naprawdę umierał, ale widocznie próbował znowu wpaść w rytm... Nie on pierwszy wstał z łoża śmierci... To jak ze starym zegarem... Potrząśniesz, a ten z czystego przyzwyczajenia rusza i znowu tyka. Teraz twój ojciec...

– Nic już nie mów – przerwała.

– U niego najważniejszą sprężyną jest lęk – ciągnął. – Przestraszył się i umknął. Jeszcze dożyje dziewięćdziesiątki...

– Proszę, przestań już mówić – powtórzyła. – Proszę, bo już nie mogę; nie zniosę tego.

– W porządku. Więc półdiabłem, do którego tu przyjechałem, to przypadek beznadziejny. Możemy jutro wracać.

– Nie mam pojęcia, dlaczego musisz... Dlaczego wdajesz się w to wszystko? – wybuchnęła.

– Nie wiesz? To tak jak ja czasami.

Nakryła jego dłonie swymi.

– Dick, przepraszam, że to powiedziałam.

Ktoś przyniósł do baru patefon i oto siedzieli zasłuchani w *The Wedding of the Painted Doll**.

* Przebój Nacio Herba Browna z 1929 roku; tytuł polskiej wersji z 1930 roku *Tancerki z porcelany*.

III

Mniej więcej w tydzień później Dick zatrzymał się rano przy biurku, by przejrzeć pocztę. Tymczasem z zewnątrz dobiegły niespodziewane hałasy. Wyjeżdżał pacjent Von Cohn Morris. Jego rodzice z rozmachem ładowali bagaże do wielkiej limuzyny, czemu przyglądał się doktor Ladislau niczym wcielenie daremnego sprzeciwu, a Morris senior gwałtownie gestykulował. Pacjent obserwował załadunek jak coś, w co nie warto się mieszać, zasługuje bowiem najwyżej na uśmiech lekceważenia.

Podszedłszy do Morrisów, doktor Diver zapytał:

– Może to zbyt pochopna decyzja?

Na widok Dicka pan Morris poderwał się, a rumiana twarz i kraciasty garnitur wręcz pulsowały jak podłączane rytmicznie do prądu. Zdawało się, że Morris zaraz uderzy Divera.

– Najwyższy czas wyjechać; chodzi o nas i o tych, których przywieźliśmy – zaczął i zaraz przerwał, żeby nabrać tchu. – Najwyższy czas, doktorze Diver; najwyższy czas.

– Może pan wstąpi do mnie do gabinetu? – zaproponował Dick.

– Ja? Do pana? Wykluczone! Ale jeszcze pan swoje ode mnie usłyszysz. Nie chcę mieć z panem nic wspólnego. Ani z tym miejscem. Umywam ręce.

Pogroził Dickowi palcem.

– Właśnie mówiłem waszemu doktorowi, temu tam; marnowaliśmy tylko czas i pieniądze. Nasz czas i nasze pieniądze.

Aczkolwiek doktor Ladislau wzdrygnął się, to ów objaw sprzeciwu nie zrobił na nikim wrażenia, raczej zaświadczył o słowiańskiej

skłonności do lawirowania. Dick nigdy za nim nie przepadał. Udało mu się zwabić rozjuszonego Australijczyka na ścieżkę wiodącą do gabinetu, lecz próby zaproszenia do środka zawiodły; mężczyzna pokręcił głową.

– To przez pana, doktorze Diver, ponieważ chodzi właśnie o pana. Zwróciłem się do doktora Ladislau, bo pana, doktorze Diver, nie sposób znaleźć, doktor Gregorovius zjawi się dopiero o zmierzchu, a ja nie mam zamiaru czekać. O nie! Po tym, co usłyszałem od syna, jak tu się mają sprawy, nie będę czekał ani chwili!

Groźnie ruszył w stronę Dicka, który opuścił luźno ręce, w razie potrzeby gotów odeprzeć napastnika.

– Syn trafił tu przez alkoholizm, tymczasem, jak nam powiedział, od pana czuć whisky. Tak, łaskawco! – Szybko i głośno pociągnął nosem, węsząc wszakże na próżno. – I to nie raz, lecz dwa razy! Bo Von Cohn powiada, że dwukrotnie wyczuł w pańskim oddechu alkohol. Tymczasem ja i moja żona nigdy w życiu nie tknęliśmy nawet kropli. Oddaliśmy tu Von Cohna na kurację, tymczasem w ciągu miesiąca chłopak dwukrotnie się przekonuje, że od pana czuć trunkiem! Co to jest za kuracja?

Dick wahał się. Z pewnością pan Morris był zdolny urządzić widowisko na podjeździe przed kliniką.

– W końcu są, proszę pana, ludzie, którzy z czegoś, co jest ich strawą powszednią, nie zrezygnują tylko dlatego, że pański syn...

– Ależ człowieku, pan jest lekarzem! – wrzasnął rozwścieczony Morris. – Kiedy żłopią piwo robotnicy, to tylko obrzydliwy wybryk... Ale pan się podobno trudni leczeniem...

– Za wiele pan sobie pozwala. A pański syn trafił do nas z powodu kleptomanii.

– A co się za nią kryje? – Mężczyźnie łamał się głos. – Napój... Czarny napój!* Wie pan, jaki jest czarny kolor? Powiem panu, jest czarny! Za to powiesili mojego stryja, słyszy pan? A teraz syn trafia do sanatorium, gdzie doktor cuchnie alkoholem...

– Jestem zmuszony prosić o opuszczenie kliniki.

– Prosić? Sami się wynosimy!

– Jeżeli zdoła pan trochę zapanować nad sobą, możemy przekazać aktualne wyniki leczenia. Rzecz jasna, przy pańskim nastawieniu dalsza kuracja syna nie wchodzi w grę...

– Pan śmie mówić o panowaniu nad sobą?

Dick zawołał doktora Ladislau i poprosił:

– Może zechce pan w imieniu kliniki pożegnać pacjenta wraz z rodziną.

Lekko skłonił głowę przed Morrisem i ruszył do gabinetu; potem przez chwilę stał w progu jak skamieniały. Przyglądał się, jak odjeżdżają, prostaccy rodzice i mdła, zdegenerowana latorośl. Nietrudno wyprorokować, jak się ułoży rodzinne tournée po Europie, będą zastraszać lepszych od siebie niebotyczną ignorancją i niebotycznymi pieniędzmi.

Po odjeździe limuzyny uwagę Dicka zaprzątęło inne pytanie: w jakiej mierze on sam doprowadził do sytuacji. Czerwone wino pija do każdego posiłku, do poduszki przeważnie grzany rum, po południu sięga czasem po dżin, najslabiej wyczuwalny w oddechu. Przeciętna wynosi pół pinty alkoholu dziennie, dla organizmu za wiele, żeby wszystko spalić.

Odrzącił chętkę do samousprawiedliwień, usiadł przy biurku i spisał – jak na recepcie – rygory skutkujące ograniczeniem picia o połowę. Lekarze, kierowcy oraz protestanccy duchowni nie mogą

* W istocie „black drink” to odurzający napój amerykańskich Indian, leczniczy i rytualny.

sobie pozwolić na roztaczanie alkoholowych woni, w przeciwieństwie do malarzy, maklerów i kawalerzystów. Dick winił się tylko o nieostrożność. Po półgodzinie sytuacja wcale nie zyskała na przejrzystości, bo na podjeździe zjawił się wóz z Franzem, tak pełnym wigoru po dwóch tygodniach spędzonych w Alpach i tak skorym teraz do pracy, że zajął się kliniką, zanim dotarł do gabinetu. Dick wyszedł na spotkanie.

– Jak poszło na Evereście?

– Jeśli zliczyć, ile przeszliśmy, to uskładałoby się na Everest. Myśleliśmy już o tym. A tu co słyhać? I jak się mają moja Kaethe i twoja Nicole?

– W domach idzie jak po maśle. Ale dziś rano, Franz, mieliśmy parszywe widowisko.

– Niemożliwe. Co to za historia?

Dick przechadzał się po gabinecie, tymczasem Franz telefoniował do domu. Kiedy rodzinna konwersacja dobiegła końca, Dick się odezwał:

– Zabrali tego młodego Morrisa; była awantura.

Pogodna twarz Franza wydłużyła się.

– Już wiem, że wyjechali. Spotkałem na werandzie doktora Ladislau.

– I co powiedział?

– Tylko tyle, że młody Morris wyjechał... I że ty wszystko opowiesz. Co się stało?

– Powody te co zwykle: fura niedorzeczności.

– Z tego chłopaka to kawał hycła.

– Przypadek kwalifikowalny do leczenia anestetykiem – zgodził się Dick. – Natomiast stary Morris tak gnębił Ladislaua, że gdybym

się nie wmieszał, zrobiłby z niego posługacza, jak w koloniach. Co dalej z Ladislauem? Zostawiamy go w klinice? Jeżeli o mnie chodzi, to jestem przeciw. Raczej fujara niż mężczyzna; kiepsko mu idzie, kiedy trzeba sobie radzić. – Dick wahał się, nie tykał jeszcze prawdy, sam sobie ustąpił pola, na którym miał odtworzyć zajście.

Franz przysiadł na brzegu biurka, wciąż w lnianym prochowcu i podróżnych rękawiczkach.

– Z pewnej uwagi, którą chłopak podzielił się z ojcem – odezwał się wreszcie Dick – wynikało, że twój znakomity współpracownik to pijus. Starszy pan jest fanatykiem, latorośl zaś sądzi, że wionie ode mnie bukiet *vin-du-pays**.

Franz usiadł; przygryzł w zadumie dolną wargę.

– Możesz to streścić obszerniej? – powiedział w końcu.

– Czemu nie, nawet zaraz – odrzekł Dick. – Wiesz, że jestem ostatnim człowiekiem, który przesadzi z piciem. – Mierzyli się wzrokiem. – Ladislau nie umiał utemperować gościa, ten szalał, w rezultacie znalazłem się w defensywie. A gdyby to się działo na oczach pacjentów? Wyobrażasz sobie, jak trudno bronić się w takiej sytuacji?

Franz zdjął prochowiec i rękawiczki. Podeszedł do drzwi i polecił sekretarce:

– Proszę nam teraz nie przeszkadzać.

Potem podeszedł spieszenie do długiego stołu i udawał, że przegląda pocztę, przy czym – jak zwykle w takich sytuacjach – gry na czas nie wypełniało myślenie, lecz nakładanie maski dobranej do słów, które dopiero padną.

– Dick, dobrze wiem, że jesteś powściągliwym, zrównoważonym człowiekiem, nawet jeżeli nas różni podejście do alkoholu. Niemniej

* Wino regionalne (fr.).

nadeszła pora... Widzisz, muszę powiedzieć otwarcie, że kilka razy byłem świadkiem, jak sięgasz po alkohol w nieodpowiednim momencie. Jest jakiś powód. Może spróbuj i jeszcze raz zrób sobie wakaty.

– Wakacje – machinalnie poprawił Dick. – Wyjazd to dla mnie żadne rozwiązanie.

Obaj byli podminowani; Franz miał żal o zepsuty powrót.

– Czasami, Dick, nie dopisuje ci zdrowy rozsądek.

– Nigdy nie mogłem pojąć, na czym polega zdrowy rozsądek w odniesieniu do złożonych zagadnień. Może o to chodzi, że stary lekarz rodzinny lepiej przeprowadzi operację niż specjalista? – Ogarniało go obrzydzenie. Tłumaczyć się, wyjaśniać, coś łątać... tego już się nie robi w ich wieku. Lepiej iść swoją drogą, nawet kiedy uszy przewierca echo wyznawanych niegdyś prawd. – Tu nie ma wyjścia – rzucił.

– Ja też tak sędzę – przyznał Franz. – Straciłeś serce do tego projektu, Dick.

– Wiem. I chcę odejść. Trzeba się jakoś dogadać co do stopniowego wycofania pieniędzy Nicole.

– I o tym pomyślałem... Miałem wrażenie, że ta chwila się zbliża. Zdołam zorganizować inne wsparcie, a to oznacza, że do końca roku możecie wycofać całą sumę.

Dick nie zamierzał podejmować decyzji tak szybko, zaskoczyła go też gotowość Franza do zerwania. Mimo to poczuł ulgę. Od dawna już czuł, że jego etyka zawodowa rozwadnia się, rozpuszcza, zamienia w martwą substancję, i myślał o tym z rozpaczą.

IV

Diverowie postanowili wrócić do domu – na Riwierę. Nie po raz pierwszy willę Diana już wcześniej wynajęli na lato, na razie dzielili więc czas między niemieckie uzdrowiska i francuskie miasta katedr; spędzenie w nich kilku dni nieodmiennie uszczęśliwiała Diverów. Dick trochę pisał, bez żadnego planu. Ów okres był oczekiwaniem, nie na zdrowie Nicole – które dopisywało jej w podróży – ani na pracę; był tylko oczekiwaniem, a sens nadawały mu dzieci.

Im starsze – teraz jedenastolatek i dziewięciolatka – tym bardziej frapowały Dicka. Umiał podtrzymać z nimi więź ponad głowami opiekunek, a kierował się zasadą, że zmuszanie dzieci do czegoś, jak i budzenie lęku, który do czegoś je zmusi, to niewłaściwy substytut ciągłej, czulej i zapobiegliwej opieki; niewłaściwy substytut równowagi między zachętą, nadzorem i oceną, które – zrównoważone – sprawiają na koniec, że dziecko nie zawiedzie i sprosta obowiązkom. Z czasem Dick poznał dzieci znacznie lepiej niż matka; serdeczne nastroje, wsparte winami niejednej krainy, zachęcały Dicka do niekończących się zabaw i rozmów. Lanierowi i Topsy nie brakowało wdzięku zaprawionego jednak nostalgią, niemal smutkiem, jak to u dzieci oduczanych żywiołowego płaczu czy śmiechu; nieskłonni do krańcowych wzruszeń brat i siostra nie sprzeciwiali się przejrzystym rygorom i zadowalali prostymi radościami. Stare i doświadczone rodziny zachodniego świata zalecają dla dzieci życie bez wstrząsów, raczej wychowywanie niż przymiarke do opuszczenia gniazda. Dick sądził na przykład, że doskonaleniu sztuki obserwowania najlepiej sprzyja nakaz ciszy.

Lanier, niewiarygodnie ciekaw wszystkiego, bezustannie zaskakiwał. Zameczał Dicka pytaniami z gatunku: „Tato, ile potrzeba małych szpiców, żeby spuściły manto lwu?”

Łatwiej było z Topsy. Jasnowłosa dziewięcioletka wyglądała na taką samą doskonałość jak matka, czym dawniej Dick się martwił, ostatnio jednak – żywołowa, kwitnąca – upodobniła się do większości małych Amerykanek. Nie mówiąc tego wprost, Dick pozwalał obojgu domyślać się, że z dzieci jest zadowolony. Nie mogły naruszać reguł dobrego wychowania.

„Albo ktoś się nauczy grzeczności w domu – mawiał Dick – albo świat kogoś nauczy batem; to jednak metoda bolesna. Nieważne, czy Topsy mnie «uwielbia», czy nie. Nie wychowuję jej sobie na żonę”.

To lato i jesień zapisały się w pamięci Diverów z innego jeszcze powodu: obfitości pieniędzy. Sprzedaż udziału w klinice oraz korzystny obrót spraw amerykańskich przyniosły tyle, że Diverów skutecznie pochłaniało wydawanie pieniędzy wraz z pieczęcią nad tym, co mają. Podróżowali wręcz bajkowo.

Jak wyglądają na przykład, kiedy pociąg już zwalnia przed Boyen, gdzie mają zamiar spędzić najbliższe dwa tygodnie? Przygotowania do ewakuacji z wagonu sypialnego trwają już od włoskiej granicy. Z wagonu drugiej klasy nadchodzą pokojówka guwernantki wraz pokojówką madame Diver, żeby się zająć psami i bagażami. Mademoiselle Bellois dopilnowuje bagażu ręcznego, pozostawiając teriery walijskie jednej z pokojówek, a parę pekińczyków drugiej. Kobiety aż tak otaczającej się życiem wcale nie cechuje brak werwy, przeciwnie, może chodzić o nadmiar zainteresowania światem; a Nicole – kiedy nie nękała jej choroba – umiała zapanować nad wszystkim. Chociażby nad bezlikiem ciężkich rzeczy; z wagonu bagażowego należało tym razem wylądować cztery kufry z garderobą, kufer z obuwem, trzy kufry i dwa pudła na kapelusze, pakę z kuframi służby, przenośny sekretarzyk, apteczkę, pojemnik na lampy spirytusowe, zestaw

piknikowy, cztery rakiety tenisowe w prasach i futerałach, patefon oraz maszynę do pisania. W przedziałach zarezerwowanych dla rodziny i świty znalazło się jeszcze miejsce na tuzin dodatkowych neseserów, toreb i pakunków, wszystko ponumerowane, aż po laskę, której futerał też opatrzono przywieszką. Dzięki temu – oraz tkwiącej w metalowej oprawce „liście bagaży lekkich” i takiej samej „liście bagaży ciężkich” które Nicole wciąż aktualizowała, nosiła zaś w torebce – można było w dwie minuty wszystko sprawdzić na peronie, a potem część rzeczy pchnąć do przechowalni, część natomiast zabrać. Wymyśliła ten system już w dzieciństwie, podróżując ze schorowaną matką. Przypominał metody pułkowego kwatermistrza, dbałego o żołądki oraz ekwipunek trzech tysięcy chłopca.

Diverowie ze świtą wysiedli z pociągu o zmierzchu, wcześniej zapadającym w dolinie. Mieszkańcy wioski patrzyli na tę scenę z nabożnym podziwem, jak przed stuleciem na włoskie pielgrzymki lorda Byrona. Diverów miała gościć contessa di Minghetti, niegdyś Mary North. Podróż, w którą Mary wyruszyła przed laty z pokoiku nad sklepem tapeciarskim w Newark, zakończyła się zdumiewającym małżeństwem.

„Conte di Minghetti” był tylko tytułem papieskim, natomiast źródłem bogactwa męża Mary były złoża manganu w południowo-zachodniej Azji, własność, którą sam zarządzał. Z cerą nie dość białą, by wsiąść do wagonu pierwszej klasy na południe od linii Masona-Dixona*, wywodził się z pasa kabylsko-berberyjsko-sabejsko-hinduskiego, ciągnącego się przez północną Afrykę po Azję; ludzie z tamtejszych szczepów są milsi oku Europejczyka niż twarze mieszkańców zaludniających porty.

Gdy na peronie stanęły naprzeciw siebie dwa książęce dwory, wspaniałość Diverów zbladła; w porównaniu ze Wschodem Zachód wydał się pionierską prostotą. Gospodarzom towarzyszył major-

* Wyznaczona jeszcze w XVIII wieku, z powodów terytorialnych, linia Masona-Dixona stała się z czasem granicą kulturowo-polityczną między tolerancyjną Północą Stanów Zjednoczonych i rasistowskim Południem.

domus z laską, świta czterech motocyklistów w turbanach, o krok za Mary stały w pozie pełnej szacunku dwie zakwefione kobiety; widząc ich wschodni pokłon, Nicole aż podskoczyła.

Nie tylko Diverowie, lecz i Mary widzieli w powitaniu rys komiczny; Mary skwitowała sytuację lekceważącym chichocikiem, nieledwie przepraszając. Mimo to jej głos brzmiał dumnie i wyniośle, gdy przedstawiając męża, recytowała jego azjatyckie tytuły. W pokojach gościnnych Dick i Nicole przebierali się przed kolacją, strojąc przerażone miny; tak to bogaci, którzy chcą uchodzić za demokratów, udają sami przed sobą, że zbija ich z nóg cudza chępliwość.

– Mała Mary wie, czego chce – wymruczał Dick spod pokładów kremu do golenia. – Abe North ją wykształcił, a teraz poślubiła Buddę. Jeżeli Europę opanują bolszewicy, dowiemy się, że wychodzi za Stalina.

Nicole odezwała się z drugiego pokoju, znad nesesera z przyborami toaletowymi:

– Pilnuj się, Dick, nie chlapnij za wiele, dobrze? – Lecz zaraz się roześmiała. – Okropnie zadają szyku. Grzmi na ich cześć cała flota wojenna, pełna gala flagowa, te rzeczy, a Mary wjeżdża do Londynu królewską dryndą.

– No właśnie – przytaknął. Nicole poprosiła o szpilki, a Dick zawołał: – Ciekawe, czy można tu się napić trochę whiskey; poczułem górskie powietrze.

– Już ona tego dopilnuje. – Teraz głos Nicole dobiegał zza drzwi łazienki. – Jedna z tych kobiet na dworcu. Już bez kwefu.

– Co Mary opowiadała? – spytał.

– Nie za wiele, owszem, obchodzą ją wyższe sfery, wypytywała o moje drzewo genealogiczne i takie tam historie, jakbym się na tym znała. Zdaje się, że oblubieniec ma dwoje dzieci z innego

małżeństwa, powiedziałabym, mocno opalonych, jedno cierpi na jakieś azjatyckie paskudztwo, którego nie umieją zdiagnozować. Muszę przestrzec nasze dzieciaki. Dziwnie mi to wygląda, bardzo dziwnie. Ale Mary zauważy naszą reakcję... – Przez chwilę stała zmartwiona.

– Zrozumie nas – uspokajał Dick. – Zresztą ten dzieciak pewnie leży w łóżku.

Podczas kolacji Dick rozmawiał z Hosainem, wychowankiem elitarniej prywatnej szkoły w Anglii. Hosain był ciekaw, co słyhać na giełdzie i w Hollywood, Dick zaś, któremu szampan rozpałił wyobraźnię, opowiadał niestworzone brednie.

– Zatem miliardy? – wypytywał Hosain.

– Ba, biliony – zapewniał Dick.

– Prawdę mówiąc, nie mogę sobie...

Dick spuścił z tonu.

– Może miliony. A każdy gość ma do dyspozycji harem... Czy też odpowiednik haremu.

– Nie tylko aktorzy i reżyserzy?

– Wszyscy. To dotyczy każdego gościa, nawet komiwojażera. Mnie próbowali podesłać z tuzin kandydatek, ale mogły się nie spodobać Nicole.

Nicole zrugła Dicka, gdy byli już sami w pokoju.

– Musiałeś tyle wypić? Jedna za drugą whiskey z lodem... I dlaczego mówiłeś przy nim o smoluchach?

– Przepraszam, przejęzyczenie. Miałem na myśli przypalonych.

– Dick, to niepodobne do ciebie, to nie ty.

– Jeszcze raz przepraszam. Już nie jestem podobny do siebie.

Tej nocy otworzył okno łazienki wychodzące na szczyrzoszary wąski dziedziniec *château*, gdzie niosła się właśnie żałośliwa i niezwykła muzyka, smutna jak brzmienie fletu. W jakimś wschodnim języku czy narzeczu, pełnym głosek „k” i „l”, zawodzili dwaj mężczyźni; Dick wychylił się, ale nie zdołał nikogo dostrzec; najwyraźniej melorecytacja miała jakiś sens religijny; zmęczony, teraz odarty z uczuć Dick chciał, żeby pomodlili się i za niego, chociaż nie umiałby powiedzieć o co, prócz jednego – niech Dick się nie zatraci w coraz głębszym smutku.

Na rzadko zalesionym zboczach strzelali nazajutrz do jakichś ptaków, nędznych pociotków kuropatw. Impreza bardzo mgliście przypominała polowania angielskie, Dick zaś dlatego tylko nie postrzelił któregoś z niedoświadczonych naganiaczy, że nieodmiennie mierzył w powietrze.

W apartamencie Lanier czekał, aż wróca.

– Tato, kazałeś zaraz powiedzieć, jeśli znajdziemy się w pobliżu chorego chłopca.

Nicole obróciła się na pięcie.

– Więc to jest tak – Lanier mówił teraz do zaniepokojonej matki – że chłopak co wieczór się kąpie. Dziś w wannie był przede mną, a potem ja musiałem wejść do tej wody po nim, tej samej, a była brudna...

– Co takiego?

– Widziałem, że wyciągają Tony’ego z wanny, a potem zawołały mnie i kazały wejść do brudnej wody.

– A ty co? Wszedłeś?

– Tak, mamó.

– Rany boskie! – krzyknęła Nicole do Dicka.

Teraz on wypytywał.

– Dlaczego kąpieli nie przygotowała Lucienne?

– Nie dała rady. Bo tam jest taki dziwny piecyk; wczoraj z niego buchnęło, Lucienne sparzyła sobie rękę, więc się go boi, a jedna z tych dwóch kobiet...

– Idź teraz do łazienki i zaraz się wykąp.

Lanier przystanął w drzwiach.

– Nie mówcie, że wam powiedziałem.

Dick wyszedł za nim i spryskał wannę siarką. Zamknawszy drzwi, powiedział do Nicole:

– Porozmawiamy z Mary albo trzeba wyjechać. – Nicole przytaknęła, Dick ciągnął: – Ludziom się zdaje, że ich dzieci z natury rzeczy są czystsze niż dzieci innych, a choroby ich dzieci mniej zaraźliwe.

Wrócił i przy wtórze szumiącej wody nalał sobie z karafki, złość wyładował zaś, rozgryzając biszkopty. Właśnie mówił do Nicole:

– Lucienne musi się nauczyć palenia w tym piecyku – kiedy w drzwiach stała Azjatka.

– Contessa...

Dick skinął, żeby weszła i zamknęła drzwi.

– Czy chory chłopiec czuje się lepiej? – spytał uprzejmie.

– Lepiej, ale wysypka często wraca.

– Niedobrze... Bardzo mi go żal. Widzisz, nasze dzieci nie mogą się kąpać w tej wodzie co on. To wykluczone... Twoja pani rozgniewa się, jeśli się dowie, że zrobiłaś coś takiego.

– Ja? – Skamieniała. – A cóż zrobiłam? Widziałam, że państwa pokojówka nie radzi sobie z piecykiem, więc wytłumaczyłam, jak się z nim obchodzić, i puściłam wodę.

– Po chorej osobie trzeba wodę spuścić do końca i wymyć wannę.

– Co takiego?

Chrapliwie i długo nabierała powietrza, a potem, dygocząc, z płaczem wybiegła z pokoju.

– Nie musi doganiać zachodniej cywilizacji naszym kosztem – ponuro podsumował Dick.

Tego wieczoru przy kolacji uznał, że koniecznie trzeba skrócić wizytę; Hosain umiał powiedzieć o własnym kraju tyle, że jest górzysty, a tu i ówdzie pasterze pilnują kozich stad. Młody człowiek zachowywał rezerwę, próby jej przełamania wymagałyby szczerego wysiłku, a to nie uśmiechało się Dickowi, wolał zachować energię dla rodziny. Tuż po kolacji Hosain zostawił Mary z Diverami, lecz dawna wspólnota już pękła; rozpostarły się między nimi połączone kipiącego życia światowego, których podbój był teraz ambicją Mary. Zatem Dick poczuł ulgę, kiedy o wpół do dziesiątej Mary otrzymała liścik, przeczytała go i wstała.

– Wybaczcie, mąż wybiera się w krótką podróż, muszę do niego iść.

Nazajutrz rano, niemal depcząc po piętach służącej z kawą, Mary weszła do pokoju Diverów. Była ubrana, oni jeszcze nie; wyglądało na to, że gospodyni już od dłuższego czasu jest na nogach. Tłumiła furie, czego nie kryły stwardniałe rysy.

– Co to za historia z kąpaniem Laniera w brudnej wodzie?

Dick chciał zaprotestować, ale nie dopuściła go do głosu.

– Z jakiej racji kazaliście siostrze mojego męża szorować wannę dla Laniera?

Wpatrywała się w nich, stojąc, a oni siedzieli w łózkach przygnieci ciężkimi tacami, jak para bezradnych bożków. Krzyknęli w tej samej chwili:

– Jego siostrze?

– Jednej z sióstr Hosaina kazaliście szorować wannę!

– Nic podobnego. – Głosy Diverów nadal brzmiały unisono, także mówili to samo. – To była kolorowa służąca.

– Mówiłeś do siostry Hosaina.

Dick zdołał tylko wykrztusić:

– Myślałem, że to dwie służące.

– Mówiłam ci, są *himadoun*.

– Co takiego? – Dick wyskoczył z łóżka i włożył szlafrok.

– Tłumaczyłam ci ostatniego wieczoru, siedziałeś przy fortepianie, ja stałam obok. Tylko nie broń się, że nie zrozumiałeś, bo byłeś pod zbyt dobrą datą.

– Ale co mówiłaś? Nie dosłyszałem początku. Nie powiązałem tego... Mary, żadne z nas nie skojarzyło... Jedyne, co teraz możemy zrobić, to spotkać się z nią i przeprosić.

– Spotkać się z nią i przeprosić! Opowiadałam ci, że najstarszy członek rodziny... Dobrze... Kiedy żeni się najstarszy z rodu, jego dwie najstarsze siostry poświęcają się i zostają *himadoun*, damami dworu żony.

– I dlatego wczoraj wieczorem Hosain wyjechał?

Mary zawahała się, potem skinęła głową.

– Nie miał wyboru, wszyscy wyjechali. Tak każe honor. Teraz oboje już byli na nogach i ubierali się, Mary zaś nie rezygnowała.

– I co z tą wodą? W tym domu nie mogło się wydarzyć coś podobnego! Spytajmy Laniera.

Dick przysiadł na brzegu łóżka i ledwie widocznym gestem dał znać Nicole, że teraz na nią pora. Mary tymczasem podeszła do drzwi i po włosku coś poleciała służącej.

– Zaraz, zaraz – odezwała się Nicole. – Nie ma mowy.

– Oskarżyliście nas – odpowiedziała Mary tonem, na który nigdy jeszcze nie pozwoliła sobie wobec Nicole. – Mam prawo wyjaśnić, jak było.

– Co to, to nie; nie sprowadzisz tu dziecka. – Zdawało się, że Nicole, narzucając ubranie, przywdziewa kolczugę.

– Ależ dobrze, nie ma sprawy – wtrącił się Dick. – Zawołajcie Laniera. Ustalimy, jak było z wanną, czy fakt czy bajki.

Rozespany, na wpół ubrany Lanier wpatrywał się w twarze rozsierdzonych dorosłych. Mary zaczęła stanowczo:

– Posłuchaj, Lanier, skąd ci przyszło do głowy, że kąpałeś się w wodzie, w której przedtem ktoś inny się kąpał?

– Mów głośno – dodał Dick.

– Po prostu była brudna i tyle.

– Tuż obok, w twoim pokoju, nie było słychać, że do wanny się leje woda? Czysta woda?

Lanier przyznał, że owszem, mógł usłyszeć, ale trzymał się swego: woda była brudna. Trochę wystraszony, próbował przewidzieć, co dalej.

– Nie mogła się łąć, bo...

Przygwoździli go.

– Dlaczego nie mogła?

Ubrany w dziecinne kimono budził sympatię rodziców, zarazem przyprawiał Mary o coraz większe zniecierpliwienie. Wreszcie odezwał się:

– Woda była brudna, bo pełno w niej było mydlin.

– Jeśli nie jesteś pewien tego, co mówisz... – zaczęła Mary, ale wtrącała się Nicole.

– Przestań, Mary. Skoro w wodzie są brudne mydliny, to i woda jest brudna. Logiczne. Ojciec kazał mu przyjść...

– W wodzie nie mogło być brudnych mydlin.

Lanier z wyrzutem spojrzął na ojca, który go zdradził. Nicole ujęła dziecko za ramiona, obróciła i wyprawiła z pokoju; Dick wybuchnął śmiechem, rozładowując napięcie.

I oto Mary miała wrażenie, że ów śmiech przywraca przeszłość, ich starą przyjaźń; uświadomiła sobie, jak bardzo oddaliła się od Nicole, od Dicka i powiedziała zgodliwie:

– Tak to już zawsze jest z dziećmi. – Myśl o przeszłości wprawiała Mary w coraz większe zakłopotanie. – To nonsens, żebyście wyjeżdżali... Hosain i tak planował ten wypad. Jesteście w końcu moimi gośćmi; zwyczajnie przytrafił się wam błąd.

Jednakże dwulicowość i użycie słowa „błąd” jeszcze bardziej rozjuszyły Dicka; odwrócił się i zaczął pakować rzeczy.

– Wielka szkoda, naprawdę mi przykro z powodu tych młodych kobiet. Chciałbym przeprosić tę, która tu była – powiedział.

– Gdybyś tylko mnie słuchał, kiedy siedziałeś przy fortepianie!

– Stałaś się, Mary, cholernie nudna. Słuchałem, póki się dało.

– Siedź cicho! – napomniała Nicole.

– Pozwolisz, że się odwzajemnię tym samym komplementem – gorzko odparła Mary. – Żegnaj, Nicole.

Mary wyszła.

Teraz nie mogło już być mowy, że Mary przyjdzie ich pożegnać; wyjazdem zajął się majordomus, Dick zostawił elegancko zredeg-

wane listy do Hosaina i sióstr. Mogli już tylko wyjechać, niemniej wszyscy czuli się podle, a zwłaszcza Lanier.

– Właśnie tak było – upierał się w pociagu. – Tam była brudna woda po czyjejs kąpieli.

– Starczy tego dobrego – odrzekł ojciec. – Lepiej już o tym zapomnij, chyba nie chcesz, żebym się z tobą rozwiódł. Wiedzą, że teraz jest we Francji nowe prawo? Które pozwala się rozwieść z dzieckiem?

Uszczęśliwiony Lanier parsknął śmiechem; Diverowie znowu byli wspólnotą. A Dick się zastanawiał, ile razy to się jeszcze uda.

V

Sprzeczka na tarasie nabierała wigoru. Nicole podeszła do okna, wychyliła się i wyjrzała; świątobliwą twarz kucharki Augustine kwietniowe słońce powlekło różem, natomiast nóż rzeźnicki, którym po pijanemu wymachiwała, siał refleksy błękitne. Mieli tę kucharkę od lutego, od powrotu do willi Diana.

Część tarasu zasłaniała markiza, Nicole mogła dostrzec tylko głowę Dicka i rękę z ciężką laską zdobną w gałkę z brązu. Nóż i laska czyhały na siebie jak trójząb i miecz w starciu gladiatorów. Najpierw Nicole usłyszała Dicka.

– ...Nie obchodzi mnie, ile stołowego wina Augustine pije w kuchni, ale kiedy widzę, że Augustine doi sobie butelkę chablis Moutonne...

– Pan coś mówi o piciu! – wrzasnęła Augustine, wywijając swym mieczem. – Przecież to pan pije... Bez przerwy pan pije.

Nicole krzyknęła znad markizy:

– O co chodzi, Dick?

– Starsza pani źłocie co lepsze roczniki. Zwalniam ją... A przynajmniej próbuje – odpowiedział po angielsku.

– Rany boskie! Uważaj, nie daj się zranić.

Teraz Augustine wygrażała nożem Nicole. Starcze usta przypominały dwie potrącające się wisienki.

– Powiem pani tyle, madame, powinna pani wiedzieć, że pani mąż w tym swoim domku goli jak szewc...

– Zamknij gębę i wynoś się – przerwała Nicole. – Zawołamy żandarmów.

– Żandarmów? Kto? Pani? Wy? Na posterunku służy mój brat! Pani...? Parszywa Amerykanka?

– Zabierz dzieci, dopóki nie zrobię tu porządku! – Dick po angielsku krzyknął do Nicole.

– ...parszywi Amerykanie przyjeżdżają i spijają nasze najlepsze wina! – Augustine darła się teraz w imieniu miejscowej społeczności.

– Niech Augustine zaraz się wynosi! – huknął Dick. – Wszystko zapłacę, co się należy.

– A pewnie! Pewnie, że pan zapłaci! Teraz panu coś powiem... – Podsunęła się, wymachując nożem z taką furją, że Dick uniósł łaskę, w odpowiedzi zaś Augustine pomknęła do kuchni, skąd wyszła uzbrojona na nowo, tym razem w tasak i siekiere.

Sprawy stały kiepsko; obezwładnianie Augustine, mocnego babska, pachniało ryzykiem; kucharka mogła przypłacić starcie ciężkimi obrażeniami, a konsekwencje prawne, i to nie byle jakie, poniósłby oczywiście osobnik krzywdzący obywatelkę Francji. Dick zablefował.

– Dzwon na *poste de Police!* – krzyknął do Nicole. Potem wskazał tasak i siekiere. – Augustine pójdzie za to siedzieć!

– Ha, ha! – Kucharka popisała się iście piekielnym śmiechem, niemniej nie skracała już dystansu.

Nicole zadzwoniła na policję, ale odpowiedź przypominała do złudzenia śmiech Augustine. Ze słuchawki dobiegało jakieś mamrotanie, puszczone w obieg szeptanki, a potem posterunek nagle się rozłączył.

Nicole podeszła do okna i krzyknęła do Dicka:

– Daj jej coś ekstra.

– Gdybym mógł się dostać do telefonu! – Wyglądało to na niewykonalne, więc Dick zaniechał zmagania.

Za pięćdziesiąt franków – które urosły do stu, kiedy przeważyła pokusa pozbycia się kucharki od zaraz – Augustine poddała twierdzą, a odwrót osłaniała rzucanymi jak granaty okrzykami *salaud!** Miała się wynieść, kiedy przyjedzie po bagaże jej siostrzeniec. Dick, stojąc na straży w pobliżu kuchni, usłyszał pyknięcie korka, lecz tę pozycję oddał bez walki. Na tym skończył się kłopot. Kiedy zjawił się pełen skruchy siostrzeniec, Augustine nie poskapiła Dickowi radosnego, słonecznego pożegnania, a w stronę okna Nicole na piętrze krzyknęła jeszcze *Au revoir, madame! Bonne chance!*

Diverowie wybrali się do Nicei i zjedli na kolację *bouillabaisse*, mocno przyprawione szafranem skorpeny duszone z małymi homarami, popili je zaś butelką schłodzonego chablis. Dickowi żal było Augustine.

– Ja ani trochę jej nie żałuję – powiedziała Nicole.

– A ja tak,, chociaż chętnie bym ją zepchnął z klifu.

Niewiele wątków ośmielali się wówczas poruszać; rzadko znajdowali właściwe słowo – liczące się w danej chwili – i zawsze przychodziło im na myśl za późno, kiedy porozumienie kulało. Tego wieczoru wybuch Augustine wyrwał oboje z samotnych rojeń; wreszcie rozmawiali, przy pikantnym, piekącym daniu i chłodnym, wytrawnym winie.

– Tego nie da się tak dalej ciągnąć – oznajmiła Nicole. – Chyba że się da, nie wiem. Co o tym powiesz? – Zdumiona, że Dick nie protestuje, ciągnęła: – Czasami myślę, że to moja wina... Zniszczyłam cię.

– Słowem, jestem zniszczony, prawda? – zapytał łagodnie.

* Łajdak (fr.).

– Nie o to chodzi. Kiedyś chciałeś coś tworzyć... Teraz zdaje mi się, że wszystko chcesz rozwalić.

Drżała, krytykując Dicka tak zasadniczo, lecz bardziej trwożyła ją przeciągająca się cisza. Przypuszczała, że pod osłoną milczenia coś się dokonuje, a tego czegoś strzeże twarde spojrzenie błękitnych oczu i wręcz nienaturalne zainteresowanie dziećmi. Zdumiewały ją niepodobne do Dicka wybuchy złego humoru; potrafił nagle przedłożyć długą listę pogardliwych uwag wobec jakiejś osoby, rasy, klasy, jakiegoś stylu życia lub myślenia. Mogło się zdawać, że gdzieś w głębi samorzutnie rozwija się nieprzewidywalna narracja i że jej treści Nicole może się tylko domyślać, kiedy owa narracja przedziera się zniemacka na światło dzienne.

– W końcu co ci z tego przyszło? – spytała.

– Pewność, że z każdym dniem jesteś silniejsza. Pewność, że twoja choroba podlega prawu słabnących nawrotów.

Słyszała głos Dicka z oddali, jakby mówił na temat niepowiązany, akademicki. Przestraszyła się i krzyknęła:

– Dick!

Wyciągnęła rękę, by sięgnąć jego dłoni na stole. Odruchowo cofnął je i powiedział:

– Trzeba się nad tym wszystkim zastanowić, prawda? Bo sprawa nie ogranicza się do ciebie. – Nakrył jej rękę swoją i odezwał się miłym tonem z dawnych czasów, kiedy w sekrecie obmyślał żarty, zabawy, radości, pożytki: – Widzisz ten stateczek?

Na lekko falujących wodach Zatoki Aniołów stał w najlepsze motorowy jacht T.F. Goldinga, zawsze gotów do zmiany kursu, kiedy padnie pomysł romantycznej podróży.

– Wskoczymy? Spytamy ludzi na pokładzie, co słyhać. Przekonamy się, czy są szczęśliwi.

– Właściwie ich nie znamy – zaprotestowała Nicole.

– Golding sam namawiał. Zresztą Baby go zna. Właściwie wyszła za niego. Wyszła albo wychodzi?

Zapadł już letni zmierzch, kiedy wypłynęli z portu wynajętą motorówką. Na olinowaniu *Margina* raz po raz rozbłyskiwały światełka. Przy burcie jachtu Nicole znów ogarnęły wątpliwości:

– Wydają przyjęcie...

– To tylko radio – uspokajał Dick.

Tymczasem powitał ich okrzyk; z góry spoglądał na nich ogromny siwowłosy mężczyzna w białym garniturze.

– Czy mnie oczy nie mylą? Diverowie?

– Ahoj, witamy jacht *Margin!*

Motorówka podeszła do zejściówki. Ogromny Golding złożył się w pół jak scyzoryk, by podać rękę Nicole wchodzącej na pokład.

– W samą porę, będzie kolacja.

Na rufie przygrywał zespół.

– Jestem do usług... Lecz od tej chwili nie może pani prosić, żebym zachowywał...

Gestykulacja Goldinga – istny cyklon – zmiatała ich na rufę; Nicole coraz bardziej żałowała, że przyплыnęli, bo też zirytował ją Dick. Bywanie w towarzystwie nie służyło ani pracy Dicka, ani zdrowiu Nicole, więc teraz Diverów cechowała rezerwa wobec rozrywek w wesołej kompanii, a im samym przypisywano skłonności pustelnicze. W oczach nowszych bywalców Riwiery zaczęło to uchodzić za jakiś podszyty zagadką brak popularności. Niemniej, skoro już obrali taką postawę, dzisiejsza wizyta wydała się Nicole łatwym ustępstwem, uległością wobec chwilowej zachcianki.

Kiedy szli środkiem reprezentacyjnego salonu, zdawało im się, że tam dalej w półmroku, na półkolistej przestrzeni rufy mającą tańczące postaci. Zwiodły ich czar muzyki, niezwykle oświetlenie i

wszechobecność wody. W rzeczywistości krzatali się tylko stewardzi, goście zaś rozsiedli się na szerokiej sofie biegnącej po takim samym półkolu jak rufa. Ktoś w sukni białej, ktoś we wzorzystej, w czerwonej; wykrochmalone gorsy mężczyzn – i oto z plam wylania się ktoś konkretny i rozpoznawalny, sprawiając, że z piersi Nicole wyrwie się niezwykle u niej okrzyk zachwyty.

– Tommy!

Nie zważając na ceremonialne galijskie pocałowanie w rękę, Nicole przytuliła się do twarzy Tommy'ego Barbana. Usiedli, a raczej jak Rzymianie ułożyli się na tym antoniuszowym łożu. Przystojne oblicze Tommy'ego tak pociemniało, że już zniknął urok głębokiej opalenizny, ale wciąż wiele brakowało do błękitnawego powabu karnacji Murzynów; tę twarz okrywała po prostu zniszczona skóra. Obcość cery wyniesiona spod nieznanych słońc, żywienie się płodami odległych ziem, nieskładność zdań, w które wplatał figury tyłu dialektów, wyjątkowość odruchów ćwiczona w dramatycznych sytuacjach – to wszystko fascynowało Nicole i zarazem dodawało otuchy. W chwili spotkania miała wrażenie, że spoczywa na piersi Tommy'ego i coraz bardziej odrywa się od świata... Potem odezwał się instynkt samozachowawczy i Nicole, wróciwszy do własnego świata, odezwała się bez troski:

– Przypominasz teraz tych awanturników w filmach. Gdzie się podziewałeś tak długo, Tommy?

Niepewny, co to wszystko znaczy, spojrzął na nią czujnie; w źrenicach Tommy'ego zatańczyły ogniki.

– Pięć lat – ciągnęła chrapliwie nieswoim głosem, naśladowując nie wiadomo kogo. – O wiele za długo. Chyba mogłeś się postarać, wymordować swój przydział dwunogów i wrócić, przez chwilę odetchnąć naszym powietrzem?

Wyteskniona bliskość Nicole sprawiła, że Tommy zaraz przedzierzgnął się w Europejczyka.

– *Mais pour nous héros – powiedział – il nous faut du temps, Nicole. Nous ne pouvons pas faire de petits exercices d'héroïsme... Il faut faire les grandes compositions**.

– Mów do mnie po angielsku, Tommy.

– *Parle français avec moi, Nicole***.

– To nie to samo, dobrze wiesz... Możesz być heroiczny i dworny, gdy mówisz po francusku, bo to zabrzmie poważnie, nawet godnie. Gdy mówisz po angielsku, heroizm pod rękę z dwornością zawsze się wyda trochę niedorzeczny, prawda? O czym też dobrze wiesz. Angielski da mi przewagę.

– Nawet po angielsku będę przecież dzielny, bohaterski i w ogóle; trudno – zachichotał.

Udała, że przeżywa zawrót głowy z zachwyty, nie zbiła jednak z tropu Tommy'ego.

– Wiem tyle, co zobaczę w kinie – powiedział.

– I wszystko na świecie jest jak w filmie?

– Filmy nie są takie złe, weźmy Ronalda Colmana***, widziałas jego kawałki o Corps d'Afrique du Nord? Naprawdę całkiem dobre.

– Świetne. Odtąd, kiedy pójdę obejrzeć film, będę wiedziała, że w tym momencie przeżywasz te same perypetie.

Podczas rozmowy Nicole zdała sobie sprawę z obecności drobnej i bladej młodej kobiety o pięknych, metalicznie lśniących włosach, wręcz zielonkawych w świetle lamp jachtu; siedziała przy

* Ależ my, bohaterowie, potrzebujemy czasu, Nicole, Nie możemy odrabiać lekczynek z heroizmu... Musimy natrudzić się nad wielkimi zadaniami (fr.).

** Mów ze mną po francusku, Nicole (fr).

*** Ronald Colman (1891-1958) – wybitny angielski aktor filmowy, na ekranie od roku 1917 niemal do śmierci, gwiazda zarówno kina niemego, jak i dźwiękowego; znany z ról wymagających osobistej brawury, w których często obywatel się bez dublerów.

Tommy po drugiej stronie i mogła brać udział bądź w ich rozmowie, bądź w rozmowie towarzystwa ulokowanego dalej. Widocznie do tej pory miała Tommy'ego dla siebie; teraz naburmuszona – z muchami w nosie, jak niegdyś mawiano – ruszyła półkolem pokładu, straciwszy nadzieję na odzyskanie pozycji.

– Ostatecznie jestem bohaterem – zapewnił Tommy bez mrugnięcia okiem i tylko na wpół żartem. – Bywam do szaleństwa odważny. Zazwyczaj. Trochę jak lew, trochę jak pijak.

Nicole poczekała, aż echa przechwałek przetoczą się przez głowę Tommy'ego i ucichną; czuła, że pierwszy raz w życiu pozwolił sobie na takie deklaracje. Potem rozejrzała się po obcych twarzach, by jak zwykle zobaczyć ludzi podminowanych, roztrzęsionych, którzy kochają spokój i wiejskie ustronie, pod warunkiem że przytłoczy ich koszmar miasta i zrania własne głosy dyktujące ton i tonację...

– Kim jest ta kobieta w białym? – spytała.

– Która siedziała przy mnie? Lady Caroline Sibly-Biers.

Przez chwilę przysłuchiwali się temu, co mówi po drugiej stronie salonu:

– To łajdak, ale pięciogwiazdkowy. Całą noc przesiedzieliśmy we dwoje, grając w *chemin-de-fer*, i teraz mam u niego tysiąc franków szwajcarskich.

Tommy roześmiał się.

– Najbardziej zepsuta kobieta w Londynie. Ilekroć wracam do Europy, widzę nowy nabór londyńskich rozpustnic. To najświeższy egzemplarz, chociaż podobno już inną uważa się za następczynię.

Nicole jeszcze raz przyjrzała się kobiecie po drugiej stronie pokładu; krucha, mizerna, wręcz nie do wiary, że tak wąskie plecy i wątłe ramiona mogą wysoko wznieść proporzec dekadencji, ostatnią chorągiew słabnącego imperium. Bliżej jej było do płaskich

chłopczyc Johna Helda* niż do ligi wysokich omdlewających blondyn, które zaczęły pozować malarzom i powieściopisarzom jeszcze przed wojną.

Podszedł Golding – ogrom jego ciała wymuszał rezonanse, działał jak gargantuiczny wzmacniacz woli, mimo że Golding próbował to wrażenie teraz tłumić – a Nicole, nadal oporna, zgodziła się jednak na ponawiane propozycje: tuż po kolacji *Margin* wyruszy do Cannes; a Diverowie niechże dadzą się skusić na trochę kawioru i szampana, nawet jeśli już jedli; Dick może zadzwonić do kierowcy i kazać przyprowadzić wóz do Cannes, a tam niech szofer zostawi auto przed Café des Alliés, skąd zabiorą je Diverowie.

Przeszli do jadalni, gdzie Dicka posadzono obok lady Sibly-Biers. Nicole zauważyła, że rumiana zazwyczaj twarz Dicka pobladła, jakby odpłynęła z niej krew; apodyktycznym tonem mówił o czymś, lecz do Nicole docierały tylko strzępy:

– ...wam, Anglikom, to nie przeszkadza, was wciąga taniec śmierci... Sipajowie i zrujnowany fort... Mam na myśli sipajów u bram, kiedy w forcie wre zabawa i w ogóle... Zielony kapelusz, zmięty kapelusz, zero przyszłości, nic**.

Krótkie zdania, którymi odpowiadała lady Caroline, inkrustowane były wykrzyknikami: końcowymi „Co?” dwuznacznymi „No właśnie!” ponurymi „Wszystkiego najlepszego!” nieodmiennie zapowiadającymi niebezpieczeństwo, lecz Dick nie zważał na znaki ostrzegawcze. Nagle wygłosił jakieś szczególnie gwałtowne oświadczenie, którego sens umknął Nicole, dostrzegła jednak, że twarz młodej kobiety pociemniała i stężała; potem rozległa się ostra odpowiedź:

– Kołek zostanie kołkiem, a przyjaciel przyjacielem.

* John Held Jr. (1889-1958) – amerykański rysownik i ilustrator, sławny szczególnie w latach dwudziestych XX wieku, utożsamiany z tym okresem.

** Zielony kapelusz – nawiązanie do powieści Michaela Arlena; wcześniej wspomnianej w przypisach.

Znów kogoś obraził... Nie mogliśmy trochę dłużej trzymać języka za zębami? Ile to potrwa? Do końca życia?

Pianista orkiestry (napis na bębnie: The Ragtime College Jazzes of Edinboro), młody jasnowłosy Szkot, zaczął śpiewać coś tak monotonnego jak ballada o Dannym Deeverze*, akompaniując sobie akordami w basie. Szkot bardzo starannie wymawiał słowa, jakby wywarły na nim niezatarte wrażenie:

Raz młoda dama rodem z piekła
Przed biciem w dzwony uciekła
Zła dama, bardzo zła-zła-zła
Przed biciem w dzwony respekt ma
Rodem z piekła (BUM-BUM-BUM)
Rodem z piekła (TUP-TUP-TUP)
Była raz dama rodem z piekła...

– Co to ma znaczyć? – szepnął Tommy do Nicole. Dziewczyna po drugiej stronie Tommy’ego oświeciła niewtajemniczonych:

– Słowa napisała lady Caroline Sibly-Biers; ten chłopak muzykę.

– *Quelle enfanterie!* – burknął Tommy, tymczasem pianista zabierał się do następnej zwrotki poświęconej dalszym skłonnościom płochliwej damy. – *On dirait qu’il récite Racine!***

Lady Caroline – przynajmniej z pozoru – nie przejęła się, że wykonują jej dzieło. Nicole spojrzała na nią jeszcze raz; lady Caroline

* *Danny Deever* – wiersz Kiplinga o egzekucji brytyjskiego żołnierza w Indiach, skazanego za morderstwo; wzorem innych wczesnych ballad Kiplinga – które autor z upodobaniem śpiewał: – doczekał się opracowania muzycznego, kompozycji sławnego dyrygenta Waltera Damroscha.

** Co za dziecinada! (...) Można powiedzieć, że recytuje Racine’a (fr.).

imponowała nie tyle charakterem czy osobowością, ile czystą siłą płynącą z przyjętej postawy; Nicole uznała, że Caroline to wspaniałość, a utwierdziła się w poglądzie, kiedy towarzystwo wstało od stołu. Dick nie podniósł się z miejsca, siedział z dziwną miną, a potem wypalił brutalnie, bez cienia taktu:

– Nie lubię huczącej angielskiej plotki nadziewanej insynuacjami.

Lady Caroline zawróciła w pół drogi i podeszła do Dicka; odezwała się cicho, lecz dobitnie, by usłyszeli wszyscy:

– Pan wręcz się o to prosi... uwłaczając moim rodakom, uwłaczając mojej przyjaciółce Mary Minghetti... Powiedziałam jedynie, że widziano, jak pan się zadaje w Lozannie z ludźmi wątpliwej reputacji, z hołotą. I to jest ta hucząca pogłoska? Może huczy w głowie tylko panu?

Dick spóźnił się z ripostą:

– Jeszcze nie wznieciła dostatecznej wrzawy. W istocie jestem osławionym...

Golding zagłuszył go w pół słowa:

– Co się dzieje? O co chodzi?

Z potężnym cielskiem nie było dyskusji, Golding wyprowadził gości na pokład. Nicole obróciła się w drzwiach; zobaczyła siedzącego wciąż przy stole Dicka. Była wściekła na tę kobietę za niedorzeczny występ, równie wściekła na Dicka, że się zaprawił, że się stępiła jego ironia, że dał się upokorzyć... A jeszcze bardziej drażniła ją świadomość, że to ona, Nicole, pierwsza rozdrażniła Angielkę, zawłaszczając już od progu Tommy'ego Barbana.

W chwilę później zauważyła, jak Dick rozmawia przy trapie z Goldingiem i całkowicie panuje nad sobą; lecz kiedy potem przez pół godziny nie mogła go wypatrzeć na pokładzie, przerwała skomplik-

waną malajską grę z użyciem sznurka oraz ziaren kawy i powiedziała Tommy'emu:

– Muszę odszukać Dicka.

Po rozpoczęciu kolacji jacht ruszył na zachód. Jak okiem sięgnąć morze okryła piękna noc, cicho dudniły diesle, na przednim pokładzie wiosenny wiatr znienacka rozwiał włosy Nicole, ale zaraz przestraszyła się nagle na widok Dicka stojącego na samym dziobie, tuż przy maszcie flagowym. Rozpoznał Nicole i odezwał się pogodnie:

– Piękna noc.

– Martwiłam się.

– Naprawdę? Martwiłaś się?

– Proszę, nie mów w ten sposób. Bardzo się ucieszę, jeśli wymyślę, co mogę dla ciebie zrobić, nawet drobiazg.

Odwrócił się i spojrzał na gwiazdny woal nad Afryką.

– Wierzę ci, Nicole, to na pewno prawda. A czasem wierzę, że im drobniejszy będzie ten drobiazg, tym bardziej się ucieszysz.

– Przestań... Nie mów w ten sposób.

Na twarzy Dicka – ledwie widocznej w poświacie, którą biały pył wodny porywał i odrzucał ku rozgwieżdzonemu niebu – nie było ani śladu rozdrażnienia, wbrew temu, czego się spodziewała Nicole. Przeciwnie, twarz Dicka wyrażała obojętność, a spojrzenie stopniowo koncentrowało się na Nicole jak na figurze, którą zaraz się przestawi na szachownicy; powolnym ruchem ujął przegub Nicole i przyciągnął ją bliżej.

– A więc zniszczyłaś mnie? – spytał miękko. – No to już po nas, oboje jesteśmy zniszczeni. Cóż...

Przerażona, zmrożona wsunęła w dłoń Dicka drugi przegub. W porządku, trudno, pójdzie za nim... Znów z całą jaskrawością przemówiło do niej piękno nocy w chwili, kiedy jej jedyną od-

powiedzią jest oddanie, wyrzeczenie się... W porządku, dobrze... Teraz poczuła się zaskakująco wolna. Dick odwrócił się i westchnął:

– Ciii, ciii...

Strumień łez płynął po twarzy Nicole. Po chwili usłyszała, że ktoś podchodzi: Tommy.

– Znalazłaś go! Nicole podejrzewała, że wyskoczysz za burtę – Tommy mówił teraz do Dicka – bo nawymyślała ci ta angielska gaska.

– Sceneria w sam raz, żeby skoczyć do morza – łagodnie odparł Dick.

– No właśnie – szybko przytaknęła Nicole – czemu nie? Pożyczmy pasy ratunkowe i wyskoczmy. Powinniśmy zrobić coś efektownego. Nasze życie toczy się chyba zbyt powściągliwie.

Tommy starał się wczuć w aurę, zachłysnąć klimatem sytuacji i nocy.

– Cóż, chodźmy do lady Whiskey-Brandy, zapytamy, co robić, na pewno wie, co modne. No i musimy się nauczyć na pamięć tej jej piosenki „Raz młoda dama rodem z *l'enfer*”. Przetłumaczę ją i zbije majątek, zrobi furorę w kasynie.

– Wzbogaciłeś się, Tommy? – spytał Dick, kiedy z powrotem szli przez pokład.

– Na razie nie. Już nie jestem maklerem, rzuciłem w diabły giełdę, nudy na pudy. Ale ulokowałem dobre akcje u przyjaciół; trzymają rękę na pulsie. Nie jest źle.

– A Dick został bogaczem – powiedziała drżącym głosem Nicole. Odreagowywała.

Wymachując ogromnymi łapskami, Golding zachęcił trzy pary do tańca na tylnym pokładzie; dołączyli do nich Nicole i Tommy.

– Zdaje się, że Dick pije – zauważył Tommy.

– Tylko w miarę. – Nicole była lojalna.

– Jedni mogą pić, inni nie. A Dick nie może, to widać. Powinnaś mu powiedzieć, żeby przestał.

– Ja? – wykrzyknęła zdumiona. – Ja mam powiedzieć Dickowi, co powinien robić, a czego nie?

Kiedy przybijali do mola w Cannes, Dick, aczkolwiek powściągliwy, wciąż był senny i otumaniony. Golding sprowadził go do motorówki, w której lady Caroline ostentacyjnie przesiadła się na inne miejsce. Na nabrzeżu złożył jej przesadnie uroczysty ukłon pożegnalny, przez chwilę zdawało się, że doda jeszcze jakieś soczyste powiedzonko, ale kościsty łokieć Tommy’ego wbił się w miękki fragment tułowia Dicka i pomaszerowali do czekającego wozu.

– Podrzucę was do domu – zaproponował Tommy.

– Nie zwracaj sobie głowy, możemy wziąć taksówkę.

– Chętnie podwożę, jeżeli mnie przenocujecie.

Dick siedział spokojnie na tylnym siedzeniu; tymczasem zostawili za sobą żółty monolit Golfe Juan, potem nieustający wielojęzyczny i głośny karnawał w Juan-les-Pins, gdzie co noc tętni muzyka. Kiedy samochód skręcił pod górę do Tarmes, Dick – pobudzony przechyłem auta – wyprostował się nagle i wygłosił przemowę:

– Czarująca przedstawicielka – zająknął się na moment – firmy... Proszę podać nieświeży mózdzek a l’Anglaise.

Potem gładko zapadł w sen. Pogodnie czekał raz po raz. Wóz otulała miękka ciepła ciemność.

VI

Nazajutrz wcześniej rano Dick wszedł do pokoju Nicole.

– Czekałem, aż usłyszę, że wstałaś. Szkoda mówić, ohydnie się czuję po wczorajszym wieczorze, ale może darujmy sobie sekcję zwłok, co ty na to?

– Zgoda – odrzekła zimno i odwróciła się do lustra.

– Do domu zawiózł nas Tommy? Czy tylko mi się przywidziało?

– Wiesz dobrze, że to on.

– Całkiem możliwe – przyznał. – Słyszałem, że kaszle. Chyba do niego zajrzę.

Może pierwszy raz w życiu ucieszyła się, że Dicka przy niej nie ma. I pozbył się wreszcie tego okropnego talentu: bycia nieomylnym.

Tommy wiercił się w łóżku, czekał na poranną *café au lait*.

– Dobrze się czujesz? – spytał Dick.

Kiedy Tommy zaczął się skarżyć na ból gardła, Dick skorzystał z okazji i skwapliwie przeobraził się w lekarza.

– Może dobrze ci zrobi jakaś płukanka?

– Masz coś takiego?

– Zdziwisz się, ale nie mam... Pewnie się znajdzie u Nicole.

– Daj spokój, nie przeszkadzaj.

– Już wstała.

– I jak się ma?

Dick powoli się obrócił.

– Myślisz, że padła trupem, bo się urżnąłem? – powiedział życzliwym tonem. – Teraz Nicole jest kobietą z... z długowiecznej sosny, a to najtwardsze drzewo na świecie, jeśli nie liczyć nowozelandzkiego *lignum vitae*...

Schodząc na dół, Nicole dosłyszała koniec rozmowy. Od dawna wiedziała, że Tommy ją kocha, wiedziała, że przez to znieubił Dicka i że Dick – który w tym wszystkim zorientował się wcześniej niż Tommy – jakoś potrafi przychylnie się obchodzić z ową samotnie przeżywaną namiętnością. Ta myśl ustąpiła zaraz miejsca czemu innemu: kobiecej satysfakcji najczystszej próby. Ona pochyła się tu nad stołem, przy którym dzieci jedzą śniadanie, wydaje opiekunce parę poleceń, tymczasem na górze dwaj mężczyźni mają głowy pełne Nicole.

Później, w ogrodzie, wciąż czuła się szczęśliwa; nie chciała żadnych nowych wydarzeń, a tylko tego, żeby trwało zawieszenie, ta sytuacja, w której dwaj mężczyźni przerzucają się w myśli nią, Nicole; od tak dawna nie istniała, nawet jako piłka...

– To miło, króliku, prawda, że miło? A może nie? Hej, ty tam, króliku! Miło? Myślisz, że to takie dziwne?

Po paru ostrożnych poruszeniach nosem królik – którego doświadczenia nie wykraczały w praktyce poza kapuściane liście – zgodził się z Nicole.

Jak co dzień zajęła się ogrodem. Ścięte kwiaty zostawiła w wyznaczonych miejscach, skąd ogrodnik miał je potem przynieść do domu. Już pod murem od strony morza poczuła chętkę do rozmowy, chociaż nie było z kim, więc przystanąła i wdała się w rozważania. Mocno zaskoczyła ją myśl, że oto interesuje ją inny mężczyzna... Przecież kobiety miewają kochanków... Dlaczego więc nie ja? W piękny wiosenny poranek zniknęły nagle zakazy świata mężczyzn, Nicole rozmyślała wesoło jak kwiat, wiatr rozwiewał jej włosy, aż wreszcie w ślad za nimi poddała się powiewom głowa. Inne kobiety miewają kochanków. Te same moce, które jej wczoraj nakazały

ulegać Dickowi, gdyby nawet Nicole miała się otrzeć o śmierć, teraz sprawiły, że oto kołysze głową na wietrze wniebowzięta, uszczęśliwiona logiką pytania: czemu nie?

Przysiadła na murku i spoglądała z góry na morze. Z innego morza, z szeroko wezbranej fali wyobraźni, wyłowila coś konkretnego i dodała do reszty łupów. Jeśli w tym stanie ducha nie chce na zawsze być tylko z takim Dickiem, jaki się objawił zeszłej nocy, to sama jest widocznie czymś więcej niż odbicie w jego świadomości; nie jest skazana na wieczną wędrówkę w zaklętym kręgu.

Nicole wybrała ten fragment murku, bo urwisko rzucało cień na spadzistą łąkę i ogród warzywny. Przez plataninę gałęzi patrzyła na dwóch mężczyzn z grabiami i łopatami, którzy mówili na przemian dialektem nicejskim i prowansalskim. Zaintrygowana gestykulacją i brzmieniem słów wkrótce pochwyciła sens:

– Tu ją sobie kładłem.

– A ja brałem ją tam, za winoroślą.

– Jej było wszystko jedno... Jego też to guzik obchodzi. Ale jeszcze ten cholerny pies. No nic, tu ją sobie kładłem.

– Wziąłeś grabie?

– Sam je wziąłeś, cymbale jeden.

– No dobrze, wszystko jedno, gdzie ją sobie kładłeś. Ale przed tamtą nocą ani razu od ślubu nie przygarnąłem innej kobiety, nie poczułem na sobie jej piersi, przez dwanaście lat. A teraz ty mi mówisz...

– Posłuchaj, jak było z psem...

Nicole przyglądała im się zza gałęzi. Wcale nie mówili głupstw... jednemu odpowiada to, drugiemu co innego. Ale historia, którą podsłuchiwała, należy do świata mężczyzn... W drodze do domu znów ogarnęły Nicole wątpliwości.

Dick z Tommym siedzieli na tarasie. Przeszła obok nich, wzięła z domu szkicownik i zabrała się do rysowania głowy Tommy'ego.

– Te ręce nigdy nie próżnują, wrzeczono aż furczy – rzucił Dick.

Że też stać go na takie banalne uwagi, kiedy jest blady jak ściana i w porównaniu z bezkrwistymi policzkami kasztanowa broda wydaje się po prostu czerwona, tak samo jak oczy.

– Zawsze coś robię, nie potrafię inaczej – odezwała się do Tommy'ego. – Kiedyś miałam miłą, ruchliwą małpkę z Polinezji, samca. Bawiłam się z nim godzinami, aż ludzie zaczęli sobie pozwalać na ohydne, chamskie dowcipy...

Konsekwentnie omijała wzrokiem Dicka. W końcu przeprosił i wszedł do domu; zobaczyła, że wypija dwie szklanki wody pod rząd; była nieugięta.

– Nicole – zaczął Tommy, lecz przerwał, żeby odchrząknąć; dolegało mu gardło.

– Przyniosę maści kamforowej – zaproponowała. – Nadzwyczajna. Amerykańska. I Dick w nią wierzy. To potrwa moment.

– Naprawdę muszę jechać.

Dick wyszedł z domu i usiadł.

– Że niby w co wierzę?

Kiedy wróciła ze słoikiem, mężczyźni siedzieli nieporuszeni, chociaż podejrzewała, że wcześniej toczyli jakąś burzliwą rozmowę o niczym.

W drzwiach stał kierowca; niósł torbę z rzeczami, które Tommy wczoraj miał na sobie. Sztucznie wzruszyła się na widok Tommy'ego w ubraniu pożyczonym od Dicka, jakby Tommy'ego nie stać było na taki ubiór.

– Kiedy już będziesz w hotelu, natrzyj gardło i piersi, potem zrób sobie z tego inhalację – poleciła.

Tommy ruszył po schodach, Dick zaś mruknął:

– Posłuchaj, nie dawaj mu całego słoika... To trzeba zamawiać w Paryżu, tutaj tego nie mają.

Tommy wrócił i teraz cała trójka stała w słońcu, Tommy wprost przed autem, na pozór, gdyby się schylił, mógłby zarzucić wóz na plecy.

Nicole podeszła ścieżką.

– Trzymaj – poleciła. – To prawdziwy rarytas.

Poczuła, że stojącemu obok Dickowi odebrało mowę; odeszła o krok i pomachała na odjezdne. Auto ruszyło, uwożąc Tommy'ego oraz niepowtarzalną maść kamforową. Potem odwróciła się, gotowa przełknąć swoje gorzkie lekarstwo.

– Niepotrzebny gest – powiedział Dick. – Jest nas czworo i zawsze kogoś dopada kaszel...

Nie spuszczała z siebie wzroku.

– Zawsze można sprowadzić nowy słoik... – Odwaga opuściła Nicole; ruszyła za Dickiem na górę, gdzie w milczeniu położył się u siebie na łóżku. – Chcesz tu zjeść lunch? – spytała.

Skinął głową i nadal spokojnie wpatrywał się w sufit. Speszona zeszła wydać polecenia. Wróciwszy na górę, znowu zajrzała do jego pokoju; niebieskie oczy przypominały przeciwlotnicze reflektory przeszukujące mroczne niebo. Przez chwilę stała w progu i lękała się wejść, świadoma, że grzeszy przeciw niemu... Wyciągnęła rękę; może chciała pogłaskać go po głowie, lecz Dick odwrócił się jak nieufne zwierzę. Nie mogła już tego wytrzymać; zbiegła po schodach jak wystraszona kucharka, pełna lęku, czym wykarmi się ten poraniony mężczyzna na górze, którego wyschłą piersią karmi się ona sama.

Po tygodniu Nicole już zapomniała o olśnieniu, którego sprawcą był Tommy. Nie miała pamięci do ludzi, zapominała o nich bez trudu. Jednak pierwsze gorące podmuchy lipca przyniosły wieść, że Tommy bawi w Nicei. Napisał do obojga krótki liścik; Nicole otworzyła go pod parasolem, gdzie trafił z resztą poczty obojga przyniesionej z domu na plażę. Przeczytawszy, rzuciła liścik Dickowi, on w zamian rzucił jej na kolana telegram:

Kochani, jutro zatrzymam się u Gausse'a, niestety, bez matki, mam nadzieję, że się zobaczymy.

– Ucieszę się na jej widok – ponuro zapewniła Nicole.

VII

Nazajutrz rano, kiedy szli na plażę, ogarnęły ją znowu obawy. A może Dick obmyśla jakieś rozpaczliwe rozwiązanie? Od wizyty na jachcie Goldinga Nicole czuła przez skórę, co się kroi. Balansując niepewnie między dawnym punktem oparcia, zawsze zapewniającym bezpieczeństwo, a groźnie zapowiadającym się skokiem, który odmieni ją gruntownie, po krew i ciało, spychała całą sprawę w głąb świadomości, nie ważąc się na więcej. Dick i ona to były teraz dwie zmiennokształtne, nieuchwytne postaci, widma wplatanie w fantasmagoryczny taniec. Od miesiący zdawało się, że sens każdego słowa podważają podteksty, a wyjaśnienie nastąpi wkrótce w sytuacji, którą wyreżyseruje Dick. Dzięki całym latom ograniczonym tylko do istnienia odrodziły się teraz te cząstki osobowości Nicole, które wczesna choroba unicestwiła i do których Dick nigdy nie dotarł, nie z własnej winy, lecz dlatego tylko, że cudzej natury nie sposób przeniknąć do końca. Taki stan ducha Nicole rokował lepiej, lecz pozostawał nadal niepokojący. Najbardziej przykra w ich związku stała się obojętność Dicka, rosnąca, a teraz wyrażająca się piciem ponad miarę; Nicole nie wiedziała, co ją czeka: katastrofa czy ocalenie. Sprawę gmatwał głos Dicka, w którym tętniła nieszczerłość. Nicole nie umiała odgadnąć, jak Dick się zachowa podczas dręczącego rozwoju wypadków ani do czego dojdzie na koniec, kiedy Nicole odważy się na skok.

To, co nastąpi potem, nie trwożyło jej; podejrzewała, że spadnie z niej jakieś brzemie, jakieś łuski zsuną się z oczu. Nicole stworzona była do zmiany, do lotu, z pieniędzmi służącymi za skrzydła i stateczniki. Nowy stan rzeczy przypominał sytuację, w której podwozie wyścigowego samochodu, ukryte przez lata pod karoserią pocziwej rodzinnej gabloty, zostaje na powrót wmontowane w

pierwotną konstrukcję. Nicole wyczuwała już świeży powiew, bała się tylko bolesnego zwrotu i ciemności okrywającej jego nadejście.

W drodze na plażę biały kostium Nicole i białe spodnie Dicka wydawały się jeszcze bielsze w zestawieniu z opalenizną obojga. Nicole dostrzegła, że Dick w plątaninie kształtów i cieni rzucanych przez rozliczne parasole wypatruje dzieci; chwilowo przestał zwracać uwagę na Nicole, ona zaś, spojrzawszy chłodnym okiem, uznała, że to rozglądanie się za dziećmi nie wynika z opiekuńczości, lecz jest szukaniem schronienia. Zapewne bał się tej plaży jak zdetronizowany władca skrycie odwiedzający dawny pałac. Nicole stopniowo znienawidziła świat Dicka, świat wyrafinowanego żartu i kurtuazji, zapominając, że przez wiele lat był jedynym, który stał przed nią otworem. Niech sobie patrzy na tę plażę znikczemniałą za sprawą gustu ludzi bez gustu; może ją przeszukiwać do wieczora i nie znajdzie nawet kamienia upamiętniającego chiński mur, który kiedyś wznosił wokół tego skrawka, nawet śladu stopy dawnego przyjaciela.

Przez chwilę Nicole czuła żal; przypomniła sobie szklanekę, którą Dick wygrał ze sterty starych śmieci, przypomniła sobie marynarskie spodnie i swetry kupowane w bocznej uliczce w Nicei, stroje, które później – szyte z jedwabiu – wylansowali paryscy krawcy; przypomniła sobie te proste francuskie dziewczyneczki wspinające się na falochrony i pokrzykujące jak ptaki *Dites donc! Dites donc*; przypomniła też sobie poranny rytuał: łagodne, kojące zwrócenie się ku morzu i słońcu i tyle jeszcze wynalazków Dicka, które tymczasem zapadły się głębiej niż w ten piach, w ciągu tak niewielu lat...

Teraz miejsce do pływania było „klubem”, chociaż – na co wskazywał wygląd międzynarodowego towarzystwa – członkiem owego „klubu” mógł chyba zostać każdy.

Nicole znowu stężała na widok Dicka, który ukląkł na słomianej macie i rozglądał się za Rosemary. Spojrzenie Nicole ruszyło tropem spojrzenia Dicka, penetrując nowinki: trapezy i

huśtawki w morzu, przenośne rozbieralnie, pływające wieże, reflektory, które wspomagały szaloną zabawę ostatniej nocy, modernistyczny biały bufet z oklepaną ozdobą: bezkresem metalowych rurek.

Woda była chyba ostatnim miejscem, które lustrował, bo w błękitnym rajach pławiło się niewielu ludzi, dzieci i jakiś skłonny do popisów hotelowy boy, który urozmaicał ranek, skacząc z wysokości pięćdziesięciu stóp ze skały do morza; większość gości Gausse'a zdejmowała plażowe okrycia – osłonę wiotczących ciał – dopiero koło pierwszej, by na chwilę zanurzyć się w nadziei splukania kaca.

– Jest tam. – To Nicole ją zauważyła.

Przyglądała się, jak Dick śledzi wodną wędrówkę Rosemary między pływającymi pomostami; widok wyrwał z piersi Nicole westchnienie, zaledwie resztkę czegoś sprzed pięciu lat.

– Chodź, popłyniemy i porozmawiamy z Rosemary – zaproponował.

– Płyn sam.

– Popłyniemy oboje.

Buntowała się chwilę przeciw werdyktowi, w końcu popłynęli jednak razem, śladem towarzyszącej Rosemary ławicy rybek lśniących jak błystki na pstrągi w wodzie wzburzonej przez pływaczkę.

Nicole została w morzu, natomiast Dick wdrapał się na pomost; siedzieli tam z Rosemary, ociekali wodą i tak rozmawiali, jakby nigdy nie połączyła ich miłość ani nawet dotknięcie. Rosemary jeszcze wypiękniała, a jej młodość przyprawiła o wstrząs Nicole, chociaż Nicole z satysfakcją zauważyła, że jest od Rosemary o włos szczuplejsza. Nicole ciasnymi kółkami opływała pomost i przysłuchiwała się, jak Rosemary odgrywa radość, rozbawienie i optymizm, znacznie pewniejsza siebie niż przed pięcioma laty.

– Tak tęsknię za matką, ale już w poniedziałek zobaczymy się w Paryżu.

– Kiedy przyjechałaś tu pięć lat temu – powiedział Dick – byłaś zabawną istotką w jakimś hotelowym płaszczu kąpielowym.

– Ależ pamiętasz szczegóły! Zawsze pamiętałeś; zawsze te miłe.

Nicole dostrzegła, że oto odżywa stara zabawa w pochlebstwa; zanurkowała, żeby po wynurzeniu usłyszeć:

– Zaraz zaczniesz mi się wydawać, że tych pięciu lat nie było i znowu jestem osiemnastolatką. Zawsze umiałeś sprawić, że czuję się, no wiesz jak, taka, widzisz, na swój sposób szczęśliwa... dzięki tobie i Nicole. Zdaje mi się, że wciąż widzę was tu na plaży, pod którymś z parasoli, najmiłszych ludzi, jakich poznałam; miłszych chyba już nie poznam.

Nicole odpłynęła, dostrzegając, że rozprasza się chandra dławiąca Dicka; wystarczy, że Dick zacznie flirtować z Rosemary, odświeżając dawną biegłość w kontaktach z ludźmi, tę swoją zaśniedziałą już wirtuozerię. Zapewne po paru głębszych gotów będzie do gimnastycznych popisów przed Rosemary na nawodnych huśtawkach z obręczami na sznurze i namozoli się nad sztuczkami, które niegdyś wykonywał od niechcienia. Tego lata Nicole zauważyła, że po raz pierwszy Dick unika skoków do wody.

Umknęła, klucząc w wodzie od pomostu do pomostu; później Dick ją dogonił.

– Ktoś z przyjaciół Rosemary ma wyścigową motorówkę. O tę. Co powiesz na narty wodne? Moim zdaniem zabawny pomysł.

Zgodziła się na tę zachciankę jak na zachcianki Laniera. Pamiętała stójki Dicka na rękach na krześle ustawionym na skraju deski. A ostatniego lata nad Zugersee podczas pysznej zabawy Dick podniósł mężczyznę, dwieście funtów żywej wagi. Ulokował go na ramionach i wstał na desce. Kobiety poślubiają wraz z mężem

wszystkie jego talenty, ale później – zwykłą koleją rzeczy – nie są nimi tak zachwycone, jak próbują okazać. Nicole nawet nie próbowała. Powiedziała zaś:

– Pewnie. Ja też uważam, że będzie miło.

Wiedziała jednak, że Dickowi daleko do formy; tylko bliskość Rosemary – młodej, uskrzydlającej – kazała mu zlekceważyć groźący wysiłek. Nicole widziała, jak w ten sam sposób inspirują go młodziutkie ciała jej dzieci; teraz zastanawiała się chłodno, czy Dick robi z siebie widowisko. Na motorówce była młodzież. Wobec starszych od siebie Diverów zachowywali się uprzejmie i z szacunkiem, Nicole miała jednak wrażenie, że podskórnie krąży pytanie „co tu robią te typy?” Jej brakowało łatwości, z jaką Dick umiał zapanować nad różnymi sytuacjami i wyprowadzić je na właściwe tory, Dick zaś skupił się teraz na czekającej go próbie.

O dwieście jardów od brzegu silnik przeszedł na wolne obroty, za burtę skoczył jakiś młody człowiek. Podpłynął do kołyszącej się luźno deski, ustawił ją, powoli wpełznął na nią na kolanach, potem wstał – i motorówka przyśpieszyła. Odchylony do tyłu, prowadził z namaszczeniem tę swoją leciuteńką jednostkę raz w prawo, raz w lewo, kreślił niespiesznie i nieprzerwanie łuki, tworząc wędrującą dalej falę. Wreszcie, sunąc kilwaterem, puścił linę, przez chwilę balansował na desce, a potem padł na wznak do wody; zatonął jako posąg chwały, wynurzył się zaś jako nic nieznacząca głowa, do której po okręgu dopłynęła motorówka.

Nicole zrezygnowała, kiedy nadeszła jej kolej, później zgrabnie, w klasycznym stylu sunęła na desce Rosemary, co wielbiciele nagrodzili żartobliwą owacją. Zerwało się aż trzech, liczących samolubnie na zaszczyt wyłowienia jej z wody; na pamiątkę zbiorowego wciągania przez burtę kolano i biodro Rosemary przyozdobiły siniaki.

– Teraz pan, doktorze – zaprosił sterujący Meksykanin.

Dick i ostatni z młodych ludzi skoczyli do wody. Przy desce Dick szykował się do sztuczki z podnoszeniem partnera, czemu Nicole przyglądała się z szyderczym uśmiechem. Rozsierdził ją ten gimnastyczny popis dedykowany Rosemary.

Kiedy mężczyźni uchwycili równowagę na sunącej już desce, Dick ukląkł, wsunął kark między nogi partnera, zmacał nogą linę, złapał i powoli zaczął wstawać.

Towarzystwo z motorówki śledziło to uważnie; dostrzegli, że Dick ma jakieś kłopoty. Wciąż klęczał na jednym kolanie, tymczasem sztuczka polegała na płynnym powstaniu, jednym ruchem. Dick przez chwilę zbierał siły, potem ze skurczoną z wysiłku twarzą podniósł się.

Deska była wąska, a partner – mimo że ważył niespełna sto pięćdziesiąt funtów – nie był okazem zręczności i jakoś niezdarnie złapał Dicka za głowę. Kiedy resztką sił, ostatnim porywem Dick wyprostował się, deska umknęła mu spod stóp i obaj wylądowali w wodzie.

– Fantastycznie! Prawie się udało! – krzyknęła Rosemary.

Kiedy motorówka podpłynęła do mężczyzn, Nicole przyjrzała się Dickowi z bliska. Na jego twarzy malowała się złość; spodziewała się tego, przecież dwa lata temu wykonywał tę sztuczkę bez trudu.

Następnym razem był ostrożniejszy. Uniósł się nieco, sprawdzając równowagę brzemienia, znów ukląkł, potem mruknął „hej ho!” i zaczął się podnosić, lecz zanim się wyprostował, nagle ugięły się pod nim nogi. Dick odepchnął stopami deskę, żeby podczas upadku nie potłukli się o nią.

Tym razem pasażerowie *Belony* nie mieli wątpliwości: Dick był wściekły.

– Nie macie nic przeciw temu, że spróbuję jeszcze raz? – krzyknął z wody. – Niewiele brakowało.

– Nie ma sprawy. Tor wolny.

Nicole widziała, że Dick jest blady jak ściana.

– Może starczy tego dobrego? – ostrzegła.

Nic nie powiedział. Partner miał dosyć, więc wciągnięto go na pokład, a siedzący u steru Meksykanin szarmancko rzucił się do wody, by go zastąpić.

Był cięższy. Kiedy motorówka się rozpędzała, Dick przez chwilę znów zbierał siły, leżąc na brzuchu na desce. Potem wsunął się pod Meksykanina, przejął linę, napiął mięśnie i podjął próbę.

Nie mógł się podnieść. Nicole widziała, jak dobiera pozycję i znów się spręży, lecz znieruchomiał z przyciężkim mężczyzną na barkach. Spróbował jeszcze raz, uniósł się o cal, dwa cale – Nicole czuła, że i jej występują na czoło krople potu, jakby się podnosiła wraz z Dickiem – potem zamarł, runął bokiem na kolana, obaj wpadli do wody, a Dick cudem uniknął zderzenia z deską.

– Szybko, szybko! – ponagliła sternika Nicole; dostrzegła, że Dick znika pod wodą, i krzyknęła, lecz Dick wynurzył się i obrócił na grzbiet, a z pomocą pośpieszył do wody Château. Zdawało się, że dopływanie trwa wieki, lecz kiedy motorówka zrównała się z pływakami, Nicole – na widok Dicka unoszącego się bezwładnie na fali, samotnego wobec morza i nieba, wyczerpanego, z twarzą pozbawioną wyrazu – poczuła zamiast przestachu pogardę.

– Zaraz pomożemy, doktorze... Niech pan postawi tu nogę... W porządku... Teraz wszyscy razem...

Dick siedział, dyszał i tępo patrzył przed siebie. Nicole nie mogła się powstrzymać:

– Wiedziałam, że nie wolno się w to wdawać.

– Zmęczył się pierwszym i drugim podejściem – powiedział Meksykanin.

– Czysta głupota – Nicole nie ustępowała.

Rosemary taktownie nie zabierała głosu.

Po minucie Dick trochę ochłonał, wciąż jednak dyszał.

– Nie podniósłbym teraz nawet papierowej lalki – powiedział.

Nagły i krótki wybuch śmiechu rozładował napięcie po porażce. Wszyscy z troską śledzili Dicka przechodzącego na nabrzeże. Ale Nicole była rozdrażniona; teraz irytowało ją u Dicka wszystko.

Usiadła pod parasolem z Rosemary, a Dick ruszył do bufetu po coś do picia; po chwili przyniósł im sherry.

– Pierwszego w życiu drinka piłam z wami – powiedziała Rosemary, potem w przyływie entuzjazmu dodała: – Tak się cieszę, że was widzę; teraz już wiem, że macie się dobrze. Bo martwiłam się... – urwała, zmieniając treść zdania – ...martwiłam się, że mogę was nie zastać.

– Słyszałaś, że wkroczyłem na drogę upadku?

– Ależ nie... Słyszałam tylko... że się zmieniłeś. I cieszę się, bo widzę na własne oczy, że to nieprawda.

– Jednak prawda. – Dick usiadł. – Zmiana zaszła już dawno temu, ale z początku nic nie widać. Przez jakiś czas jeszcze się trzyma sposób bycia, chociaż morale poszło w rozsypkę.

– Masz praktykę na Riwierze? – niespokojnie spytała Rosemary.

– Jeśli ktoś szuka obiecujących przypadków – skinął w stronę ludzi kłębiących się na złotym piasku – to dobrze trafił. Kandydatury wprost nadzwyczajne. Czy wiesz, że nasza stara przyjaciółka, pani Abrams, odgrywa księżną przed Mary North, która z kolei odgrywa królową? Nie ma czego zazdrościć... Wystarczy pomyśleć o długiej wspinaczce pani Abrams kuchennymi schodami u Ritza na czworakach i o kurzu z chodników, którego musiała się nawdychać.

Rosemary przerwała Dickowi.

– Czy to naprawdę Mary North?

Przyglądała się kroczącej z wolna w ich stronę kobiecie, za którą postępowała niewielka świta, wyraźnie nawykła do spojrzeń ciekawskich. Kiedy dzieliło ich dziesięć stóp, Mary przelotnie zerknęła na Diverów; w ów żalony sposób zakomunikowała napotkanym, że wprawdzie spojrzano na nich, lecz nie zechciano dostrzec; Diverowie ani Rosemary Hoyt nie pozwoliliby sobie nigdy – i wobec nikogo – na tego rodzaju spojrzenie. Jednak widok Rosemary sprawił, że Mary rozmyśliła się i podeszła, czym rozbawiła Dicka. Do Nicole odezwała się uprzejmie i ciepło, natomiast Dickowi skinęła głową bez uśmiechu, jak trędowatemu, co ironicznie odwzajemnił pełnym szacunku ukłonem, kiedy witała się z Rosemary.

– Słyszałam, że przyjechałaś. Do kiedy zostajesz?

– Do jutra – odparła Rosemary.

Ona też zauważyła intencje Mary: Diverowie mieli jedynie posłużyć do nawiązania rozmowy, ale Rosemary powodowana lojalnością nie paliła się do wspólnych planów. Nie, nie może dziś wieczorem przyjść na kolację.

Teraz Mary zwróciła się do Nicole.

– Jak tam dzieci? – spytała tyleż troskliwie, ile z politowaniem.

Właśnie podeszły; prosiły Nicole, żeby odwołała zakaz guwer-nantki, która nie pozwala im teraz popływać.

– Nie – zdecydował Dick za Nicole. – Co powiedziała made-moiselle, jest święte.

Także Nicole uważała, że trzeba wspierać wyznaczoną przez siebie zwierzchniczkę, więc odmówiła dzieciom, Mary zaś – niczym jakaś bohaterka Anity Loos*, którą tylko obchodzą *faits accomplis***,

* Anita Loos (1888-1981) – amerykańska pisarka, dramatopisarka i scenarzystka filmowa; jej olbrzymi dorobek powstawał między rokiem 1912 a

niezdolna za to nauczyć czystości młodego pudła – spojrzała na Dicka jak na oprawcę. Dick, któremu to męczące przedstawienie już wychodziło bokiem, spytał z udawaną troską:

– A co u twoich dzieci... I ich ciotek?

Mary nie odpowiedziała; gestem pełnym współczucia położyła dłoń na główce małego zachwyconego Laniera i poszła. Dick odezwał się po chwili:

– Kiedy pomyślę, ile czasu strawiłem na pracy nad nią...

– Lubię ją – odrzekła Nicole.

Rozgoryczenie Dicka zdziwiło Rosemary; Dick był dla niej uosobieniem pobłażliwości i wyrozumiałości. Przypomniała sobie nagle, co o nim mówiono na statku. W rozmowie z jakimiś ludźmi z Departamentu Stanu – zeuropeizowanymi Amerykanami o wyrobionej pozycji, w której właściwie przestaje się liczyć narodowość, przynajmniej narodowość związana z jakimś mocarstwem; najwyżej mogliby się wpisać w jakąś niby-balkańską wspólnotę złożoną z ludzi im podobnych – padło nazwisko wszechobecnej i sławetnej Baby Warren, a wtedy ktoś napomknął, że jej młodsza siostra zmarnowała sobie życie przez lekarza trawiącego czas na hulankach.

– Już go nigdzie nie przyjmują – zapewniła rozmówczyni. Zdanie nie dawało spokoju Rosemary; wprawdzie nie potrafiła sobie wyobrazić Diverów utrzymujących stosunki z towarzystwem, w którym takie zarzuty – jeśli w ogóle prawdziwe – mają jakieś znaczenie, mimo to wciąż dźwięczało jej w uszach napomknienie o nieprzyjaznej i nieodosobnionej postawie. „Już nigdzie go nie przyjmują”. Wyobrażała sobie Dicka, który wspina się po schodach jakiejś rezydencji i podaje wizytówkę, by usłyszeć od butlera: „Już pana nie przyjmujemy” potem wędruje aleją, by usłyszeć to samo od

1978, w tym scenariusze słynnych produkcji. Drugie małżeństwo z Johnem Emersonem przypominało sytuację Fitzgeralda; oboje mieli do czynienia z rozwijającą się chorobą psychiczną współmałżonków.

** Fakty dokonane (fr.).

niezliczonych butlerów niezliczonych ambasadorów, ministrów, chargés d'affaires... Nicole rozważała, jak się wyrwać. Podejrzewała, że Dick – jak poderwany ostrogą – zacznie coraz sugestywniej czarować, a Rosemary nie pozostanie może obojętna. I rzeczywiście, po chwili Dick zacierał już złe wrażenie po uszczypliwościach, które wygłosił.

– Mary jest w porządku i wie, co robi. Tylko trudno bez przerwy lubić ludzi, którzy nas nie lubią.

Rosemary podchwyciła ton, zakołysała się, nachyliła w stronę Dicka i niemal wyśpiewała porcję pochlebstw:

– Jesteś taki miły. Nie wyobrażam sobie, żeby ludzie mogli ci czegoś nie wybaczyć, wszystko jedno, co zrobiłeś. – Potem uświadomiła sobie, że tą wylewnością narusza prawa Nicole, więc zmieniła temat, patrząc w dół na piasek między Dickiem i Nicole: – Chciałam was zapytać, co sądzicie o moich ostatnich filmach? Jeśli byliście na nich?

Nicole milczała; jedyny, który widziała, niemal wyleciał jej z pamięci.

– Opowiadanie o tym zajmie parę minut – przestrzegł Dick. – Powiedzmy tak: Nicole ci mówi, że Lanier jest ciężko chory. Jak się zachowasz w życiu? Jak zachowują się wszyscy? W tej sytuacji grają twarz, głos, słowa: twarz okazuje smutek, głos powiadamia o wstrząsie, słowa zapewnią o współczuciu.

– Tak... Rozumiem.

– Tymczasem w teatrze to wygląda inaczej. Najlepsi aktorzy teatralni budowali pozycję na przerysowaniu prawdziwej reakcji emocjonalnej, nawet na parodiowaniu lęku, miłości czy współczucia.

– Rozumiem. – Jednak nie całkiem rozumiała.

Nicole przestała uważać, ogarniało ją coraz większe zniecierpliwienie, tymczasem Dick wywodził:

– Dla aktorki niebezpieczeństwo tkwi w reakcjach. Znowu założmy – ktoś ci mówi: „Twój kochanek nie żyje”. W życiu prawdopodobnie pęka ci serce. Ale na scenie starasz się ludzi zająć sobą. Widownia zdoła po swojemu „zareagować na wydarzenie”. Natomiast aktorka musi podać tekst, musi skupić z powrotem uwagę na sobie, odciągnąć od tego zamordowanego Chińczyka czy kogo tam. Musi zrobić coś nieoczekiwanego. Jeśli publiczność sądzi, że postać to mocny charakter, aktorka musi go zmiękczyć; jeśli widzowie myślą, że postać jest łagodna, trzeba pokazać jakąś twardość. Trzeba wyjść poza postać... Rozumiesz?

– Niezupełnie – przyznała Rosemary. – Co znaczy twoim zdaniem „wyjść poza postać”?

– Musisz robić coś nieoczekiwanego, aż odwrócisz uwagę publiczności od obiektywnego zdarzenia i z powrotem skupisz ją na sobie. Dopiero wtedy możesz na nowo wślizgnąć się w graną postać.

Nicole nie mogła tego znieść. Gwałtownie wstała, nie próbując ukryć zniecierpliwienia. Rosemary, która od pewnego czasu niejasno wyczuwała nastrój Nicole, obróciła się pojednawczo do Topsy i powiedziała:

– Chciałabyś zostać aktorką, kiedy dorośniesz? Bo ja uważam, że będziesz świetna.

Nicole ostentacyjnie wbiła spojrzenie w Rosemary, potem odezwała się tonem godnym swojego dziadka, powoli i wyraźnie:

– To absolutnie nie na miejscu, żeby tego rodzaju pomysły kłaść do głowy cudzym dzieciom. Weź pod uwagę, że możemy wobec nich mieć całkiem inne plany. – Potem raptownie zwróciła się do Dicka. – Zabieram samochód i jadę do domu. Po ciebie i dzieci przyślę Michelle.

– Nie prowadziłaś od miesiący – zaprotestował.

– Pamiętam, jak to się robi.

Nawet nie spojrzawszy na Rosemary – na której twarzy malowały się gwałtowne „reakcje” – Nicole pozostawiła tych dwoje pod parasolem.

Nadal z kamienną twarzą narzucała w przebieralni letni strój. Kiedy wykręciła jednak na drogę pod sklepieniem z sosen, kiedy powiało czymś innym – z gałęzi na gałąź przeskakiwała wiewiórka, wiatr zakołysał liśćmi, w oddali przeszło powietrze pianie koguta, wścibski promień słońca przekradał się przez bezruch, odgłosy plaży ucichły – odetchnęła, czuła się teraz odrodzona i szczęśliwa, jej myśli były klarowne jak klangor pięknych dzwonów; czuła powrót do zdrowia, znalazła się na nowej drodze. Podczas morderczego wydobywania się z labiryntów, po których błąkała się latami, jej ego rozkwitło jak piękna bujna róża. Nienawidziła plaży, odpychały ją wszystkie miejsca, w których grała rolę planety krążącej wokół Dicka-słońca.

Dlaczego nie; przecież w pełni już jestem sobą, niewiele brakuje, pomyślała. W gruncie rzeczy stoję na własnych nogach, bez niego. I jak szczęśliwe dziecko, które chce natychmiastowego spełnienia, niejasno też pamiętając, że to Dick dążył, by osiągnęła pełnię siebie, w domu padła zaraz na łóżko i napisała do bawiącego w Nicei Tommy’ego Barbana krótki, prowokujący list.

Tak to się przedstawiało w dzień, ale pod wieczór – wraz z nieuniknionym ubytkiem energii i podniecenia – Nicole ubyło też animuszu, przez półmrok frunęły jak strzały znaki ostrzegawcze. Bała się, co może przyjść do głowy Dickowi; znów miała wrażenie, że pod pozorem zwykłych poczynań kryje się jakiś plan, a plany Dicka przyprawiały ją o lęk, były dobrze opracowane, z ich logiką i zdolnością przewidywania Nicole nie mogła się mierzyć. Tak się jakoś złożyło, że myślenie pozostawiała Dickowi; pod jego nieobecność wręcz machinalnie robiła wszystko tak, żeby to pochwalił, a teraz wydawało jej się niestosowne przeciwstawić własne zamiary

jego planom. Jednak musi, myślała; w końcu rozpoznała właściwe drzwi w tym strasznym świecie wyobraźni, dostrzegła próg wskazujący drogę ucieczki, która nie jest ucieczką; dobrze wiedziała, że jej najcięższym grzechem – teraz i w przyszłości – byłoby samooszukiwanie. Lekcja zajęła wiele czasu, ale została starannie odrobiona. Albo się myśli, albo muszą za ciebie myśleć inni, pozbawiają cię wtedy mocy i władzy, wynaturzają, biorą w ryzyko twoje naturalne skłonności, cywilizują cię – i sterylizują.

W pokoju, w którym zapadały ciemności, spokojnie zjedli kolację z Dickiem, który nie żałował sobie piwa, dzieci zaś hojnie obdzielali pogodą ducha. Potem zagrał parę pieśni Schuberta i jakieś nowe amerykańskie kawałki jazzowe, które Nicole nuciła mu przez ramię szorstkim, słodkim kontraltem.

Dzięki ci ojcze, dzięki, matko

Za to, że poszło wam ze mną gładko...

– Nie, to mi się nie podoba – powiedział Dick. Sięgnął, by przewrócić kartkę.

– Graj dalej! – krzyknęła. – Czy do końca życia mam się wzdrygać na słowo „ojciec”?

Dzięki ci, mamó, dzięki, tato

że byliście pod dobrą datą.

Dzięki ci, koniu, dzięki wozie

że nie zamarzli wtedy na mrozie.

Później usiedli z dziećmi na mauretańskim dachu i oglądali sztuczne ognie rozbłyskujące w dali na brzegu, nad dwoma oddalonymi od siebie kasynami.

Nazajutrz rano po powrocie z zakupów w Cannes Nicole znalazła kartkę: Dick zawiadamiał, że bierze mniejszy wóz i na parę dni wybiera się samotnie do Prowansji. Kiedy czytała wiadomość, odezwał się telefon. Dzwonił z Monte Carlo Tommy Barban, dostał list i zaraz przyjeżdża. Kiedy zapraszała Tommy'ego, w słuchawce poczuła ciepło promieniujące z jej warg.

VIII

Wykąpała się, natarła kremem, pokryła ciało warstewką pudru, palcami stóp szukając szorstkości ręcznika kąpielowego. Uważnie, jak przez mikroskop wypatrywała zmarszczek na bokach. Ciekawe, myślała, kiedy ta piękna smukła struktura zacznie ciążyć ku ziemi, tonąc w przysadziści. Może za jakieś sześć lat, kto wie, ale na razie jest nieźle... prawdę mówiąc, całkiem nieźle, nie ma się czego wstydić.

Nie przesadzała. Od Nicole sprzed pięciu lat różniło ją tylko to, że przestała być dziewczyną. Jednak powszechnego kultu młodości Nicole miała już powyżej uszu: łzawych filmideł zapewniających bezczelnie, że podlotkowata twarzączka, wraz z milionem podobnych, wyraża trud i mądrość świata; młodości nie zazdrościła nikomu.

Po raz pierwszy od lat włożyła długą, dzienną sukienkę do kostek i w nabożnym skupieniu przeżegnała się szesnastką chanel. Przed przyjazdem Tommy'ego o pierwszej przemieniła się w najstaranniej wypielegnowany ogród.

Jak dobrze mieć takie rzeczy, być znów wielbiona, odgrywać tajemniczość! Straciła dwa lata ze wspaniałego, przesyconego zachwalstwem życia ładnej dziewczyny; teraz czuła, że je nadrabia. Przywitała Tommy'ego, jakby był jednym z wielu, których ma u stóp, a przez ogród, w stronę wielkiego targowego parasola, szła przed nim zamiast obok niego. Ponętne kobiety – czy to dziewiętnastoletnie, czy dwudziestodzieciolatek – cechuje promienna pewność siebie; jest wszakże różnica: natarczywe łono kobiety po dwudziestce już nie żąda, by świat się kręcił wokół niego. Dziewiętnaście lat to

zuchwalstwo i tupet godne młodego kadeta, dwadzieścia dziewięć to dumny krok wojownika po stoczony walce.

O ile dziewiętnastolatka czerpie pewność siebie z nadmiaru przyciągania uwagi, o tyle kobieta w wieku dwudziestu dziewięciu lat karmi się czymś bardziej wyszukany. Złakniona, z rozwagą wybiera aperitify bądź – już usatysfakcjonowana – delektuje się kawiozem: potencjalną władzą. Na szczęście w jednym i w drugim przypadku nie wnika w to, co przyniosą kolejne lata, kiedy strach zmąci jej ostrość widzenia, kiedy będzie się bała, że grzeźnie lub że się nie odważy na następny krok. Tak czy inaczej – na dziewiętnastym czy na dwudziestym dziewiątym piętrze – jest szczerze przekonana, że za rogiem nie czają się potwory.

Nicole nie pociągało żadne mgławo romantyczne braterstwo dusz; pragnęła przygody, zmiany. Wiedziała, co jej podszeptną przeświadczenia Dicka: oto wdaje się w historię z pozoru prymitywną, chce samolubnie, bez głębszych uczuć ulec pokusie zagrażającej im wszystkim. Z drugiej strony, to Dicka winiła za tę konkretną sytuację, zresztą szczerze przekonana, że w takim doświadczeniu kryją się może właściwości uzdrawiające. Inspirował ją też fakt, że przez całe lato obserwuje ludzi, którzy robią akurat to, co chcą, i niczym nie przyplacają ulegania pokusom; co więcej, chociaż postanowiła już dłużej się nie okłamywać, wolała jednak uznać, że to tylko szukanie drogi i w każdej chwili można się cofnąć...

Tommy, cały w bielach, objął ją w półcieniu ogrodu, obrócił, przyciągnął, potem zajrzał głęboko w oczy.

– Nie ruszaj się – powiedział. – Od tej pory wciąż będę się w ciebie wpatrywał.

Włosy Tommy'ego jakoś szczególnie pachniały, z białego drelichu sączyła się woń mydła. Wargi Nicole nie rozchyliły się, nie rozciągnęły w uśmiechu; po prostu przez chwilę patrzyli na siebie.

– Podoba ci się to, co widzisz? – szepnęła.

– *Parle français.*

– Dobrze. – I teraz spytała po francusku: – Podoba ci się to, co widzisz?

Przygarnął ją.

– Podoba mi się wszystko, co twoje. – Zawahał się. – Myślałem, że znam twoją twarz, a teraz myślę, że zobaczę tu jeszcze niejedno, o czym nie miałem pojęcia. Od kiedy masz takie niewinne oczy szachrajki?

Odskoczyła; oburzona i poruszona wykrzyknęła po angielsku:

– To dlatego zachciało ci się francuskiego? – Ściszyła głos, kiedy zjawił się butler z sherry. – Żeby obrażać jeszcze sprawniej?

Z rozmachem ulokowała drobne siedzenie na krześle, na wyszywanej srebrną nitką poduszce.

– Nie mam tu lustra – odezwała się znów po francusku, stanowczym tonem. – Lecz jeśli zmieniły mi się oczy, to dlatego, że wreszcie wyzdrowiałam. A skoro wyzdrowiałam, to pewnie wróciłam do swego prawdziwego „ja”; musisz wiedzieć, że mój dziadek handlował końmi, od czego święci trzymają się z daleka. Więc może dziedziczyć charakter po dziadku? Tak to wygląda. Jak tam twój logiczny umysł? Zadowolony?

Najwyraźniej Tommy ledwie rozumiał, o czym mówi Nicole.

– Gdzie jest Dick? Zje z nami lunch?

Zrozumiawszy, że Tommy dość niewinnie palnął to, co palnął, Nicole roześmiała się z ulgą.

– Dick zrobił sobie wypad – powiedziała. – Zjawiła się Rosemary Hoyt, więc albo są razem, albo wpędziła go w takie przygnębienie, że postanowił wyjechać, żeby o niej pomarzyć,

– Jesteś kimś wcale nieprostym. Wiesz o tym?

– Och nie – spiesznie zaprzeczyła. – Nic podobnego... Jestem trochę... Jestem sporą gromadką prostych, lecz bardzo różnych ludzi.

Mariusz przyniósł melon i kubeczek lodu, tymczasem Nicole wciąż myślała o swych oczach szachrajki i nie odzywała się; ten Tommy podsuwa człowiekowi orzech do zgryzienia, zamiast rozłupać i podać sam miąższ.

– Dlaczego nie zostawili cię w spokoju, takiej jaka byłaś? – spytał Tommy. – Nie znam istoty, która przeżyła większy dramat.

Nie odpowiedziała.

– Ach, to poskramianie kobiet! – kpił.

– W każdym społeczeństwie są pewne... – Czuła, że gdzieś koło łokcia sadowi się w roli suflera duch Dicka, ale przerwała, wsłuchując się w podtekst słów Tommy'ego:

– Wielu mężczyznom dałem w kość, żeby zrobić z nich ludzi. Co innego z kobietami. Gdyby nawet ich było dwa razy mniej... Nie wiem, czybym się podjął. Zwłaszcza „aksamitnego” przymusu. Jaki z tego pożytek? Dla kogo? Dla ciebie? Dla niego? Jeszcze kogoś?

Serce zabiło jej mocniej, a potem przycichło; pomyślała, ile zawdzięcza Dickowi.

– Powiedziałabym, że mam...

– Masz za dużo pieniędzy – przerwał niecierpliwie. – W tym rzecz. Trudno i darmo, Dicka to przerasta.

Chwilę medytowała; tymczasem Mariusz sprzątnął resztki melonów.

– Jak myślisz, co powinnam zrobić? – Po raz pierwszy od dziesięciu lat znalazła się pod wpływem kogoś innego niż Dick. Wszystko, co mówił Tommy, stawało się na zawsze jej częścią.

Wypili butelkę wina; wiatr poruszał igłami pinii, wraz z uderzającym do głów żarem wczesnego popołudnia pojawiły się na krzasiastym obrusie oślepiające plamki światła. Tommy podszedł od tyłu do Nicole, położył ramiona na jej ramionach i uścisnął jej dłonie. Policzki obojga zetknęły się, potem wargi; Nicole dyszała gwałtownie, i podniecona, i zdumiona, jak bardzo podniecona.

- Możesz na popołudnie odesłać guwernantkę z dziećmi?
- Mają lekcje fortepianu. Zresztą nie chcę tu tkwić.
- Jeszcze raz mnie pocałuj.

W chwilę później, kiedy jechali w stronę Nicei, pomyślała: Więc mam niewinne oczy szachrajki, tak? I dobrze. Lepsza szachrajka przy zdrowych zmysłach niż niepoczytalna purytanka.

Rozgrzeszyła ją ta uwaga Tommy'ego, całkowicie uwolniła od winy i odpowiedzialności. Na myśl o nowej drodze Nicole czuła teraz dreszcz rozkoszy. Otwierały się nowe horyzonty, wypełnione twarzami licznych mężczyzn, których nie trzeba słuchać ani nawet kochać. Głęboko nabrała powietrza, potem skuliła się, obróciła na siedzeniu i zapytała Tommy'ego:

- Czy musimy jechać aż do twego hotelu w Monte Carlo?

Zatrzymał wóz z piskiem opon.

- Ależ skąd! - odrzekł. - Na Boga, jeszcze nigdy nie byłem taki szczęśliwy jak w tej chwili.

Trzymając się Lazurowego Wybrzeża, przejechali Niceę, później zaczęli się wspinać w stronę środkowej *corniche**. Potem Tommy ostro zawrócił w dół, ku morzu, dojechał na koniec zaokrąglonego półwyspu i zatrzymał się na tyłach nadmorskiego hoteliku.

* *Corniches* - trzy drogi przecinające urwiska nad Lazurowym Wybrzeżem, słynące ze wspaniałych widoków.

Namacalność budynku, jego fizyczność spłoszyła na chwilę Nicole. Przy ladzie jakiś Amerykanin bez końca wyklócał się z recepcjonistą o kurs wymiany. Nie mogła sobie znaleźć miejsca, kiedy Tommy wypełniał policyjne formularze, wpisując swoje prawdziwe dane, Nicole zaś fałszywe. Dostali pokój typowo śródziemnomorski, niemal ascetyczny i niemal czysty, chroniony okiennicami przed blaskiem znad morza. Najprostsza z przyjemności i najprostsze z miejsc. Tommy zamówił dwa koniaki, a kiedy za kelnerem zamknęły się drzwi, usiadł na jedynym krześle, smagły, pokryty bliznami, urodziwy, o falistych brwiach; waleczny elf, sumienny szatan.

Nie dokończywszy koniaku, podeszli nagle do siebie; potem usiedli na łóżku, a Tommy całował pyszniące się kolana Nicole. Wciąż trochę się opierając, jak dogorywające zwierzę, przestawała myśleć o Dicku, o swych nowych oczach, nawet o Tommym i coraz głębiej pogrążała się w płynących chwilach, wreszcie w tej jednej jedynej.

Kiedy Tommy otworzył okiennicę i wyjrzał, by zbadać, skąd się biorą coraz głośniejsze hałasy pod oknem, zobaczyła, że jest smaglejszy i mocniejszy niż Dick, na mięśniach jak węzlaste liny lśniło słońce. On także zapomniał na chwilę o Nicole, w sekundzie, w której zrywał się z łóżka, poczuła przedsmak niespodzianki: sprawy zapewne potoczą się inaczej, niż sądzi. Poczowała bezimienny lęk, który poprzedza wszelkie przeżycia, radosne czy smutne, nieunikniony jak pomruk gromu przed burzą.

Tommy rozglądał się ostrożnie i zameldował od okna:

– Na balkonie pod nami są dwie kobiety, poza tym nie ma nikogo. Huśtają się na bujakach i rozprawiają o pogodzie.

– I robią tyle hałasu?

– Hałas dobiega skądś z dołu. Posłuchaj.

Tam, na Południu, w bawełnianym kraju
W hotelu tak cię złoją, że trafisz do raju;
Lepiej daj spokój...

– Amerykanie.

Nicole szeroko rozrzuciła ramiona na łóżku i wpatrywała się w sufit; przewilgły puder zamienił się w mleczną powłoczkę. Nicole podobała się surowość pokoju, nawet brzęczenie jedynej muchy gdzieś nad głową. Tommy postawił krzesło przy łóżku i zrzucił z niego ubranie, żeby usiąść; Nicole podobała się lekkość własnej sukienki i pantofli, które leżały teraz na podłodze przemieszane z białymi drelichami Tommy'ego.

Oglądał uważnie smukły korpus, nieoczekiwanie zespolony z opalonymi na brąz rękami, nogami i głową, roześmiał się jakoś uroczyście i powiedział:

- Jesteś jak nowo narodzona.
- O niewinnych oczętach.
- Ja ich dopilnuję.
- Trudno upilnować niewinne oczęta, zwłaszcza z Chicago.
- Coś wiem o starych chłopskich metodach z Langwedocji.
- Pocałuj mnie, Tommy, w usta.

– Bardzo to amerykańskie – powiedział, jednak pocałował. – Ostatnio w Ameryce pełno było dziewcząt gotowych rozszarpać człowieka samymi wargami, rozszarpać też siebie, aż twarze i usta zamienia się w szkarłat, w jeden krwawy strzęp; i na tym koniec. Więcej nic.

Nicole oparła się na łokciu.

- Podoba mi się ten pokój – powiedziała.

– Moim zdaniem dość marny. Kochanie, tak się cieszę, że nie chciałaś czekać aż do Monte Carlo.

– Dlaczego dość marny? Przecież to fantastyczny pokój, Tommy, jak z tymi gołymi stołami na tyłu cézanne'ach i picassach.

– Nie wiem. – Nie próbował zrozumieć, o co jej chodzi. – Znowu ten hałas. Mój Boże, mordują kogoś, czy co? – Podszedł do okna i znowu zdał sprawę: – Wygląda na to, że biją się dwaj amerykańscy marynarze, a kibicuje cały tłum. Są z waszego okrętu wojennego, tego na kotwicy. – Owinał się ręcznikiem i wyszedł na balkon. – A z nimi mewki. Teraz słyszy się o tym: jeżdżą od portu do portu, gdzie zawija okręt. Co za wywłoki! Mogliby z takim żołdem wystarać się o lepsze! Jakie kobiety kręciły się przy Kornilowie! Gdzie człowiek spojrział, co najmniej balerina.

Więc miał do czynienia z tyloma kobietami, że słowo „kobiety” nie robi na nim wrażenia; Nicole była zadowolona, potrafi go zatrzymać, póki jej osobowość będzie górować nad powszedniością ciała.

– Wal tak, żeby poczuł!

– Łuuup!

– Hej, co ja mówię, prawym na bebecz!

– No chodź tu, Dulschmit, wszarzu jeden, chodź!

– Łuuup!

– ŁUUUP! Tommy odwrócił się.

– To miejsce już się chyba zużyło, nie sądzisz?

Owszem, sądziła, lecz zanim się ubrali, przywarli do siebie, a później przez chwilę pokój wydawał się co najmniej pałacem... W końcu Tommy zaczął się ubierać.

– Mój Boże! – wykrzyknął. – Tam niżej na balkonie te dwie kobiety w bujakiach nie ruszyły się z miejsca. Usiłują tę historię

zagadać. Są na wakacjach, po okazyjnej cenie, i cała marynarka amerykańska do spółki z kurwami całej Europy nie mają prawa tego popsuć.

Podszedł delikatnie i objął ją, zębami podciągnął na miejsce ramiączko halki. Powietrze nagle przeszył huk TRACH-BUUUUUMM! Okręt wzywał załogę na pokład.

Teraz pod oknem rozpętało się prawdziwe piekło; bez zapowiedzi zmierzała ku wybrzeżu szalupa. Kelnerzy wykrzykiwali sumy i niecierpliwie żądali zapłaty, jedni zaklinali się, inni protestowali; rzucano za duże banknoty i otrzymywano za mało reszty; marynarzy z przepustki odprowadzono do szalup, a zwięzłe rozkazy żandarmerii morskiej górowały nad wrzawą. Przy akompaniamencie płaczu, łez, pisków i przyrzeczeń odbiła pierwsza szalupa, kobiety na kei wydzierały się i wymachiwały rękami.

Tommy zobaczył, że na balkon o piętro niżej wpada dziewczyna i wymachuje serwetką, a zanim zdążył się przyjrzeć, czy kołyszące się w bujakach Angielki w końcu uległy i zechciały zauważyć obecność osóbkę, już rozległo się pukanie do drzwi Tommy'ego i Nicole. Rozgorączkowane kobiece głosy zmusiły ich do otwarcia. W progu stały dwie dziewczyny, młode, chude i zgrzebne, nie tyle nawet zagubione w holu, ile niewidoczne. Jedna spazmatycznie łkała.

– Da rade pomachać z ganku? – żarliwie pytała ta druga ulicznym amerykańskim. – Da rade? Machać chłopakom, nie? Da rade, no błagam. Gdzie indziej zamkli.

– Ależ proszę – powiedział Tommy.

Dziewczęta wpadły na balkon i teraz ich soprany wzbily się ponad rozgardiasz.

– Cześć, Charlie! Hej, tutaj, Charlie! Tutaj!

– Przyślij depeszę! Nicea! Poste restante!

– Charlie! On mnie, cholera, nie widzi!

Jedna z dziewcząt nagle zadarła spódnicę, ściągnęła długie różowe majtki i rozdarła, zamieniając w sporą flagę; wrzeszcząc „Ben! Ben!” wywijając nimi jak szalona. Kiedy Tommy i Nicole opuszczali pokój, majtki wciąż łopotwały na tle błękitnego nieba. Och, powiedz, czy widzisz ten tkliwy kolor ciała, wciąż tkwiącego ci w pamięci, chociaż na rufie okrętu rzuca mu wyzwanie Gwiaździsty Sztandar?

Kolację zjedli w nowym Beach Casino w Monte Carlo... Już później pływali w Beaulieu, w wieńcu srebrzystych gładów, w czełściach księżycowej poświaty, w fosforyzującym morzu, zwróceniu twarzą ku Monako i odległym światłom Mentony. Nicole cieszyła się, że Tommy ją tu zabrał i że dzięki niemu patrzy teraz na Wschód, zachwyca się nieznanymi sztuczkami wiatru i morza; wszystko to było tak nowe, jak nowością byli sami dla siebie. Przerzuconą przez łąk siodła uwoził ją symbolicznie z Damaszku na płaskowyże Mongolii. Z każdą chwilą szły w zapomnienie wszystkie nauki Dicka, ona zaś zbliżała się do tego kogoś, kim była u zarania – archetypu mrocznej uległości wobec miecza, jakże powszechnej i wszechobecnej. Uwikłana w miłość w świetle księżyca radośnie witała anarchię, dar kochanka.

Ocknęli się o zachodzie księżyca, kiedy powietrze przeniknął chłód. Przytomniejąc, spytała, która godzina, Tommy odrzekł, że z grubsza trzecia.

- Muszę jechać do domu.
- Myślałem, że będziemy spać w Monte Carlo.
- Nie. Jest guwernantka, są dzieci. Przed świtem muszę wrócić.
- Jak uważasz.

Na moment zanurzyli się w morzu, a kiedy Tommy dostrzegł, że Nicole dygoce, energicznie wytarł ją ręcznikiem. Wsiedli do auta z mokrymi jeszcze włosami, ze skórą odświeżoną i zarumienioną, ale nie mieli ochoty wracać. Radośnie i promiennie było tam, gdzie są; a

kiedy ją pocałował, poczuła, że Tommy zatracca się w bieli jej zębów, jasności policzków, chłodzie czoła i dotyku jej ręki na jego twarzy. Przyzwyczajona wciąż do Dicka, czekała na jakąś wykładnię, ocenę, ale na próżno. Na myśl, że się nie doczeka, senna i szczęśliwa zwinęła się w kłębek na fotelu i zdrzemnęła, aż warkot silnika obniżył się, zmienił i oto uświadomiła sobie, że auto wspina się ku willi Diana. Przy bramie niemal machinalnie pocałowała Tommy'ego na pożegnanie. Jej kroki na chodniku brzmiały teraz inaczej, nocne odgłosy ogrodu nagle wpisały się w przeszłość, mimo to uradowało ją, że wróciła. Dzień potoczył się *staccato*, lecz mimo wszelkich spełnień za wiele było napięcia jak dla Nicole.

IX

Nazajutrz o czwartej po południu przed bramę zajechała taksówka z dworca kolejowego i wysiadł Dick. Na spotkanie zbiegła z tarasu Nicole, wytracona nagle z równowagi, bez tchu, z trudem próbując zapanować nad sobą.

– Gdzie samochód? – spytała.

– W Arles. Przejadła mi się jazda.

– Myślałam, że cię nie będzie przez parę dni, przynajmniej tak napisałeś.

– Nadszedł mistral, potem ulewa.

– Jak ci się udał wypad?

– Jak każdemu, kto próbuje w ten sposób pozbyć się kłopotów. Dowiozłem Rosemary do Awinionu i wsadziłem do pociągu. – Szli w stronę tarasu, na którym postawił torbę podróżną. – Tego już nie pisałem; bałem się, że wyobrazisz sobie nie wiadomo co.

– Rozważnie i taktownie. – Nicole nabierała pewności siebie.

– Chciałem się przekonać, czy ona może coś zaofiarować... Jedyny sposób to spotkanie w cztery oczy.

– I jak? Może coś zaofiarować?

– Wciąż jest dziecinna. Niedojrzała – odrzekł. – I pewnie tak jest lepiej. Co robiłaś?

Poczuła, że drży na twarzy jak królik.

– Wczoraj wieczorem poszłam potańczyć... Z Tommym Barbanem. Pojechaliśmy...

Wzdrygnął się i przerwał jej:

– Nie mów o tym. Wszystko jedno, co robiłaś; nie chcę nic o tym wiedzieć. Kropka.

– Bo i nie ma o czym mówić.

– Dobrze. W porządku. – Potem spytał, jakby nie było go od tygodnia: – Co u dzieci?

W domu zadzwonił telefon.

– Jeżeli do mnie, to jeszcze nie przyjechałem – powiedział Dick i nagle się odwrócił. – Mam trochę roboty w pracowni.

Nicole odczekała, aż Dick zniknie za studnią, potem weszła do domu i podniosła słuchawkę.

– *Nicole, comment vas-tu?**

– Dick wrócił.

Tommy jęknął.

– Spotkajmy się w Cannes – zaproponował. – Muszę z tobą pomówić.

– Nie mogę.

– Powiedz, że mnie kochasz. – Patrząc na słuchawkę, Nicole przytaknęła bez słowa; Tommy powtórzył: – Powiedz, że mnie kochasz.

– Tak, oczywiście – zapewniła. – Ale teraz nie można nic zrobić.

– Na pewno można coś zrobić – zniecierpliwił się. – Dick wie, że między wami już po wszystkim... To jasne, że spasował. Czego się teraz po tobie spodziewa?

– Nie wiem. Muszę... – Powstrzymała się w porę; niewiele brakowało, a powiedziałyby: „Muszę poczekać na okazję, a wtedy

* Jak się masz, Nicole? (fr.)

zapytam Dicka”; dokończyła jednak: – Napiszę do ciebie, a jutro zadzwonię.

Krażyła po domu wcale zadowolona, delektowała się sukcesem. Niezłe z niej ziółko, odkrywała z satysfakcją, to już nie łowy na drób na podwórku. Powracał wczorajszy dzień wraz z bezlikiem szczegółów, które zaczęły się nakładać na wspomnienie podobnych chwil, kiedy miłość do Dicka była jeszcze świeża, nienaruszona. Nicole zaczęła dyskredytować tamto uczucie, przez co nabierało innego odcienia, aż mogła uznać, że od początku było sentymentalną konwencją i niczym więcej. Oportunistyczna kobieca pamięć pozwalała Nicole niemal zapomnieć, co czuła w przedślubnym miesiącu, kiedy kochali się z Dickiem w przeróżnych kryjówkach po całym świecie. Podobnie było z wczorajszym kłamstwem, kiedy przysięgała Tommy’emu, że jeszcze nigdy tak całkowicie, tak bezgranicznie, tak zupełnie...

...Potem powodowana skruchą – bo chwila zdrady jakże non-szalancko odbierała znaczenie dziesięciu latom jej życia – ruszyła do sanktuarium Dicka.

Podeszła bezszelestnie, by za domkiem, pod murem dzielącym ogród od urwiska zobaczyć leżak i siedzącego na nim Dicka. Przez chwilę przyglądała się w milczeniu. Rozmyślał; żył w najzupełniej własnym świecie; patrząc na drgnienia jego twarzy – uniesienie lub opuszczenie brwi, przymrużenie lub otwarcie oczu, zaciśnięcie lub rozchylenie warg – a także na grę ruchów dłoni, Nicole mogła dostrzec faza po fazie rozwijanie jakiegoś wątku, toczenie się jakiejś wewnętrznej historii. Historii Dicka, nie jej. To zaciskał pięści, to kulił się, na twarzy malowała się udręka i rozpacz, a kiedy to minęło, zostało piętno w oczach. Może pierwszy raz w życiu współczuła Dickowi, a ludziom niegdyś psychicznie chorym przychodzi z trudem współczucie dla zdrowych; Nicole swój refren powtarzała machinalnie – że Dick wprowadził ją z powrotem w świat wcześniej utracony – w istocie zaś widziała w Dicku niewyczerpane

pokłady energii, kogoś niezmordowanego... O trudnościach, jakich mu przysporzyła, zapomniała w tej samej chwili, w której zapomniała o własnych trudnościach stanowiących źródło tamtych. Czy Dick wie, że już nie ma nad nią władzy? Chciał tego wszystkiego? Współczuła mu, lecz podobne współczucie czasem w niej budził Abe North i jego żałosny los; takie współczucie budzi bezradność dzieci i starców.

Podeszła, objęła go ramieniem, przytknęła głowę do głowy i powiedziała:

– Nie bądź smutny.

Spojrzał i powiedział lodowatym tonem:

– Nie dotykaj mnie!

Zmieszana odeszła kilka kroków.

– Przepraszam. – Wydawał się roztargniony. – Właśnie myślę o tym, co o tobie myślałem...

– Może do swojej książki dodasz nową kategorię?

– Nad tym też się zastanawiałem. *Psychozy i nerwice. Supplement...*

– Nie przyszłam się sprzeczać.

– W takim razie po co przychodzisz, Nicole? Już nic nie mogę dla ciebie zrobić. Próbuję ratować siebie.

– Od zatrucia mną?

– Mój zawód czasem wymaga zadawania się z wątpliwym towarzystwem.

Znieważona, aż rozpląkała się z gniewu.

– Jesteś tchórzem. Przegrałeś życie, a mnie chcesz o to obwinić.

Nie odpowiedział, tymczasem Nicole miała wrażenie, że znów, po staremu, zaczyna ją hipnotyzować inteligencja Dicka; jej magii nie zawsze ulegała, lecz nigdy nie zdołała rozprawić się z jej konstrukcją, gdzie pod jedną prawdą kryła się inna i następne. Teraz znowu się opierała, walczyła, a do starcia zaprzęła swe piękne małe oczy, arogancję zwycięzczyń, wręcz luksus, rodzące się nowe przeniesienie skierowane ku innemu mężczyźnie, urazy nagromadzone przez lata; do walki wezwała swe pieniądze, wiarę, że teraz wesprze ją siostra, która nie lubi Dicka; sięgnęła też po myśl o nowych wrogach, których jej przysporzy Dick swym zgorzknieniem; wezwała na pomoc swą bystrość i przebiegłość przeciw jego ociężałości, pamiętce niezliczonych kolacji i butelek wina; swe zdrowie i urodę przeciw jego fizycznemu upadkowi, swój brak skrupułów przeciw jego moralizowaniu... W tę walkę wewnętrzną wciągnęła nawet swe słabości... Dzielnie i odważnie biła się czym popadnie: starymi puszkami, naczyniami, butelkami, pustymi pudłami, z których wyrzuciła dawno odkupione grzechy, zniewagi i błędy. I oto nagle, w ciągu zaledwie dwóch minut, odniosła zwycięstwo, usprawiedliwiła się sama przed sobą bez kłamstwa czy podstępu, odcięła sznur na zawsze. Potem na uginających się nogach, cicho łkając, zgaszona, odeszła ku domostwu, nareszcie jej własnemu.

Dick poczekał, aż Nicole zniknie z oczu. Potem oparł głowę na gzymsie muru. Ma już za sobą ten przypadek. Doktor Diver odzyskał wolność.

X

O drugiej w nocy Nicole obudził telefon; usłyszała, jak Dick odbiera go w sąsiednim pokoju, z łóżka, które nazwali kiedyś „łożem niezmrużonego oka”.

– *Oui, oui... mais à qui est-ce-que je parle?... Oui..** – Słysząc było, że zdumiony Dick rozbudził się na dobre. – Czy jednak mógłbym mówić z którąś z dam, panie komisarzu? Obie mają bardzo wysoką pozycję, są w najwyższym stopniu ustosunkowane, co może prowadzić do poważnych komplikacji politycznych... To szczerą prawdą, słowo daję... Świetnie, sam się pan przekona.

Dick wstał, a kiedy wgrzyzał się w sytuację, już wiedział, znając samego siebie, że się tym zajmie; fatalna stara uczynność, stary przemożny wdzięk wróciły z okrzykiem: „Posłuż się nami!” Musi iść i wygasić skandal – o który dba tyle, co o zeszłoroczny śnieg – bo już za młodu chciał wciąż być kochany, a w ów nałóg popadł zapewne, kiedy sobie uzmysłowił, że jest ostatnią nadzieją obumierającego klanu. W podobnej sytuacji, jeszcze w klinice Dohmlera nad Jeziorem Zuryskim, świadomy swoich mocy dokonał wyboru i wybrał Ofelię, wybrał słodką truciznę i wypił. Nade wszystko chciał być dzielny i życzliwy, mimo to jeszcze mocniej pragnął być kochany. Tak to było. I zawsze będzie, teraz już rozumiał; myślenie towarzyszyło powolne staroświeckie podzwanianie aparatu po zakończeniu rozmowy.

Zapadła dłuższa cisza.

– Co się stało? Kto dzwonił? – zawołała Nicole.

Odłożywszy słuchawkę, Dick zaczął się ubierać.

* Słucham... ale z kim mówię? (fr.)

– Posterunek policji w Antibes. Zatrzymali Mary North i tę Sibley-Biers. Wygląda na coś poważnego... Policjant nic nie powiedział; powtarzał tylko *pas de mortes... pas d'automobiles**, ale dawał do zrozumienia, że na tym nie koniec.

– Ale z jakiej racji, u licha, dzwoniли do ciebie? Moim zdaniem to bardzo dziwne.

– Jeśli nie chcą kompromitacji, nie obejdzie się bez kaucji, a kaucję może wpłacić tylko jakiś właściciel nieruchomości w Alpach Nadmorskich.

– Ależ mają czelność.

– Wszystko jedno. W każdym razie zabiorę Gausse'a spod hotelu...

Po wyjeździe Dicka Nicole przez jakiś czas zastanawiała się, co za przestępstwo mogły popełnić; potem zasnęła. Kiedy tuż po trzeciej wrócił, nagle usiadła zupełnie rozbudzona i wykrzyknęła:

– Co? – jak do postaci ze snu.

– Niezwykła historia – odrzekł. Usiadł w nogach jej łóżka i opowiadał, jak wybudzał Gausse'a z istic alzackiej śpiączki, jak kazał mu opróżnić szufladę z pieniędzmi i zawiózł na posterunek.

„Ani mi się śni robić coś dla tej *Anglaise*”, gderał Gausse.

Na ławce przed dwiema obskurnymi celami rozparły się Mary North i lady Caroline, przebrane za francuskich marynarzy. Po tej ostatniej znać było styl brytyjski, słowem, oczekiwała, że lada chwila flota śródziemnomorska pełną parą ruszy jej na ratunek. Natomiast Mary Minghetti była przerażona i załamana; dosłownie wbiła się w żołądek Dicka, jakby właśnie w tym miejscu znajdował się najlepszy punkt kontaktu, i błagała, żeby coś zrobił. Tymczasem komendant posterunku tłumaczył sprawę Gausse'owi, ów zaś opornie chłonał

* Nie ma zabitych... nie chodzi o samochody (fr.)

słowa, chcąc z jednej strony okazać należyte uznanie dla krasomówczych talentów policjanta, z drugiej zaś – jak przystało na wzorowego przedstawiciela rodu kelnerów, służących i hotelarzy – demonstrował, że opowieść spływa po nim jak woda po gęsi.

– To było tylko dla hecy! – pogardliwie oświadczyła lady Caroline. – Udawałyśmy marynarzy na przepustce i poderwałyśmy dwie głupiutki dziewczuchy. Połapały się w sytuacji i w hoteliku odstawiły koszmarną scenę.

Dick – istny ksiądz w konfesjonale – poważnie kiwał głową wpatrzony w kamienną posadzkę; w rzeczywistości powstrzymywał wybuch szyderczego śmiechu, a jednocześnie wydawał w myśli wyrok: pięćdziesiąt batów i dwa tygodnie o chlebie i wodzie. A jednak twarz lady Caroline wprawiała go w zakłopotanie, przez brak jakiegokolwiek świadomości zła, prócz zła wyrządzonego jakoby przez dwie tchórzliwe prowansalskie dziewczyny i głupią policję. A jednak pewne klasy angielskie – pomyślał po chwili – karmią się koncentratem antyspołecznym, ba, ekstraktem koncentratu, a w porównaniu z takim jadłospisem skutki nowojorskiej żarłoczności wydają się niewinne, jak dziecięca niestrawność po nadmiarze lodów.

– Muszę stąd wyjść, zanim Hosain się dowie – błagała Mary. – Dick, ty to potrafisz załatwić... Zawsze umiałeś. Powiedz, że pojedziemy prosto do domu, za wszystko zapłacimy, wytłumacz...

– Ja nie zapłacę – z wyższością zapewniła lady Caroline. – Ani szylinga. Za to z przyjemnością się przekonam, co powie konsulat w Cannes.

– Nie! Nie! – nalegała Mary. – Musimy się wydostać jeszcze tej nocy.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedział Dick i dodał: – ale trudno i darmo, jakieś pieniądze muszą zmienić właściciela. – Popatrzył na nie jak na dwie niepokalane istotki, z którymi, rzecz

jasna, niewiele miały wspólnego, i pokiwał głową. – Zwariowana historia, cyrk pierwszej klasy.

Zadowolona z siebie lady Caroline uśmiechnęła się.

– Przecież pan jest doktorem od wariactw, prawda? To potrafi pan nam pomóc, Gausse też się musi przyłożyć!

Dick odprowadził na bok Gausse'a, by omówić to, czego się dowiedział stary hotelarz. Sprawa wyglądała poważniej, niż się zdawało. Jedna z podrywanych dziewcząt należy do szanowanej rodziny, ci zaś są wściekli, a przynajmniej takich udają; z nimi koniecznie trzeba się ułożyć. Z tą drugą może pójdzie łatwiej, w sumie portowa dziewczyna. Prawo francuskie karze za takie historie więzieniem, a co najmniej deportacją podaną do publicznej wiadomości. To nie koniec kłopotów, bo na tle tolerancji narasta tutaj spór między tymi mieszkańcami miast, którzy zarabiają na kolonii cudzoziemskiej, i tymi, którym wzrost cen dał się we znaki. Gausse podsumował sytuację i zdał się na Dicka. Dick zaś doprosił do narady komisarza.

– Zapewne wie pan, że rząd francuski chce zachęcić Amerykanów do podróżowania po Francji; tak bardzo, że w Paryżu wydano tego lata zarządzenie zakazujące aresztowania Amerykanów, z wyjątkiem najpoważniejszych przestępstw.

– Na Boga, to naprawdę poważna sprawa.

– Dobrze, teraz rozważmy... czy one mają jakieś dowody tożsamości?

– Ani jedna, ani druga. Z wyjątkiem dwustu franków i pary pierścionków nie mają nic, nawet sznurówek, na których mogłyby się powiesić.

Słyszając, że nie mają dowodów, Dick odetchnął i ciągnął:

– Włoska contessa jest nadal obywatelką amerykańską. Jest wnuczką – ciągnął wyrecytował uroczyście i powoli – Johna D. Rockefellera Mellona. Słyszał pan o nim?

– Oczywiście. Na miłość boską, za kogo pan mnie ma?

– Mało tego, jest siostrzenicą lorda Henry’ego Forda, a to oznacza powiązania z firmami Renault i Citroën... – Uznał, że lepiej na tym skończyć. Natomiast szczerłość, którą tchnęły jego słowa, zaczynała już robić wrażenie na policjancie, więc Dick ciągnął: – Jeśli ją pan aresztuje, to jakby pan przymknął jej wysokość wielką księżną krwi Anglii. Wie pan, czym to pachnie? Wojną.

– No dobrze, a co z Angielką?

– Właśnie do tego zmierzam. Jest zaręczona z bratem księcia Walii, księciem Buckingham.

– Będzie miał żonę pierwsza klasa.

– Jesteśmy teraz gotowi – Dick szybko przeliczał w pamięci – jesteśmy gotowi dać po tysiąc franków każdej dziewczynie i dodatkowo tysiąc temu szanowanemu ojcu. Ponadto dwa tysiące do pana dyspozycji, rozdzielili je pan – tu wzruszył ramionami – według uznania, pomiędzy ludzi, którzy dokonali zatrzymania, właścicielkę hoteliku i tak dalej. Wręcę panu pięć tysięcy franków i liczę, że niezwłocznie rozpocznie pan pertraktacje. Wówczas może pan te osoby zwolnić za kaucją, z jakimś zarzutem, powiedzmy, naruszania porządku publicznego, a grzywnę, jaką wyznaczy sędzia, przekażemy jutro – przez posłańca.

Zanim policjant otworzył usta, Dick poznał po minie, że sprawę da się załatwić.

– Przez ten brak dowodów tożsamości jeszcze nie spisałem protokołu – powiedział niepewnie komisarz. – Zobaczymy, co się da zrobić. Niech pan da te pieniądze.

Po godzinie Dick i monsieur Gausse wysadzili kobiety przed hotelem Majestic, gdzie w kabrioleciku lady Caroline w najlepsze spał szofer.

– Pamiętajcie – powiedział Dick – że jesteście dłużne monsieur Gausse’owi po sto dolarów każda.

– Oczywiście – zapewniła Mary. – Jutro dam czek i jeszcze coś na dodatek.

– A ja nie!

Obejrzeni się zdumieni. Lady Caroline, znów w formie, przeżywała wzmożenie moralne.

– Ta historia to jedna wielka zniewaga. Żadną miarą nie upoważniłam cię do płacenia tym ludziom stu dolarów.

Oczy stojącego przy samochodzie drobnego Gausse’a nagle zapłonęły.

– Nie zapłaci mi pani?

– Oczywiście, że zapłaci – spieszenie zapewnił Dick.

Nagle odżyły zniewagi, które Gausse musiał znosić w Londynie jeszcze jako boy; w księżycowej poświacie z płonącymi oczami podszedł do lady Caroline.

Najpierw pofrunęła wiązanka obelg, którą lady Caroline skwitowała drewnianym uśmiechem, lecz kiedy odwróciła się, Gausse podszedł jeszcze bliżej i błyskawicznym ruchem ułokował drobną stopę w owym najświętszym z uświęconych celów. Niespodziewająca się niczego lady Caroline wyrzuciła w górę ramiona i jak rażona kulą padła w marynarskim stroju na chodnik.

– Mary, uspokój ją – głos Dicka poskromił jej furie – bo jak nie, to za dziesięć minut obie będziecie miały kajdany na nogach.

W drodze powrotnej do hotelu stary Gausse nie odezwał się ani słowem; dopiero kiedy minęli kasyno Juan-les-Pins, skąd wciąż dobiegały ochryple jazzowe łkania, Gausse westchnął:

– Jeszcze nigdy nie widziałem kobiet takich jak te. Znałem wielkie metresy, światowe kurtyzany i często bardzo je szanowałem, ale takich kobiet jak te jeszcze nie widziałem.

XI

Zazwyczaj Dick i Nicole wybierali się do fryzjera razem, a strzyżenie i mycie głów celebrowali w przylegających pomieszczeniach. Znad fotela Dicka dobiegał Nicole szczełk nożyczek, słyszała odliczanie reszty, liczne *voilà* i *pardon...*

Nazajutrz po powrocie Dicka pojechali na dół, żeby ostrzyć się i umyć głowy w powiewach wentylatorów i obłoczkach perfum.

Przed hotelem Carleton, o oknach wzorem drzwi piwnicznych uparcie zasłoniętych latem, minął ich wóz z Tommym Barbanem. Rzut oka na Tommy'ego zbił z tropu Nicole, Tommy wydawał się w tym aucie milczący i zamyślony, lecz na widok Nicole zdziwił się i ożywił. Chciała iść za nim, być z nim. Godzina u fryzjerki wydała się jeszcze jedną czczą przerwą, z których składało się jej życie, kolejnym aksamitnym uwięzieniem. Fryzjerka w białym kitlu, owiana lekkim zapachem potu, szminki i wody kolońskiej, była w oczach Nicole jedną więcej pielęgniarką.

W sąsiednim pomieszczeniu Dick drzemał pod fartuchem i mydlaną pianą. W lustrze Nicole widziała przejście dzielące męską część zakładu od damskiej i poderwała się na widok Tommy'ego, który stanowczym krokiem wszedł i gwałtownie skreślił do części dla mężczyzn. Z rumieńcem radości uświadomiła sobie, że zbliża się wyłożenie kart na stół.

Najpierw dotarły do niej urywki.

- Cześć, chciałem się z tobą spotkać.
- ...mówisz serio?
- ...mówię serio.

– ...odpowiada mi, jak najbardziej.

W niespełną minutę Dick zjawił się w pomieszczeniu Nicole; spod ręcznika wyzierała spiesznie opłukana, zirytowana twarz.

– Twój przyjaciel strasznie się nadał. Chce wspólnego spotkania, z tobą i mną, więc się zgodziłem, żeby mieć to już za sobą. Chodź!

– Popatrz na moje włosy... jeszcze nieostrzyżone do końca.

– Nie szkodzi, chodź!

Dotknięta, kazała zdjąć ręczniki, na co fryzjerka wybałuszyła oczy.

Świadoma, że jest rozczochrana i nieumalowana, ruszyła za Dickiem. Przed hotelem Tommy skłonił się nad jej dłonią.

– Chodźmy do Café des Alliés – powiedział Dick.

– Wszystko jedno, o ile będziemy sami – zgodził się Tommy.

Siedli pod parasolem drzew, co latem najważniejsze, Dick zaś spytał:

– Napijesz się czegoś, Nicole?

– Soku cytrynowego.

– Dla mnie pół na pół, whisky i sodowa.

– Black and White i syfon – zamówił Dick.

– *Il n'y a plus de Blackenwite. Nous n'avons que le Johnny Walkair.*

– *Ca va**.

* Black and White już nie ma. Możemy podać tylko Johnny Walkera. – Dobrze (fr.).

Dźwięk jej nie wabi
Lecz spróbuj ciszy...

– Twoja żona cię nie kocha – zniechęca powiedział Tommy. – Kocha mnie.

Dick i Tommy wpatrywali się w siebie, dziwnie niezdolni do nadania twarzom jakiegoś wyrazu. Mężczyźni w takiej sytuacji niewiele mogą sobie zakomunikować; związek między nimi staje się okrężny, zależy bowiem od tego, ile każdy z nich ma – lub uzyska – praw do kobiety; ich emocje ścierają się za pośrednictwem jej rozdartego „ja” niczym w wadliwym połączeniu telefonicznym.

– Chwileczkę – powiedział Dick. – *Donnez-moi du gin et du siphon.*

– *Bien, monsieur**.

– W porządku. Słucham cię, Tommy, mów.

– Twoje małżeństwo z Nicole już się wypaliło, to jasne. Dla niej to sprawa zamknięta. A ja czekałem na tę chwilę pięć lat.

– I co powie na to Nicole?

Obaj patrzyli teraz na nią.

– Bardzo polubiłam Tommy’ego, Dick.

Dick skinął głową.

– Przestałam cię obchodzić – ciągnęła. – Pozostał pusty nawyk. Od czasu Rosemary już nic nie jest tak samo.

Niezainteresowany tym Tommy wtrącił ostro:

* Przynieś mi dzinu z wodą sodową. – Dobrze, proszę pana (fr.).

– Nie rozumiesz Nicole. Zawsze odnosiłeś się do niej jak do pacjentki, bo kiedyś była chora.

Nagle przerwał im natrętny, ponury Amerykanin, który sprzedawał „Heralda” i „Timesa” świeże egzemplarze prosto z Nowego Jorku.

– Tu wszystko znajdziecie, chłopaki – zapewnił. – Długo jesteście?

– *Cessez cela! Allez ouste!** – krzyknął Tommy, a potem zwrócił się znowu do Dicka: – Teraz żadna kobieta nie zniesie...

– Chłopaki – znowu się wtrącił Amerykanin. – Pewnie myślicie, że tracę czas, ale inni nie tracą, cała masa. – Wyciągnął z pugilaesu poszarzały wycinek, a Dick przypomniał sobie, że już to widział. Na rysunku wylewały się z transatlantyków miliony Amerykanów z worami złota. – Myślicie, że nic z tego nie wyrwę? Otóż wyrwę. A do Nicei wpadłem tylko na Tour de France.

Kiedy Tommy odprawiał natręta okrzykiem *allez-vous-en*** , Dick rozpoznał w Amerykaninie człowieka, który niegdyś zaczepił go na rue de Saints Anges; pięć lat temu.

– Kiedy nadjeżdża Tour de France? – zawołał za nim Dick.

– Lada chwila, kolego.

W końcu poszedł sobie, machając wesoło, a Tommy wrócił do rozmowy z Dickiem.

– *Elle doit avoir plus avec moi qu’avec vous****.

– Mów po angielsku! Co rozumiesz przez *doit avoir*?****

– *Doit avoir*? Że ze mną zazna więcej szczęścia.

* Odczep się! Zjeżdżaj! (fr.)

** To idź i zobacz (fr.)

*** Ja dam jej więcej niż ty (fr.)

**** Tu: dawać (fr.)

– Będziecie dla siebie nowością. Ale Nicole i ja zazналиśmy sporo szczęścia, Tommy.

– *L'amour de famille** – szydził Tommy.

– A jeśli pobierzecie się z Nicole, to co? To nie będzie *l'amour de famille*? – Musiał przerwać, narastał zgiełk, teraz dobiegał z zakrętu na końcu promenady, a jakieś grupki, wręcz tłum, wypłoszone z kryjówek przeznaczonych na sjęstę stłoczyły się przy krawężniku.

Najpierw przemknęli na rowerach chłopcy, potem pojawiły się samochody pełne krzykliwie ubranych sportowców, a przenikliwe klaksony oznajmiały zbliżanie się czoła wyścigu, w drzwiach restauracji, o dziwo, stanęli kucharze w podkoszulkach i wreszcie na zakręcie pojawiła się procesja. Najpierw nadjechał samotny cyklista w czerwonym kostiumie; zawzięty, zmordowany i pewny siebie wynurzył się z popołudniowego blasku, a krzykliwe wiwatowanie zapewne brzmiało w jego uszach jak melodia. Potem zjawili się trzej następni, razem, w pstrych i wyblakłych strojach, z nogami żółtymi od zaschniętego potu zmieszanego z kurzem, o twarzach pozbawionych wyrazu i ciężkim, bezgranicznie zmęczonym spojrzeniu.

Tommy powiedział bez owijania w bawełnę:

– Sądę, że Nicole chce rozwodu. I mam wrażenie, że nie będziesz robił żadnych trudności.

W ślad za pierwszym kolarzem na przestrzeni dwustu jardów zaroilo się od pięćdziesięciu następnych; paru z uśmiechem skrępowania na twarzy, paru zupełnie wyczerpanych, większość obojętna i zmęczona. Przejechała świta złożona z malców, potem paru niepoprawnych maruderów, wreszcie niewielka ciężarówka z ofiarami wypadków i tymi, którzy się poddali. Nicole, Tommy i Dick wrócili do stołu.

* Miłość rodzinna (fr).

– Przecież ze mną nie jesteś już szczęśliwy, prawda? – podjęła rozmowę Nicole. – Beze mnie możesz znowu zająć się swoją pracą, a pójdzie ci lepiej, kiedy nie będziesz musiał się o mnie troszczyć.

Tommy poruszył się niecierpliwie.

– O tym nie ma co mówić. Nicole i ja kochamy się, to wszystko, kropka.

– W takim razie – powiedział Dick – skoro już wszystko uzgodniliśmy, możemy wrócić do fryzjera.

Tommy tęsknił do awantury.

– Jest kilka punktów...

– Nicole i ja omówimy wszystko między sobą. Nie przejmuj się, zgadzam się co do zasady, a Nicole i ja rozumiemy się. Więc łatwiej unikniemy nieporozumień, jeśli darujemy sobie dyskusję we troje – nie bez racji powiedział Dick.

Tommy niechętnie przyjął do wiadomości to rozumowanie; powodowała nim nieodparta skłonność jego rasy do zdobycia podstępem przewagi.

– Ale od tej pory przyjmij do wiadomości – powiedział – że jestem opiekunem Nicole, aż ustali się szczegóły. Co więcej: przebywacie jeszcze pod jednym dachem, a ja zapewniam, że poniesiesz odpowiedzialność, jeżeli nadużyjesz tej sytuacji.

– Ani mi w głowie kochać zdrewniałe lędźwie – odrzekł Dick.

Kiwnął głową i odszedł w stronę hotelu odprowadzony rozpalonym do białości spojrzeniem Nicole.

– W końcu zachował się całkiem przyzwoicie – łagodził Tommy.
– Kochanie, spędzimy razem wieczór?

– Zapewne.

Zatem stało się, bez wielkich tragedii; Nicole zorientowała się teraz, że Dick przejrzał ją na wskroś, wiedział już, co się dzieje, podczas zajścia z maścią kamforową, wszystko przewidział. Lecz czuła się też szczęśliwa i podniecona, a dziwna chęć, by opowiedzieć o tym Dickowi, szybko się rozviała. Niemniej odprowadzała Dicka wzrokiem, aż stał się ledwie kropką i wmieszał między inne kropki, w letni tłum.

XII

W przeddzień wyjazdu z Riwiery doktor Diver cały czas spędził z dziećmi. Nie był już młody, minęły lata tylu przyjemnych myśli i marzeń, chciał więc zachować dobre wspomnienia. Dzieciom zapowiedziano, że zimę spędzą w Londynie z ciotką, a niebawem pojedą do Ameryki odwiedzić Dicka. Ustalono, że Fräulein nie można zwolnić bez jego zgody.

Cieszyło go, że zdołał tyle dać dziewczynce – jeśli chodzi o chłopca, nie był aż taki pewien – a zawsze dręczył go niepokój o to, co winien zapewnić tym wciąż pnącym się, zawsze lgnącym i szukającym piersi młodym. Lecz w chwili pożegnania miał ochotę unieść z karków te śliczne główki i tulić godzinami.

Uściskał starego ogrodnika, który przed sześcioma laty zakładał pierwszy ogród przy willi Diana; ucałował młodą Prowansalkę, która pomagała przy dzieciach. Była z Nicole i Dickiem od niemal dziesięciu lat, a teraz z płaczem padła na kolana; Dick podniósł ją spieszenie i dał trzysta franków. Tego dnia Nicole spała do późna, jak wcześniej uzgodniono. Zostawił krótkie listy, jeden dla niej, drugi dla Baby Warren, która właśnie wróciła z Sardynii i zamieszkała w willi. Pociągnął solidny łyk brandy z podarowanej przez kogoś wysokiej na trzy stopy dziesięciokwartowej butelki.

Potem postanowił zostawić bagaże na stacji w Cannes i spojrzeć po raz ostatni na plażę przed hotelem Gausse'a.

Kiedy przed południem nadeszły Nicole z siostrą, plażą władawa na razie tylko straż przednia, czyli dzieci. Zbielałe słońce odarte z formy na tle zbielełego nieba wlewało coraz więcej żaru w bez-

wietrzny dzień. Kelnerzy łądowali do baru dodatkowe porcje lodu, natomiast amerykański fotograf z Associated Press rozstawił już sprzęt w czymś w rodzaju cienia i chyżo zezował w stronę każdej pary nóg zstępujących po kamiennych schodach. Tematy, na które liczył, na razie spały w najlepsze w zacienionych pokojach, wciąż odurzone narkotykiem świtu.

Wchodząc na plażę, Nicole zauważyła Dicka; w zwykłym stroju siedział w górze na skale. Cofnęła się w cień płóciennego pawiloniku. Po minucie dołączyła Baby, mówiąc:

– Dick wciąż tu jest.

– Widziałam.

– Mógłby się zdobyć na tyle taktu, żeby się wynieść.

– To jego miejsce, w jakiejś mierze... Odkrył je. Stary Gausse wciąż powtarza, że wszystko zawdzięcza Dickowi.

Baby spokojnie spojrzała na siostrę.

– Powinnyśmy były dopilnować, żeby mu wystarczyły wycieczki rowerowe – zauważyła. – Kiedy ludzi wyciąga się z nizin, tracą głowę, choćby z nie wiem jakim wdziękiem nadrabiali miną.

– Dick przez sześć lat był dla mnie dobrym mężem – powiedziała Nicole. – Przez ten czas nie cierpiałam przez niego nawet minutę, zawsze pilnował, żeby nie stała mi się krzywda.

Baby lekko wysunęła zuchwę i powiedziała:

– Tego się uczył, taka specjalność.

Siostry siedziały w milczeniu; Nicole już nieco znużona dziwiła się biegowi spraw, Baby zaś rozważała, czy wyjść, czy nie wyjść za najświeższego pretendenta do jej ręki i pieniędzy, najprawdziwszego Habsburga. Zresztą niezupełnie rozważała. Jej romanse od dawna upodobniły się do siebie i w miarę usychania Baby rosła ich wartość

jako tematu rozmów, biorąc górę nad istotą sprawy. Uczucia Baby najpełniej istniały w opowieściach.

– Poszedł? – spytała po chwili Nicole. – Zdawało mi się, że pociąg odjeżdża w południe.

Baby rozejrzała się.

– Nie. Poszedł wyżej i na tarasie rozmawia z jakimiś kobietami. Zresztą teraz taki tu tłok, że na pewno nas nie zobaczy.

A jednak zauważył, że wychodzą z pawiloniku, i odprowadzał je wzrokiem, aż zniknęły. Siedział z Mary Minghetti i popijał anyżówkę.

– Tej nocy, kiedy nas wyciągnęłaś, byłeś taki jak dawniej – mówiła Mary. – Z wyjątkiem pożegnania z Caroline, bo wtedy zrobiłeś się straszny. Czemu nie jesteś taki miły jak zawsze? Przecież możesz.

Dickowi wydawało się czymś fantastycznym, że oto Mary North udziela mu nauk.

– Wciąż masz przyjaciół, Dick, wciąż cię lubią. Ale po pijanemu wygadujesz okropne rzeczy. Tego lata większość czasu zeszła mi na bronieniu ciebie.

– Jedna z klasycznych odżywek doktora Eliota.

– Pewnie. Nikogo nie obchodzi, czy pijesz, czy nie... – Wahała się przez chwilę. – Nawet kiedy Abe pił na umór, nigdy tak nie obrażał ludzi jak ty.

– Jesteście wszyscy tacy nudni – odrzekł.

– Ale jesteśmy wszystkim, co masz! – Mary poniosło. – Jeśli nie lubisz ludzi sympatycznych, to spróbuj, idź między prostaków, zobaczysz, jak ci posmakuje! Ludzie chcą jednego: dobrze się bawić, a raniąc ich, odcinasz się od stawy.

– Bardzo się najadłem? – spytał.

Mary czuła się pierwszorzędną, czego się wcześniej nie spodziewała, usiadła bowiem z Dickiem ze strachu. Znów wymówiła się od picia.

– W tle zawsze będzie uleganie zachciankom. Możesz sobie wyobrazić, jak na to patrzę po Abie. Bo już raz widziałam, jak dobry człowiek stacza się w alkoholizm...

Lekkim krokiem zeszła po stopniach lady Caroline Sibby-Biers, sztucznie i ostentacyjnie beztroska.

Dick czuł się znakomicie; jak na tę porę dnia był należycie wstawiony, dotarł tam, gdzie mężczyzna winien się znaleźć po dobrej kolacji, mimo to okazywał Mary North ujmujące, rozważne i powściągliwe zainteresowanie. Oczy Dicka, przez chwilę czyste jak oczy dziecka, dopominały się u Mary zrozumienia, odczuł też dawno skradzioną potrzebę przekonania jej, że on jest ostatnim mężczyzną na świecie, ona zaś ostatnią kobietą... Nie musiałby wtedy patrzeć na te dwie postaci, mężczyzny i kobiety, widziane tylko w czerni i bieli na tle nieba...

– Kiedyś mnie lubiłaś, prawda? – spytał.

– Lubiałam? Dick, ja cię kochałam. Wszyscy cię kochali. Na jedno skinienie mogłeś mieć kogo zechcesz...

– Między tobą i mną zawsze coś było. Skwapliwie rzuciła się na przynętę.

– Naprawdę, Dick?

– Zawsze... Wiedziałem o twoich przejściach, widziałem, jak dzielnie sobie radzisz. – Poczuł, jak odradza się stary wewnętrzny śmiech, i poczuł, że dłużej nie wytrzyma.

– Zawsze myślałam, że mnóstwo wiesz – ciągnęła Mary entuzjastycznie. – Nikt o mnie tyle nie wiedział, nigdy. Może dlatego tak się ciebie bałam, kiedy przestało się między nami układać.

Rzucił jej miękkie, łagodne spojrzenie, które miało świadczyć o kryjących się w głębi emocjach; ich spojrzenia nagle poślubiły się, runęły do łóżka i splotły. A potem, kiedy w duchu roześmiał się aż tak głośno, że powinna to usłyszeć nawet ona, Dick wyłączył lampkę i oto znowu siedzieli pod słońcem Riwiery.

– Muszę iść – powiedział. Wstał i lekko się zatoczył; już nie czuł się tak dobrze, krew już tak nie tętniła. Uniósł prawą dłoń i papieskim gestem pobłogosławił plażę z wysokości tarasu. Spod paru parasoli wyjrzały ku niemu twarze.

– Pójdę do niego. – Nicole podniosła się na kolana.

– Nie – powiedział Tommy i pociągnął ją w dół. – Nie pójdiesz. Daj sobie spokój.

XIII

Po zawarciu nowego małżeństwa Nicole utrzymywała kontakt z Dickiem; wymieniali listy dotyczące interesów i dzieci. Mawiała często: „Kochałam Dicka i nigdy go nie zapomnę”.

A Tommy odpowiadał wówczas: „Jasne, że nie zapomnisz, bo niby czemu?”

Dick otworzył w Buffalo gabinet, lecz najwyraźniej miał kłopoty. Nicole nigdy się nie dowiedziała, na czym polegały, w kilka miesięcy później usłyszała natomiast, że w miasteczku Batavia w stanie Nowy Jork otworzył praktykę jako lekarz rodzinny; później, że jest w Lockport, gdzie się zajmuje tym samym. Przypadkiem dowiedziała się więcej właśnie o jego życiu w Lockport: sporo jeździł rowerem, uwielbiały go panie, na biurku miał zawsze stertę papierów, o których mówiono, że to bardzo ważna rozprawa medyczna, już bliska ukończenia. Poważano go za nienaganne maniery, pewnego razu wygłosił doskonały odczyt o narkotykach na zebraniu poświęconym sprawom zdrowia; jednak zaplątał się w przygodę z dziewczyną ze sklepu spożywczego, był też zamieszany w jakąś sprawę sądową na tle lekarskim, w końcu z Lockport wyjechał.

Od tej pory nie prosił o przysłanie dzieci do Ameryki, nie odpowiadał też na listy Nicole, w których pytała, czy potrzebuje pieniędzy. W ostatnim pisał, że praktykuje w Genewie w stanie Nowy Jork; a Nicole odniosła wtedy wrażenie, że mieszka z kimś, kto mu prowadzi dom. Poszukała w atlasie tej Genewy, znalazła w sercu regionu Finger Lakes i pomyślała, że to sympatyczne miejsce. Polubiła myśl, że Dick tam czeka – jak Grant w Galenie – na stosowny moment, by zrobić karierę. Ostatnia wiadomość nosiła stempel Hornell, miejscowości w stanie Nowy Jork, maleńkiej i dość

odległej od Genewy; tak czy inaczej, Dick niemal na pewno mieszka w tych okolicach, w tym lub innym miasteczku.